BLOGERZY KSIĄŻKI PISZĄ

Szkice z życia

antologia opowiadań

ANTOLOGIA OPOWIADAŃ
SZKICE Z ŻYCIA

Wydawnictwo RW2010 Poznań 2012
Redakcja i korekta Monika Pasek
Redakcja techniczna i konwersja zespół RW2010
Copyright © praca zbiorowa 2012
Okładka Copyright © Katarzyna Warpas 2012
Copyright © for the Polish edition by RW2010, 2012
e-Wydanie I

ISBN 978-83-63111-89-2

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie całości albo fragmentu – z wyjątkiem cytatów w artykułach i recenzjach – możliwe jest tylko za zgodą wydawcy.

Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

RW2010, os. Orła Białego 4 lok. 75, 61-251 Poznań
Dział handlowy: marketing@rw2010.pl
Zapraszamy do naszego serwisu: www.rw2010.pl

Strona autorów: http://blogerzy-ksiazki-pisza.blogspot.com/

SZKICE Z ŻYCIA

BLOGERZY KSIĄŻKI PISZĄ

ANTOLOGIA OPOWIADAŃ

Spis treści

Jan Antoni Homa
SCENY LOTNISKOWE 7
Alicja Minicka
PRZERWANA SONATA 18
Katarzyna Warpas
BOJĘ SIĘ CIEBIE, POTOMKU 25
Aleksandra Kocianowska
DZIECKO 28
Magdalena Żerek
MATKA 33
Maria Izabela Fuss
TORBA PEŁNA WSPOMNIEŃ 36
Miłośnik Miłości
SAMOTNI Z WYBORU 48
Dagmara
ELŻBIETA 55
Victor Orwellsky
TAJEMNICA KOSZMARNEJ SALI 63
Marzena Tokarska
KOBIETA, KTÓRĄ NIGDY NIE BĘDĘ 85
Danuta Awolusi
PRZYSTAŃ 103
Dorota Szczepanik
TRAWY NADWODNE 111
Katarzyna Maczyk
W DROBNY MAK 114
Agnieszka Gil
SIELANKA 131
Justyna Karolina Gałązka
JA – MAŁA 142
Agnieszka Nietresta-Zatoń
ERSATZ 148

Aurora
JAK ŚLIWKA W KOMPOT 156
Małgorzata Rybarczyk-Bończak
PIELĘGNUJMY GUZIKI 164
Olaf Tumski
GOLEM POZNAŃSKI 170
Justyna Gul
OBSERWATOR 190
Roman Monkiewicz
LUSTRO 193
Agnes A. Rose
OSTATNIA MISJA 212
Agata Adelajda Kołodziejczyk
BENEVOLE LECTOR 231
Dorota Kamińska
OSTATNI UŚMIECH REMBRANDTA 238
Piter Murphy
POWRÓT OJCA 263
Agnieszka Steur
OPOWIEŚĆ TRZECIEGO STOPNIA 267
Marta Kusz
IRONIA LOSU 276
Sylwetki autorów.....296

WSTĘP

Kim jest bloger? Jaką rolę pełni w wielkiej otchłani Internetu? Czy blogerzy są już społecznością, czy indywidualnymi jednostkami tworzącymi dla samych siebie? Spoglądając na projekt Blogerzy Książki Piszą, odpowiadamy: blogerzy to ludzie kreatywni, otwarci, gotowi do podjęcia wyzwań. Dowodem jest zbiór opowiadań napisanych przez osoby, które na co dzień prowadzą swoje blogi. Tematyka? Przeróżna: kultura, polityka, pasje… Można wymieniać bez końca. Tak różne osobowości, z wieloma osiągnięciami i planami, z chęcią i zapałem złapały za pióra, aby zmierzyć się z poważnym wyzwaniem literackim: opowiadaniem. Efekty są zaskakujące – mieszanka stylów, pomysłów, gatunków i talentów. Po prostu – szkice z życia.

Blogerzy Książki Piszą to projekt, który zrodził się w głowie jednej z autorek, prowadzącej blog o nazwie *Kraina Czytania*. Do współpracy zaprosiła właścicielkę bloga *Książki Zbójeckie*, tworząc duet, który wspólnymi siłami zmotywował użytkowników blogosfery do stworzenia zbioru opowiadań, wydanego w nowatorskiej formie e-booka. Droga od pomysłu do finału była niełatwa i wymagająca – ale udało się! Blogerzy mogli błysnąć zdolnościami i pomysłowością, a czytelnicy mają szansę ocenić, czy włożony trud się opłacił.

Nie wszyscy autorzy przedstawianych opowiadań są debiutantami, niektórzy z nich to docenieni już prozaicy. Napisane przez nich teksty to historie zrodzone z pasji, stanowiące owoc podjęcia wyzwania, aby stworzyć opowiadanie: krótką, ale wymagającą formę literacką, pokazującą pełen warsztat pisarza. To szansa, aby wyłowić talenty, zaprezentować swoje możliwości i wyjść z wirtualnego cienia.

Mamy nadzieję, że projekt Blogerzy Książki Piszą będzie dla czytelników znakomitą, ciekawą i zróżnicowaną lekturą.

Agnes A. Rose (krainaczytania.blox.pl)

Danuta Awolusi (ksiazkizbojeckie.blox.pl)

JAN ANTONI HOMA

SCENY LOTNISKOWE

SCENA 1[1]

Informujemy, że za pięć minut zakończy się odprawa pasażerów odlatujących do…

Mężczyzna w zielonej kurtce tratuje białymi adidasami salę odlotów. Niebieska czapka z daszkiem zsuwa mu się na czoło. Zasłania oczy. Czerwona walizka na kółkach podskakuje. Torba na ramieniu zawadza o przypadkowych ludzi. Plastikowa siatka chybocze w rytm nerwowego biegu. Urywa się. Słychać brzęk rozbijanego szkła. W miejscu wypadku unosi się zapach mocnego alkoholu.

– No i co teraz? – Mężczyzna w zielonej kurtce traci koncepcję. Ale tylko na chwilę. Z rozrzewnieniem podnosi chlupoczącą reklamówkę. Z ociąganiem wyrzuca ją do kosza.

– Resztę sami posprzątają – oznajmia gapiom, którzy ni to chcieli pomóc, ni to nacieszyć się cudzym ambarasem. – Jak się człowiek spieszy… – mruczy do siebie. Zwalnia. Pośpiech nie wyszedł mu na dobre.

– Jeszcze kupa ludzi do odprawy. Skąd ta panika? – pyta głośno, nieco zaczepnie, odnalazłszy właściwe stanowisko.

W braku odpowiedzi, postanawia ukonkretnić adresata kolejnych słów. Wybór pada na młodego chłopaka o niepewnym spojrzeniu.

– Nie wie pan, co to tak długo trwa? By było, jakby nam przed nosem zamknęli…

[1] Na życzenie Autora konsultacji korektorskich odnośnie do niniejszego opowiadania udzieliła pani Dorota Koman.

Zaniepokojony chłopak inicjuje rajd na czoło kolejki. Wraca uspokojony.

– Muszą przeładowywać. Jak ktoś ma za ciężki bagaż, przekłada do ręcznego. Ile pański waży?

– A bo ja wiem?

– Pan pokaże, mam wagę w dłoniach… – Chłopak unosi walizkę i potrząsa nią kilkakrotnie.

– Nie szarp pan tak… – Poczucie straty jest u człowieka w zielonej kurtce ciągle żywe.

– Powyżej dwudziestu – wyrokuje ekspert. – Niedużo, ale jednak. Limit wynosi dwadzieścia… – W głosie pojawia się nutka satysfakcji.

– A co to, apteka? Chyba nie będą robić problemów z powodu kilku gramów?

– Niestety, są rygorystyczni. Ostatni raz tak miałem. Płaci pan albo bagaż zostaje, powiedzieli.

– Człowieku, chyba nie mówisz poważnie? Takie cwaniaczki? A może wziąłbyś coś ode mnie? Mam same niezbędne rzeczy.

– Nie da rady. Jestem w limicie, co do grama.

– Szlag… – Mężczyzna w zielonej kurtce zacietrzewia się.

– Nie ma co się denerwować. Przełoży pan do ręcznego i po krzyku – uspokaja go młody chłopak.

SCENA 2

– Dwadzieścia dwa kilo. O dwa za dużo. Dopłaca pan? – Pracowniczka linii lotniczych zadaje to pytanie siedemnasty raz w ciągu pół godziny.

– Taka ładna dziewczyna. Bym nie leciał, bym na kawę zaprosił…

– Dopłaca pan? – Kobieta jest nieugięta. Nie ulega czarowi mężczyzny w zielonej kurtce.

– Bo już naprawdę, ludzi się czepiacie! Dobra, pani chwilkę zaczeka, przepakuję…

– Ale proszę tam, z boku. I radzę się pospieszyć, bo za chwilę kończymy odprawę.

Do stanowiska podchodzi kilkuletnia dziewczynka pod opieką dziadka. Starszy pan trzyma w dłoniach bagaż i laskę. Jest zasapany. Odstawia walizkę. Lewą ręką łapie się za serce.

– Zdążyliśmy? – pyta z nadzieją.

– Tak, w samą porę – uśmiecha się pracowniczka linii lotniczych.

– Był wypadek… i autobusy nie kursowały… Bo widzi pani… nasza wnuczka leci sama… Tam, na lotnisku czeka ojciec… Odwiedziła nas wnusia kochana… Czy ktoś mógłby się nią zaopiekować… w trakcie lotu? – Zdania przedzielane są chwilami zadyszki.

– Dziadku, nie trzeba, poradzę sobie… – Dziewczynka jest lekko zażenowana.

– Proszę się nie obawiać, porozmawiam z szefową stewardess. A teraz radziłabym się pospieszyć, bo kończymy odprawę.

Dziadek z wysiłkiem stawia na wadze lekką walizkę. Odbiera kartę pokładową dla wnuczki.

– No, co tam, panie starszy, jakiś problem? – Mężczyzna w zielonej kurtce już się przepakował.

– Wnuczka sama leci… Ta miła pani – starszy pan uśmiecha się do pracowniczki linii lotniczej – poprosi o opiekę kogoś z załogi… Ale martwię się, żeby wnusia bezpiecznie do samolotu dotarła.

– Panie starszy, to międzynarodowe lotnisko, a nie dworzec PKS. Ale jak pan chcesz, to ja się małą zaopiekuję…

– Mógłby pan? – Dziadek się rozpromienia. – Bo ja już nie nadążam… Są jeszcze uczynni ludzie na tym świecie. Dziękuję panu.

– Może się pan pospieszyć? Naprawdę zamykamy. – Przedstawicielka linii ponagla mężczyznę w zielonej kurtce.

– Chwileczkę, z panem starszym rozmawiam… – Mężczyzna z impetem stawia na wadze odchudzoną walizkę.

– Dwadzieścia jeden kilo…

– Złociutka, chyba nie będziesz robiła afery dla jednego kilograma?

Kobieta bez słowa wręcza mężczyźnie kartę pokładową.

Dziadek ze łzami w oczach żegna się z wnuczką.

– Kochanie, pilnuj się tego pana.

– Dobrze, dziadku.

SCENA 3

– Proszę położyć torbę na wagę. Jedenaście kilo. Za dużo.

– No, jak za dużo? – Mężczyzna w zielonej kurtce jest coraz bardziej zniecierpliwiony.

– Przykro mi. Limit bagażu ręcznego wynosi dziesięć kilogramów.

– No dobra, dopłacam.

– Za późno. Mógł pan to zrobić przy odprawie. Proszę przejść na bok i nie blokować.

– Mała, chodź ze mną. – Mężczyzna chwyta rękę dziewczynki. – Jest pod moją opieką – wyjaśnia urzędnikowi. Dziewczynka potwierdza skinieniem głowy.

Przechodzą pod ścianę, w kierunku foteli.

– Słuchaj mała, ty masz niewielki bagaż podręczny. Możesz mi coś przewieźć?

Dziewczynka zdejmuje z ramienia wiśniowo-różowy plecaczek. Pociąga zamek błyskawiczny, który zdobią trzy maskotki: hipopotam, małpka i zebra.

– Ale, ja nie mam miejsca…

– Pokaż, na pewno coś się znajdzie.

Mężczyzna w zielonej kurtce przejmuje plecak i lustruje jego zawartość.

– Ojojoj, co my tu mamy! Cały zwierzyniec, i książki, i zeszyty… Po co ci to wszystko? – pyta z autentycznym zdziwieniem.

Dziewczynka jest zaskoczona i zdezorientowana.

– No, to są moje rzeczy, książeczka, pamiętnik, miś…

– O, miś się nada. Zróbmy tak: dasz mi pluszaka, bo jest lekki – nie martw się, zaopiekuję się nim – a ty schowaj moją flaszkę. W samolocie wymienimy się ponownie. Dobra?

Dziewczynce chce się płakać, ale mężczyzna już wyjmuje misia, pakując butelkę na jego miejsce.

Przepychając się bezpardonowo, wraca na początek kolejki. Dziewczynka trzyma się go kurczowo, nie chcąc zgubić śladu przyjaciela uwięzionego w ortalionowej torbie.

SCENA 4

– A plecaka nie musisz kłaść na taśmę. Takich małych dzieci nikt nie sprawdza.

– Ostatnio musiałam…

– Słuchaj, co wujek mówi. Nie musisz i koniec.

– Proszę zdjąć pasek.

– Co?! Może jeszcze buty?!

– Tak, buty też.

– I co, mam chodzić na boso?

– W kiosku, w hali odlotów, można kupić ochraniacze jednorazowe.

– To pójdę…

– Za późno, trzeba było kupić przed bramką.

– Dziewczynko, proszę położyć plecak na taśmę.

– No nie, dziecko będziecie sprawdzać? Jak słowo honoru, co za ludzie jacyś…

Podstawka z plecakiem znika w komorze skanera.

– Panie, nie macaj mnie pan! – Mężczyzna nie znosi, gdy ktoś narusza jego prywatność. Funkcjonariusz jest przyzwyczajony do rozmaitych reakcji pasażerów.

– Czy to twój bagaż? – pyta dziewczynki wopista, któremu funkcjonariuszka siedząca przy monitorze coś pokazuje.

– Tak.

– Proszę otworzyć.

Dziewczynka otwiera plecak.

– Co ty tu, dziecko, wódkę masz?

– Nie, bo…

Mężczyzna w zielonej kurtce nie traci czujności ani na chwilę.

– O co chodzi? Jestem jej wujkiem. Dziecko wiezie ojcu flaszkę. Nie wolno? Mała, poczekaj tam na mnie, ja się rozmówię z tym panem…

– Ale… – Dziewczynka próbuje protestować.

– Idź, bo tata będzie niezadowolony…

Dziewczynka odchodzi.

– Wolno, ale w bagażu rejestrowanym.

– Toż przecież była w walizce, ale musiałem wyjąć, bo… dziecko miało za ciężki bagaż.

– Nic nie poradzę. – Wopista rozkłada ręce. Rozumie ból pasażera, ale jest w pracy.

– A w ręcznym tylko do stu gramów.

– Znaczy się, małpkę? Kolonie powinniście obsługiwać… Panie władzo, bądź pan człowiekiem. Facet siedzi z dala od kraju, tęsknota go gryzie, niech się przynajmniej wódeczki porządnej napije…

Wopista kręci głową.

– Do stu gramów. I to jako lekarstwo.

– Setką to jeszcze nikt się nie wyleczył… – mruczy mężczyzna. – Dobra, daj pan to, przynajmniej kilka grzdyli zrobię. Albo choć pan ze mną na boczek, razem łykniemy. Szkoda, żeby się zmarnowała, kryształ nie gorzałka, nasza przeczysta, a ja taki przed lotem jakiś niespokojny jestem…

Wopista pozostaje nieugięty.

– Spożycie alkoholu w miejscach publicznych jest zabronione. A bratu może pan kupić coś w wolnocłowym.

– Dobra, dobra, pomiatacie ludźmi, ale to się na was zemści… – wieści mężczyzna w zielonej kurtce.

Odchodzi, lecz jest niepocieszony.

– Jasna cholera. Już dwie flaszki zmarnowane. No, to… Niech przynajmniej będzie jakaś sprawiedliwość.

Z wściekłością wyrzuca do kosza pluszową zabawkę.

SCENA 5

– Zabieraj ten swój plecak. Mówiłem, żebyś nie stawiała go na taśmie.

Dla dziewczynki liczy się tylko jedno.

– Może mi pan już oddać misia?

– Umawialiśmy się, że dopiero w samolocie. Tak czy nie?

Co za namolne dziecko! Nie dość, że człowiek się gówniarą zaopiekował…

– Idź do bramki i czekaj. Ja mam jeszcze coś do załatwienia. – Mężczyzna znika w labiryncie korytarzy.

Zapłakana dziewczynka siada na fotelu. Może i powinna się komuś poskarżyć, tylko komu? Nigdy nie podróżuje sama, ale tym razem tata musiał wrócić wcześniej, a babcia i dziadek tak prosili, żeby jeszcze trochę została.

Do rękawa prowadzącego bezpośrednio na pokład zbliża się grupa pań i panów w mundurach lotniczych. Jedna ze stewardess – najładniejsza, z długimi włosami – uśmiecha się do dziewczynki.

To pewnie ta mała, którą mam się zaopiekować, myśli.

SCENA 6

– Dokąd pan leci?

– A co to pana obchodzi?

– Muszę wiedzieć, żeby podać właściwą cenę. Poproszę kartę pokładową.

– Mam ją głęboko w… torbie. Nie chce mi się szukać.

Rozgląda się wokół, rozpoznając w jednym z klientów młodego chłopaka o niepewnym spojrzeniu.

– Pożyczy mi pan swoją kartę?

– A można tak? – Chłopak niepewnie patrzy na sprzedawcę. Ten nie chce wszczynać sporu z klientem, który i tak zaraz odleci.

– Temu panu to zwisa i powiewa. – Mężczyzna w zielonej kurtce wyczuwa to i przejmuje inicjatywę. Po chwili, w tryumfalnym geście unosi butelkę wódki.

– Ma pan jakieś kubeczki?

Sprzedawca nie rozumie. Nie chce rozumieć.

– No pewnie! Jeszcze skumbrie w tomacie dać mu na zagrychę! – nie wytrzymuje kobieta o starannym, lecz przesadnym makijażu, z naręczem markowych kosmetyków. – Panie, kolejka jest! Samolot nie… – brakuje jej właściwego słowa – czekać nie będzie. – Rozgląda się w poszukiwaniu aprobaty, ale klienci wolnocłowego nie wchodzą w to. Może nie rozumieją?

– No, to co, z flaszki mam pić? Na lotnisku? A gdzie ta kultura?

Mężczyzna w zielonej kurtce znika w toalecie. Wychodzi po kilku minutach.

– Nie wszystko na raz. Zostawmy coś na pokład. Może jakaś laseczka drinkiem nie pogardzi?… – monologuje. Osiągnął gotowość startową.

SCENA 7

Samolot odlatujący do… jest gotów na przyjęcie pasażerów. Prosimy o przechodzenie do wyjścia numer dziewięć. Życzymy przyjemnej podróży.

Mężczyzna w zielonej kurtce wie, dokąd iść. Wcześniej zrobił rozeznanie. Pewnym krokiem rusza we właściwym kierunku. Krew krąży żwawo, policzki goreją, a oczy błyszczą.

W momencie podawania karty pokładowej mężczyzna czka aromatycznie. Steward przygląda mu się z uwagą.

– Czy pił pan jakiś alkohol?

– A pan nie pił? Jak tu przed lotem nie łyknąć?…

– Mam wrażenie, że jest pan nietrzeźwy.

– Nietrzeźwy to może ty jesteś, zaskrońcu. Ja mogę zrobić litra i nic po mnie nie widać…

– To znaczy, że wypił pan więcej. W tym stanie, niestety, nie może pan wejść na pokład. Proszę przejść na bok. Zostanie pan zbadany alkomatem.

– No nie! To już szczyt, *hyyp*, chamstwa i bezczelności!…

Do mężczyzny podchodzą dwaj strażnicy lotniskowi i grzecznie, lecz stanowczo biorą go pod ręce.

– Widzicie ludzie, do czego doszło? – Mężczyzna jest rozsierdzony. – Chcieliście, *hyyp*, Europy, no to ją macie!

SCENA 8

Stewardessa – ta sama, która uśmiechała się na lotnisku – wskazuje niepocieszonej dziewczynce miejsce w pierwszym rzędzie.

– Czemu jesteś taka smutna? Poczekaj, jak przywitam pasażerów, to siądę koło ciebie, zgoda?

Dziewczynka, chlipiąc, kiwa głową. Widziała, jak pana w zielonej kurtce zabierała policja. Biedny. Co on takiego zrobił? Chciała podbiec, ale strumień pasażerów uniósł ją ze sobą. Dziewczynce żal jest pana. Ale najbardziej żałuje misia. Dziewczynka zaraz wybuchnie płaczem. Powstrzymuje się, czując na sobie ciepłe spojrzenie tej miłej i ładnej pani.

Stewardessa gdzieś już widziała tę małą. Poznała ją jeszcze na lotnisku. Zaraz, czy to nie było przypadkiem w świątecznym wydaniu pisma dla kobiet?… Chyba tak! Artykuł o samotnych ojcach wychowujących dzieci. I zdjęcia; wśród nich, znany architekt z córeczką…

Witamy na pokładzie naszego samolotu… Personel zapozna państwa z zasadami bezpieczeństwa…

Airbus kołuje, po czym zamiera w pozycji startowej.

Stewardessa siada obok dziewczynki.

Silniki ryczą nagle z całą mocą, a potężną maszyną wstrząsa przedstartowy dreszcz.

– Nie wiem, czym się tak martwisz, ale opowiem ci, co mi się dzisiaj przydarzyło.

Samolot rusza.

– Krótko przed naszym lotem spotkałam znajomego, który pracuje przy kontroli pasażerów. Z dziwnym znaleziskiem w dłoniach.

– Dlaczego ten pasażer nie może lecieć? – zażartowałam.

– A kto mówi, że nie może? Mógłby, pod warunkiem, że ktoś go weźmie – odpowiedział znajomy.

– I jak myślisz, co zrobiłam?

Dziewczynka przestaje płakać. Z zainteresowaniem wpatruje się w stewardessę.

– Jest ze mną. Czy mogłabyś się nim zaopiekować?

Stewardessa wręcza dziewczynce pluszowego misia.

Koła samolotu odrywają się od ziemi.

ALICJA MINICKA

PRZERWANA SONATA

– Jak tu pięknie! – Kinga już od progu powiodła zachwyconym spojrzeniem po obszernym salonie. – Zupełnie inaczej niż w poprzednim mieszkaniu.

– Właśnie tego chciałam – Matylda wskazała na skórzane fotele przy niskim stoliczku.

– Nowe życie, nowy styl – w głosie Kingi wychwyciła lekką nutę sarkazmu. Przyjaciółka pochyliła się w jej kierunku i uśmiechnęła przepraszająco. – Nie gniewaj się, ale zmiana mebli nie pomoże, jeżeli…

– Jeżeli nie przestanę być naiwna – dokończyła Matylda.

– Nie, nie to miałam na myśli – zaprzeczyła gwałtownie jej rozmówczyni. – Chodzi o to, że ty po prostu nie wierzysz w siebie i – dodała z wahaniem – takie typy jak Jacek świetnie to wyczuwają.

Nie była pewna, jak powinna zareagować na te słowa. Ale Matylda siedziała spokojnie. Subtelne światło, podświetlające rzeźbę w niszy za jej plecami, nadawało kasztanowym włosom przymglonej złocistości.

– Do diabła z Jackiem! – oznajmiła niespodziewanie. – Już o nim w ogóle nie myślę.

– Chyba nie chcesz powiedzieć… – w głosie Kingi przebrzmiewał wyraźny niepokój.

– Chcę! Zakochałam się! – wypaliła Matylda z radosnym uśmiechem. – Poczekaj, coś ci pokażę. – Zerwała się z fotela i pobiegła do sypialni. Po chwili wyłoniła się, dzierżąc w dłoniach duży zeszyt.

– Zobacz – Kinga niepewnie wzięła go do ręki. Otworzyła. To były napisane odręcznie wiersze. Przerzuciła kartki i zatrzymała się przy jednym z ostatnich. Czytała półgłosem.

będę Cię szukał
poza tobą, sobą, nadzieją
biurokracją i zasięgiem broni
między piórem a kartką
przecinkiem a że
będę Cię szukał
w jaskiniach, portach, niebach
w żywności i euforii
w czasach przed Chrystusem
i przed wynalezieniem miłości bliźniego
będę Cię szukał
nawet jak Ciebie nie ma
nawet jak nie ma mnie[2]

– To jest świetne! – Spojrzała na okładkę. – Mateusz Długołęcki. On jest poetą?

– Tak! Ten wiersz napisał dla mnie. Zobacz dedykację.

Spomiędzy kartek wypadła fotografia. Kinga podniosła ją i z pewną dozą ciekawości przyjrzała się uwiecznionemu na niej mężczyźnie. Przyznała w duchu, że ten niepozorny szatyn, z wręcz chłopięcą sylwetką i szopą niesfornych kosmyków wokół szczupłej twarzy, jest niezwykle interesujący.

– Jak go poznałaś? – spytała.

[2] Wiersz pochodzi z tomiku *Anonse i przepowiednie* Andrzeja Ballo.

– Przypadkowo – Matylda siadła na brzegu fotela i pochyliła się do przodu, jakby chciała zmniejszyć dzielącą je odległość. – Właściwie w banalny sposób – uśmiechnęła się. – Wpadliśmy na siebie na ulicy i pomagał mi zbierać rozsypane zakupy. Spieszyłam się. Mateusz zaczął mnie przepraszać, był tak cudownie… onieśmielony – dokończyła.

– A co robi ten twój poeta? Zarabia jakoś na życie? – Kinga, jak zwykle, stąpała mocno po ziemi.

Matylda wiedziała, do czego zmierza przyjaciółka. Jej ostatni chłopak, Jacek, bez skrupułów pozwalał się utrzymywać, nie miał żadnych oporów przed przyjmowaniem prezentów i, dziwnym trafem, zawsze okazywało się, że zapomniał portfela, gdy przychodziło do płacenia rachunku w restauracjach. Po pół roku znajomości wyszło na jaw, że Matylda nie była jedyną, którą perfidnie omamił i wykorzystywał.

– Bez obaw – rzekła uspokajająco. – Pracuje jako administrator sieci, jest informatykiem. Nawet nieźle zarabia. Ma małe mieszkanie po babci. Najczęściej tam się spotykamy.

– Nie przychodzi do ciebie? – zdziwiła się Kinga.

Matylda potrząsnęła głową.

– Przychodzi, ale nie wie, że to moje mieszkanie. Powiedziałam mu, że mieszkam tu pod nieobecność znajomych. Chcę się upewnić, że zależy mu na mnie, a nie na moich pieniądzach.

– Chyba przesadzasz. Nie wszyscy są tacy jak Jacek – stwierdziła Kinga. – Z drugiej strony… – dodała po chwili z wahaniem. – Lepiej bądź ostrożna.

– O to możesz być spokojna – rzekła Matylda. – Nikt mnie więcej nie oszuka. Już nie jestem naiwna.

***

I nie była naiwna. Gdy Mateusz, tłumacząc się nawałem pracy, nie spotkał się z nią od kilku dni, doskonale wiedziała, co zrobić. Nie zamierzała czekać z założonymi rękoma.

Pracowała jako dziennikarka w poczytnym tygodniku. Miała mnóstwo przydatnych kontaktów i wiedziała, gdzie szukać. Zatrudniła jednego z najlepszych prywatnych detektywów.

– Proszę do mnie nie dzwonić – powiedział. – Sam się z panią skontaktuję, gdy będę miał jakieś istotne informacje.

Wieczorem w domu ogarnęły ją wątpliwości. Poczuła się nagle tak, jakby zdradzała Mateusza. Intuicyjnie wyczuwała, że nic jej z jego strony nie grozi. Ale po chwili przypomniała sobie cierpienia i upokorzenia, jakie zafundował jej ten drań Jacek…

„W końcu nic strasznego nie robię. Detektyw po prostu upewni mnie, że wszystko jest w porządku”.

Zadzwonił po dwóch dniach. Powiedział, że coś ma, ale nie chciał rozmawiać przez telefon. Umówili się wieczorem u niej.

Nie była w stanie skupić się na pracy. W końcu zwolniła się wcześniej i pojechała do pasażu handlowego. Ale niewiele jej to pomogło. Cały czas uporczywie myślała o wieczornym spotkaniu.

Wróciła do domu. Chodziła z kąta w kąt, później siadała w fotelu, by po chwili zerwać się z niego i ponownie nerwowo przemierzać pokój. Czas wlókł się niemiłosiernie.

W końcu usłyszała dzwonek do drzwi. Pobiegła otworzyć.

– Niestety nie mam dla pani dobrych informacji – oznajmił detektyw już od progu salonu. – Możemy usiąść? – spytał.

Ona siadła na brzegu fotela i w napięciu spoglądała na sporych rozmiarów kopertę, którą wyciągnął z teczki.

– Te zdjęcia zrobiłem wczoraj – poinformował.

Oszołomiona Matylda przeglądała po kolei fotografie. Na jednej z nich Mateusz uśmiechał się radośnie jak dziecko do towarzyszącej mu długowłosej blondynki o olśniewającej figurze, podkreślonej jeszcze krótką sukienką ze śmiałym dekoltem.

– To może być jakaś jego znajoma – mruknęła bez przekonania.

– Proszę zobaczyć dalej – polecił detektyw. – To zdjęcia z hotelu „Savoy".

Na fotografii Mateusz i blondynka szli schodami na górę. Na następnej uchwycono ich na półpiętrze, roześmianych, patrzących sobie w oczy.

– W pokoju byli parę godzin – wyjaśnił beznamiętnym głosem. – Ona nazywa się Barbara Gazdowska. Pokój był na jej nazwisko.

– Nie mogę w to uwierzyć – zszokowana, drżącą ręką odłożyła zdjęcia.

– To wstępne ustalenia – rzekł detektyw. – Muszę się dowiedzieć, kim jest ta kobieta i jak długo się znają. Poza tym…

– Nie chcę wiedzieć nic więcej – przerwała mu nagle. I dodała łamiącym się głosem: – To mi wystarczy.

***

Z mściwą satysfakcją wrzuciła zeszyt do wiaderka na lód. Kilka wydartych kartek położyła na wierzch i podpaliła. Płomienie szybko zżerały papier. Uświadomiła sobie nagle nieodwracalność tego, co robi, i ta myśl przeraziła ją. Wyciągnęła rękę, by ratować wiersze, ale szybko cofnęła ją z okrzykiem bólu. Było za późno… Wybuchnęła płaczem i długą chwilę szlochała z twarzą ukrytą w dłoniach.

Powlokła się do łóżka. Czuła się kompletnie wyczerpana, ale popadła tylko w pełen koszmarów, płytki sen. Widziała twarz Mateusza i wpatrzone w nią oczy o

nieodgadnionym wyrazie. Później zobaczyła jego i blondynkę, jak wchodzą hotelowymi schodami, odwracają się na półpiętrze i spoglądają na nią z ironią.

Ocknęła się i usiadła raptownie na łóżku. Miała wrażenie, że słyszy uderzenia własnego serca. Poprzez udrękę przedarła się myśl, nagła i szybka jak błyskawica. Nie zniknęła. Rozrosła się i zawładnęła całym jej umysłem.

Przez długą chwilę siedziała w bezruchu, wpatrując się w majaczące w półmroku meble.

***

Śmierć Mateusza w upozorowanym wypadku kosztowała Matyldę sto tysięcy. Nikt nic nie podejrzewał. Policja zamknęła sprawę.

Na pogrzebie od razu zauważyła tę blondynkę. Mogła przyjrzeć się jej bez obaw, bo sama miała kapelusz z woalką. Tamta była z gołą głową i rozwiewane przez wiatr, jasne włosy dziwnie i niepokojąco kontrastowały z czarnym strojem. Nie płakała. Stała nieruchomo i patrzyła na trumnę, o którą głucho uderzały grudy ziemi.

***

Mimo nalegań Kingi, nie wzięła urlopu. Pracowała jak szalona, wychodziła z pracy późno wieczorem i z reguły szła jeszcze do jakiegoś baru. Po paru drinkach, wyczerpana fizycznie i otępiała od alkoholu, wracała do domu, rzucała się na łóżko i zapadała w kamienny sen.

Trwało to jakiś tydzień. W niedzielę o dziesiątej rano dźwięk dzwonka wyrwał ją ze snu. Nie otwierając zapuchniętych oczu, sięgnęła po omacku po szlafrok i poczłapała do drzwi. Była pewna, że to Kinga.

Blondynka patrzyła na nią uważnie.

– Przepraszam panią – rzekła cicho miękkim głosem. – Nazywam się Barbara Gazdowska i jestem… byłam siostrą Mateusza.

Matylda poczuła, że nogi się pod nią uginają. Twarz przybyłej oddaliła się i jak przez mgłę widziała poruszające się usta i zaniepokojone oczy. Gdy się ocknęła, siedziała na fotelu, a nad nią stała Barbara ze szklanką wody w ręce.

– Proszę się napić – powiedziała łagodnie i przytknęła szklankę do jej warg. Trochę wody poleciało po brodzie i ściekło na szyję. Barbara odstawiła szklankę i usiadła na fotelu obok.

– Nie zdążyłyśmy się poznać i nie chciałam pani niepokoić – rzekła. – Ale musiałam tu przyjść.

Wyjęła z torebki małe pudełeczko i białą kopertę. Podała je siedzącej nieruchomo Matyldzie.

– Tu jest pierścionek, a to list, który Mateusz napisał do pani… – zamilkła i opuściła głowę. Po chwili podniosła wezbrane łzami oczy. – Chyba nie zdążył go wysłać. Znalazłam go wczoraj wieczorem.

Wstała.

– Muszę już iść. Za dwie godziny mam samolot.

Gdy wyszła, Matylda siedziała długo, ze wzrokiem utkwionym w niewidocznym punkcie przed sobą. Spojrzała w końcu na trzymaną w ręku kopertę. Wyjęła z niej złożoną we czworo kartkę. Ze środka wypadło kilka podeschniętych płatków róży…

Kochana Mati,

Mam dla Ciebie cudowną niespodziankę, ale nic Ci teraz nie zdradzę. Piszę, bo nie chcę, byś się niepokoiła. Niedługo poznasz moją siostrę Basię. Przyleciała specjalnie z Londynu. Zanim Cię poznałem, życie było zaledwie preludium. Teraz dla Ciebie i dla mnie nadszedł czas na sonatę.

Do zobaczenia wkrótce, Mateusz

KATARZYNA WARPAS

BOJĘ SIĘ CIEBIE, POTOMKU

Teraz albo nigdy, z naciskiem na teraz.

Naczytałam się o Tobie brzydkich rzeczy. Podobno wyrysujesz na mym ciele zebrę z rozstępów, zagrozisz chaosem genetycznym i wyssiesz mi całe wapno zębowe. Twoje lądowanie ma boleć jak cholera, bo sam nie będziesz chciał wychodzić, a Twój ojciec, choć obiecał, że Cię sprowadzi na ten padół ziemski, to chyba jednak mi nakłamał. A potem, w buncie przeciwko nowemu kosmosowi, zapadniesz na nocną bezsenność i będziesz z upodobaniem haftował na moją nową bluzkę. Zmarszczysz mi ciało w wiecznym zasępieniu nad centrum wszechświata, że już nigdy nie założę bikini bez myślenia o Tobie. Zakażesz mi ospą chodzić do pracy, do kina, do kawiarni, że nawet do łazienki już nie będę chodzić jak królowa – sama. Nie pozwolisz mi narysować nic poza dinozaurem i samochodem na dwóch kółkach. A na koniec, spod zarośniętej czupryny powiesz mi, że mnie nienawidzisz, bo nie kupiłam ci iPoda.

To może jednak nigdy.

Boję się, że z macierzyństwem nie będzie mi do twarzy. Że nawet szklanka „koci łapci" nie pozwoli mi przełknąć „ciu ciu ciu". Boję się, że będziesz mi zepsutym kołem u czerwonego ferrari, przeciwnością, barierą, przypalonym obiadem po ciężkim dniu pracy. Będziemy z ojcem harować z dala od Ciebie, by móc zapłacić za ten czas – bez Ciebie. Będziesz dzieckiem kukułki. Na nic mi będą trzy obce języki, dyplomy, doktoraty i trzy lata doświadczenia zawodowego. Gdy tylko zamienisz się z zygoty w prawdziwego człowieka, gdy przestanę wyglądać jak wąż, który połknął słonia, zawrzeszczysz z pierwszym oddechem i zabierzesz mi tym

samym mnie. Boję się, że nie zdołam przekonać Cię do mojej mowy. Ty sobie, a ja sobie. Tylko mnie oskarżą, że się nie starałam. Z Tobą będą grali w kalambury. I że nie będziesz wiedział, co to śmigus, droga chyba na Ostrołękę i jak się robi swojski makaron. Matka wyrodna, matka zła, matka niewystarczająco dobra. Sama sobie będę Kreonem. Boję się, Potomku, że któregoś dnia przyjdziesz zapłakany ze szkoły i wykrzyczysz mi w twarz: „Dlaczego nie nosisz cielistych rajstop, jak inne mamusie?".

Z jajnikami w rzucik o Potomka będzie ciężko, proszę Pani – Specjaliści od Przyszłości Narodu postawili mnie pod ścianą.

Boję się, że zaczniesz się od niebieskiej kreski wyrysowanej na papierze milimetrowym pośród mozaiki temperatur i owulacji. Tak się przejmiemy z ojcem produkcją wiekopomnego dziecka na czas, że zapomnimy, co to jest przyjemność seksu. Boję się, że na fali gulaszu hormonów nie będę widzieć w Tobie Zosi czy Jasia, ale homo sapiens z czterema kończynami i własnym w pełni funkcjonującym mózgiem. Będziesz mi warzywem: fasolką, kalarepką, kalafiorkiem, dynią. Będziesz mi maskotką: króliczkiem, myszką, misiaczkiem. Będziesz mi maleństwem, światem, pępkiem. Będziesz żyć za mnie, a ja z boku dobrowolnie zamienię szpilki na kapcie. I będzie mi z tym dobrze.

Świadomość, że możesz nie zaistnieć boli bardziej niż najśmielsze wyobrażenie o porodzie.

Nie zrozum mnie źle, chciałabym po prostu, żeby niczego Ci nie brakowało. Dwie ręce, dwie nogi, dwadzieścia trzy pary chromosomów, jedno serce bez dziury, dwie nerki i cała masa szarych komórek. Twój ojciec spytał mnie dziś przy śniadaniu:

– Boisz się?

– Bardzo.

– To dobrze, bo ja też. Będziemy bać się razem. A z resztą to już sobie poradzimy.

ALEKSANDRA KOCIANOWSKA

DZIECKO

Ból. Straszny, niemal nieludzki ból rozlewał się po jego ciele, promieniując od lewego boku. Trochę go to zaskoczyło, w końcu powinien nie żyć. A może to początek mąk piekielnych? Tak, to by pasowało. Zasłużył sobie na nie. W końcu nie dość, że za życia był wampirem i mordercą, to jeszcze pod koniec zdradził przyjaciół. Tak, ten ból to na pewno piekielne męki.

Lekko, z pewną obawą, uchylił powieki. Natychmiast zacisnął je z powrotem, gdy poraziło go silne światło. Przez chwilę leżał w bezruchu i zbierał w sobie odwagę. W końcu otworzył oczy ponownie. Blask przez chwilę raził go do tego stopnia, że pomyślał, iż to kolejna tortura. Po chwili jego oczy przyzwyczaiły się do jasności i rozejrzał się dookoła.

Nie był w piekle. No chyba że piekło wygląda jak idealnie czysta i jasna sala szpitalna. Przy jego łóżku siedział Piotr, jego rzekomy przyjaciel. Ten, przez którego tu trafił i miał ochotę wyć z bólu. Skurczybyk przebił mu bok sztyletem i to nie raz. A teraz siedział z miną, jakby się o niego martwił!

Jednak to nie postać rzekomego przyjaciela go przeraziła. Naprzeciw jego łóżka stała młoda dziewczyna. Ładne orzechowe oczy przyglądały mu się z uwagą ponad oprawkami okularów.

– W końcu się obudziłeś, Danielu. – Uśmiechnęła się.

Dobry Boże, pomyślał na widok jej uśmiechu. *Lepiej by dla mnie było, gdybym rzeczywiście wylądował w piekle.*

– Ujmę to tak: żyjesz, bo ci pomogłam. Jednak nadal jesteś poszukiwany za zdradę swojego klanu.

– A ty jesteś czarownicą, więc śmierć kolejnego wampira jest ci na rękę – powiedział z trudem.

– Nie do końca. – Na pełnych ustach dziewczyny pojawił się lekki uśmiech. – Wiesz, kim dokładnie jestem?

– Jedną z przywódczyń czarownic.

– Właśnie. Mam dla ciebie propozycję, której nie odrzucisz, jeśli jesteś inteligentny. Między naszymi rasami od dawna panuje wojna, jeśli nie prawdziwa, to polityczna. Trzeba ją wreszcie zakończyć, nie sądzisz?

– I zapewne chcesz zniszczyć wampiry, wykorzystując do tego mnie.

– Błąd. – Na twarzy czarownicy odmalowało się zadowolenie. – Chcę cię wykorzystać do zawarcia sojuszu. Może i masz coś na sumieniu, ale i jesteś ważny w swoim klanie. A jego przywódca też ma dość wojny… Proponuję ci małżeństwo. Jeśli się ze mną ożenisz, będzie to rękojmią sojuszu. A ty zostaniesz objęty ochroną czarownic i nikt nie zaryzykuje wykonania wyroku na tobie, by nas nie sprowokować. Zastanów się nad tym.

Dziewczyna wyszła, zamykając za sobą drzwi. Wiedziała, że propozycja, którą przedstawiła Danielowi, nieco go zaskoczyła i nie miała nic przeciwko temu. To było jak rzucenie koła ratunkowego tonącemu. Dała mu szansę na ocalenie, jeśli spełni jeden warunek.

Średnio podobał jej się pomysł bycia żoną wampira, ale to był jedyny sposób na zawarcie przymierza. Jeżeli sytuacja między dwiema rasami dalej będzie tak wyglądała, to wszystko źle się skończy dla czarownic. Już i tak zostało ich niewiele, a jeśli wampiry zabiją kolejne, to koniec rasy będzie pewny. Musiała się poświęcić. Zresztą Daniel chyba nie był taki zły, przynajmniej myślał logicznie, jeśli wnioskować na podstawie powodu jego zdrady.

***

– Długo zamierzasz udawać, że się o mnie martwisz? – w głosie Daniela brzmiał gniew, gdy zwrócił się do przyjaciela.

– Naprawdę się martwię. Nie chciałem cię zabijać i, jak sam widzisz, nie zrobiłem tego. Już czujesz się lepiej, skoro jesteś w stanie drzeć się na mnie!

Istotnie, Daniel błyskawicznie dochodził do siebie. Nadal czuł nieprzyjemny ból w boku, ale doznanie nie było już tak intensywne jak wcześniej. Mógł swobodnie oddychać, a światło nie raniło oczu. Dobrze być wampirem, szybko się wtedy zdrowieje.

– Więc niechcący wbiłeś mi sztylet w bok? To wiele wyjaśnia.

– Musiałem to zrobić. Przysięgałem, że nie spocznę, dopóki nie przeleję twojej krwi. I, jak widzisz, już to zrobiłem… Może dałoby się sprawę rozwiązać delikatniej, ale wtedy nie trafiłbyś do Ewy.

– Ach, więc mam ci dziękować? Nie dość, że mnie nie zabiłeś, a tylko prawie śmiertelnie raniłeś, to jeszcze żonę mi znalazłeś. I to czarownicę. Cóż za wspaniałomyślność!

– Nie rozumiesz? Ona ma takie same poglądy, jak ty. Też chce zakończyć tę bezsensowną wojnę, a tylko razem możecie tego dokonać. I mógłbyś żyć bez obaw, że ktoś życzliwy zechce oczyścić twój klan ze skazy zdrady.

– Fakt, będę się tylko zastanawiał, czy żona nie doda mi jakiejś trucizny do jedzenia, czy nie wbije mi kołka w pierś, gdy zasnę…

– Ona taka nie jest. Zresztą, wtedy sojusz upadnie. A jak jej nie poślubisz, to rzeczywiście ktoś wbije ci kołek w pierś. I to bynajmniej nie we śnie, bo Ewa wyda cię naszym dowódcom i oni się tym zajmą. Chyba że będą woleli cię spalić.

– Czyli albo się z nią ożenię i będę się modlił, by była uczciwa, albo nie i zginę? Piękna perspektywa przyszłości.

– Sam się wkopałeś.

Rzeczywiście sam, ale co mógł zrobić? Grupa wampirów miała dość niekończącej się wojny między dwiema rasami. Chcieli coś z tym zrobić, ale nie o rozejmie myśleli. Planowali wymordowanie wszystkich przywódczyń czarownic. Gdyby nie było dowódcy, pozostałe władające mocą nie wiedziałyby, co robić i zaczęłyby popełniać błędy. Łatwo byłoby je wtedy wymordować… I taki był plan. Daniel dowiedział się o nim dostatecznie wcześnie, by ostrzec czarownice. Gdy wszystko wyszło na jaw, wampiry nie przyznały się, a Daniela uznano za zdrajcę i skazano na śmierć. Musiał uciekać, nie miał wyboru.

Ewa chciała rozejmu między rasami. Nawet nie rozejmu, a przyjaźni. Czy to mogło się udać? Właściwie tak, jeśli prócz ślubu wymieniliby się krwią, a ona rzuciła jakiś wiążący czar. To byłaby szansa na zakończenie głupiego konfliktu, który zaczął się… Właśnie, jak? Daniel nie był młody, a nie pamiętał. Nie sądził, by znalazł się ktoś, kto by wiedział. A bezsensowna wojna trwała od jakiś dwóch tysięcy lat.

– Zawołasz ją? – Daniel zwrócił się do towarzysza.

Drugi wampir wyszedł pośpiesznie. Domyślał się, co postanowił przyjaciel, i zaczął się bać, że ten zmieni zdanie. Martwił się o niego od początku, odkąd dowiedział się o zdradzie. Wiedział, że Daniel zginie, jeśli nie znajdzie się ktoś, kto mógłby mu zapewnić bezpieczeństwo. A kto lepiej się do tego nada od uczciwej i wdzięcznej za ostrzeżenie przywódczyni czarownic? Nikt.

Ewa ucieszyła się, słysząc decyzję Daniela, ale i nieco przestraszyła. Mimo wszystko ślub z wampirem… Po tylu wiekach walk między jej rasą a jego, nie było to coś, co napawało optymizmem. Bała się, że małżeństwo nie będzie należało do udanych. Jakby nie patrzeć, właściwie zmusiła tego mężczyznę, by ją poślubił. Nikt nie lubi być zmuszany do robienia rzeczy, na które nie ma ochoty, a w tym wypadku zemsta jej przyszłego małżonka mogła być okrutna. I bardzo łatwa…

Ślub odbył się szybko i bez większych przygotowań. Ograniczono się tylko do samej ceremonii, bez przyjęcia. Najpierw ślub, później czarownica wymieniła się krwią z wampirem. Jednak część wampirów i czarownic uznała, że sojusz mimo tego będzie nietrwały. Uznano, że przetrwa tak długo, jak długo będą żyli oni lub ich dziecko, później prawdopodobnie się rozpadanie.

Jednak, gdy urodziło się dziecko, stwierdzono, że to nie jest takie pewne. Dziewczynka była pierwszym mieszańcem od dwóch tysięcy lat i było to niezwykłe. Wiedziano już, że będzie nieśmiertelna jak ojciec. Ale umiejętności, które posiadała… Odziedziczyła po matce moc, ale przerastała ją w każdym calu zdolnościami jej wykorzystania. Mimo kilku miesięcy życia dzięki mocy potrafiła osiągnąć więcej niż matka. To było niezwykłe. Dziewczynka z całą pewnością miała przed sobą wspaniałą przyszłość. Kilka wieszczek przepowiedziało, że nie dopuści do zerwania sojuszu, a będzie jego strażniczką. I choć to Ewa i Daniel zapoczątkowali sojusz, jego przyszłość należała do ich dziecka. Przyszłość zawsze należy do dzieci.

MAGDALENA ŻEREK

MATKA

Majka nigdy nie przypuszczała, że jej życie potoczy się właśnie w taki sposób. Rodzice rozwiedli się, kiedy była jeszcze małym dzieckiem. Pomieszkała trochę z ojcem, bo matka wyjechała do Anglii. Zaraz po skończeniu studiów wróciła do rodzinnej miejscowości, ponieważ nie znosiła swojej macochy. Poza tym mogła mieszkać sama, pieniądze otrzymywała od rodziców, tak jak obiecali. Wymarzone życie dla młodej kobiety. Wkrótce poznała Janka. Zakochana, nie wyobrażała sobie dalszego życia bez niego. Szybko zdecydowali się razem zamieszkać. Problemem było jedynie to, że Janek mieszkał z mamą. Miał odziedziczyć dom, więc raczej nie było mowy o przeprowadzce. Majka nie musiała pracować. Wystarczały jej pieniądze rodziców i to, co zarabiał Janek. Nudziła się, ale przecież żyła tak od dawna. Denerwowała ją tylko mama Janka. Zawsze ją we wszystkim wyręczała, chciała rozmawiać, pytała o życiowe plany, ślub, dzieci. Majka nie chciała o tym myśleć. Prosiła więc, by kobieta nie wtrącała się w ich sprawy.

Wkrótce okazało się, że Majka jest w ciąży. Janek wspierał ją, ale tak naprawdę liczyć mogła jedynie na pomoc jego matki. Chłopak całymi dniami przesiadywał w pracy. Majka nieustannie się z nim kłóciła, zarzucając mu, że o nią nie dba, że nie poświęca jej swojego czasu. Janek tłumaczył dziewczynie, że nie może wyjść wcześniej z pracy, jest przecież jedynym żywicielem rodziny. Ona nie rozumiała. Każdą rozmowę kończyła słowami: „I do tego jeszcze ta twoja matka. Czy ona musi się we wszystko wtrącać?”.

Zosia obelgi dziewczyny syna znosiła w milczeniu. Była dobrą kobietą i nie chciała być powodem kłótni młodych ludzi. Stawała się coraz bardziej milcząca.

Unikała spotkań z Majką. To też się dziewczynie nie podobało. Zarzucała kobiecie, że jej nienawidzi i nie chce z nią rozmawiać. Zosia nie miała pojęcia, jak rozwiązać tę sytuację. Wyobrażała sobie przecież, że starość spędzi w rodzinnym domu, otoczona wianuszkiem wnuków. Starała się, jak mogła. Nikt tego nie zauważał.

Któregoś dnia Zosia oznajmiła, że się wyprowadza:

– Jesteście młodzi, potrzebujecie spokoju. Nie będę wam przeszkadzać, mam przecież mieszkanie po siostrze.

– Mamo, ale przecież dom jest duży. Nikomu tu nie przeszkadzasz – powiedział Janek.

– Skoro mama nie chce z nami mieszkać, niech się wyprowadza. Nikt mamy nie będzie zatrzymywał – wtrąciła Majka.

Janek nie sprzeciwiał się. Miał już dość zmagania się ze swoją dziewczyną. Łzy napłynęły mu do oczu, ale zgodził się z propozycją matki. Zosia liczyła, że chociaż raz jej syn sprzeciwi się Majce. Załamana, niemal od razu rozpoczęła pakowanie. Trudno było jej rozstawać się z miejscem, w którym spędziła całe życie. Każda chwila tego smutnego pożegnania odciskała swoje piętno na twarzy kobiety.

Kiedy Majka była w ósmym miesiącu ciąży, pojawiły się komplikacje. Lekarz zalecił jej, by nie wstawała z łóżka. Janek nie mógł jej pomagać, ktoś przecież musiał zarabiać na życie. Nie było innego wyjścia. Zosia musiała wrócić do ich domu. Zgodziła się. Majka swoją frustrację i lęki odreagowywała na kobiecie, która sprzątała, gotowała, prała, robiła zakupy. Zosia nie skarżyła się, ale też coraz bardziej się załamywała. Znosiła to wszystko tylko dla syna i dla tego dziecka, które miało się urodzić.

Tego dnia Zosia od rana czuła się źle. Ubrała się drżącymi rękoma i wyszła z domu. Nagle zaczęło brakować jej powietrza. W pobliżu nie było nikogo. Oparła się o drzewo i milimetr po milimetrze osuwała się po jego pniu. Świat, który tak bardzo ją rozczarował, nagle zaczął jej znikać z oczu.

***

Ciało Zosi zauważył jakiś mężczyzna. Nie można było jej już uratować. Janek nigdy nie wybaczył sobie i Majce, że do tego dopuścili. Nie chciał mieszkać z kobietą, którą obarczał winą za śmierć matki. Wiele lat później, kiedy po raz kolejny odwiedzał swego syna, zastanawiał się, dlaczego pokochał kiedyś tę kobietę, która teraz patrzyła na niego z taką pogardą. Nie znalazł żadnego powodu. Pomylił się i za tę pomyłkę zapłacił najwyższą cenę. Stracił matkę.

MARIA IZABELA FUSS

TORBA PEŁNA WSPOMNIEŃ

Mojej blogowej koleżance, Długopisarce,
z podziękowaniami za wsparcie i rady

Życie każdego człowieka to dobry scenariusz na książkę lub opowiadanie. Powiedziałabym nawet, że na bestseller! Oczywiście nie łudzę się ani przez ułamek sekundy, że moje opowiadanie zostanie okrzyknięte bestsellerem, ale wierzę w siłę marzeń, a to przecież jeden krok do przodu, aby dopiąć celu, prawda?

Bywa jednak, że aby osiągnąć cokolwiek w życiu, trzeba ponieść konsekwencje swoich decyzji. Raczyłabym nawet rzec – wielkie straty. Czy jesteśmy zatem gotowi opuścić ciepły, rodzinny kąt i ruszyć po omacku przed siebie? Ja byłam.

Zdecydowałam. Wystarczyła chwila i moja spakowana po brzegi podróżna torba wylądowała na wycieraczce. Znalazły w niej miejsce dwie pary wytartych dżinsów, cztery stare swetry, kilka pożółkłych ze starości podkoszulek, bielizna, para zniszczonych trampek, pocerowane skarpetki po starszej siostrze, dwie książki, do których uwielbiałam powracać, zdjęcia z ulubionych wakacji oraz apaszka po babci – również moja ulubiona, a na dodatek jedyna pamiątka po siwej staruszce, matce mojego ojca.

W podręczną torbę wpakowałam paszport, pamiętnik, w którym notowałam wszystkie swoje myśli, przeżycia i uczucia, małego misia, który przynosił mi szczęście, szczoteczkę do zębów, kilka przyborów do mycia oraz szczotkę do włosów. Nie wspominając już o prawie pustym portfelu i pęku kluczy do domu – w razie gdyby strzeliło mi do łba zawrócić.

– Wyjeżdżam – oświadczyłam mamie, która stała bez ruchu w drzwiach kuchni. Ścierka, którą wycierała mokre naczynia, wypadła z jej drżących rąk.

– Dokąd wyjeżdżasz, córuniu? – zapytała zaskoczona.

– Będę niedaleko – skłamałam. Podbiegłam do niej, mocno uściskałam i wybiegłam z domu, łapiąc w biegu obie torby. Bałam się, że łzy, które nagromadziły się pod moimi powiekami, zmuszą mnie do zmiany decyzji o spontanicznym wyjeździe. Uciekałam nie od matki-rozwódki, nie od starszego rodzeństwa, które zdążyło zapuścić korzenie w rodzinnym środowisku, ale przed szarą polską rzeczywistością. Polską rzeczywistością, która przygniatała mnie swoim ciężarem – brakiem możliwości znalezienia pracy, dostania się na wymarzony kierunek studiów czy niemożliwością założenia własnej rodziny, bo wszyscy kandydaci na męża okazywali się po prostu niegodnymi moich uczuć bydlakami.

Kiedy zaczerpnęłam nieco świeżego, górskiego powietrza, spojrzałam na nurtujące mnie sprawy z innego punktu widzenia. Gdy tylko pomyślałam, ile nowych możliwości roztacza się przede mną, ile nowych ludzi mogę spotkać na swojej drodze i ile funtów może wpaść do mojego portfela, spychając na bok nic nie warte złotówki – od razu zrobiło mi się lżej na duszy!

Mój znajomy czekał w ciasnym, ale własnym samochodzie, którym miał zawieźć mnie na przystanek PKS we Wrocławiu. Stamtąd wyruszały autokary do Anglii, mojej nowej przystani szczęścia i bogactwa.

– Wrzuć bagaże na tylne siedzenie, a sama siadaj z przodu! – polecił Sebastian, nie zaszczycając mnie nawet przelotnym spojrzeniem. – Zajefajnie, że uciekasz z tej zafajdanej dziury – ciągnął. – Sam niedługo stąd zwiewam. Zobaczysz, że w ciągu kilku lat psy dupami będą tu szczekać.

Nic nie odpowiedziałam. Wolałam przemilczeć jego głupie komentarze. Sebastian nigdy nie grzeszył wysokim IQ – trzeba było mu więc wybaczyć prostolinijny sposób bycia. Nie był też szarmancki, dlatego nie oczekiwałam, że

pomoże mi upchać podróżne torby na tylne siedzenie. Jakoś sama się z tym uporałam, chociaż zajęło mi to chwilę.

– I co, gotowa na podbój Anglii? – zapytał Sebastian, kiedy w końcu zdołałam jakoś zapakować bagaże i usiąść w fotelu pasażera.

– Zwarta i gotowa – zapewniłam go.

– Odpalajmy więc tego grata i ruszajmy w drogę! – zakrzyknął, prawie jak do boju. – Na podbój Anglii!

Co za błazenada! Musiałam jednak mocno zacisnąć zęby i pobłażliwie słuchać jego bezsensownej gadaniny przez całą drogę do stolicy Dolnego Śląska, czyli dokładnie sto czternaście kilometrów!

Oczywiście dobre wychowanie wymagało aktywnego udziału w rozmowie, co czyniłam bez narzekania. Myślami byłam jednak gdzie indziej: przemierzałam wąskie, brukowane uliczki rodzinnego miasteczka, zaglądałam w jego najciemniejsze zakątki i w milczeniu żegnałam rodzinę oraz znajomych. Czułam powoli narastający smutek. Odwróciłam głowę, aby Sebastian nie widział moich wilgotnych oczu. Spojrzałam przez okno na pola i łąki rozciągające się aż po horyzont. Kilka wron obsiadło stracha na wróble i raczyło się jego słomą. Daleko, gdzie zaczynała się linia gęsto rosnących drzew, pojawiła się słabo widoczna sylwetka sarny. Pierwsze łzy spłynęły strumieniem po moim policzku. Widocznie polska przyroda również mnie żegna, przemknęło mi przez głowę. Ja jednak tu wrócę. Któregoś dnia.

W głębi duszy pocieszałam się, że wyjazd w nieznane dobrze mi zrobi. Wrócę wzbogacona o nowe przeżycia, nowe znajomości, a może nawet bogatsza i świeżo patrząca w przyszłość. Jak bardzo się myliłam, jak mało jeszcze wiedziałam o tym, co mnie czeka, kiedy przestraszona i zagubiona siedziałam w Fiacie 126p mojego kolegi z podwórka, Sebastiana. Byłam mało przewidywalna i nieświadoma, jak pochopna decyzja może diametralnie zmienić bieg mojego kruchego życia.

***

Nie wiem, z jaką prędkością Sebastian prowadził swój mały, żółty fiacik, ale dojechaliśmy do głównego przystanku PKS we Wrocławiu trzy godziny później. Chwała Bogu za dostarczenie mnie w jednym kawałku!

– Dwieście pięćdziesiąt złotych się należy – rzekł spokojnie Sebastian, kiedy zatrzymaliśmy się przy krawężniku naprzeciwko kiosku Ruchu.

– Że niby co?

– Dwieście pięćdziesiąt złotych – powtórzył cierpliwie.

– Umawialiśmy się na sto dwadzieścia. Zapomniałeś? – odpowiedziałam, powoli tracąc resztki cierpliwości. Zaczynało się we mnie gotować.

– Paliwo poszło w górę. Nie moja wina. Poza tym jedziesz do Anglii, nie pamiętasz? Tam się wzbogacisz na samym wejściu.

Trele-morele! Co za idiota! Czy on myślał, że rząd angielski rozdaje funty na prawo i na lewo? Bałwan! Leń patentowany, sam mógłby wziąć się do pracy, a nie żerować na marnych kilkuset złotych z zasiłku dla bezrobotnych!

Ugryzłam się w język, zanim palnęłam coś głupiego i niestosownego. Drżącą ręką sięgnęłam do mojej podręcznej torby, z której wyłowiłam portfel. Odliczyłam szybko potrzebną kwotę i podałam ją Sebastianowi. Chciałam mieć to wszystko za sobą! Im dłużej się dręczyłam przyziemnymi sprawami, tym szybciej rosła szansa, że zawrócę – przygnieciona problemami zawsze wracałam z płaczem do mamy. Wiedziałam jednak, że tym razem muszę postąpić inaczej – wbrew sobie, wbrew innym, wbrew wszystkiemu! Mam dosyć chowania ogona pod siebie i uciekania przed każdą najmniejszą przeciwnością losu! To musiało się zmienić i to natychmiast, w tym miejscu!

Nie wiem, czy kiedykolwiek wcześniej ktokolwiek doświadczył uczucia, jakby narodził się od nowa, ale powiem jedno: ja doświadczyłam! Nadludzka siła poczęła wlewać się we mnie przez wszystkie pory w skórze. Każda komórka wchłaniała jej

cząstkę. Czułam się tak, jakby ktoś wstrzyknął mi hektolitry nowej krwi, która torowała sobie drogę przez moje żyły.

Nic nie było w stanie mnie powstrzymać. Ani obraz mojej zapłakanej matki przed oczami, ani kurczący się portfel w torbie, ani tym bardziej – strach przed nieznanym, który wcześniej mnie paraliżował od najmniejszego palca u nogi, aż po czubek głowy.

– *Arrivederci*, *bella donna!* – zawołał za mną Sebastian, próbując rozładować napięcie, które zaistniało między nami.

Zignorowałam go i przyspieszyłam kroku. Trzymając kurczowo podróżne torby, dotarłam do autokaru, na przedniej szybie którego wisiała tablica z napisem „Wrocław – Manchester".

– Czy to autokar jadący do Manchesteru? – zapytała mnie jakaś młoda dziewczyna, która stanęła obok mnie i tak samo mocno trzymała swoje walizki. W jej niebieskich oczach odbijał się mój własny strach i niepewność. Uśmiechnęłam się nieśmiało.

– Tak – wyszeptałam.

– Pierwszy raz?

– Że co, proszę? – To pytanie nieco mnie zaskoczyło. Nie wiedziałam, o co pyta.

– Czy pierwszy raz jedziesz za granicę? – doprecyzowała.

– Ee – zaśmiałam się nerwowo. – A nie widać?

Zmierzyła mnie od stóp do głów. Czekałam na jej werdykt. Przygryzła dolną wargę, jakby na czymś poważnie rozmyślała, a następnie cała się rozpromieniła.

– Ania jestem! – przywitała się grzecznie.

– Maria, ale mów mi po prostu Marysia – odpowiedziałam i odwzajemniłam jej uścisk dłoni.

Dziwny był ten świat. Czasami nasz los jest mało przewidywalny. Stałyśmy tam obie, ja i Ania, dwie nowicjuszki, dwie przestraszone dusze, dwie polskie dziewczyny i nie wiedziałyśmy, że właśnie zawiązałyśmy więź prawdziwej przyjaźni. Przyjaźni, którą tak trudno odnaleźć w obecnych czasach, gdzie liczy się tylko kariera i pieniądz.

– Hej, dziewczyny! – zawołał kierowca autokaru. – Wsiadacie czy zostajecie? Ruszamy za pięć minut!

Wymieniłyśmy speszone spojrzenia. Trwało to kilka sekund, potem Ania przejęła ster i zwróciła się do kierowcy w naszym imieniu:

– Wsiadamy!

– Nie stójcie więc i podajcie swoje bagaże. Wrzucę je do luku bagażowego!

No i stało się! Osiemnastego sierpnia 2005 roku podjęłyśmy decyzję opuszczenia Polski, naszego ojczystego kraju – kraju, w którym dane nam było się urodzić, lecz nie dane nam był dłużej żyć! Amen!

***

W tym miejscu pozwoliłam sobie wyciąć fragment opisujący naszą ponad trzydziestogodzinną podróż autokarem z Wrocławia w Polsce do Manchesteru w Anglii, która nie należała do najprzyjemniejszych i najwygodniejszych. Jazda fiacikiem Sebastiana była o niebo lepsza! Wyprostowanie nóg w autokarze graniczyło z cudem, to samo dotyczyło rozciągnięcia mięśni ramion. Nie wspominając już o chronicznym bólu głowy i zesztywniałych pośladkach.

***

Zmęczone, lecz szczęśliwe dojechałyśmy do zamierzonego celu. Manchester. Chorlton Street. Główny przystanek autokarów międzynarodowych. Fuj! Brzydszego miejsca na oczy nie widziałam. Już na samym wjeździe do metropolii północno-

wschodniej części Anglii przywitał nas natłok wieżowców – hotele, restauracje, banki, centra handlowe. Mnożyły mi się przed oczami jedno- i dwupiętrowe autobusy, czarne „londyńskie" taksówki, neonowe reklamy oraz gęsto zaludnione ulice.

Po opuszczeniu autokaru, w którym śmierdziało od potu, wciągnięcie powietrza (nawet wysoko skażonego spalinami) w płuca było jak dar z nieba. Sztachnęłam się nim kilka razy pod rząd.

– Manchester nie jest taki, jakim go sobie wyobrażałam – szepnęła mi do ucha Ania.

Przytaknęłam jej bez słowa.

– Mam jednak nadzieję, że Bury jest inne – ciągnęła.

– Ja też.

Manchester był miejscem, w którym ludzie o innym kolorze skóry, innych obyczajach i odmiennych poglądach politycznych mijali się codziennie w drodze do pracy i do domu. Ocierali się o siebie przypadkowo między regałami sklepowymi i wymieniali speszone spojrzenia. Manchester był moją tymczasową przystanią, z której miałam odbić w kierunku Bury, słynącego z największego i ponoć najlepszego miejskiego targu oraz za sprawą Sir Roberta Peela, który powołał do życia policję.

– Maryś, nie przyjechałyśmy tutaj, aby stać w jednym miejscu – przypomniała mi grzecznie Ania i lekko pchnęła mnie w stronę, gdzie rozdawano nasze torby podróżne.

Zdecydowałyśmy poczekać na naszą kolej, zamiast łokciami torować sobie drogę do luku bagażowego. Widać, że naszym rodakom strasznie było śpieszno, jakby bali się, że angielska policja zdecyduje się nas zawrócić. Nonsens!

W końcu trafiła się szansa dotarcia do luku, ale jaki szok mnie spotkał. Zamiast dwóch ostatnich toreb, w bagażniku autokaru niewinnie leżała jedna. Na dodatek – nie moja, lecz Ani!

– Gdzie moja torba? – zapytałam równocześnie siebie i Anię.

Ania, widocznie bojąc się, że zaraz ktoś ukradnie jej własność, szybko sięgnęła po swój bagaż i otoczyła go czule ramionami.

– Gdzie moja torba? – zapytałam znowu, prawie jak w transie.

– Przepraszam, halo! – zawołała Ania w kierunku kierowcy autokaru. – Jeden bagaż zaginął!

– Przykro mi, nie odpowiadamy za personalne straty – odpowiedział błyskawicznie kierowca. Wyglądał na przestraszonego.

– Jak to nie odpowiadacie za straty? – rzuciła w jego stronę zdenerwowana Ania. Ja nie byłam w stanie wymówić słowa. Miałam prawdziwy mętlik w głowie. Takie nieszczęście na samym początku mojego nowego życia za granicą – nie do pomyślenia! Nagle przed oczami stanęła mi zawartość mojej torby. To było moje całe polskie życie spakowane do środka – moje ubrania, moje książki, moje zdjęcia, a przede wszystkim – apaszka po babci. Łzy nagromadziły mi się pod powiekami.

Oczami wyobraźni zobaczyłam zapłakaną twarz matki w oknie kuchni. Nagle okno, w którym stała, zaczęło się oddalać. Coraz dalej i dalej… Krzyczałam w myślach ze strachu, że nigdy już jej nie zobaczę. Utrata torby podróżnej znaczyła dla mnie tyle, co utrata kawałka Polski – kraju, w którym wciąż żyła moja rodzicielka. Chciałam zmienić swoje życie, ale nie chciałam wymazać wspomnień.

Ania wrzeszczała wściekle w stronę kierowcy i obsługi autokaru, ale ja nie słyszałam ani jednego słowa. Byłam załamana!

Pierwszą myślą, która przeleciała mi przez głowę, było – i po co tutaj przyjechałam?! Trzeba było zostać w domu, trzymać się spódnicy mamy, słuchać jej długich wykładów na temat tego, jak powinna zachowywać się taka młoda osoba jak ja!

– Nie martw się, Marysiu, coś na to poradzimy – pocieszyła mnie Ania i pociągnęła w kierunku szklanych, obrotowych drzwi.

Znalazłyśmy się w wielkim budynku przystanku autobusowego, w którym podłogę pokrywało zielone linoleum, a wzdłuż ścian poustawiane były drewniane krzesełka dla podróżnych. Skierowałyśmy się do małego okienka, w którym siedziała starsza siwa pani i wyglądała na bardzo znudzoną. Napis nad okienkiem głosił: „The Lost Luggage Office", gdzie zgłosiłyśmy zaginięcie bagażu.

Po wypełnieniu pliku formularzy, staruszka podziękowała nam i odesłała nas z kwitkiem. Nikt nie był w stanie nam pomóc, przynajmniej w obecnej chwili.

– Czy masz jakieś zakwaterowanie? – spytała Ania, kiedy opuściłyśmy budynek z pustymi rękoma.

Pokręciłam przecząco głową.

– Adres moich znajomych znajdował się w dużej torbie – wyszeptałam, dławiąc się łzami. – Licho mnie podkusiło, abym tam wsadziła skrawek papieru, na którym wypisałam adres ich zamieszkania.

– Głowa do góry, Marysiu! Moja cioteczka przyjmie nas z otwartymi ramionami. Jutro też wykombinujemy jakieś ubrania dla ciebie. Wszystko będzie dobrze, obiecuję!

***

W tym miejscu ponownie pozwoliłam sobie wyciąć fragment z mojego pamiętnika. Ominęłam ten, w którym dojechałyśmy autobusem do domu ciotki Ani, jej miłe zaskoczenie moim przyjazdem, pomoc w zadomowieniu się, znalezieniu pracy, załatwieniu wielu potrzebnych papierów na legalną pracę oraz rozpoczęcie nowego życia w obcym mi kraju. Czas mijał niemiłosiernie szybko – dzień za dniem, tydzień za tygodniem, miesiąc za miesiącem. Nie wiem nawet, kiedy minęło kilka lat, odkąd znalazłam się w Anglii, i zapomniałam o moich pierwszych pechowych momentach. Zaginiona torba podróżna spadła na niższą półkę w moim umyśle. Zapomniałam o apaszce babci i o utraconych rzeczach. Zaakceptowałam fakt, że nie

zawsze wszystko układa się po naszej myśli. Zajęłam się układaniem życia od nowa. Poznałam wielu miłych ludzi, którzy pomogli mi oswoić się z otoczeniem, obcym językiem i angielską kulturą. Spotkałam też miłego mężczyznę o imieniu Lee, który otworzył drzwi do swojego serca i pozwolił mi w końcu poczuć się kochaną. Nie raz patrzyłam na swoje odbicie w lustrze i nie mogłam uwierzyć, że patrzę na polską dziewczynę, która postawiła desperacki krok do przodu i zmieniła swoje życie.

***

Któregoś dnia Lee zaproponował mi przejażdżkę swoim czerwonym BMW. Zgodziłam się. To była dla mnie prawdziwa przyjemność móc relaksować się na siedzeniu pasażera. Lee był świetnym kierowcą.

– Nie masz nic przeciwko temu, abym zawiózł stare ubrania matki do Drop Bag Centre? – zapytał, kiedy usadowiłam się wygodnie obok niego. – Zajmie mi to tylko chwilkę.

– Nie pleć głupstw! Wiesz, że gdziekolwiek pojedziesz, ja pojadę tam z tobą – zapewniłam i musnęłam go delikatnie moimi wargami w policzek.

Zajechaliśmy pod wielki budynek, w środku którego znajdowało się Drop Bag Centre, czyli miejsce skupu starej, nieużywanej odzieży. Lee wysiadł prędko z auta i chciał już odejść, kiedy otworzyłam z rozmachem drzwi po swojej stronie, wychyliłam głowę i zawołałam za nim:

– Czekaj! Idę z tobą!

Uśmiech ozdobił jego okrągłą buzię.

– To na co jeszcze czekasz?

Odwzajemniłam uśmiech i szybko, bojąc się, że zmieni zdanie, wysiadłam z samochodu i ruszyłam w jego kierunku. W jednej ręce trzymał plastikową torbę pełną starych ubrań, drugą obejmował mnie w pasie. Ruszyliśmy do hali.

W środku panował prawdziwy rozgardiasz. Dosłownie wszędzie walały się torby, paczki, paczuszki, worki, woreczki pełne ubrań, książek i butów. Nie mogłam uwierzyć, że pod jednym dachem znalazło się tyle niepotrzebnych rzeczy.

Lee podszedł do jakiegoś mężczyzny i grzecznie się przywitał. W tym czasie ja rozejrzałam się ciekawie dookoła. Mój wzrok nie mógł ogarnąć wszystkiego naraz.

Nagle… zamarłam w miejscu! Z trudem byłam w stanie oddychać. Mama zawsze mi powtarzała, że cuda się zdarzają, ale nie sądziłam, że stanie się to tutaj i teraz!

Najwidoczniej Lee wyczytał zaskoczenie na mojej twarzy, bo podbiegł do mnie, złapał za łokieć i zapytał przestraszonym głosem:

– Maria, czy coś się stało? Jesteś blada jak papier!

– Lee… – udało mi się wyszeptać jego imię.

– Co, kochanie? Co się stało?

– Ja…

– Maria, powiedz mi natychmiast!

– Moja… torba…

Nie zrozumiał w pierwszej chwili, mimo że opowiedziałam mu tę historię wiele razy. Milion razy.

– Nie rozumiem… – zaczął, ale urwał, kiedy wskazałam przed siebie. Powiódł wzrokiem za moim palcem.

Wśród wielu toreb i worków leżała moja podróżna torba! Torba, która została uznana za zaginioną, za ukradzioną i wykreśloną z mojego życia! Torba, która istniała na formularzu rzeczy zaginionych! Torba, z której wystawała apaszka mojej babci! Torba, która została mi odebrana kilka lat temu i oddana dzisiaj!

Ukryłam twarz w dłoniach i poczęłam płakać.

Lee przytulił mnie i szeptał do ucha czułe słowa, starając się jakoś mnie uspokoić.

Czy mu się udało? Nie. Przynajmniej nie w tym momencie. Tyle przecież wrażeń targało moją duszą, tyle odczuć wylewało się na zewnątrz, tyle wspomnień przewijało się przez głowę. Nie byłam w stanie ich powstrzymać.

– Och, moja torba… – załkałam. – Moja torba pełna wspomnień…

MIŁOŚNIK MIŁOŚCI

SAMOTNI Z WYBORU

DAMSKA PERSPEKTYWA

NIE DO KOŃCA DWIE KROPLE WODY

Tomek i Arek to bracia bliźniacy, którzy uważają, iż w dwudziestym drugim roku życia marnują swój potencjał. Bliźniacy, więc wiadomo, że mają ze sobą mnóstwo wspólnego. Obaj cierpią na nerwicę natręctw. Obaj nie za bardzo wiedzą, co to dojrzałość, no i wreszcie zarówno starszy o pięć minut Tomek, jak i jego młodszy brat mają problemy z kobietami. Są nimi zafascynowani, od kiedy pamiętają, ale żeby posiadać w tej kwestii jakieś większe doświadczenie? Co to, to nie!

– Chłopaki, kiedy wreszcie pokażecie się z kimś? – pyta jedna z ciotek niezbyt lubianych w rodzinie.

– Mają pewnie dużo dziewczyn, tylko nie chcą o tym mówić – odpowiada matka, którą cechuje między innymi to, że odpowiada za nich od dziecka. Między nami mówiąc, szczególnie Tomek wyrywa włosy z głowy, kiedy mama próbuje żyć zamiast niego.

Arek… jego kobiece doświadczenia są tyleż interesujące, co beznadziejnie skromne. Nieśmiały od dziecka, kochał dziewczyny zawsze cicho. Kochał, a przynajmniej tak mu się wydawało, bo tak naprawdę trudno odróżnić w jego przypadku miłość od zwykłej fascynacji seksualnością kobiet. Kochał zmysłami. Lubiłby (bo w jego przypadku, tak jak i brata, kontakty z kobietami ograniczają się do trybu przypuszczającego) dotykać, całować, pieścić każdą część ciała swojej

wybranki. Arek to ciekawy przypadek. Powiecie: „Co dziwnego w tym, że uwielbia kobiety?". Jasne, że nic, ale co ciekawe, on czuje… jakby to powiedzieć… po kobiecemu. I nie ma w tym nic z tak rozplenionego ostatnimi czasy homoseksualizmu. Po prostu zdaje się, że zna potrzeby kobiet lepiej niż one same. Bynajmniej nie chodzi tu o jakieś techniki. Ale jest delikatny w łóżku – potrafił swojej jedynej towarzyszce zafundować doznania, jak gdyby był jakimś mistrzem Zen. Sama mi opowiadała, że czuła się w siódmym niebie. No, ale… potem znikła. Nie wyjaśniła, dlaczego był to ich ostatni raz. Arek się załamał i szmat czasu mija, a on wciąż się błąka, źle dobierając kobiety, z którymi chciałby być. Sam mówi, że jest zły. Wielu ludzi uważa go za człowieka o gołębim sercu, lecz on ma inne zdanie. Też się czasami boję, gdy patrzę na jego wybuchy złości. Dość o Arku.

Przejdźmy do Tomka. Wspominałam, że jest podobny do Arka. Naprawdę czasem trudno ich odróżnić. Tomek jednak częściej o swoje błędy zdecydowany jest obwiniać wszystkich, tylko nie siebie. O ile Arek często żyje na krawędzi depresji, to Tomek jest bardziej pogodny. Ale w tym dobrym nastroju jednak dość płytki. Charakteryzuje go zmienność nastrojów. Kiedy miałam okazję spędzić z nim dzień, widziałam, jak w ciągu godziny potrafił radykalnie zmienić nastrój. Co prawda, jego brat też nie należy do osób, które ciągle mają jednakowy humor, ale drugiego takiego Tomka nigdy nie widziałam! Zapewniam więc, że niezła z niego mieszanka wybuchowa. Co ciekawe, zarówno Tomek, jak i Arek mają dużą świadomość siebie. Tomek zdaje sobie sprawę, że będąc tak zmiennym, może przestać marzyć o większości kobiet, skoro te szukają stabilizacji, a Arek wie, że jak tak dalej pójdzie, to nieśmiałość w ogóle utrudni mu życie.

A jak Tomek radził sobie z dziewczynami? Pan Zagadka. Niby mu się podoba jakaś. Spotyka się z nią, ale… po niedługim czasie okazuje się, że Tomek mówi sobie po raz kolejny: „Pomyliłem się". Nie wierzę w niego. Widać, że szuka ideału, którego nigdy nie znajdzie! Próbowałam go namawiać, by nie rezygnował z Kasi –

dziewczyny, która najdłużej mu się podobała, no ale… „mów do słupa, a słup jak d…”. No wiadomo, po prostu uparciuch.

Bliźniacy jak w mordę strzelił

Kobiety ich łączą. A dokładniej, łączy ich nieudolność. Jakieś dwa lata temu odbyli ciekawą rozmowę (a obaj to milczące typy). Tomek zaczął, Arek również się otworzył i wyszło na to, że oficjalnie przed sobą przyznali się do swojej nieudolności. Co zrobili? Zaczęli interesować się tym, jak podrywają zawodowcy. Oglądali programy z mistrzami uwodzenia, słuchali wszelkich mądrych rad, mówili sobie do lustra, że są warci milionów. Czy sami w to wierzyli, to inna bajka. Raczej pewności siebie nie nabrali, a podobno bez tego ani rusz przy podrywaniu. Próbowali prężyć swoje, pożal się Boże, klaty, jednak na niewiele się to zdało. Kilka podejść w barach do kobiet z tak zwanej wyższej półki zakończyło się klapą. Szczerze mówiąc, wiem dlaczego.

Mimo ich niby braku pewności siebie do dziś nie wiem, czemu podobają im się dziewczyny, które do nich nie pasują. Arek ciągle opowiada, jak to uwielbia delikatne, kobiece i ciepłe dziewczyny, by potem podrywać ich kompletne zaprzeczenia. Nieznajomość własnych pragnień? Nie wiem, podejrzewam jednak, że, jak to faceci, są ciągle dziećmi i myślą, że im należą się najładniejsze zabawki. Tomek też nie lepszy. Czasem poderwie jakąś dziewczynę i dwa dni ona mu się podoba, ale nagle na horyzoncie pojawi się ciut ładniejsza panienka i rzuca tę poprzednią, by i z tą ciut ładniejszą nic nie wyszło. Próżność? Chyba lubią otaczać się ładnymi przedmiotami, a i kobiety traktują przedmiotowo. Przy całej mojej sympatii do nich, jednak czasami wychodzą z nich typowi faceci. Niezdecydowani, zakłamani, czasem sprawiają, że czuję się, jakbym to ja urodziła się mężczyzną. Patrzę jednak w chwilach takiej refleksji na własne piersi i miseczka C rozwiewa moje wątpliwości.

PO CHOLERĘ TE WYSOKIE?!

Kocham ich jak braci, choć nigdy wcześniej nie myślałam, że moimi przyjaciółmi będą mogli być… zboczeńcy! Nie no, trochę przesadzam, ale trudno zrozumieć, co siedzi w ich głowach. Nie powiedziałam bowiem bardzo ważnej rzeczy. Otóż prawie wszystkie dziewczyny, z którymi się spotykają są… wyższe od nich! Tak, tak, te małe knypki, metr siedemdziesiąt w kapeluszu, umawiają się z dziewczynami i o pięć centymetrów wyższymi. Nie wiem, jakie kompleksy się za tym kryją, ale gdy kiedyś podpytałam Tomka, czemu nie umówi się z taką naprawdę ładną Anią (wzrost jakieś metr pięćdziesiąt pięć), to zaczerwieniony odparł jedynie, iż źle by się przy niej czuł. Rozumiecie?! Ja stara i głupia baba myślałam, że wszystko już przeżyłam, ale żeby facet się źle czuł przy dziewczynie o piętnaście centymetrów niższej od niego?! Tego jeszcze nie było. Szukałam w Internecie informacji, o co im może chodzić i za wiele nie znalazłam, choć, jak się okazuje, takich typów nie jest wcale mało.

Obaj są kochani, ale dziwicie się większości dziewczyn, że uciekają, gdzie pieprz rośnie? „Krasnale mnie nie kręcą”. Długie nogi to tak wiele, by walczyć o to uparcie jak oni? Oczywiście wymyślają, jak to faceci, że chodzi o coś więcej, o charakter, ale ja swoje wiem! Ech, ci faceci, szkoda, że dominuje nad nimi tak mocno seks. Mam wrażenie, że i Tomek, i Arek są nim owładnięci, a jednocześnie próbują się tego seksu wyzbyć, nie myśleć, nie cierpieć z powodu jego braku.

Może Tomek ma jednak trochę racji, gdy skarży się, że tak go wychowano i już się nie zmieni? Chociaż mam nadzieję, że kiedyś przekona się, że to on jest kowalem swojego losu, a nie jego mama, o co tak często próbuje oskarżać tę, notabene niską, niewiastę. Wysokie dziewczyny zaprowadziły ich na pustynię, jeśli chodzi o seks, a gdzie zaprowadzały ich te panienki, z którymi było im momentami tak bosko…?

Tu sprawa się komplikuje. Tomek i Arek są zmysłowymi lwami. Zdaje się, że świat odbierają wyłącznie za pomocą zmysłów. Pardon… nie są lwami. To

zodiakalne wagi. Najgorszy znak zodiaku, jaki może trafić się facetowi. Obaj wierzą w zodiak i są typowymi wagami. Modelowymi przykładami niezdecydowania. Wiedzą, że przez to wiele ptaszyn uciekło spod ich drapieżnych rączek. Przejdźmy do sedna.

Męska perspektywa

Przygody

Tomek. Ten to miał z dziewczynami. Z iloma się nie umówił… Sam mówi już o liczbie około sześćdziesięciu dziewczyn. Jak to możliwe, by na tyle spotkań nikogo nie upolować? Ano zapytajcie go. Sam nie wie, ale w każdej dziewczynie znajdował wady. Jakby on sam ich nie miał. Pieprzony narcyz. No, ale Kasia za gruba, Ala śmiała się głupio, a Natalia ciągle robiła fochy. Czasem mam wrażenie, że on źle trafia. Że szukając, wybiera najgorzej, jak tylko można. Ale czy można się dziwić? Ile można być samemu? To jak życie bez napędu. Stoicyzm, chociaż chciałoby się wpadać w egzaltację. Niestety, zapominamy czasem, że część Tomka w nas, facetach istnieje. Tylko porzucamy ją, gdy spotykamy kobietę życia. On jej nie spotkał, ale czy to jego wina? Czy to czyjakolwiek wina? Co decyduje o tym, że kogoś spotykamy, a kogoś omijamy? Może to wcale nie nasze preferencje ani nasze wybory, którymi rządzi znienawidzony i kochany jednocześnie przypadek? Zostawmy tego biednego Tomka. On ocenia kobiety dość powierzchownie. Mówi, że pragnie, by kobiety wypełniały jego życie, ale tak naprawdę do tego życia nie wpuszcza nikogo. To samotnik, który nie wie o tym, że jest samotnikiem. Smutne, bo to tak jakby kochać pływanie i nie wchodzić do wody. Bać się i uważać, że można być dobrym pływakiem. Marnowanie umysłowego potencjału.

Arek też nie lepszy. Spotykał się z Justyną. Wmawiał sobie, że lubi dziewczyny kształtne. Szkoda, że Justyna przerosła jego oczekiwania. Dwa razy większa od niego

sprawiła, że zrobił coś, co robią najgorsi faceci, najbardziej bezczelni. A mianowicie spotykał się, spotykał i… nagle przestał. Nagle zamarł. Bo uznał, że do siebie nie pasują? Pytałem go: „Po co w takim razie się z nią spotykałeś?!”. Ale on nic. Sam nie wiedział. Magia testosteronu.

Trudno czasem wytrzymać pod naporem hormonów, ale obaj bracia to przypadki szczególne. Są gorsi niż ja. Bo najgorsze przypadki to synkowie mamusi. Żadna dziewczyna takiego nie polubi, a są wśród nich tacy, którzy prędzej czy później muszą wydać się bohaterami tragicznymi. Miłość, której szukają, ta bezwarunkowa, spotyka ich tylko ze strony matki. Nie ma szans, by posmakowali jej w innej wersji. Tak naprawdę nie szukają i nigdy nie szukali partnerki. Szukają matki-bis, której znalezienie jest niemożliwe. Są wrażliwi, ciepli, czasem cyniczni, ale mają dobre serca. Kobiety traktują takich z podejrzeniem, jeśli nie skłonności homoseksualnych, to przynajmniej typu: „Ten facet to cipa”, bo czasem płaczą. Więź, jaka łączy ich z matką, uniemożliwia im znalezienie partnerki. Tylko co mają zrobić? Zerwać kontakty z matką?

KONIEC

Każda potwora ma podobno znaleźć swojego amatora. Oni obaj wątpią. Wątpią, i to dość głęboko. Narrator niniejszego opowiadania czuje, że się powtarza. Ale mało kto, jak inni faceci, potrafi zrozumieć, kim jest mężczyzna bez kobiety. Jest słaby. Przepełniony negatywnymi emocjami. Nie ma celu, w którym mógłby spożytkować energię. Dziewczyny, czy to naprawdę tragiczne, że facet bierze sobie was za cel życia? Wy rozumiecie więcej w naszych relacjach. Tomek i Arek też to wiedzą. Ale jednocześnie oskarżają: „Dziewczyny, nie podchodźcie do nas na zasadzie schematów. My jesteśmy warci coś więcej, niż kilka zdań wyuczonych i odklepanych zgodnie z waszymi oczekiwaniami”. Bo wiecie… oni was kochają. Ta karkołomna miłość obu braci to miłość przedmiotowa. To miłość męska. Oni szukają kobiet

doświadczonych. Doświadczonych przez kontakty z facetami, bo nikt tak jak owe kobiety nie zrozumie ich emocji, a także nie da się nabrać po raz kolejny na podobną pułapkę.

***

Siedem lat później. Tomek i Arek są żonaci. Ich małżonki to kobiety emanujące ciepłem. Doświadczone, znające mężczyzn i akceptujące ich takimi, jakimi są. Zmysłowe to małżeństwa, obu panom przeszły już w większości zapędy do traktowania kobiet przedmiotowo. Są lepsi, piękniejsi w swoim szczęściu. Bo miłość nie zna granic. Nie zna pośpiechu. Nie zna oporów. Wierzmy w cuda, nawet gdy nie jesteśmy ich do końca warci. Takie motto mogliby nam sprzedać obaj bracia. Uwierzymy w nie?

DAGMARA

ELŻBIETA

To były trudne czasy, choć niepozbawione kolorytu. Ludzie pamiętali jeszcze zakończony niedawno stan wojenny, codzienne życie nadal obfitowało w wiele trudności komunikacyjnych, jak brak telefonów, a co za tym idzie możliwości szybkiego kontaktowania się z innymi. Elżbieta w zasadzie nie zwracała uwagi na warunki, jakie panowały wtedy w kraju. Póki nie dotyczyły jej one bezpośrednio, nie musiała się nimi przejmować, całkowicie skupiając się na swojej rodzinie i pracy. W owym czasie miała niecałe czterdzieści lat i myślała, że to najlepszy moment w jej życiu.

Od szesnastu lat była żoną Janka – miłości jej życia. Poznała go w momencie, kiedy już nie spodziewała się, że może ją spotkać coś tak pięknego, bo w wieku zaledwie dwudziestu trzech lat miała już za sobą trudne małżeństwo i rozwód. Wychowywała samotnie czteroletniego synka, Antka i była tak pochłonięta zarabianiem na ich wspólne utrzymanie, że nie myślała o związkach. Ale los bywa łaskawy dla dobrych ludzi, dlatego zupełnie niespodziewanie postawił na jej drodze Janka. Długo trwało, nim przekonał ją do siebie. Po poprzednim związku Ela miała niechęć do mężczyzn. Janek był cierpliwy i uparty, czym zyskał zaufanie i miłość kobiety. Najbardziej przekonał ją jednak stosunek, jaki ten mężczyzna miał do jej synka. Od razu zdobył sobie jego sympatię, był dla niego bardzo troskliwy i zupełnie nie miało dla niego znaczenia, że Antek nie jest jego synem. Kiedy Elżbieta zrozumiała, że Janek jest najlepszym człowiekiem, jakiego w życiu spotkała, pobrali się. Dwa lata po ślubie na świat przyszedł ich wspólny syn, Jakub. Choć Janek marzył o córce, bo przecież mieli już synka, był bardzo szczęśliwy i nosił Elę na

rękach. Trzeciego dziecka nie planowali, ale los po raz kolejny spłatał im figla i Ela w wieku trzydziestu siedmiu lat urodziła śliczną, wyproszoną przez tatę córeczkę, Basię. Byli najszczęśliwszą rodziną pod słońcem, choć niedawno zaczął się stan wojenny, sklepy świeciły pustkami i ogólnie było trudno. Jednak oni mieli siebie i to było najważniejsze.

W pewien kwietniowy poranek Elę gwałtownie wyrwał ze snu budzik. Miała ochotę jeszcze chwilę poleżeć w ciepłej pościeli, jednak wiedziała, że musi obudzić Kubę, wyszykować go do szkoły, a potem sama biec do pracy. Janek miał tego dnia na drugą zmianę, więc mógł się rano zająć Basią, którą później, po drodze do pracy, przekazywał w troskliwe ręce mieszkającej nieopodal babci – swojej mamy. Różne myśli zajmowały głowę Eli, kiedy powoli wstawała z łóżka, nie chcąc obudzić Janka, który zawsze wstawał tuż przed jej wyjściem do pracy. Jednak, kiedy chciała spojrzeć na śpiącego męża, zdziwiła się, gdyż nie było go w łóżku. Wyszła z sypialni zobaczyć, co porabia o tak wczesnej porze i z zaskoczeniem stwierdziła, że jej mąż w piżamie i na boso stoi na balkonie. Była wczesna wiosna i poranki były jeszcze okrutnie zimne. Ela wzięła gruby sweter i kapcie Janka i wyszła do niego na balkon.

– Co się dzieje? – spytała i otuliła męża swetrem. Wtedy zobaczyła, jak on ciężko oddycha, jakby walczył o każdy łyk powietrza.

– Co ci jest? – spytała już mocno wystraszona, starając się jednocześnie zachować spokój.

Janek próbował coś powiedzieć, ale nie mógł, brakowało mu powietrza i Ela zobaczyła, że jego twarz sinieje. Szybko przyniosła z pokoju krzesło, posadziła go na nim, pobiegła po Kubę i kazała mu pilnować taty. Nie miała w domu telefonu, nie mogła więc wezwać pogotowia. Jej umysł pracował na najwyższych obrotach. Przypomniała sobie, że ich sąsiad (i przyjaciel) Bogdan ma samochód. Nie zważając na porę dnia, wybiegła na korytarz i zaczęła się dobijać do drzwi sąsiadów. Ci, zaalarmowani hałasem, otworzyli szybko.

– Pomóż mi, proszę – Ela zwróciła się do Bogdana – z Jankiem dzieje się coś złego, pojedź z nim do szpitala.

– Oczywiście, już się ubieram – wrócił do mieszkania, a jego żona, Magda, powiedziała:

– Niczym się nie przejmuj, jedź z Jankiem do szpitala, ja wyślę Kubę do szkoły, a potem zaprowadzę Basię do babci.

Ela i Bogdan z wielkim trudem zanieśli Janka do samochodu i szybko pojechali do pobliskiego szpitala. W Izbie Przyjęć pielęgniarka najpierw na nich nakrzyczała, że nie wezwali pogotowia do pacjenta w tak złym stanie, a potem kazała usiąść i czekać w kolejce. Ela błagała, żeby mu pomogli. Bogdan też próbował coś wskórać, ale dopiero gdy Janek stracił przytomność, zainteresował się nim lekarz. Kobieta chciała być przy mężu, gdy go przewozili na oddział, całego w rurkach od kroplówki i tlenu, jednak pielęgniarka zabroniła jej iść dalej.

– Proszę iść do domu, nic tu pani nie pomoże, zabieramy męża na oddział i zrobimy mu badania. Proszę przyjść wieczorem, wtedy będzie pani mogła go odwiedzić.

Ela nie chciała wyjść ze szpitala, ale Bogdan zaczął ją przekonywać:

– Co tu po tobie? I tak nic nie zrobisz. Idź do domu albo do pracy. Zajmij się czymś, żeby ci jakoś czas upłynął do wieczora.

Jeszcze przez chwilę się wahała, ale w końcu przyznała mu rację i poszli. Ela prosto do pracy, żeby powiedzieć, co się stało i wziąć wolne. Potem do teściów, żeby im też wszystko opowiedzieć i zabrać Basię do domu. Złe wieści dotarły już również do mamy Eli, która przyszła do niej, żeby ją jakoś wesprzeć. Razem przygotowały obiad, który potem Ela miała zabrać Jankowi do szpitala. Potem zabrała małą Basię na spacer do parku. Poszły też na zakupy, żeby nabyć kilka rzeczy, które Jankowi mogły się przydać w szpitalu. Spakowała torbę z najpotrzebniejszymi rzeczami, termos z zupą, gdyby mógł jeść, i poszła do szpitala. Zupełnie nie wiedziała, gdzie

ma szukać męża. Swoje kroki skierowała na Izbę Przyjęć, gdzie poinformowano ją, na który oddział trafił pacjent. Pokonała mnóstwo schodów, nim dotarła na właściwe piętro. Od razu trafiła do pokoju pielęgniarek i zapytała o numer sali. Pielęgniarki kazały jej poczekać, bo właśnie miały jakąś naradę. Po pół godzinie wyszła przełożona pielęgniarek:

– O co chodzi? – spytała sucho.

– Dzień dobry – zaczęła Ela – chciałam zapytać, w której sali leży mój mąż, Jan Śliwiński?

Pielęgniarka zmierzyła ją groźnym wzrokiem i powiedziała:

– A to pani nie wie, że mąż nie żyje?

Ela poczuła, jakby podłoga pod jej stopami zrobiła się miękka i zaczęła ją pochłaniać jak bagno. Pielęgniarka odwróciła się na pięcie i wróciła do swoich spraw, Eli torba wypadła z ręki, a ona sama osunęła się na stojącą w pobliżu ławkę. Jakiś mężczyzna, który to widział, podbiegł do niej i zorientowawszy się w sytuacji, przyniósł jej szklankę wody. Ela mechanicznie wzięła ją do ręki i wypiła. W uszach jej szumiało i nie mogła zebrać myśli. Siedziałaby tam pewnie do rana, na szczęście pojawili się jej teściowie. Była w takim stanie, że teściowie o nic nie pytali, tylko poszli do pielęgniarki. Chwilę potem słychać było głośny płacz teściowej, która wyszła z gabinetu podtrzymywana przez męża. Teść zaprowadził swoją żonę do samochodu, a potem przyszedł po Elę i zawiózł ją do domu.

Pierwsze dni po śmierci Janka były bardzo kiepskie. Ela przestała zwracać uwagę na cały świat zewnętrzny. Czuła się, jakby umarła w środku, a tylko ciało poruszało się bez sensu. Leżała całymi dniami w łóżku i patrzyła w sufit. Nie jadła prawie wcale, spała bardzo mało. Dziećmi zajmowała się jej mama, która od śmierci Janka przeniosła się do niej na jakiś czas. Pogrzebem zajęli się teściowie i przyjaciele. Ela łykała tylko środki uspakajające. W pracy miała dłuższy urlop, ale i tak jej to nie obchodziło. Dla niej życie się skończyło. Mijały dni, tygodnie, przeszły

Święta Wielkanocne, wiosna wybuchła i powoli zaczęła przechodzić w lato. Stan Eli się nie poprawiał. Jej teść, który pracował tam, gdzie ona, tylko na wyższym stanowisku, załatwił synowej bezpłatny urlop. Było jej wszystko jedno, ale cała rodzina wierzyła, że w końcu z tego wyjdzie, a wtedy trzeba będzie jakoś żyć.

Z początku Ela w ogóle nie mogła zrozumieć, co się stało i dlaczego. Potem nie mogła w to uwierzyć, a gdy w końcu z całą siłą dotarło do niej wszystko, odebrało jej chęci do życia. Najpierw czuła niemal fizyczny ból. Jakby żywcem wyrwali jej połowę ciała. Chciało jej się krzyczeć, wyć z tego bólu. Waliła głową w ścianę, mocno wtulała się w poduszkę i płakała. Potrafiła tak płakać godzinami. Opróżniła szafki Janka z jego ubrań, wrzuciła je wszystkie do łóżka i spała wśród nich, wdychając ulatniający się coraz bardziej zapach swojego męża. Po jakimś czasie ból zmienił się w bezdenną samotność. Pewnego dnia Ela po prostu poczuła, że jest zupełnie sama na świecie. Choć była dość silną kobietą, która zawsze radziła sobie w życiu, nagle wydało jej się, że bez Janka zginie. Czuła się bardziej osamotniona niż wtedy, gdy samotnie wychowywała Antka, nim poznała Janka. Z dnia na dzień wyglądała coraz gorzej. Ubierała na siebie rzeczy Janka i leżała w nich, wspominając wszystko, co razem przeżyli. Nie interesowała się dziećmi, pracą, domem, całkowicie zatracając się w swym bólu. Mama Eli delikatnie próbowała ją wyrwać z tego stanu, ale to nie skutkowało. Kiedy jednak to wszystko się przedłużało, z obawy o zdrowie Eli i z całkowitej bezsilności, jej mama z końcu nie wytrzymała. Kiedy dzieci nie było w domu, weszła do sypialni Eli i podniesionym głosem powiedziała:

– Kobieto! Rusz w końcu dupę z tego łóżka. Rozumiem, jest ci ciężko, wiem, jak to jest stracić męża! – Ela, nieprzyzwyczajona do takich wybuchów matki, wyrwała się na chwilę ze swojego świata i zaczęła słuchać. – Masz troje dzieci, a zachowujesz się, jakbyś była zupełnie sama. Wszystko masz gdzieś! Możesz sobie płakać, przeżywać, twoje prawo i każdy to rozumie, ale, do cholery, nie możesz odwracać się od własnych dzieci. Antek jest dorosły, więc sobie poradzi, ale Kuba?

On stracił swojego ukochanego tatę, jemu też jest ciężko, nie widzisz tego? Kto ma mu pomóc w tej sytuacji, jak nie matka? A Basia? Jest malutka, nie rozumie, co się stało. Taty nie ma, a mama jej nie chce. Nawet nie wiesz, że twoja córka budzi się co noc z płaczem. Czy naprawdę nic cię to nie obchodzi? Gdyby Janek to widział, toby się załamał. Wiesz, że ja ci zawsze pomogę, ale też już nie daję rady. Mam swoje lata. Weź się w końcu w garść, idź do pracy, zajmij się rodziną i żyj dalej. Janek by tego chciał!

Ela patrzyła na matkę, która na pewno miała rację, ale nie potrafiła teraz jasno myśleć. Jedyne, co zrobiła, to rozpłakała się i powiedziała:

– Janka nie ma i nie będzie! Jak on mógł mnie tak zostawić? – odwróciła się do ściany i szlochała.

Ta rozmowa nie poszła jednak w zapomnienie. Do umysłu Eli wąską strużką zaczęły się sączyć słowa matki. Zaczęła je przyswajać, myśleć nad ich sensem, aż w końcu doszła do wniosku, że czas zrobić tak, jak powiedziała mama. Nie oznaczało to jednak końca żałoby, a jedynie przyjęcie na siebie obowiązków, którymi nie mogła dłużej obarczać innych. Od tej pory jej życie koncentrowało się wokół rodziny, domowych obowiązków, pracy i wizyt na cmentarzu. Rano, po wyprawieniu Kuby do szkoły, a Basi do babci, Ela szła do pracy. Wracając, odbierała Basię, przychodziły do domu, jadły obiad i wybierały się na cmentarz. Spędzały tam dwie godziny, w czasie których Basia bawiła się, a Ela rozmawiała z Jankiem. Płakała, kłóciła się z nim lub zwyczajnie opowiadała, co u nich słychać. Dzień w dzień, słońce czy deszcz, rytuał był niezmienny.

Od śmierci męża Ela najbardziej nienawidziła wieczorów. Samotnych długich godzin, bez możliwości rozmowy z kimkolwiek. Kiedy Janek żył, zawsze wieczorem rozmawiali, czasem grali w karty lub czytali książki. Teraz wieczory stały się dla niej prawdziwą torturą. Siedziała w fotelu i rozmyślała. Wspominała wspólne chwile z mężem lub oglądała zdjęcia. Wszystkie te rzeczy sprawiały jej ból. Myśli o Janku

wywoływały bolesną tęsknotę, której nikt i nic nie było w stanie ukoić. Najbardziej tęskniła za jego dotykiem i silnymi ramionami, które otaczały ją z miłością i odgradzały od reszty świata. Brakowało jej wszystkiego: jego głosu, zapachu, mądrości i poczucia humoru. Czuła, że już nikt nigdy, w najdrobniejszym ułamku nie dorówna człowiekowi, którego tak przedwcześnie straciła.

Rytm dnia, jaki Ela sobie narzuciła, pozwolił jej normalnie funkcjonować, ale jej stan psychiczny daleki był od ideału, bo nadal uciekała w swój wewnętrzny świat, do którego nikt nie miał dostępu.

Od śmierci Janka minął rok, ale Ela ani myślała o zakończeniu żałoby. W jej sercu i umyśle mocno zakorzenił się ból, którego nie był w stanie pokonać czas. Pewnego wiosennego dnia do drzwi mieszkania Eli zapukała policja. Okazało się, że szukają Kuby, który jest podejrzany o kradzież pieniędzy swojego kolegi z klasy. Ela dowiedziała się, że jej syn jest już całkiem dobrze znany policji, która miała na niego wiele skarg. Ela, dotąd pochłonięta swą tęsknotą i rozpamiętywaniem, nie miała pojęcia, co się dzieje z jej dziećmi. Na wywiadówki chodziła jej mama. Po rozmowie z nią Ela przeżyła szok. Okazało się, że Kuba wagaruje, wraca późno do domu, często pod wpływem alkoholu, wszczyna bójki i podkrada domowe pieniądze. Dopiero teraz kobieta uświadomiła sobie, że jej przeżywanie żałoby odbija się bardzo negatywnie na rodzinie. Że te dzieci mają tylko ją, a ona je zawiodła. Miała nadzieję, że nie jest za późno. Postanowiła poświęcić swoim dzieciom więcej czasu, choć w przypadku Kuby nie było to proste, bo ten wyraźnie unikał bywania w domu. Ale z Basią mogła być tyle czasu, ile trzeba. Czytała jej bajki, układała klocki i rysowała. Po pewnym czasie zorientowała się, że Basia rysuje w kółko to samo – groby. Na każdej kartce ciemne prostokąty z krzyżami. Dopiero to sprawiło, że Ela w końcu wyrwała się z tego dziwnego stanu, w jakim trwała od śmierci męża. Postanowiła, że czas na zmiany. Ona może sobie cierpieć, tęsknić, płakać, ale to nie może się odbijać na jej rodzinie. Zdecydowała, że wizyty na cmentarzu będą rzadsze i przez jakiś czas

bez udziału Basi. Zaplanowała, że wyjadą na dłuższe wakacje i że przy dzieciach będzie silna. I będzie cała dla nich. Musi się udać, bo przecież nikogo na świecie nie kocha bardziej. Poświęci się ich wychowaniu. Sama. Baz facetów, bo i tak nikt jej nie zastąpi Janka. Będzie sama, ale już nie samotna, bo w końcu dotarło do niej, że ma ludzi, którym na niej zależy i którzy ją kochają.

VICTOR ORWELLSKY

TAJEMNICA KOSZMARNEJ SALI

Marc siedział pochylony nad komputerem. Skupiony na swojej pracy, nie wiedział jeszcze, że najbliższe kilkanaście dni wstrząśnie jego życiem. Biurko, przy którym pracował, ustawione bokiem do okna, oblane było ostatnimi promieniami zachodzącego słońca. Od lat łączyło go ze światem niezwykłych zdarzeń. To właśnie na nim powstawały fascynujące relacje pisane jego wprawną dziennikarską ręką. Z nadzwyczajną starannością przy pomocy wysłużonego komputera starał się oddawać charakter spraw, często skrywanych przed światem. Rodzące się w jego redakcyjnym pokoju artykuły potrafiły wstrząsnąć nie tylko czekającymi na nie z niecierpliwością zwykłymi czytelnikami. Skutecznie psuły smak porannej kawy wpływowym politykom i zamożnym, ustosunkowanym biznesmenom.

Mężczyzna miał około czterdziestu lat. Był wysokim, przystojnym blondynem o śniadej karnacji. Urodził się we Francji, ale od lat mieszkał w Niemczech. W zasadzie swoje francuskie korzenie rozpoznawał bardziej na rodzinnych fotografiach niż w poczuciu przynależności do narodu. Było w nim jednak mało niemieckiego zdyscyplinowanego ducha. Był wręcz modelowym nonkonformistą. Dążącym do własnej, a nie adaptowanej, prawdy. Nigdy nie poddawał się narzucanej zawodowej dyscyplinie. Stale buntował się przeciw utartym sposobom myślenia i wynikającym z tego faktu zachowaniom. Zawsze szukał swojej prawdy. Podejmował się spraw, które wciągały go tajemniczością. Był znakomitym dziennikarzem. Nie było dla niego trudnego tematu ani miejsca niegodnego podróży, by dociec prawdy.

Hamburg powoli tonął w mroku. Z oddali, przez otwarte okno słychać było od czasu do czasu dźwięk syren wypływających z portu statków. Pojawiający się na

niebie księżyc stopniowo zamieniał przyzwoitość dnia na misterium nocy. Uwalniał ludzkie ekscytacje manifestujące się obecnością w pobliskiej dzielnicy szaleństw.

Marc kochał to miasto. Włóczył się godzinami po jego przesyconych kolorem cegły ulicach, z tą samą od lat przyjemnością. Niemalże w każdą sobotnią noc, kiedy nie wyjeżdżał, siadał przy piwie wśród setek ludzi, w starej portowej hali, wsłuchując się w rozbrzmiewającą do rana żywą muzykę. O świcie na słynnym w całej Europie Fischmarku kupował świeże ryby.

Myślał o Monik. O dniach, które spędzili razem. Wracał wspomnieniami do poznanego w Polsce Kajetana, jego miłej żony i sympatycznego księdza z Watykanu, Poula. Zastanawiał się, dlaczego niespodziewanie zakończyła się tak dynamicznie rozgrywająca się, pełna tajemnic przygoda. Wszystko urwało się na krok przed jej wyjaśnieniem. Ta fascynująca historia zaczęła się od telefonu nieznanego mężczyzny, który poinformował go o tajemniczych nocnych lądowaniach nieoznakowanych samolotów, na maleńkim lotnisku ukrytym w lasach tuż przy północno-zachodniej granicy Polski. W miejscu, w którym znajdował się jeden z najbardziej znanych ośrodków kształcenia sowieckich i polskich szpiegów. Zgodnie z jego relacją, pod osłoną nocy pasażerowie wysiadający z samolotów znikali bez śladu za murami ściśle strzeżonego wojskowego obozu. Ta niezwykła historia łączyła się z najbardziej skrywaną tajemnicą manipulowania wydarzeniami zachodzącymi na świecie. Prowadziła do możliwości poznania mechanizmu tajnego zarządzania. Do świadomego wywoływania wojen i rewolucji, zamachów terrorystycznych i kryzysów ekonomicznych. Do powstawania i obalania rządów.

Marc drgnął. Z zamyślenia wyrwało go skrzypnięcie otwieranych drzwi. Spojrzał w ich kierunku zdziwiony.

„O tej porze ktoś jeszcze pracuje?” – pomyślał.

Wiszący na ścianie zegar wskazywał dwudziestą drugą trzydzieści.

Drzwi otwierały się powoli. Marc dostrzegł wchodzącego do pokoju mężczyznę. Nie znał go. Był to człowiek średniego wzrostu z bujną, rozczochraną grzywą. W okrągłych rogowych okularach. Nie był to rosły mężczyzna, miał raczej wygląd emerytowanego profesora. Ubrany był w kraciastą marynarkę, sztruksowe beżowe spodnie i buty. Wszystko to, tak jak i on sam, nie pierwszej już młodości.

– Czy pan Marc Perce? – zapytał nieznajomy.

Wszedł do pokoju. Zamknął drzwi za sobą, robiąc wrażenie osoby, która starannie sprawdza, czy ktoś za nią nie podąża.

– Czy to pan? – zapytał ponownie, spoglądając na dziennikarza wnikliwie.

Marc wstał z fotela.

– Tak, nazywam się Marc Perce – przedstawił się.

Twarz nieznajomego wykrzywiła się w grymasie przypominającym uśmiech.

– To świetnie. Długo się do pana wybierałem – mówił po niemiecku z wyraźnym amerykańskim akcentem.

Marc zmarszczył brwi. Nie przypominał sobie twarzy nieznajomego.

– Do mnie? Czyżbyśmy się znali? – zapytał. – Nie kojarzę. Mieliśmy okazję spotkać się wcześniej?

Nieznajomy rozłożył ręce, wzruszając ramionami. Pokręcił przecząco głową.

– Ależ nie. Proszę mnie nie szukać w pamięci. Tak wiele o panu słyszałem, że odnoszę wrażenie, jakbym pana dobrze znał. Proszę się tym nie przejmować.

Rozejrzał się po pokoju niepewnie.

– Czy… czy – powtórzył – jesteśmy sami? Możemy tu swobodnie rozmawiać?

– Oczywiście – uspokoił go Marc. – Proszę się czuć swobodnie. Nikt nas tu nie podsłuchuje. Nikogo również nie oczekuję w tej chwili.

Mężczyzna odetchnął głośno. Wyglądał na zmartwionego. Na jego twarzy malowało się zmęczenie.

– Proszę wybaczyć – usprawiedliwił się. – To, z czym do pana przyszedłem – przerwał na chwilę, ściszając głos – jest tak nieprawdopodobne i jednocześnie… jak myślę – dodał – niebezpieczne, że muszę zachować nadzwyczajną ostrożność.

Marc rozejrzał się. Zebrał ze stojącego obok biurka krzesła stertę papierów. Przygotowując materiały do swoich artykułów, często przeglądał wiele dokumentów. Pozostawały w redakcyjnym pokoju tygodniami.

– Proszę, niech pan usiądzie. Czy mogę pana czymś poczęstować? Woda? Coca-cola?

– Woda, jeżeli mogę prosić… zimna.

Marc spełnił życzenie swojego gościa. Rozlewając wodę do szklanek, spoglądał na niego z zaciekawieniem. Intrygujący wygląd tego człowieka zapowiadał interesujące spotkanie.

Postawił szklanki na biurku. Usiadł. Uśmiechnął się zachęcająco.

– Zamieniam się w słuch – powiedział uprzejmie. – Z czym pan do mnie przyszedł? Czy jest pan pewien, że właśnie ja mogę panu pomóc?

Tajemniczy nieznajomy przełknął głośno łyk wody.

– Muszę pana prosić o absolutną dyskrecję…

– To oczywiste – przerwał mu zdecydowanie Marc.

Nieznajomy zmieszał się gwałtowną reakcją dziennikarza.

– Przepraszam. Zacząłem od banału, ale sam pan zrozumie… – starał się usprawiedliwić.

– Rozumiem. Proszę pana, ludzie zwracają się do mnie z najróżniejszymi sprawami. Nie zawsze mogę im udzielić pomocy. Ale jedno jest pewne. Zawsze mogą liczyć na moją dyskrecję.

– Dziękuję. Przejdę do rzeczy. Otóż, jestem astronomem – zaczął swoją opowieść nieznajomy – ale jak każdy, a może prawie każdy człowiek – poprawił się – zajmujący się czymś niezwyczajnym, mam swoje dziwne hobby. Otóż… to może

mało oryginalne, fascynują mnie kontakty z obcymi cywilizacjami. Sam pan rozumie, w tym zawodzie te tematy same mnie znalazły. Jakiś czas temu zacząłem badać amerykańską historię budowy specjalnych pojazdów, mówiąc najprościej – statków kosmicznych. Widzi pan – spojrzał na Marca – są tacy, którzy twierdzą, że rząd amerykański zlecił opracowanie dyskoidalnego obiektu. Przy jego konstrukcji miano wykorzystać ściśle tajne eksperymenty antygrawitacyjne, przeprowadzane przez nazistowskich naukowców pracujących podczas drugiej wojny światowej.

Marc uśmiechnął się.

– Gdzieś to już słyszałem – powrócił pamięcią do rozmów prowadzonych w Polsce.

– Tak? – zdziwił się nieznajomy. – Szukając materiałów, ale i osób, obnoszących się swoimi kontaktami z UFO, trafiłem na dziwny ślad. Dotarłem do człowieka, którego relacja zmroziła mi krew w żyłach. Początkowo nie ze względu na jej temat. Opowiadał o obcych. Takich relacji pełno jest w Internecie. Przeraziłem się jednak, widząc strach na jego twarzy, kiedy zdecydował się zdradzić mi kilka swoich tajemnic. A mówił rzeczy przerażające. – Spojrzał na Marca dziwnym, przestraszonym wzrokiem.

– Proszę mi spokojnie opowiedzieć – Marc starał się uspokoić coraz bardziej podekscytowanego mężczyznę. – O czym mówił spotkany przez pana człowiek?

– Przedstawił się jako były strażnik w podziemnym kompleksie. Pracował w nim kilka lat, zanim udało mu się stamtąd uwolnić. Wiele mógłbym opowiedzieć… Może dzisiaj powiem o najważniejszym – zastanawiał się chwilę. – Opowiadał mi o Koszmarnej Sali, jak ją nazywał. Miał to być ściśle chroniony obiekt, przeznaczony do prowadzenia badań nad biologicznymi formami życia każdego typu. Pełno w niej było ptaków, ryb, gadów, a co najważniejsze ludzi. Słyszy pan? – podniósł głos. – Ludzi.

– Ludzi? – powtórzył pytająco Marc.

– Tak, właśnie ludzi. Mówił, że to jest jakby zakład biomedyczny. Prowadzący od lat rozległe eksperymenty. Nieujawnione nigdy i nikomu. Co najdziwniejsze, proszę sobie wyobrazić, że podobno, jeśli pojawia się jakiś lek i zostaje on ujawniony jako nowa cudowna metoda leczenia, nikt nie zna miejsca jego wytworzenia. Oficjalnie wskazuje się, że odkrycia dokonano po latach badań w dobrze znanym ośrodku medycznym. Prawdziwa historia tego leku nie zostaje nigdy ujawniona. A to właśnie tam, w bazie Dulce powstają największe odkrycia. Świat nigdy jednak nie dowie się o pechowcach, którzy skończyli w Koszmarnej Sali.

– Zaraz – zaoponował Marc – trochę się pogubiłem. – Starał się uporządkować rozmowę. – Co pan ma na myśli, mówiąc o bazie Dulce? Nie znam takiej nazwy, nigdy się z nią nie spotkałem.

– Dulce zaprojektowane zostało w latach trzydziestych dwudziestego wieku przez wojskowych inżynierów. To ogromna podziemna baza. Większość mieszkańców żyjących na terenie, na którym znajduje się baza, podobno zdaje sobie sprawę z jej istnienia i mogłaby, gdyby chciała, potwierdzić informacje o dziwnych spotkaniach z innymi formami życia niedaleko niej.

– Ma pan na myśli przybyszy z innych planet? Obcych? Mówił pan, że to wojskowi zbudowali tę bazę?

– Wiem, co mówię. Tak, chodzi o Obcych – odpowiedział nieznajomy. – Ten człowiek, o którym wspomniałem, mówił mi o osobnikach nazywanych Draco, którzy od setek lat używali jaskiń i tunelów.

Zapadło milczenie. Nieznajomy nerwowo obracał szklankę w dłoniach.

– Mówił coś jeszcze o tych jaskiniach? – zapytał Marc.

– Wspominał, że jaskinie są wszędzie. Połączone są z korytarzami, które krzyżują cały świat w, jak to powiedział, niekończącą się sieć podziemnych kanałów. Podziemne tunele są jak autostrady, tyle tylko, że pod ziemią. Wejścia do nich są

starannie maskowane. Często znajdują się na terenie naturalnych kamieniołomów lub kopalni.

– Uważa pan, że sprawa ta jest znana amerykańskiemu rządowi? Czegoś takiego nie da się przecież ukryć!

– Oczywiście, proszę posłuchać, Góra Shasta jest główną siedzibą Obcych. Każdy prezydent w historii Stanów Zjednoczonych miał okazję się z nimi spotkać. Podobno Truman otrzymał zapewnienie dostępu do kosmicznej wiedzy naukowej.

Marc spojrzał uważnie na nieznajomego.

– Jest pan tego pewny? To brzmi nieprawdopodobnie. A może to znowu jakieś tajne stowarzyszenia poszukują pomysłu na zaistnienie?

– O tym nie chciałbym mówić… – nieznajomy zaprotestował stanowczo. – Ten człowiek pokazywał mi wycinki z gazet. Mówiły o zaginionych osobach, które rozpoznał uwięzione w podziemnym kompleksie. Wykorzystywane w eksperymentach prowadzonych w Koszmarnej Sali.

– Czy może pan podać jakiś przykład tego, co się tam dzieje?

– Ależ proszę, podam przykład tego, co tam robią… Otóż eksperymentują z bronią. Sprawdzają jej oddziaływanie na organizm. Odbywa się to bez burzenia murów, powodowania strat materialnych. Ta dziwna broń działa w trzech trybach. Tryb pierwszy przede wszystkim ogłusza. Może też jednak zabić, jeśli ofiara ma słabe serce. W trybie drugim może podnieść wszystko, bez względu na wagę. Tryb trzeci może zostać użyty do sparaliżowania wszystkiego, co żyje: ludzi, zwierząt, obcych i roślin. Jest ogromnie niebezpieczny. Może powodować paraliż, coś jakby tymczasową śmierć. Taka osoba jest martwa, ale pozostaje w dziwnym stanie zawieszenia. Jednak w ciągu jednej do pięciu godzin taki człowiek wraca do życia. Powoli, najpierw powracają jego funkcje życiowe, a następnie świadomość.

– To niezwykłe… – wtrącił Marc.

– Proszę posłuchać. Obcy naukowcy przeprogramowują ludzki mózg. Zasiewają w nim fałszywe informacje. Człowiek powraca do życia z nową, spreparowaną pamięcią. Taka osoba nie ma żadnej możliwości, aby dowiedzieć się prawdy. Ludzki umysł, zaprogramowany przez operatora, pamięta to, co najistotniejsze, wierzy w przygotowane wcześniej, nieprawdziwe informacje. Nie mają one nic wspólnego z rzeczywistością. Niech pan posłucha, podobno ci obcy w porozumieniu z ludźmi przygotowują instalację takiej eksperymentalnej broni. Na dużą skalę. A tego nie da się już tak łatwo ukryć. – Nieznajomy zamilkł. Spojrzał nerwowo na zegarek.

– Późno już. Muszę iść. Jestem jeszcze umówiony.

Wstał. Ruszył w kierunku drzwi. Marc poderwał się z miejsca.

– Czy my się jeszcze zobaczymy? – zapytał.

– Znajdę pana. To nie jest trudne. Proszę mi wybaczyć, ale chciałbym zachować anonimowość.

Marc skinął potwierdzająco głową.

– Widzi pan, od czasu gdy dowiedziałem się o tych rewelacjach, boję się o swoje życie. Mam wrażenie, że ktoś mnie śledzi – zawahał się. – Zresztą może to wytwór mojej wyobraźni. Będę z panem w kontakcie. Dobranoc.

Wstali razem znad biurka. Pożegnali się, podając sobie ręce. Dłoń nieznajomego była zimna. Jego uścisk był krótki. Gwałtownie puścił rękę Marca.

– Trafię do wyjścia. Proszę mnie nie odprowadzać. Proszę – spojrzał w oczy Marca – proszę zapamiętać wszystko, co mówiłem, postarać się niczego nie zapomnieć.

Marc skinął głową.

Człowiek o wyglądzie ekscentrycznego naukowca wyszedł z pokoju.

Marc został sam. Był przyzwyczajony do sensacyjnych informacji, pozyskiwanych od różnych, czasem niezrównoważonych ludzi. Zaintrygowała go jednak opowieść nieznajomego. Łączyła się ze sprawą podziemi, w których ktoś miał

prowadzić działania, mające wpływ na zdarzenia zachodzące na świecie. Intrygowało go to. Ale ten motyw z przybyszami z innych cywilizacji? To było zbyt dziwne.

Marc nie był fanem UFO. Sceptycznie spoglądał na swoich kolegów pasjonujących się opowieściami o nim. Kpił z nich podczas wieczornych dyskusji przy piwie. Na świecie zachodziło tyle fascynujących zdarzeń, inspirowanych przez ludzi. Mieszanie do tego Obcych, jakichś niewidzialnych przybyszy z innych planet, jego zdaniem, jedynie zaciemniało racjonalne tłumaczenie faktów.

Miał mieszane uczucia. Spojrzał za okno. Hamburg tonął w mroku.

***

Strumień ludzi wchodzących do budynku wydawnictwa płynął niczym rzeka, która cofnęła swój bieg. Zatrzymywali się na chwilę na parterze, tyko po to, by za chwilę zniknąć w kilku windach na piętrach.

Stojąc w windzie, Marc zastanawiał się, czym wypełnić dzień. Wczoraj skończył artykuł, nad którym pracował od kilku dni. Opisywał w nim zagadkową katastrofę kolejową. Szybki pociąg uderzył w most, pod którym przejeżdżał. Nie bardzo było wiadomo, co mogło być przyczyną wypadku.

Wyszedł z windy. Po kilkunastu szybko stawianych krokach wszedł do swojego pokoju. Włączył komputer. Usiadł za biurkiem. Czekał, aż ekran ukaże swoją zawartość. Zmrużył oczy. Był niewyspany. Nie mógł zasnąć, myśląc o rozmowie ze swoim wieczornym, niespodziewanym gościem.

Otworzył pocztę. Przeglądał maile. Przy niektórych zatrzymywał się chwilę. Czytał je mniej lub bardziej uważnie. Wśród dwudziestu kilku wiadomości dostrzegł zaproszenie skierowane do niego przez redaktora naczelnego. Przeczytał tę informację kilkakrotnie. Kończyła się słowami: „Zapraszam na godzinę jedenastą”.

Nie przepadał za rozmowami ze swoim szefem. Ten niezwykle inteligentny, ogromnie wpływowy człowiek był w jego przekonaniu zbyt bezkompromisowy.

Często bezwzględny. Akceptował go jednak. Cenił swobodę, jaką dawał swoim pracownikom. Nie korygował tekstów. Szły do druku w całości, tak jak zostały napisane. Albo nie szły w ogóle. Dla pracujących w redakcji dziennikarzy ta cecha ich naczelnego była najważniejsza.

Marc miał dystans do tego, co robił, mimo że swoją pracę traktował jak powołanie, oddając się jej w zupełności. Walczył z powtarzanymi sobie często słowami Noama Chomsky'ego, który wyraził kiedyś opinię, iż autentyczna niezależność mediów – czy też ich neutralność – nie jest możliwa, ponieważ w swojej istocie pozostają one narzędziem kapitalizmu. Zastanawiał się, jak bardzo media, w których pracował, zgodnie z tym poglądem uzależnione są od państwowej oraz korporacyjnej polityki informacyjnej. Do jakiego stopnia są rzeczywiście jedynie przedłużeniem struktur odpowiedzialnych za kształtowanie polityki wewnątrz organizacji rządowych i finansowych. Marc pozostał idealistą. Bronił swojej niezależności.

Rozmowy z naczelnym były zawsze krótkie i konkretne. Odbywały się rzadko. Wyłącznie wtedy, gdy temat miał szczególnie ważne znaczenie. Marc otrzymywał wówczas zadanie. Czasem był jedynie proszony po to, aby wytłumaczyć coś, co dotyczyło tematu sprawy, którą się w danym momencie zajmował.

Czytając informację otrzymaną od naczelnego, zastanawiał się, co może wypełnić kolejne kilka minut, które spędzi w dużym gabinecie. W pomieszczeniu nasączonym zapachem kubańskich cygar. Myślał o tym, czy wydarzyło się coś ważnego.

Spojrzał na zegarek. Do jedenastej pozostała godzina. Miał jeszcze czas, by wyjść na zewnątrz i napić się dobrej kawy parzonej w pobliskiej włoskiej kafejce. Większość jego koleżanek i kolegów właśnie od niej rozpoczynało swój dzień pracy. Wymykali się tam jeszcze niedobudzeni, po krótkich, najczęściej nieprzespanych nocach. Aktywność towarzyska była wpisana w uroki ich zawodu. Przy porannej

kawie wymieniali uwagi o aktualnych wydarzeniach. Przy niej radzili się siebie wzajemnie, by jak najlepiej opisać temat, który chodził im po głowie. Marc liczył, że spotka tam Roberta, swojego asystenta, który właśnie odbywał w redakcji praktyki studenckie. Promienie słońca wpadały przez okna kawiarni. Przy małych, okrągłych stolikach siedziało kilka osób, które Marc kojarzył z redakcji. Część z nich nawet tutaj nie rozstawała się z pracą. Na stolikach mieli otwarte laptopy i zapatrzeni w monitory powoli popijali poranną kawę.

Marc rozglądał się. Szukał znajomej osoby.

Był nią młody mężczyzna w wieku około dwudziestu czterech lat. Miał ciemne, krótko ścięte włosy. Znaczną cześć jego szczupłej twarzy zasłaniały okulary w grubych oprawkach. Miał na sobie koszulkę z logo jakiegoś zespołu, którego nazwę ciężko było odcyfrować. Robert zauważył go i pomachał. Marc podszedł do niego, zamówił kawę i usiadł przy stoliku.

– Dzień dobry, panie Perce – chłopak poderwał się z miejsca.

– Dzień dobry, Robercie. Usiądź proszę. Czy przygotowałeś dla mnie to, o co cię prosiłem?

– Tak, oczywiście… – przerwał. Student spojrzał na ekran komputera i zaczął czegoś szukać. Po chwili uśmiechnął się i powiedział: – W życiu bym nie pomyślał, że takie rzeczy mogą się dziać, gdybym sam nie zobaczył i nie uwierzył. W sieci nie ma zbyt dużo na ten temat, ale udało mi się wyszukać kilka interesujących wiadomości, które mogą pana zainteresować. – Robert poprawił się na krześle. – Na początek taka informacja: naukowcy z uniwersytetu w Zurichu opublikowali wyniki badania, z którego wynika, że światowa gospodarka jest kontrolowana przez niewielką liczbę korporacji. Prześledzili blisko cztery i pół tysiąca międzynarodowych korporacji i sieć powiązań własnościowych pomiędzy nimi. W ten sposób powstała mapa składająca się z około tysiąca firm będących sercem światowej gospodarki. I teraz najlepsze: sto czterdzieści siedem z nich stanowiło

„rdzeń" kontrolujący blisko czterdzieści procent światowego bogactwa! Robert podniósł oczy znad monitora i spojrzał na Marca. Dziennikarz odstawił trzymaną w ręce filiżankę kawy i spytał:

– Na jakiej podstawie badali te powiązania?

– Kierowali się informacjami o tym, które firmy zarządzają zasobami innych. W ten sposób stworzyli model zależności i struktury siły gospodarczej.

– Rozumiem, kto więc jest w czołówce? – zapytał Marc.

– Pewnie pana nie zdziwi, jeśli powiem, że większość stanowią banki, między innymi Barclay's, Deutsche Bank i Goldman Sachs.

Marc ucieszył się.

– To z pewnością jest dobry temat – zanotował nazwy korporacji. – Co masz jeszcze?

Wyraźnie zadowolony młody dziennikarz wyjaśniał dalej.

– Kolejna rzecz to wczorajszy artykuł w Wall Street Journal. Gazeta dotarła do dokumentów z tajnej konferencji mającej miejsce na obrzeżach Waszyngtonu. Podobno trzydzieści sześć prywatnych firm zaprezentowało na niej najnowsze techniki monitoringu i śledzenia obywateli. Słyszał pan o tym?

Marc zmrużył oczy w geście zastanowienia.

– Obawiam się, że nie – odpowiedział. – Najwyraźniej w tej kwestii Amerykanie nas wyprzedzili. Co tam napisali?

– Gazeta zamieściła dokumenty na swojej stronie, wskazując, że wiele z nich zawiera opisy narzędzi służących do łamania haseł i włamywania się do wybranych komputerów. Wśród prezentujących swoje produkty firm można było poznać między innymi ofertę przedsiębiorstwa, którego aplikacje umożliwiają śledzenie tzw. smartfonów dzięki wykorzystaniu dziur w oprogramowaniu urządzeń. Szczególnym zainteresowaniem cieszyły się produkty zwane *massive intercept*, umożliwiające monitorowanie na ogromną skalę. Są one zdolne przetwarzać i śledzić dane

przepływające między dużą liczbą komputerów, w tym danych z połączeń telefonicznych oraz e-maili. Autorzy twierdzą, że istnieje możliwość wychwytywania całej wymiany internetowej, jaka ma miejsce na terenie danego kraju.

Robert odwrócił laptopa w stronę Marca.

– Proszę spojrzeć, tutaj są skany dokumentów.

Marc spojrzał zainteresowany.

– Wyślij mi je, proszę, mailem, przyjrzę się temu, to dobry temat.

Robert ponownie odwrócił komputer w swoją stronę.

– Mam jeszcze jedną ciekawostkę, która może się nie spodobać wielu ludziom. Podobno żywność halal wspiera ugrupowania terrorystyczne. Gdzieś to słyszałem, ale sam nie wiem, ile w tym prawdy. Ponoć część zysków płynących ze stale rosnącego przemysłu halal przekazywana jest ugrupowaniom powiązanym z terroryzmem. Zgodnie z tym doniesieniem mięso halal stanowi coraz większy odsetek spożycia mieszkańców Zachodniej Europy. Dowcip polega na tym, że w cenie produktu klient uiszcza opłatę dla islamskich ekspertów decydujących, czy mięso jest halal. Część z tych ekspertów posiada certyfikat Unii Organizacji Islamskich we Francji, która jest silnie powiązana z Bractwem Muzułmańskim. Według francuskiego dziennikarza Alexandra del Valle prawie sześćdziesiąt procent rynku żywności halal jest kontrolowane przez organizacje należące do Bractwa. Czyż to nie interesujące? Przecież żywność halal to rodzaj pożywienia produkowanego zgodnie z prawem szariatu, po arabsku słowo to oznacza legalny lub dopuszczalny!

Marc zastanawiał się chwilę. Znalezione przez asystenta tematy były interesujące. Ucieszyła go sprawność swojego młodego współpracownika.

– Ten temat trzeba dokładniej zbadać, ale jeśli to prawda, może być z tego niezły skandal. Sprawdź to, proszę, dokładnie. Niedługo porozmawiamy.

Marc wypił resztę kawy i zostawił banknot na stole.

– Zamów sobie coś na mój koszt, ja muszę uciekać na spotkanie. I pracuj dzielnie – uśmiechnął się życzliwie. – Do zobaczenia.

***

Punktualnie o jedenastej Marc był przed drzwiami naczelnego. Ta sama, niczym w powieściach o Bondzie, pracująca od lat sekretarka, z uśmiechem zatrzymała go na chwilę. Zawsze żartowali, kiedy czekał na spotkanie z szefem. Cenił ją za elegancję i uroczy uśmiech, jakim obdarzała gości.

Marc wszedł do gabinetu. Naczelny siedział za biurkiem odwrócony tyłem do drzwi. Z nad fotela unosiła się delikatna smuga dymu. W powietrzu rozchodził się zapach cygara.

– Dzień dobry, jestem, szefie – przywitał się Marc.

– Witaj Marc – naczelny odwrócił się do niego. – Cieszę się, że jesteś. Jak zwykle punktualnie – dodał z uśmiechem.

Nie wstał z fotela. Przyjmował swoich podwładnych, siedząc za biurkiem. Ta lekceważąca wobec odwiedzających go osób postawa łagodzona była jego nienaganną uprzejmością.

– Czy coś się stało? – zapytał Marc.

Naczelny zaciągnął się cygarem.

– Napijesz się czegoś? – zapytał, nie odpowiadając na pytanie swojego gościa.

– Nie, dziękuję. Piłem przed chwilą poranną kawę.

Naczelny wskazał mu miejsce w fotelu naprzeciwko siebie.

– A tak… – uśmiechnął się – ta wasza poranna kawka. Bez niej pewnie poziom artykułów w naszej gazecie nie byłby tak wysoki – zażartował. – Usiądź, proszę – wskazał na fotel stojący przy biurku. Zanim przejdę do sedna sprawy, w jaką chcę cię wprowadzić…

Marc usiadł. Miękki, duży, skórzany fotel był jednym z wielu wypełniających obszerny pokój.

– Chciałem cię prosić, abyś pojechał na pewne niezwykle ważne, jak sądzę, spotkanie.

– Tak… – zainteresował się Marc – dokąd?

– To spotkanie – kontynuował naczelny – ma się odbyć na zamku Hochosterwitz w Austrii. Widzisz… – zawahał się – oficjalnie tego spotkania nie ma.

– Nie ma? – zdziwił się Marc.

– No właśnie, nie ma. Z tego, co do mnie dotarło, to ma być prawdopodobnie spotkanie ministrów spraw zagranicznych Rosji i Stanów Zjednoczonych. Ale wiem… – uśmiechnął się – ze swoich źródeł, że na to spotkanie zaproszono jeszcze kilka osób. Ważnych osób.

– A czy wiemy, czego to tajna randka ma dotyczyć? – zażartował Marc.

– Wiem i nie wiem jednocześnie. A przynajmniej się domyślam. Słyszałeś o problemach z… jakby to powiedzieć… z obcą cywilizacją. Nie śmiej się – zaoponował, widząc minę swojego gościa. – Chciałbym, żebyś dyskretnie przyjrzał się temu spotkaniu. Twoje doświadczenie jest najlepszą rekomendacją, bym właśnie do ciebie zwrócił się z tą sprawą.

– A kiedy ma się to odbyć?

– W piątek wieczorem. Dzisiaj jest wtorek, więc zdążysz się odpowiednio przygotować. Marc – spojrzał na niego – bardzo mi zależy, żebyś wyrobił sobie pogląd na całą tę sprawę.

– Czy jest jeszcze coś, co powinienem wiedzieć? – zapytał rzeczowo Marc.

– Nie, nie sądzę. Chociaż… – naczelny zawahał się – twój wyjazd ma sens o tyle, że masz dostarczyć tam świadka.

Mark zmarszczył brwi w geście zdziwienia.

– Świadka? – zapytał.

– No człowieka, z którym rozmawiałeś wczoraj.

Marc spojrzał na swojego szefa zaskoczony.

– To pan wie? – zapytał.

– Ano wiem – uśmiechnął się. – Spotkałeś się z nim? – spojrzał na niego wnikliwie.

Marc przypomniał sobie przerażenie swojego niedawnego gościa.

– No… – nie wiedział, co odpowiedzieć. – Właściwie… no tak, spotkałem się. Był u mnie, dziwnie wyglądał.

Naczelny wstał. Był niewielkiego wzrostu, jednak pomimo swojej krępej sylwetki i wieku poruszał się sprawnie. Szybko podszedł do dziennikarza. Uścisnął mu rękę.

– Marc, swoje wnioski przekażesz wyłącznie mnie.

– Ależ oczywiście.

– Uważaj na siebie. Ten człowiek będzie na ciebie czekał jutro o piątej rano przed hotelem Marriott. Nie spóźnij się.

– Postaram się. Do widzenia.

Marc wyszedł z gabinetu. Uśmiechnął się do sekretarki.

***

Telefon w mieszkaniu Monik odezwał się subtelnie brzmiącym dzwonkiem.

Monik zajęta była w kuchni dopieszczaniem zrobionego przez siebie leczo, ulubionej potrawy Marca. Lubiła gotować dla swojego mężczyzny. Wychyliła się zza framugi szklanych drzwi. *Ktoś dzwoni? Dobrze słyszałam?* – pomyślała.

Kolejny dzwonek rozwiał jej wątpliwości. Przetarła szybko ręce lnianym ręcznikiem i podbiegła do telefonu.

– Tak? Słucham?

– Witaj, najdroższa – usłyszała w słuchawce bliski sobie głos.

– Marc, jak się cieszę. Kolacja już prawie gotowa. Nie mogę się już doczekać. Przygotowałam coś ekstra. Coś co lubisz. Bardzo tęsknię.

– Ja też. Posłuchaj… Tylko się nie złość. Spóźnię się… Trochę.

– Spóźnisz? – jej głos stracił wcześniejszą radość. – Coś się stało?

– Nic ważnego, nie martw się. Tylko… posłuchaj. Rano poprosił mnie naczelny. Pamiętasz, wspominałem ci wczoraj wieczorem, że miałem się z nim spotkać.

– Tak, tak, pamiętam – potwierdziła Monik. – Spotkałeś się?

– Tak, rozmowa była jak zawsze krótka. Zlecił mi wyjazd. W jego przekonaniu w szczególnie istotnej misji.

– Istotnej misji? Nie słyszałam, by tak się wyrażał.

– Właśnie, byłem trochę zaskoczony. Poprosił mnie o dyskrecję.

– Skoro tak, to już nic nie mów – zażartowała Monik.

– No coś ty – oburzył się Marc – kto, jeśli nie ty może być moim powiernikiem?

– No, zdałeś ten mały egzamin – ucieszyła się – i co? Dokąd mój rycerz tym razem jedzie?

– Rycerz? Chyba jesteś jasnowidzem, aniele. Właśnie rycerz – roześmiał się. – Otóż twój rycerz jedzie na olbrzymie zamczysko robić za podglądacza.

– Za kogo? Za podglądacza? A kogóż to masz podglądać? Księżniczkę zamkniętą w wieży? – żartowała. – A może kochanki króla wymykające się tajemnymi przejściami, których w każdym zamczysku pełno. Wiesz, czuję się trochę zaniepokojona. Jeszcze ci tam jakiś zazdrośnik głowę utnie i co ja biedna zrobię?

– Ty sobie ze mnie nie żartuj – udał oburzenie. – Muszę jechać do Austrii.

– Kochanie, austriackie księżniczki są urocze – dobry humor jej nie opuszczał.

– Żadna nie ma tyle wdzięku, co ty – zadeklarował się jednoznacznie.

– No już dobrze, usprawiedliwiłeś swoje spóźnienie. Powiedz mi, o co chodzi – spoważniała.

– Na pewnym austriackim zamku, jeszcze w tym tygodniu ma się odbyć niejawne spotkanie szczególnie ważnych reprezentantów światowych mocarstw. Podobno w obecności jakichś ważnych gości. Spotkanie, mówiąc krótko, ma dotyczyć kontaktów z obcą cywilizacją. Mam dowieźć tam swojego rozmówcę, człowieka, który podobno był świadkiem jakichś dziwnych wydarzeń i jakimś cudem wylądował u mnie. Dziwne jest to, że bał się, iż jego wizyta zostanie przez kogoś zauważona – przerwał. – A tu wyzywa mnie w tej sprawie naczelny. Jak ci się to podoba?

Monik złapała oddech.

– Faktycznie szczególna misja, zważywszy, że jak wnioskuję, nikt ze świata mediów nie został tam zaproszony?

– Przynajmniej żaden z dziennikarzy.

– Właśnie o tym myślałam – poprawiła się. – Trochę ci współczuję, nie jesteś typem podglądacza i, jak cię znam, już się źle czujesz w tej roli. Ale wiesz, Marc… Nie wysyłałby cię, gdyby nie wiedział, że to coś szczególnie ważnego. Ja bym mu zaufała i spojrzała na twoją misję łaskawiej.

– Tak sądzisz? – zadumał się. – Może masz rację. W każdym razie pocieszyłaś mnie. Nienajlepiej się poczułem. Jak praktykant, który ma podglądać randkę księżniczki w hotelu, będącą tajemnicą tylko dla niej samej.

– Wiem kochanie, ale zaufaj mi. Wiesz, że na ogół mam rację – dodała kokieteryjnie.

– Jakoś tak dziwnie się dzieje – roześmiał się szczerze. – Skoro tak i skoro zostało mi już wybaczone spóźnienie, to zabieram się do przygotowywania wyjazdu. Jeżeli pozwolisz, oczywiście.

– Ależ naturalnie, pamiętaj tylko…

– Tak najdroższa? – zapytał.

– Pamiętaj, że leczo jest najlepsze zawsze na krótko po jego przygotowaniu.

Pożegnali się. Wróciła do kuchni.

Monik westchnęła. Nie bardzo wiedziała, jak przeżyje te kilka dni bez Marca. Bardzo się do niego przyzwyczaiła.

***

Idący środkiem ulicy mężczyzna przyspieszył kroku. Pot spływał cieniutką strugą po jego rozpalonej twarzy. Bał się. Od miesięcy rozglądał się nerwowo dookoła siebie, mając przeczucie, że ktoś go śledzi. Ta myśl stała się jego obsesją. Wstając rano, spoglądał nerwowo przez okno, dyskretnie odsłaniając firankę. Próbował dostrzec, czy przed domem nie stoi obcy samochód. Wracając wieczorem, najczęściej korzystał z taksówki i wypytywał taksówkarza o szczegóły jego pracy, by mógł przekonać się, że ma do czynienia z prawdziwym taksówkarzem. Wysiadając, rzucał kilka słów do kierowcy, by taksówka postała pod jego domem jeszcze kilka chwil.

Od czasu, kiedy został wmieszany w tę historię, jego życie zmieniło się w prawdziwy koszmar. Przekonany, że ktoś może go w każdej chwili uprowadzić, codziennie przeszukiwał kilkanaście gazet i dziesiątki stron internetowych, szukając informacji o ludziach, którzy zniknęli. Wiedział już, że takie rzeczy zdarzają się od setek lat. Obsesyjnie włączał te tajemnicze historie w swoje wykłady, przytaczając studentom coraz liczniejsze przykłady czegoś, czego nikt nie potrafił racjonalnie wytłumaczyć. Opowiadał, jak w listopadzie 1930 roku traper Joe Labell, odwiedzając zaprzyjaźnioną wioskę Eskimosów w północnej Kanadzie, zastał tam jedynie opuszczone domostwa. Nie było w niej nawet domowych zwierząt. Pozostawione narzędzia codziennego użytku leżały tak, jakby przed chwilą ktoś, komu przerwano pracę, ich używał. Jakby został gwałtownie od swoich zajęć oderwany. Jednak nie odnaleziono ani śladów rzezi, ani nagłej ucieczki. Wezwana na miejsce zdarzenia policja niczego nie odkryła. Nie postawiła żadnej hipotezy. Tropiciele również nie

odnaleźli żadnych śladów, które odpowiedziałyby na pytanie, co się wydarzyło w małej wiosce. Do dzisiaj ta sprawa nie została wyjaśniona.

Szokował słuchających go młodych ludzi nie tylko pojedynczymi zniknięciami, kojarzącymi się z ucieczką czy porwaniem, ale podawał przykłady, gdy tysiące osób ginęło nagle, w niewyjaśnionych okolicznościach. Przytoczył historię, która mówiła, iż podczas II wojny światowej chiński pułkownik Li Fu Sien, wraz z ponad trzema tysiącami żołnierzy, dostał rozkaz zatrzymania japońskich wojsk szturmujących Nankin. Zajęli swoje pozycje dwadzieścia pięć kilometrów od Nankinu. Następnego dnia przez telefony polowe pułkownikowi nie udało się w kwaterze głównej połączyć z dowódcami liniowymi. W końcu po postawieniu wszystkich na nogi, okazało się, że w nocy zaginęło 2988 żołnierzy. Pozostał tylko 113-osobowy oddział broniący mostu. Zaginionych nie widzieli nawet strażnicy. Nigdy więcej się nie odezwali. Nikt też niczego podejrzanego nie dostrzegł.

Zaszokowani studenci nie mogli uwierzyć, że podczas wojny w Hiszpanii liczący 4000 żołnierzy oddział zniknął po wejściu za wzgórze. Wielu ludzi z innych jednostek widziało, jak ukryli się za górami. Nigdy więcej nikt ich nie widział. Nigdy stamtąd nie powrócili.

W swych poszukiwaniach sięgał coraz dalej w mroczną historię cywilizacji. Wiedział już, że w 1858 roku w Indochinach 650 żołnierzy francuskich zniknęło wraz z ekwipunkiem podczas marszu do Sajgonu. Doszukał się historii ze 114 roku naszej ery, kiedy to po wyruszeniu z Brigantii zaginął IX legion rzymski liczący 6000 żołnierzy.

Hamburg, w którym przebywał od kilku dni, kojarzył mu się z niezwykłą historią szkunera J.C. Cousins. W październiku 1883 roku zacumował on w pobliżu Fort Stevens. Statek dowodzony przez kapitana H.A. Zeibera czekał na odpływ. O godzinie siedemnastej statek ruszył w kierunku holownika Mary Taylor. Jego pozycja była znakomicie widoczna z brzegu. W pewnej chwili J.C. Cousins wykonał nagły

zwrot w kierunku mielizn i ławic. Poruszał się nieracjonalnie, coraz szybciej. Nie próbował wykonać żadnego innego manewru. Zatrzymał się na ławicy Clatsop Spit. Nikt nie wzywał pomocy. Nikt nie opuścił pokładu. Ekipa ratunkowa po wejściu na pokład nie zastała żywej duszy. Jedzenie w kuchni było jeszcze ciepłe, a w popielniczce żarzyło się cygaro. Tak jakby ktoś, kto je palił, odłożył je przed chwilą. Nikt nie wyjaśnił tej historii.

Przyspieszył kroku. Wytarł nerwowo spocone ręce w sztruksowe spodnie. Poprawił obsuwające się okulary. Jego strach spotęgowała przypływająca od strony portu mgła. Unosiła się coraz wyżej. Rozglądał się nerwowo dookoła. Myślał o tym, że najczęściej ludzie znikali pod osłoną mgły, w tworach podobnych do chmur.

Biegł niemalże przez wąską, ciemną uliczkę. Chciał jak najszybciej znaleźć się w swoim pokoju. Wynajął mały apartament niedaleko portu. Był tani, a przy tym dosyć schludny. Nie lubił tracić pieniędzy na hotele. Starannie wyszukiwał kwatery w Internecie. Pozwalało mu to zaoszczędzić kilka dolarów z pieniędzy uczelni przeznaczonych na służbowe podróże. Na śniadanie jadał zawsze grzankę z tym samym zielonym, agrestowym dżemem. Popijał ją na ogół niedobrą, cienką kawą.

Nagle zatrzymał się. Wytężył słuch. Wydawało mu się, że usłyszał za sobą narastający szum. To nie był odgłos zbliżającego się samochodu. Nie potrafił rozpoznać tego dźwięku. Poczuł na skórze delikatną wibrację. Stawała się coraz silniejsza.

Rzucił się do ucieczki.

Nerwy, od miesięcy napięte do granic możliwości, wyrzuciły jego ciało z miejsca, w którym stał, jak z katapulty. Potykając się o wystające z ulicy brukowe kostki, biegł, oglądając się momentami za siebie. Ale nikogo nie dostrzegał. Fakt ten zamiast go uspokajać, powodował w nim coś wręcz przeciwnego. Widząc za sobą pustkę i czując jednocześnie tajemnicze, silne drżenie na swoim ciele, umierał ze strachu.

Dom, w którym zamieszkał, był coraz bliżej. Biegnąc, mijał ciemne okna, których większość zamykały szczelnie czarne o tej porze okiennice. Szukał wzrokiem światła. Nadziei na schronienie. Baru lub restauracji, w której będą przebywać ludzie.

Noc była dla niego niełaskawa. Dookoła panowała pustka. Towarzyszącą jej ciszę przerywał jedynie dźwięk uderzających o bruk butów biegnącego mężczyzny. I jeszcze coś… narastający, coraz głośniejszy szum. Mieszał się z wypełniającą uliczkę mgłą. Dodawał jej niezwykłej, przerażającej oprawy.

Mężczyzna z oddali dostrzegł drzwi, których szukał. Biegł resztkami sił. Potykał się coraz częściej.

Dobiegając, wyciągnął rękę w kierunku dużej, lśniącej klamki. Jego serce wyrywało się z ciała. Dobiegł. Był bezpieczny. Złapał za klamkę.

Nagle przez uliczkę, świadka tych dramatycznych wydarzeń, przeszedł ogromny huk. Trwał moment. Krócej niż sekundę.

Człowiek stojący przed drzwiami zniknął.

Nie wiadomo tylko, czy za drzwiami swojego schronienia, czy też nigdy się za nimi nie znalazł.

***

Marc spojrzał na zegarek. Dochodziła szósta. Siedział w zaparkowanym przed hotelem samochodzie. Rozglądał się nerwowo.

Umówiony z nim człowiek nie pojawił się.

MARZENA TOKARSKA

KOBIETA, KTÓRĄ NIGDY NIE BĘDĘ

– Panie Marku, niech pan spojrzy, są z ostatniej kolekcji, niezłe, prawda?

– Zobaczmy… Sam się nad nimi zastanawiałem, mogę przymierzyć?

– Jasne, oczywiście, proszę, naprawdę pasują na lato, nie uważa pan?

– Faktycznie bardzo ładne. Pani Kasiu, a na kiedy my się umawiamy? Za miesiąc panią zapisać, prawda?

– Oczywiście, za miesiąc, pan Tomek jak zwykle pamięta, co robić z moimi włosami, prawda, panie Tomku?

„O czym oni w ogóle rozmawiają?" – zaczęła się zastanawiać Maria. Starając się być dyskretną, podniosła wzrok znad gazety i zorientowała się, że przedmiotem ożywionej dyskusji pana Marka z panią Kasią były… okulary przeciwsłoneczne, które mężczyzna oglądał ze skupieniem graniczącym wręcz z nabożeństwem. Gdy Maria usłyszała wymienioną w rozmowie cenę, nie wiedziała czy się uśmiechnąć, czy prychnąć z oburzeniem. Nie pamiętała, żeby kiedykolwiek wydała taką kwotę na ciuch dla siebie, a co dopiero na okulary przeciwsłoneczne! Tyle hałasu o takie coś!

„A tak poza tym, gdzie ja jestem? Co ja w ogóle robię? Co mnie podkusiło, żeby chcieć się strzyc w takim miejscu? Dobrze, że udało mi się dostać do jedynej kobiety, wszyscy faceci w tym miejscu to pewnie geje, ja tutaj kompletnie nie pasuję". Czekając na swoją kolejkę, przyjrzała się jeszcze raz pani Kasi.

„Tak, następna w kolekcji" – pomyślała. – „Kolekcji pod tytułem *Kobieta, którą nigdy nie będę*. Zrobiona od stóp do głów, dobrze sytuowana, dbająca o siebie, chyba nawet starsza ode mnie, a wygląda dużo lepiej. Perfekcyjna od stóp do głów. Świetna

figura, idealny makijaż, markowe buty oraz zrobiony właśnie świetlisty balejaż. No i te nieszczęsne okulary, za cenę których ja ubrałabym się od stóp do głów. Ona na pewno umie sobie radzić w życiu. I w przeciwieństwie do mnie, czuje się lepsza od innych" – Maria westchnęła ciężko i podeszła do fotela, przy którym usłużnie uśmiechnięta dziewczyna czekała już, żeby umyć jej głowę.

Kobiety, którymi nigdy nie będzie, towarzyszyły jej chyba od zawsze. A na pewno od momentu, gdy zaczęło dla niej mieć znaczenie, jaką chce się stać. Żeby tylko jej się to udawało. Nigdy nie była taka jak te, którymi tak bardzo chciała być. Ani tak szczupła. Ani tak wyszczekana. W podstawówce po każdej kłótni z chłopakiem wpadała na tysiąc możliwych zjadliwych komentarzy, jakimi mogła go uraczyć, tylko nieco za późno. Nie stała się tą, której nikt (czytaj: żaden chłopak) nie podskoczy, ani też tą, która jest tak delikatna i nieporadna, że chłopcy wręcz marzą o tym, żeby się nią zaopiekować. Była po prostu… przeciętna. Potem spotkała Mateusza. Spokojnego, zwyczajnego chłopaka. Dającego poczucie bezpieczeństwa. Również… przeciętnego. Wyszła za niego. Dochowali się dwójki fajnych dzieci. Tylko ta przeciętność wiecznie jej ciążyła i może dlatego zbyt dużo czasu spędzała, przyglądając się kobietom, którymi nigdy nie będzie.

Wracała do domu.

„Mimo wszystko te wizyty u fryzjera są fajne" – pomyślała. – „Gdybym była zgryźliwa wobec samej siebie, powiedziałabym, że to jak lizanie luksusu przez szybę, wchodzę tam i przez godzinę udaję kogoś innego, kto ma większe poczucie własnej wartości, więcej pieniędzy, kto jest pewny siebie i żąda właściwej obsługi. A gdybym była wobec siebie bardziej stanowcza, powiedziałabym, że przecież mi się to należy, za tyle lat wysługi małżeńskiej i macierzyńskiej mogę od czasu do czasu poczuć się kimś lepszym?".

Miała jeszcze trochę czasu. Powiedziała Mateuszowi, że wróci za dwie godziny. Tylko się uśmiechnął i przytulił ją, mówiąc, że oczywiście, on pobędzie z dziećmi, ona nie musi się śpieszyć.

„Dobry, wyrozumiały… – nudny?". Kiedy myślała o Mateuszu, o swoim małżeństwie, znowu przychodziła jej do głowy kolejna postać kobiety, którą nigdy nie będzie. Nie jest – i nie będzie – tą, o którą walczono. Mateusz nigdy nie odważył się na szaleńcze dowody miłości, był na to zbyt pragmatyczny i powściągliwy. „Ponieważ jestem przeciętna, wyszłam za przeciętnego faceta, nie ma się co oszukiwać" – myślała. A jaką kobietą chciała być w małżeństwie? Och – taką, za którą mąż dałby się pokroić. Której uczuć nie byłby pewien, więc w tej niepewności wiecznie by ją zdobywał czułymi słówkami, drogimi prezentami, która byłaby górą w ich związku. *Femme fatale* po prostu. Używającą swojej władzy nad mężczyznami perfekcyjnie i z premedytacją.

„Ech, po prostu za dużo myślę" – pomyślała i usiadła na ławce w parku. Nagle mignęła jej znajoma twarz. – „Czy to nie kolejna kobieta, którą nigdy nie będę? Rany boskie, zwariuję zaraz od tych kobiet, niech to szlag trafi" – zdenerwowała się. W przechodzącej kobiecie było ewidentnie coś znajomego.

„To ona" – westchnęła Maria. Ta, której obraz prześladował ją po każdej wizycie z córką na lekcji gitary. Obok przechodziła właśnie ekomama z niemowlakiem w chuście. Jak zawsze łagodnie uśmiechnięta. Ubrana starannie, w stonowane, ale perfekcyjnie dobrane kolorystycznie ciuchy. Dziecko oczywiście spało. Ekomama miała długie, splecione w warkocz włosy, łagodny uśmiech i spokojny, pełen pewności krok.

„Kolejna kobieta, którą nigdy nie będę. Pełna mądrej pewności siebie, na pewno nigdy nie krzyczy na swoje dzieci, uśmiecha się do nich łagodnie, gdy grzecznie układają drewniane klocki i z pewnością zdrowo gotuje. Jej dzieci zapewne nie znają

smaku coca-coli, nie jedzą serków ze wzmacniaczami smaku, a na stole codziennie mają pyszne obiady, które zjadają ze smakiem (i pewnie jeszcze lubią warzywa!). Nie znoszę tych wyrzutów sumienia, które powoduje we mnie jej widok. Nie znoszę siebie za podejrzliwe szukanie w niej czegoś, do czego mogłabym się przyczepić. Na pewno coś takiego jest! W takim razie, czemu więc wygląda na tak pogodzoną ze sobą, zbyt ugładzoną, zbyt idealną? Nie wytrzymam. Zabierzcie ode mnie te wszystkie kobiety! Dlaczego nie mogę po prostu być sobą i polubić siebie taką, jaką jestem" – krzyczała w myślach Maria. Zamknęła oczy, chcąc gdzieś odpłynąć, zapomnieć, odstresować się.

– Przepraszam, czy można się dosiąść? – usłyszała nagle pytanie wypowiedziane spokojnym i miłym głosem. Obok niej stał starszy pan w kapeluszu i znoszonym, ale czystym płaszczu, uśmiechając się do niej pytająco.

– Ależ proszę, nie ma sprawy – odpowiedziała Maria i przesunęła się nieco.

– Przemiła kobieta, prawda? – zagadnął pan, wskazując wzrokiem na oddalającą się ekomamę.

– Hmm… pewnie tak – mruknęła Maria, speszona nieco faktem, że wskazuje na kobietę, o której przed chwilą tak niełądnie myślała.

– Nie jestem pewien, czy faktycznie codziennie gotuje te obiady – powiedział starszy pan.

– Słucham? – prawie krzyknęła Maria, przestraszona tym, co powiedział, oraz świadomością, że on wie więcej, niż to możliwe.

– Wydaje mi się, że widziałem ją kilka razy kupującą mrożonki. I wiesz – nachylił się do niej, tak jakby to, co zaraz powie, było czymś wstydliwym albo jakby zdradzał wielką tajemnicę – zdarza jej się chodzić z dziećmi do McDonald's. – W tym momencie zobaczyła, że kąciki jego oczu marszczą się od ciepłego uśmiechu, wypływającego na twarz. Było w nim tyle sympatii… Zanim się zorientowała, ona również rozjaśniła się, odczuwając przyjazne nastawienie i akceptację starszego pana.

„Zaraz, zaraz, co się tutaj dzieje? Siedzę z obcym dziadkiem na ławce i uśmiecham się do niego" – skonstatowała, szukając w sobie Marii, z którą czuła się bezpiecznie – zdystansowanej, napiętej, starającej się wszystkich zadowolić.

– Rozumiem, że się trochę obawiasz – powiedział starszy pan. – Przecież mało się znamy. Niestety… – westchnął ze smutkiem. – Co powinienem teraz powiedzieć, zaraz, zaraz – popatrzył w niebo, jakby tam szukał natchnienia. – Wiem! Zazwyczaj wtedy mówię „nie bój się" – powiedział z ulgą.

– Kiedy pan mówi „nie bój się"? – zapytała zdezorientowana.

– Wtedy, gdy zaczynam rozmawiać z ludźmi – dobrze, że sobie przypomniałem, uśmiechnął się staruszek.

„Nic a nic nie rozumiem" – pomyślała Maria. – „Trzeba skończyć tę rozmowę, bo robi się coraz bardziej dziwna i zbierać się do domu".

– Spokojnie, niedługo wszystko ci się poukłada. A tak nawiasem mówiąc, naprawdę nie musisz się śpieszyć, Mateusz i dzieci świetnie się bawią – dodał.

„Ja zwariuję, skąd ten dziadek zna moje myśli!" – zastanawiała się.

– Hmm, powiedzmy, że tak już mam – uśmiechnął się. Ale, ale, zapomniałem się przedstawić. Jestem… Jakby ci to powiedzieć… Powiedzmy, że nazywam się B.

„B jak Bardzo Tajemniczy" – pomyślała.

– Raczej B jak Bardzo Zdeterminowany, żeby wpływać na bieg spraw tutaj – uśmiechnął się.

– Aha – przytaknęła, już nie próbując rozumieć. Ale dawna zasadnicza Maria w niej nie chciała odpuścić i żachnęła się. – A od kiedy to my właściwie jesteśmy na „ty"? – zezłościła się.

– Masz rację, to znaczy ma pani rację, nikt czegoś takiego nie proponował. Jeśli będzie się pani czuła bezpieczniej, pozostańmy na oficjalnym gruncie. Chociaż… – westchnął, jakby do swoich myśli.

– Tak, ja stanowczo wolę pozostać na gruncie oficjalnym – powiedziała Maria.

– To jak, jesteś… ooo, przepraszam bardzo. Czy jest pani gotowa?

– Gotowa na co?

– Na podróż! – uśmiechnął się radośnie.

– Ale dokąd?

– Podróż w głąb ludzkiego umysłu, oto, co pani proponuję!

„No pięknie, nie dość, że rozmawiam poufale z podejrzanym starszym człowiekiem, to teraz okazuje się, że proponuje mi narkotyki. Świat całkiem zwariował".

– Zaraz, zaraz, niczego takiego nie miałem na myśli. To, że sprawy nie są takie, jakimi je sobie wyobrażaliśmy, wcale nie musi oznaczać, że nie są prawdziwe. To, że rozmawia pani teraz ze mną wcale nie musi oznaczać, że postradała pani rozum – uśmiechnął się. – A ja wcale nie chcę pani zaproponować narkotyków. Chcę raczej… – przerwał, jakby szukał właściwych słów. – Tak naprawdę chcę pani pomóc!

– Czy ja wyglądam na taką, która potrzebuje pomocy? – burknęła opryskliwie Maria, coraz bardziej wytrącona z równowagi.

– Gdybym miał być szczery… to tak – powiedział łagodnie B.

„Ta rozmowa stanowczo za szybko zbacza na tematy, w które nie zapuszczam się zbyt często" – pomyślała. – „Może lepiej się wycofać?".

– A w jakiż to sposób podróż w głąb ludzkiego umysłu miałaby mi pomóc? Czy proponuje mi pan ekspresową psychoterapię w pięknych okolicznościach przyrody? – zapytała kąśliwie.

– Niezupełnie. Bo ta podróż nie będzie dotyczyła pani umysłu. Przynajmniej nie od razu.

„Nie rozumiem! Nie rozumiem!" – krzyczały myśli Marii.

– Bardzo panią proszę o odrobinę zaufania. Czy mogłaby pani ściszyć nieco głos umysłu w swojej głowie i posłuchać serca? Wiem, że nie nawykła pani do tego. Ale warto spróbować. Proszę…

„Co mówi moje serce? Czy ono w ogóle coś mówi?" – gorączkowała się Maria, starając się opanować narastającą panikę. – „Co ja robię? Czy zamierzam właśnie uchylić nieco skorupę przed zupełnie obcą osobą?".

– Wiem, że to dziwnie brzmi, ale znam panią od dawna. Dlatego chcę pomóc. Niech się pani skoncentruje. I odważy. Co mówi serce?

– Zaufaj… – powiedziała ledwo dosłyszalnie, dziwiąc się swoim słowom. Zaufanie – tego słowa nie używała. Tego się bała.

– Dokładnie o to mi chodzi. O odrobinę zaufania – powiedział delikatnie.

„Dlaczego tym razem miałabym postąpić inaczej? Zdecydować się na coś bez długiego analizowania? Bo ten człowiek w dziwny sposób intryguje i sprawia wrażenie, że wie o mnie przynajmniej tyle, ile ja sama, albo i więcej? Bo po prostu nie mam czasu do stracenia? Czy nie powinnam skorzystać z tej szansy i porozmawiać, może nie spotkam go nigdy więcej? A jeśli ta rozmowa pomoże mi zająć się sobą nie tylko poprzez chodzenie do fryzjera, ale przez przyjrzenie się swojemu wnętrzu? Jestem już zmęczona uciekaniem przed swoimi myślami".

– Cóż, nie ufam łatwo, szczególnie obcym osobom.

– Ale tym razem chce pani dla mnie zrobić wyjątek, tak? – uśmiechnął się.

– Jak to mówią, lepiej spróbować i żałować, niż żałować, że się nie spróbowało – odwzajemniła uśmiech.

Westchnął z wyraźną ulgą.

– W takim razie proszę tylko zamknąć oczy i wytężyć słuch.

Zrobiła, o co poprosił i ze zdumieniem oraz fascynacją stwierdziła, że widzi znajomą twarz. Była to twarz kobiety widywanej w szkole jej dzieci, którą spotykała codziennie w szatni.

„Mama Barbie" – tak ją nazywała w myślach. – „Jak się na nie pogardliwie mówi? Ach, tak – blachary. Kobiety lubiące solarium i piękne samochody. Oraz odpowiednią ilość pieniędzy. Najlepiej wystarczająco dużą, żeby się ubrać tak, jak

dyktują gazety. Żeby zwrócić uwagę na swoje ciało. Niezależnie od wieku. Od tego, czy ma się dzieci. O nie" – zauważyła z zawstydzeniem – „znowu wkraczam na znajomy grząski grunt porównywania się".

– Kolejna kobieta, którą nigdy nie będę, prawda? – zapytał B.

– Tak, ale to jest podgrupa „… i którą nigdy nie chciałabym być!" – odpowiedziała Maria.

– Może słusznie – dodał.

Obraz mamy Barbie zaostrzał się i Maria zorientowała się, że kobieta wraca ze szkoły. Tylko… znikł gdzieś jej uśmiech. Widać było, że zastanawia się nad czymś, a jej myśli nie są przyjemne. Widziała, jak mama Barbie wraca do domu (zwykły wieżowiec), zdejmuje płaszcz oraz białe kozaczki (obiekt wiecznej pogardy Marii) i siada przy stole z ciężkim westchnieniem.

Czy moje życie musi tak wyglądać? A może da się inaczej? Czy jestem tylko swoim ciałem?

– O Boże – przeraziła się Maria. – Czy ja przez przypadek jednak czegoś nie zażyłam? Słyszę jej myśli!

– Słucham? – powiedział B. – Czy pani coś mówiła?

Powinnam się jakoś z tego wyrwać. Zarabiać w inny sposób. Gdzieś kiedyś słyszałam o takiej stronie internetowej, jak to było… może kiedyś odważę się tam wejść, znaleźć kontakt i napisać… Ale nie, co z moimi klientami… nie dadzą o sobie zapomnieć! Co z Bartkiem? Czy kiedykolwiek znajdę w sobie siłę, żeby mu powiedzieć? Co zrobi, gdy dowie się, dlaczego tak często musi sam zostawać na noc? Gdy dowie się, skąd jego mama bierze pieniądze na gry komputerowe, wakacje, podręczniki?

– Kim ona jest? – zapytała Maria.

– A jak pani myśli? – powiedział ze smutkiem.

– Nie wierzę. To niemożliwe. Moje dziecko chodzi z synem kogoś takiego do

jednej szkoły! – oburzyła się.

– Czy nie może pani przestać osądzać innych i ich motywacji? I chociaż spróbować założyć, że ludzie inni niż pani również mają serce?

– Przepraszam… – zawstydziła się Maria. I wtedy zdała sobie sprawę, że mama Barbie bardzo chce zmiany. Ale trudno jej znaleźć w sobie siłę. Zrobiło się jej strasznie żal tej kobiety. Z całego serca chciała życzyć jej odwagi do tak drastycznej zmiany życia.

Boże, jesteś tam? Jeśli jesteś, pomóż mi! – usłyszała pełen bólu szloch mamy Barbie i jej prośbę wyszeptaną we łzach.

– Myślę, że to się da zrobić – rzekł B.

– Da się zrobić co? – spojrzała na niego z nadzieją.

– Pomóc jej.

– Ale przecież ona coś tam mówiła do Boga… chyba… Jak chce pan to zrobić? – zdumiała się.

Nie zdążył odpowiedzieć, bo jej uwagę przyciągnęła kolejna postać, której obraz bardziej się wyostrzał, a myśli stawały się lepiej słyszalne. „To pani Kasia z salonu fryzjerskiego. Widziałam ją jeszcze przed chwilą! To ta od okularów!" – zdała sobie sprawę Maria.

– A tą kobietą bardzo chciałaby pani być, tak? – raczej stwierdził, niż zapytał B.

– Oczywiście. Kto nie chciałby być tak zadbany i mieć tyle kasy, co ona? Emanuje pewnością siebie i twardo stoi na ziemi. Na pewno nie ma kompleksów – odpowiedziała.

– Posłuchajmy więc – powiedział.

Nieźle się ustawiłam, bez dwóch zdań. Małżeństwo z Jurkiem było trochę z rozsądku, fakt, ale przecież trzeba umieć o siebie zadbać, prawda? I czego ja się właściwie czepiam, co z tego, że on często wyjeżdża, co z tego, że pewnie kogoś ma, grunt to nie myśleć za wiele i nie dać się. Nie będzie mi tutaj jakiś zadufany facecik

próbował wywrócić życia do góry nogami tylko dlatego, że ma większe potrzeby niż ja. Niech je sobie realizuje, gdzie chce i da mi tylko święty spokój. I kasę oczywiście. Firma ma się dobrze, dzieci mają się – chyba – dobrze, więc ja też muszę. Może powinnam jednak rozważyć zatrudnienie dorywczo jakiejś pani pedagog? Tak, by na bieżąco mogły z nią rozwiązywać swoje problemy, wyżalić się, uzyskać fachową pomoc…

Maria nie mogła uwierzyć w to, co słyszała. „Czy ta kobieta nie może stanąć twarzą w twarz z prawdą o jej życiu i spróbować coś z tym zrobić?".

Kto powiedział, że matka musi dobrze znać swoje dzieci? Albo że żona musi chcieć rozmawiać ze swoim mężem? O czym mielibyśmy mówić? Czy kogoś ma? Żebym się jeszcze o tym tak oficjalnie dowiedziała? Nie ma co się przejmować wątpliwościami. Trzeba unieść głowę wysoko do góry i znać swoją wartość! Nie będę, jak moja szanowna mamusia, poddana i upokarzana przez faceta, o nie! Szkoda nerwów i ciężko wypracowanej urody, ot co! W życiu osobistym, tak jak w zawodowym, liczą się inwestycje. A moje małżeństwo nadal przynosi większe zyski niż straty. Która to godzina? A, dopiero jedenasta, mam jeszcze trochę czasu zanim niania przywiezie dzieciaki ze szkoły… hmmm – zakupy, czy może wreszcie odważę się zadzwonić do Marka, tego przystojnego trenera z fitness klubu? Inne panie bardzo polecały jego dodatkowe „usługi", hi, hi. Może trzeba się odważyć, nie mogę być w końcu gorsza niż Jurek! Skoro on nie korzysta z tego, co ma pod nosem, nie mogę pozwolić, żeby moje „zasoby" fizyczne tak się marnowały. Gdzie ja włożyłam ten telefon…

Maria aż się wzdrygnęła. Ileż udawania i zakłamania było w kobiecie, którą tak podziwiała i tak jej zazdrościła… Ile bólu, skrywanego pod wystudiowaną maską twardej, niezależnej osoby. Ogarnął ją smutek.

– Nie wszystko złoto, co się świeci, tak? – spojrzała na pana B. Wstał z ławki i nerwowym krokiem przechadzał się tam i z powrotem.

– Tyle razy próbowałem z nią rozmawiać! Ale nie chce słuchać.

– Ona chyba też potrzebuje pomocy? – zapytała Maria.

– Niestety, nie da się pomóc komuś, kto tak uparcie udaje, że jest mu lepiej niż w rzeczywistości. Kto nie chce poprosić o pomoc albo odrzuca wyciągniętą rękę. Bo widzi pani, ja jestem trochę starej daty. Jestem dżentelmenem, nie narzucam się.

– Nie narzuca się pan kobietom? – zapytała Maria.

– Nie tylko… – dodał zamyślony – mężczyznom również…

– Słucham? – to już wydało się jej kompletnie pokręcone.

– Spokojnie, to nie jest tak, jak pani myśli – zaśmiał się. – Wytłumaczę potem. Właściwie myślę, że sama pani do tego dojdzie.

– Ale… – próbowała dociekać Maria, jednak tym razem to ona nie dokończyła, zaskoczona kolejną postacią, którą zobaczyła i usłyszała.

„Skąd ja znam tę panią? Aha, już wiem. Mijam ją codziennie, gdy wracam po odprowadzeniu dzieci do szkoły, tak, to na pewno ona. Poznaję ten znoszony niemodny żakiet i uczesanie sprzed lat. Mogłaby o siebie bardziej zadbać, naprawdę! A potem takie dziwią się, że mężowie znajdują więcej czasu dla innych kobiet!" – Nagle zobaczyła, że zaniedbana kobieta wchodzi do starej, odrapanej kamienicy.

Ubranka dla tych spod piątki i muszę dopytać się, co z tym wózkiem dla Basi. Może ta miła pani, u której sprzątałam ostatnio, jednak zdecyduje się i odda bliźniaczy wózek, zamiast go sprzedać. Żeby tylko się udało. Basia tak bardzo potrzebuje wózka, nie daje rady wozić jednego i nosić drugiego dziecka… O czym ja jeszcze miałam pamiętać… aha! Kupić kurczaka i warzywa, ugotować coś dla tej babci – rany boskie, kobiecina nie jadła nic porządnego chyba od kilku dni. A musi jeść, jeśli ma wykaraskać się z tego przeziębienia. No i jeszcze wizyta u księdza – może mają jeszcze jakieś lekarstwa z darów… I wreszcie… pomodlić się, żeby mój Wiesiek znalazł wreszcie pracę. I żeby nie zaczął znowu myśleć o popijaniu, tak długo udaje mu się żyć w trzeźwości, dzięki Bogu. Uda się, musi się udać. Jak nic,

trzeba albo dać na mszę, albo może na jakąś pielgrzymkę go wysłać, może to mu pomoże?

„O jejku, ta ludowa pobożność, dałaby sobie spokój" – nie mogła powstrzymać się Maria. Jednak zaraz zawstydziła się swojego komentarza. Jak szybko wyrobiła sobie zdanie o tej kobiecie! Nie znała jej, ot, mijały się na ulicy. Maria jednak szybko stworzyła sobie odpowiedni obraz i karmiła się tym wyobrażeniem, czując się dużo lepszą od tej szarej myszki. Tymczasem okazuje się, że niejednego mogłaby się od niej nauczyć. Choćby niemyślenia cały czas tylko o sobie…

– Wie pani, ona tak właśnie szuka Boga… – powiedział pan B.

– Tak pan myśli?

– Ja to wiem.

– Skąd pan wie, co ona tak naprawdę myśli o Bogu?

– Powiedzmy, że swędzą mnie wtedy uszy – uśmiechnął się szelmowsko.

– Przepraszam bardzo, ale to już chyba przesada! – zgłupiała Maria.

– Może wróćmy jednak do tej kobiety. Mario, chciałaby pani się z nią zamienić?

– Sama nie wiem… jeszcze kilka minut temu powiedziałabym, że na pewno nie. To jest kobieta, którą nigdy nie będę, bo nie chcę być. Ale jest w niej coś niesamowitego. Jest zupełnie inna, niż myślałam… Chciałabym troszczyć się o innych tak bezinteresownie.

– Miałem nosa, jak zwykle zresztą – powiedział B. – Wiedziałem, że muszę się z panią spotkać. Ta maska obojętności i kontroli nie trzyma się pani zbyt mocno. Nie straciła pani serca, to na pewno. Jak miło to widzieć…

– Proszę pana, ja robię się już zmęczona tym podsłuchiwaniem innych. Nie bardzo wiem, po co to wszystko?

– Proszę wytrzymać, jeszcze tylko kilka osób – poprosił.

– No dobrze, ale wytłumaczy mi pan potem, o co w tym wszystkim chodzi?

– Ci, którzy chcą ze mną rozmawiać, zazwyczaj są mądrzejsi, niż się im wydaje.

Sama pani zrozumie, proszę mi tylko zaufać – uśmiechnął się.

– W zaufaniu nie jestem dobra.

– Ale ćwiczenie czyni mistrza, prawda?

Wtedy zobaczyła kolejną postać. Choć widziała ją od tyłu, od razu poznała warkocz oraz chustę, w której tamta zawsze nosiła niemowlę. Teraz było tak samo, ekomama uspokajała malucha, szepcząc coś do niego. Ale zaraz, zaraz… tym razem Maria mogła zobaczyć wyraźniej twarz dziewczynki i to, co ujrzała, wstrząsnęło jej matczynym sercem. „Mam dwoje dzieci" – myślała. – „Jesteśmy z nich z Mateuszem tacy dumni. Ale pamiętam, dobrze pamiętam strach po urodzeniu Maćka, obawy, że będzie niepełnosprawny, bezduszne komunikaty lekarzy, przecież urodził się dużo za wcześnie. Zawsze sobie powtarzałam, że wszystko, tylko nie niepełnosprawne dziecko, że tego nie zniosę, nie dam rady".

Twarz dziecka ekomamy była twarzyczką dziecka upośledzonego umysłowo. Było to widać na pierwszy rzut oka, lekko wykrzywiona szczęka, strużka śliny kapiąca z boku. Ale czymś, co rzucało się w oczy tak samo jak niepełnosprawność, było szczęście i poczucie bezpieczeństwa, malujące się na jego twarzy. Maluch wpatrzony w oczy mamy był spokojny i aż jaśniał miłością do niej.

„Co ona mówi, co ona mówi?" – wytężała słuch Maria, bez reszty pochłonięta pięknem tego, co widziała.

Jesteś śliczną dziewczynką, wiesz? – szeptała ekomama. – *Nie martw się córeczko, nie jesteśmy same. Będę z tobą w szpitalu, tata zajmie się twoją siostrzyczką, damy radę, zobaczysz. Wiesz, jak ogromnie cię kochamy? A wiesz, że pan Bóg kocha cię nawet bardziej? Mam nadzieję, że kiedyś to zrozumiesz i pomoże ci to* – Maria widziała, że ekomama ukradkiem ocierała łzy.

„Wiem, jakie myśli mam o was" – mówi Pan – „myśli o pokoju, a nie o niedoli, aby wam zgotować przyszłość i natchnąć nadzieją" – powtarzała ekomama, łagodnie kołysząc córeczkę.

Wiem, Boże, że ze mną jesteś, niezależnie od tego, czy to czuję, czy nie. Daj mi siłę na ten pobyt w szpitalu i czuwaj nad nią. Nie daj mi więcej, niż będę w stanie znieść.

Maria płakała. „To nie fair! Dlaczego ona nie wścieka się na Boga? Skąd ta pewność w jej głosie, skąd to poczucie bliskości z… Bogiem? Dlaczego fałszywe wyobrażenia na jej temat wpędziły mnie w kompleksy i uprzedzenia, a nie przyszło mi do głowy, by ją zagadnąć, by przyjrzeć się dziecku? Dlaczego ją tak szybko osądziłam?" – płakała nad nią i nad samą sobą. – „I co za dziwne słowa o pokoju i nadziei powtarzała?".

– Cicho, cicho. Nie płacz, Mario. Da sobie radę. Stoi za nią ktoś mocniejszy od niej i ona o tym wie. Z tego czerpie siłę. Nie próbuje wszystkiego zrozumieć. Ale za wszelką cenę stara się ufać. A to, co powtarza, to fragment z tej zakurzonej Biblii, co ją dostałaś w prezencie ślubnym.

– Znowu to zaufanie, ech – żachnęła się Maria. – I co jej z tego zaufania? Nie uleczy to jej dziecka! I o czym ta Biblia mówi, o pokoju, nadziei? Wtedy, gdy ma się niepełnosprawne dziecko, to absurd jakiś!

– Kto powiedział, że szczęście wygląda tylko tak, jak my to sobie wyobrażamy? I kto powiedział, że poczucie szczęścia w stu procentach jest zależne od zewnętrznych okoliczności?

– Nie wiem, nie wiem… – chciałabym już chyba skończyć tę podróż.

– Jesteśmy prawie u celu. Teraz będzie mała odmiana, może cię to zaciekawi.

– Tak? Kogo tym razem podsłuchamy? Nieżyjącą Matkę Teresę?

– Niezupełnie…

„O, tym razem męski głos – faktycznie, to dobra odmiana". – Miała już dość tych wszystkich kobiet. Dość przygnębiającego uczucia, że sprawy nie zawsze mają się tak, jak zbyt pochopnie zakładała.

Co mógłbym zrobić, żeby zrozumiała, jak bardzo mi na niej zależy? Kurczę, jestem tylko facetem, przekładanie myśli na słowa nie jest moją specjalnością. Dla niej jest zawsze za mało. Za mało słucham, źle słucham, nie jestem romantyczny wcale albo nie tak, jak ona by tego chciała. Wiem, chciałaby przeżyć wielką szaloną miłość, taką z drżeniem nóg i motylkami w brzuchu, ale nie umiem, nawet dla niej, stać się kimś zupełnie innym. Jest dla mnie najważniejsza, tylko żeby ona sama chciała w to uwierzyć… Czasem wydaje mi się, że dla Marii jestem jak stary sprawdzony sprzęt, o który nie trzeba dbać, bo jest dobrej jakości i nawet nie wymaga konserwacji. A tak łatwo o podziw, gdy pracuje się w pełnym kobiet dziale księgowości… Który mężczyzna nie chciałby być podziwiany, choćby przez obcą kobietę? A niektóre dziewczyny, szczególnie ta Marta z pokoju obok – mógłbym, gdybym tylko zechciał! Ale co ja gadam, przecież kocham Marię, tylko chciałbym czuć się… ważny, nie nudny, a to słyszę od niej zbyt często.

Mateusz. Dobrze znała ten profil, często widziała go takim zamyślonym. I zamiast zapytać, o co chodzi, wściekała się, że nie pomaga jej w domu. Boże, jaka była głupia! Za czym goni, czemu ciągle nie umie docenić tego, co ma? Zajęta tworzeniem iluzji na temat życia innych kobiet, zapomniała o tym, co dzieje się z jej własnym mężem, idiotka!

– On cię naprawdę kocha – powiedział B. – Nie zawsze umie to pokazać, ale taka jest prawda.

– Teraz już wiem… teraz już wiem… – szlochała. – Czy mogę już do niego wrócić?

– Przed nami ostatni etap. Wiem, że masz na niego siłę i odwagę, tylko sama musisz w to uwierzyć.

Kim jestem? Czy zasługuję na to, żeby mnie kochać? Dlaczego ciągle próbuję być kimś innym… Dlaczego tak niedobrze mi z samą sobą? Boję się otworzyć nawet

przed najbliższą osobą? Ciągle spodziewam się najgorszego? Dlaczego nie potrafię zaufać? A może potrafię, tylko nie chcę?

Maria zmartwiała. Patrzyła na zgarbioną postać, która komunikowała zamknięcie i przygnębienie. Kobieta siedziała bez ruchu, wyraźnie przygnębiona własnymi myślami. Brak nadziei. Kiepskie przekonanie o własnej wartości. Skąd Maria tak dobrze umiała zinterpretować i nazwać te problemy? Wreszcie zrozumiała. Popatrzyła na siedzącego obok i zdumiona wyszeptała.

– Ależ to… ja! To moje myśli! Ale jak to… skąd pan?

– Przecież wspominałem, że dobrze panią znam…

– I co pan teraz z tym wszystkim zrobi? – czuła narastającą panikę.

– Mario! Mario! – spojrzał jej w oczy. – Spokojnie. Powiedziałem, że chcę pomóc, prawda?

– Tak pan powiedział – oddychała głęboko, starając się uspokoić.

– W porządku. Wiemy już, kto tam siedzi i co sobie myśli. Ale… jak to mawiacie wy, ludzie, punkt widzenia zależy od miejsca siedzenia. Proszę więc przesunąć się na moje miejsce – zaproponował.

Siadła obok niego i nie mogła uwierzyć w to, co zobaczyła. Wiedziała, że znowu widzi samą siebie. Tak, to była na pewno ona. Widziała swój profil. Ale wyraz twarzy… O, ten się zupełnie nie zgadzał! Jakby przeszła nowy cudowny zabieg kosmetyczny pod nazwą Totalne Odprężenie i Maksymalna Dawka Szczęścia. Była szczęśliwa – widziała to! Najdziwniejszy był jednak jej ubiór – jakby ktoś pomylił epoki albo ubrał ją na bal kostiumowy. Na głowie miała diadem, plecy okryte były kosztownym, bogato haftowanym płaszczem, a palce zdobiły pełne drogich kamieni pierścienie.

– Czy to jest strój do przedstawienia o księżniczkach? – próbowała żartować.

– Ależ nie! – odpowiedział stanowczo. – To tylko prawda widziana z mojej perspektywy. To jest twoja, przepraszam, pani prawdziwa tożsamość. Pozornie

niewidzialna, bo przykryta stekiem kłamstw na własny temat, które dała sobie pani wmówić.

– A jaka jest prawda na mój temat?

– Jest pani cudowną, wrażliwą kobietą, stworzoną do głębokich relacji, do wielkich rzeczy, tylko musi pani… zaufać.

– No dobrze już, wystarczy mi tego oficjalnego tonu, jestem po prostu Maria – powiedziała poruszona.

– Chcesz być ze mną na ty! – wykrzyknął, a jego twarz jaśniała ulgą i radością. – To wspaniale! To najlepszy możliwy początek! Najważniejsze, że chciałaś ze mną rozmawiać, odważyłaś się na te niemiłe przygody, a przede wszystkim zdobyłaś się na zaufanie mi… Moje drogie dziecko.

– Drogie dziecko? – pytała zdezorientowana.

– Wszystko ci się poukłada, zobaczysz. Na mnie już pora, a rozmowę możemy kontynuować, gdy tylko będziesz miała ochotę i czas. Mam tylko jedną prośbę – położył jej rękę na ramieniu.

– Tak? – zdziwiła się.

– Proszę, pożegnaj się z tymi wszystkimi kobietami, którymi nigdy nie będziesz, bo dobrze, że nimi nie będziesz! Pewien mądry zakonnik podsumował to tak: „Lepiej być sobą, niż być kimś. Bo kto w tym czasie będzie tobą?”. Potencjał, który masz w sobie, sprawdzi się najlepiej w oryginale, a nie w podróbce kogoś innego.

– Tak nie umiem. Skąd mam wiedzieć, jaką być?

– Nie jesteś sama. Zobacz – szepnął.

Ponownie zobaczyła siebie, znowu w tym dziwnym przebraniu. Siedziała naprzeciw kogoś, pogrążona w rozmowie. Mocno trzymali się za ręce. Na jej twarzy widoczny był spokój i poczucie bezpieczeństwa. Między nimi panuje absolutne zaufanie – zrozumiała. Twarz trzymającej ją za ręce postaci nagle zaczęła wydawać się dziwnie znajoma.

– Ależ on jest bardzo do ciebie podobny! Czy to twój krewny?

– Do usłyszenia – przytulił ją mocno i szybko wcisnął coś do ręki. – Pamiętaj, w słuchaniu jestem najlepszy na świecie!

Maria otworzyła oczy.

„To ci dopiero, nigdy w życiu nie zdarzyło mi się usnąć na ławce w parku. Musiałam być naprawdę zmęczona. Ale ta krótka drzemka najwyraźniej dobrze mi zrobiła, czuję się jakaś taka odprężona i coś jakby… szczęśliwa?". Podniosła się, żeby wracać do domu i wtedy na alejkę parkową wypadł mały papierek. Zaciekawiona schyliła się i dostrzegła, że to malutka zadrukowana kartka.

– „Człowiek patrzy na to, co widoczne dla oczu. Pan natomiast patrzy na serce" – przeczytała.

„Jaki pan? Jaki pan?" – zastanawiała się i wtedy nagle, jak kolejne części układanki, w jej umyśle pojawiały się kolejne słowa i obrazy. – „Pan B – bardzo zdeterminowany, żeby wpływać na bieg spraw tutaj… Znam panią bardzo dobrze… Ucieszył się tak, że chciałam być z nim na ty… Potem ten obraz mnie samej, siedzącej w pełnym zaufaniu z… Czy to możliwe? Przecież spałam! W takim razie skąd tutaj ta karteczka? Ale takie historie to chyba tylko w Biblii… Niemożliwe? A może jednak?".

Przypomniała sobie: „Zazwyczaj ci, którzy chcą ze mną rozmawiać, są mądrzejsi, niż się im wydaje". I jeszcze: „Wycisz umysł i posłuchaj serca".

„W takim razie pozostaje mi jeszcze spełnić Twoją prośbę: niech wszystkie kobiety, którymi nigdy nie będę, pójdą sobie precz!" – uśmiechnęła się. – „Spróbuję być najlepszą sobą. A w razie wątpliwości zapytam Ciebie, bo ponoć lubisz słuchać, prawda?" – popatrzyła w niebo.

Szybko znalazła się przed drzwiami swojego mieszkania.

– Kochanie? – zaczęła. Zauważyła zaskoczenie na twarzy męża. Kiedy ostatnio tak się do niego zwracała? – Kochanie? Muszę Ci chyba o czymś opowiedzieć…

DANUTA AWOLUSI

PRZYSTAŃ

– Proszę opowiedzieć coś o sobie – po twarzy mojego rozmówcy rozlewa się uśmiech, wpełzający niemal do kącików oczu, jakby ktoś go nożem wyciął, jakby już nigdy nie miał zejść.

– *Jestem sobie, jestem głupia. Nie, nie, nie – ja już w ogóle nie wiem, czy jestem*. – Przede mną stoi szklanka wody – ona tu chyba już długo tak stoi, na powierzchni widzę drobinki kurzu. Głęboki wdech. Przecież nie chcę pić tej wody. Ten piasek w gardle musi sam zejść, musi się przesypać jak w klepsydrze, do samego żołądka.

– Tak więc jestem absolwentką… pracowałam, właściwie to tak jakby pracowałam, to tu, to tam, na umowę o dzieło – nerwowy śmiech – bo wie pan, jak to ciężko… inaczej, jestem osobą o szerokich horyzontach, o tak, te horyzonty sięgają aż po kres kuli ziemskiej… tak, mówię po angielsku, *yes, of course*, nie, nie angielski w biznesie. Co mogę wnieść do firmy? *No na pewno swoje ciało*, no i umysł – sprawny, młody, bystry, proszę o szansę, błagam, korzę się. Nie, nie musi być umowa o pracę, możemy się dogadać – nerwowy śmiech – nie, nie mam męża, biorę tabletki antykoncepcyjne, mam recepty do końca życia wypisane…

Bluzka opina mi piersi, marynarka krępuje ramiona. Obcasy piją coraz bardziej. Jednak sięgam po tę wodę, jest zimna, czuję, jak kurz osadza mi się w przełyku.

W końcu zamykam za sobą drzwi. Mosiężne, chłodne. Obdarzana co chwila spojrzeniem recepcjonistki. Czy gdybym zaczęła tu pracować, ona stałaby się dla mnie kimś ważnym, czy tylko witałaby mnie i żegnała każdego dnia, machinalnie i bez wyrazu? Czy ludzie w tym budynku się znają, czy wychodzą gdzieś razem po

pracy, czy spędzają wspólnie czas na przerwie kawowej? W zasadzie, co mnie to obchodzi?

Na ulicy jest rześko, nie ma śniegu, choć to styczeń. Styczeń – beznadziejny miesiąc. Człowiekowi się wydaje, że zacznie coś nowego, że może pracę, że może ktoś doceni, ale nie. Trzeba chodzić od drzwi do drzwi. W zasadzie bywanie na rozmowach kwalifikacyjnych to też jakby praca – obowiązuje *dress code* i pochłania to kilka godzin dziennie.

Roboty szukam od dwustu dwudziestu dni, pięciu godzin i szesnastu sekund. W tym czasie odbyłam około trzydziestu rozmów kwalifikacyjnych, z czego zaproponowano mi zero stanowisk, no chyba że policzyć jedno w charakterze sekssekretarki na pół etatu. Małymi kroczkami schodzę coraz niżej, bo schody kariery wcale nie idą w górę. Od góry się zaczyna. Taka dziewczyna, jak ja, to powinna być pracownikiem biurowym, asystentką, no nie wiem, mieć jakąś posadę ze specjalistą w tytule. Specjalistą do spraw Szukania Pracy, jak widać, nie jestem. Niebawem jednak zacznę słać moje piękne, wymuskane CV na stanowiska nieco mniej wymagające, los trzyma mnie za łeb i każe paść na kolana przed trudami życia i rynku…

Przemierzam ulice smutnego miasta, obcasy wbijają się w chodnik, zaliczają wszystkie szczeliny, w pończosze już oczko się pokazało, co za podły świat.

Pnę się schodami do domu, do mieszkania, w którym czeka mój przyjaciel laptop. Bardzo się lubimy, ma mi pomóc znaleźć pracę, wypluwa z siebie te oferty jak jakiś wulkan pełen ofiar z ludzi, ale na razie nic. To znaczy, nie ma pożądanych efektów, wiadomo już jak długo.

W piątek mam dosyć ciekawą, tak mi się wydaje, rekrutację na stanowisko w pewnym dużym portalu internetowym. Żeby było śmieszniej, portal ten specjalizuje się w ofertach pracy. Pogrążam się więc w letargu, oczekuję na kolejne przygody, oddaję się w ramiona spokoju.

***

Piątek, tygodnia koniec i początek. Ukochany dzień zwykłego zjadacza chleba, byleby dotrwać do tej szesnastej i iść do domu, nie musieć siedzieć w zasranej robocie. No tak, ja to bym też tak chciała, posiedzieć w pracy, czekać na piątek. A tak, dzisiaj jest dzień, w którym może coś się uda zwojować. Oszołomię tych ludzi, dostanę tę robotę, jak nie dzisiaj, to już nigdy.

Budynek firmy jest ogromny, ekskluzywny, przytłaczający. Na recepcji wita mnie młoda dziewczyna i prowadzi do sali konferencyjnej. To ciekawe. Siedzi tam pięć innych osób. A więc takie buty! Zbiorowa rekrutacja. Jest kawka i herbatka, uśmiechamy się do siebie, ale przecież nie będziemy się witać, bo jesteśmy rywalami, a nie przyjaciółmi.

Nagle wchodzi zacna kapituła z notatnikami A4 w rękach i nieprzeniknionymi twarzami. Posągi zasiadają za jurorskim stołem, a jeden, kobiecy, przemawia:

– Witam państwa.

Tylko tyle mogę odtworzyć, bo potem jest paplanina o kolejnych ośmiu etapach rekrutacji, zadaniach do wykonania i bla, bla, bla. Tak oto otrzymujemy pierwszą „konkurencję", a więc mamy sobie wyobrazić, że jesteśmy właścicielami wesołego miasteczka i opracować dla niego biznesplan. Świetnie. Ja już się czuję jak w klatce w cyrku. Psy ruszyły, wściekłe, żądne zwycięstwa. Każdy ma jakiś pomysł, jest walka, a posągi patrzą bez emocji, nawet okiem nie mrugną. Czuję się wykolejona, słowa mijają mnie jak torpedy, staram się skupić, ale chyba nie należę do tego miejsca, do tych ludzi, chyba nie mam siły na walkę o byt. W końcu gwar przycicha. Dostajemy zadania pisemne, czuję się jak na maturze. Po trzech godzinach jesteśmy wolni. Rozstajemy się bez słowa, zdumieni i wyczerpani, posągi odprowadzają nas wzrokiem. Teraz mamy siedem dni czekania na wyrok, co dalej? Mijamy młodą recepcjonistkę i znowu pogrążamy się w nicości, beznadziejnie wracając do swoich przyjaciół laptopów.

***

Swoją „karierę” zaczynałam w pizzerii. Studencka praca, to były czasy. Robota ciężka, wieczne tyranie z jęzorem na wierzchu, ale ekipa na kuchni – nie do zapomnienia. W pamięć zapadł mi szczególnie Łukasz, swojski chłop, z którym rechotaliśmy tak głośno, że kierownik musiał przychodzić nas upominać. Potem rzadko dostawaliśmy wspólną zmianę, bo śmiech na kuchni nie był mile widziany.

W restauracji trwała wieczna walka pomiędzy kuchnią a kelnerami. Zaiste, nie była to dobra współpraca.

– *Coś ty mi tu, kurwa, zrobiła, miała być pizza bez pieczarek!*

– *Czemu ten placek jest zimny?!*

– *Ciasto jest surowe w środku, jak ty żeś to przez piec puszczała?!*

Tylko zarabianie tysiąc sto złotych netto w wielkim mieście, gdzie same opłaty zżerają człowieka, zmusiło mnie do pójścia krok dalej. Tym krokiem było *call center*.

***

Dwanaście godzin ze słuchawką na uchu i do tego zmierźli ludzie. Cudownie. Siedzieliśmy w boksach jak jakieś konie, a wokół gwar i szum, telefon dzwoni, dzwoni, dzwoni i dzwoni. W snach też do mnie dzwonił, czasami budziłam się bardziej zmęczona niż po dniówce.

Do dzisiaj mam taki odruch, że jak słyszę telefon, mam ochotę powiedzieć: „Dzień dobry, przychodnia, słucham?”. A ci ludzie. Co to były za okazy!

1. – *Numer PESEL poproszę.*

– *Ja nie mam numeru PESEL.*

– *Proszę pana, każdy ma numer PESEL!*

– *Nie, nie, nie – ja nie mam…*

2. – *Jak się nazywa pańskie stanowisko pracy?*

– *Yeee… takie przynieś, podaj, pozamiataj…*

3. – *Dzień dobry. Chciałabym zapisać dziecko do pediatry dziecięcego.*

4. – *Dzień dobry. Eeee, wie pani co, eeee, ja chciałam wykonać badania psychotropowe na wózek widłowy…*

5. – *Poproszę pani datę urodzenia.*

– *A nie, ja mam tylko PESEL.*

6. – *Poproszę pani imię i nazwisko.*

– *Pani Halinka.*

Inteligenci, nasza duma narodowa! Tylko nie dało się wytrzymać dłużej niż rok, za osiem złotych netto na godzinę, po dwanaście godzin paplaniny. Laryngolog powiedział: „Niech pani ucieka, ucho źle to znosi!”. Nie było wyjścia.

Błądziłam od pracy do pracy, ciągle jakieś marne etaty, aż w końcu pochłonął mnie marazm i wieczne oczekiwanie na cud. CV wysyłane w czarną dziurę, która i tak nigdy się nie nasyci, jest wiecznie głodna, a wszystko wypróżnia w niezmienionej formie.

***

Jest piąty dzień lutego. Słyszę dźwięk komórki. Nie znam numeru, więc serce, jak zawsze, bije szybciej.

– Słucham – w tym pytaniu wyrażam całą siebie.

– Dzień dobry. O ile się nie mylę, wysyłała pani do naszej firmy jakiś czas temu aplikację. Czy pani kandydatura jest nadal aktualna? – męski, ciepły głos. W tym głosie słyszę uśmiech, bije z niego bezpieczeństwo, chcę mu zaufać. Takiego głosu nie słyszałam od roku. Czuję zaskoczenie i… ulgę.

– Tak, oczywiście…

– To znakomicie! W takim razie zapraszam na rozmowę.

To coś innego. Jest inaczej. Czuję, że to może być ten jeden, wymarzony strzał. Mam mętlik w głowie, ale ogarnia mnie spokój. Tym razem może się udać. Wiem to, bo usłyszałam głos. Głos nadziei. A więc do czwartku.

***

Czwartek. Stoję u drzwi, tym razem budynek nie jest aż tak ogromny, nie ma kilkunastu pięter, to po prostu biuro. Przekraczam próg i czuję dobrą aurę. Jest przytulnie, sympatycznie. Pani z recepcji prowadzi mnie do gabinetu prezesa. W nim mnóstwo półek, a na tych półkach mnóstwo książek. Działają na mnie jak balsam.

Wchodzi Pan Głos. Prezes. Przystojny, ale nie jest onieśmielający. Około czterdziestki, uśmiecha się, podaje mi rękę.

– Kawy, herbaty? – zagaja, a ja staram się nie mieć głupiej miny.

– Nie, dziękuję – wolę przejść do konkretów, przekonać się, czy ta bańka zaraz pryśnie.

Jednak nie, pogrążam się z nim w rozmowie tak szybko, że nie czuję nawet klepsydry w przełyku. Tak. Jest inaczej. To może być to, czuję to w umyśle, w całym ciele.

– Tak naprawdę nie robię jakiejś ogromnej rekrutacji. Oprócz pani zaprosiłem jeszcze jedną kandydatkę, tak więc szanse na zatrudnienie są spore. Jesteśmy przyjazną firmą, u nas jest normalnie – posyła mi uśmiech. Normalnie. Słowo, o którym już zapomniałam. Ogarnia mnie pewność, że oto nadszedł kres mojej tułaczki. Dotarłam do celu, znalazłam przystań, tu będzie mi dobrze, tu odnajdę szczęście. Niemal łzy szczęścia stają mi w oczach, mrugam szybko, by je uwięzić.

Rozmawiamy jeszcze chwilę, opowiadam o sobie. Pierwszy raz naprawdę swobodnie, z lekkością, odprężam się, bo wiem, że jestem już w domu.

***

Z tej aury radości i nadziei wyrywa mnie dziwny dźwięk. Potem krzyk. To pani z recepcji. Nie zobaczyła pająka ani nie poparzyła się kawą – to był krzyk strachu, to był strach… o życie.

Ciszę rozdzierają przerażone głosy, a potem… strzał… Podskakuję na krześle, a w mojej głowie zaczyna huczeć od myśli, zupełnie, jakby przejechało tamtędy metro. Ja i Pan Głos zamieramy, bo następuje moment upiornej, gęstej ciszy. Tę taflę łamie przeraźliwy, potężny wrzask:

– WY KURWY, CO WY SOBIE DO CHUJA MYŚLICIE?! CO WY SOBIE MYŚLICIE?! COOOOOOOOOO?! – rozdzierający, wibrujący głos jest coraz bliżej, to są ułamki sekund, choć mam wrażenie, że czas zwolnił, jakbym dostała od Pana Boga szansę, by wszystkiemu się dokładnie przyjrzeć. Drzwi otwierają się gwałtownie, a w nich staje postać, która elektryzuje mój mózg. Wysoka, smukła blondynka. Na nogach ma oszałamiająco wysokie szpilki, odziana jest w obcisłą, ołówkową spódnicę oraz idealnie skrojoną garsonkę. Na ustach ma czerwoną szminkę, która jest jedynym mocnym akcentem w jej makijażu. Te karminowe usta są jak zapowiedź. Wiem, czego.

Blondynka dyszy. A w ręce dzierży broń palną. W jej oczach dostrzegam coś, co widzę u siebie codziennie w lustrze. Desperację. Poczucie zagubienia. Bezsilność. Z jej umalowanych ust wyrywa się kolejny, szaleńczy wrzask, który rozrywa moje uszy i dostaje się do moich wnętrzności:

– Ile, KURWA, mam jeszcze znieść?! Ile można szukać zasranej, gównianej roboty?! Ile jeszcze mogę znieść???

Pan Głos próbuje coś do niej powiedzieć, bełkocze, plącze się, a ona unosi głowę i wyje jak oszalałe z bólu zwierzę, pokój wibruje od jej głosu, przestrzeń wypełnia się rozpaczą i grozą. A ja stoję. W głowie wciąż metro. Pan Głos znowu próbuje coś powiedzieć, tym razem jego głos jest spokojniejszy. Blondynka przestaje

wyć. Spogląda na niego i jednym, pewnym ruchem wypuszcza strzał. Nastaje cisza. Pan Głos leży w kałuży krwi. Cisza.

Blondynka spogląda na mnie, a potem jej usta układają się w karminową podkowę. Z jej gardła wyrywa się suchy, spazmatyczny szloch.

Dobiega mnie dźwięk syren policyjnych. A może karetki pogotowia? Blondynka osuwa się na kolana, potem kładzie się na podłodze, wciąż szlochając.

Nic już nie będzie. Czarna dziura wessała moją przystań i wciąż jest głodna. A ja nie mam w sobie ani kropli więcej do wyciśnięcia. Pan Głos leży martwy. Metro odjechało z mojej głowy, pozostawiając samotną pasażerkę. Ta pasażerka już wie, co zrobić.

Sięgam po broń, którą szlochająca blondynka wypuściła z ręki.

Powolnym, spokojnym ruchem, obracam lufę w swoim kierunku.

***

Minął rok. Jestem.

Minął rok, a ja… zostałam Panią Głos. Siedzę za biurkiem w pokoju z książkami i myślę. Czasem mój wzrok ucieka do miejsca, w którym leżał Pan Głos. Nie ma już krwi, jest tylko wspomnienie. Przystań jednak nie odpłynęła, choć ktoś musiał nasycić czarną dziurę. Ktoś ją załatał własnym życiem.

Dzisiaj na rozmowę kwalifikacyjną przychodzą do mnie dwie osoby. Ironia losu. Nie ma się czego bać, jestem Panią Głos, nie będzie głupich pytań ani ośmiu etapów rekrutacji. Będzie za to szansa na odnalezienie domu. Szansa na kres tułaczki.

Pomimo tego, każdego dnia czekam, aż moje drzwi przekroczy jakaś blondynka w ołówkowej spódnicy.

Styczeń 2012

DOROTA SZCZEPANIK

TRAWY NADWODNE

Woda połyskiwała w słońcu, odbijała promienie, rażąc w oczy. Leżałam na hamaku w poprzek, kołysząc się lekko. Wiatr poruszał gałęziami drzew otaczających jezioro, szeleścił przybrzeżnymi trzcinami. Jezioro ciągnęło się aż po horyzont. Łagodne podmuchy marszczyły jego szaroniebieskie wody. Ciemnozielone korony kontrastowały z rozmigotaną powierzchnią, jakby wdzierającą się klinem w las, i z jaskrawo błękitnym niebem. Zamknęłam oczy i cieszyłam się dotykiem promieni na powiekach. Słońce co chwilę znikało, przesłonięte chmurami, które przeganiał wiatr. Słychać tylko śpiew ptaków i brzęczenie owadów. Czas płynął leniwie.

Szelest trawy zdradził, że ktoś się zbliża. Otworzyłam oczy i zobaczyłam ciebie. Z impetem usiadłeś na hamaku, co sprawiło, że zsunęłam się w twoją stronę i wpadłam na ciebie. Z zadowoleniem otoczyłeś mnie ramieniem i z przechwałką w głosie stwierdziłeś:

– Jednak na mnie lecisz, kociaku.

Prychnęłam jak prawdziwa rozwścieczona kotka. Zacząłeś mocniej huśtać hamakiem, więc przy pierwszej nadarzającej się okazji niezdarnie z niego wyskoczyłam i krokiem, w moim mniemaniu pełnym dostojeństwa, oddaliłam się w kierunku jeziora. Skręciłam w prawo i skierowałam się ku ukrytemu w trzcinach pomościkowi, z którego latem korzystają wędkarze. Stanęłam na jego końcu i wpatrywałam się w falującą wodę, przesłaniając dłonią oczy w ochronie przed oślepiającym słońcem. Delikatny ruch pomostu sprawiał, że czułam, jakbym unosiła się na jeziorze.

Stare deski zaskrzypiały pod twoimi butami. Już po chwili poczułam, jak obejmujesz mnie ramieniem i odwracasz twarzą do siebie. Uśmiechałam się do ciebie, dopóki nie zrozumiałam, co zamierzasz. Chwyciłeś mnie mocniej i postąpiłeś krok do przodu. Moje stopy oderwały się od podłoża i tak wisiałam nad wodą, wczepiona kurczowo w twe ramiona. Zaczęłam protestować i machać nogami, na co ty zachwiałeś się niebezpiecznie i ze złośliwym uśmieszkiem ostrzegłeś:

– Chyba nie chcesz wpaść do wody? – znieruchomiałam i tak spokojnie sobie wisiałam, próbując uspokoić mocno bijące serce.

Doszłam do wniosku, że prędzej czy później znudzisz się, zniechęcony brakiem reakcji z mojej strony.

– Aleś ty ciężka – powiedziałeś ze stęknięciem.

Szczerze oburzona, już miałam nagadać ci do słuchu, ale zobaczyłam twoją minę. Tylko czekałeś na moją reakcję, więc z westchnieniem stwierdziłam:

– To te wczorajsze lody z tobą. Od dziś się odchudzam i nigdzie z tobą nie wychodzę…

– Nawet na gorącą czekoladę? – spytałeś z fałszywą niewinnością w głosie, wiedząc jak za nią przepadam.

– Nawet… – odparłam trochę niepewnie. W myślach stwierdzając, że przecież mogę na nią chodzić sama, w tajemnicy.

Spojrzałeś na mnie przenikliwie, postawiłeś na pomoście i rzekłeś:

– W sumie wcale nie jesteś taka ciężka. Wyjście na lody ze mną od czasu do czasu na pewno niczego tu nie zmieni.

Pochyliłeś się z zamiarem pocałowania mnie. Widząc to, wywinęłam się zręcznie i uskoczyłam na bezpieczniejszą odległość. Stojąc już tyłem do ciebie, zmarszczyłam brwi w zastanowieniu. Przejrzałeś mnie. Gotowa byłam zrezygnować ze wszelkich wyjść na coś słodkiego z tobą, wiedziona głupim uporem. Chęcią udowodnienia czegoś… Czego?

To ty udowodniłeś, że znasz mnie równie dobrze, jak ja samą siebie i dałeś spokój, odpuściłeś, bym nie musiała brnąć w taką głupotę. Tak dobrze mnie znasz? Pozwoliłam zbliżyć się do siebie tak bardzo? A gdzie budowane latami mury obronne? Charakter przypominający kolczastą zeribę, złośliwe poczucie humoru, ironiczne podejście do ludzi odstraszające wszystkich facetów? Zaniepokoiłam się, bo to dawało ci do ręki broń, stwarzało ci możliwości… zranienia mnie. Poczułam strach, ale jednocześnie gdzieś na obrzeżach umysłu zaświtała mi myśl, by spróbować. Ten jeden raz.

Normalnie już bym uciekła, widocznie ten spokojny krajobraz dobrze działał na moje emocje. Odetchnęłam głęboko, czując zapach lasu i butwiejących traw nadwodnych. Udzielał mi się ten wszechogarniający spokój.

Głośny plusk przerwał te rozmyślania. Uczyniłam ruch, by spojrzeć na ciebie i… otworzyłam oczy. Zaraz jednak zmrużyłam je z powrotem, oślepiona słońcem. Przez chwilę nie wiedziałam, co się dzieje. Czyżbym zasnęła? Szybko wstałam z hamaku i ruszyłam w stronę jeziora. Dopiero po chwili zrozumiałam, co robię – idę w kierunku pomostu dla wędkarzy… A przecież tam nigdy nie było żadnego pomostu.

KATARZYNA MACZYK

W DROBNY MAK

To był jej ostatni wieczór w Berlinie. Ostatni przed końcem wakacji. Co będzie dalej, się zobaczy. Prawdopodobnie tutaj już nie wróci, wyjdzie za mąż i będzie żyła do bólu nudnie. Dlatego postanowiła schować moralność do walizki, którą już spakowała. Odłożyć wyrzuty sumienia i obowiązki moralne, etyczne, Bóg raczy wiedzieć jakie, do kieszeni i pójść na żywioł. Pójść do niego i powiedzieć mu to, czego nie powiedziała przez te dni, tygodnie, które z nim spędziła. I chociaż w powietrzu wisiało pożądanie i słowa, które nie zostały wypowiedziane, każde z nich bało się zrobić pierwszy krok. Toteż szybkim krokiem przemierzała ulice Berlina. Ulice, które on jej pokazywał. Miasto, które pokochała dzięki niemu, kraj, który poznała z nim. I wraz z mrokiem, który zapadał nad miastem, na nią spływała pewność. Pewność, że to, co robi, jest słuszne. Stojąc przed jego drzwiami, czuła się tak pewnie i słusznie, jak jeszcze nigdy w życiu. Gdy otworzył jej drzwi, nie mogła się nie uśmiechnąć, widząc jego zdziwioną, ale ucieszoną jej widokiem twarz.

– Herman… kocham cię! Nie mogłam pojechać do domu, nie mówiąc ci tego – patrząc w jego pełne niedowierzania oczy, czuła spokój. Spokój i błogość. On zaś stał w swoim przedpokoju i patrzył z niedowierzaniem na kobietę, która stała się centrum jego życia. Nie umiał powiedzieć, kiedy to się stało. Ale czuł taką radość, radość i ulgę, że nie musi już dusić w sobie tego uczucia, że nie musi udawać, że kocha ją tylko jako przyjaciel… Przestał myśleć… do głosu doszedł instynkt. Zbliżył się do niej i pocałował. Spoglądając w jego pełne ciepła oczy, czuła, że dla tego momentu żyła… że warto było się męczyć tylko dla tej chwili. Nie wiedziała, jak i kiedy weszli

do mieszkania i zamknęli drzwi. Stała oparta o drzwi, a nad sobą miast gwieździstego nieba miała cały świat. Cały świat w jego osobie.

Położył jej dłoń na policzku, a potem, patrząc w oczy, kciuk na ustach. I patrzyli na siebie, a świat przestał istnieć. Przestał istnieć czas i rzeczywistość. Jakby byli sami, a w promieniu lat świetlnych nie było nikogo.

– Nie wiem, czy cię to zainteresuje… – zrobił pauzę i patrząc na nią, posłał jeden z tych swoich najsłodszych uśmiechów.

– Tak?

– Też cię kocham, wiesz…

– Miałam małe wątpliwości. Mało entuzjastycznie mnie przywitałeś – z przewrotnym uśmiechem zaglądała mu w oczy. Nachylił się nad nią tak, że mogła chłonąć jego zapach, jego obecność. I szeptał jej do ucha, jak bardzo ją kocha.

– Nie mów nic. Chodźmy do twojego pokoju – sama nie wiedziała, jak się na to odważyła. Te jej zasady musiały być na samym dnie walizki. Nawet Herman spojrzał na nią badawczo.

– Mówisz poważnie?

– W życiu nie byłam taka poważna. – To była metafizyka. Coś, czego nie da się opisać słowami. Coś mistycznego niemalże. Gdy tak sobie leżeli wtuleni w siebie i odseparowani od świata, skupieni na swoim mikrokosmosie, to było niebo. Niebo w samym środku Berlina.

– Tak mi się dobrze z tobą leży Herman… Skąd masz takie wygodne łóżko?

– Tobie nie leży się dobrze dlatego, że łóżko jest wygodne. Dobrze ci się leży, bo ze mną. I mnie z tobą – pocałował ją – nie waż się nigdzie ruszać.

– Zaraz wrócę… Jestem głodna. Zrobię coś do jedzenia, szybko…

– Nie wyjeżdżaj. Zostań ze mną – wypuścił ją z ramion i powłóczył za nią wzrokiem.

– Pochlebiasz mi, ale wątpię, czy aż tak dobrze gotuję – wyślizgnęła się i udała do kuchni. – Herman, masz pustą lodówkę.

– Wypraszam sobie! Mam cukier, mleko i kawę… A, i gdzieś powinna być zupka w proszku. Jeśli masz ochotę… – skończył tę jakże skomplikowaną wyliczankę, bo w progu stanęła ona. Owinięta w biały ręcznik, odgarniając z twarzy niesforne loczki, stanęła i oparta o futrynę patrzyła na niego śmiejącymi się oczami.

– Tak, to dużo. Dzwoń po ludzi, zrobimy imprezę.

– Nawet gdybym miał całą kuchnię żarcia, nie zmusisz mnie, żebym kogoś teraz tutaj zaprosił. Zrób sobie coś do jedzenia i wracaj do mnie. Musimy przedyskutować parę spraw.

– Wiesz co, mnogość możliwości w twojej kuchni doprowadziła do tego, że mi się odechciało. Ale skoro mamy poważnie rozmawiać, to może tu usiądę, bo przy tobie mogę mieć problemy ze skupieniem się – uśmiechając się figlarnie, ruszyła w stronę fotela. Na to jej miłość, jej wschód i zachód rzucił w nią poduszką.

– Nie wygłupiaj się i chodź do mnie. Chcę się tobą nacieszyć – objął ją, gdy się położyła. – Zostań. Nie wyjeżdżaj.

– Muszę – spoważniała – mam parę spraw do załatwienia w domu. Poza tym – rodzice. Muszę z nimi pobyć. Tęsknią.

– Też będę tęsknił. Ale nie wspominasz o tym… No wiesz…

– Nie wiem – wyszczerzyła zęby w pełnym rozbawienia uśmiechu. Uwielbiała patrzeć, jak męczy się, próbując wymówić coś po polsku. Uwielbiała grymas, jaki wtedy przybierał. Grymas niesamowitego, niemal ponadludzkiego wysiłku intelektualnego. Wreszcie przestał się wysilać i zrobił smutną minę.

– No zlituj się, wiesz, że nie mogę tego wymówić – roześmiała się i pocałowała go w środek tego spiczastego nochala.

– Łukasz. No właśnie.

– No właśnie. Musisz skończyć ten związek i wrócić do mnie. I najlepiej wyjść za mnie…

– Proszę? Mów wolniej, nie jestem taka biegła w niemieckim – oparła się na łokciu i mierzyła go ciekawym wzrokiem. – Herman, na litość Boga, czy ty się mi oświadczasz? Tutaj, w łóżku…

– Uważam, że to najlepsze miejsce. – Coś się stało. Kobieta jego marzeń przewróciła się na plecy. Odchyliła głowę i zaczęła się śmiać. Śmiała się tak bardzo, że z oczu zaczęły jej płynąć łzy. – Ty płaczesz?

– Tak – wciąż jeszcze pochlipując ze śmiechu, spojrzała na niego i pocałowała go. – Tylko ty, Hermanie, mogłeś się oświadczyć w takiej sytuacji.

– A w jakiej powinienem? To jest najlepsza chwila. Chwila, gdy jesteśmy razem, gdy się dowiedziałem, że mnie kochasz.

– Bardzo cię kocham. I doszłam dziś do wniosku, że nic nie stracę, jeśli powiem ci to dziś, że jak coś, to możemy się już więcej nie spotkać.

– Nie spotkać? Zapomnij. Kiedy do mnie wracasz? Pojedź, zerwij z tym swoim, pozdrów rodziców i wracaj.

– Oczywiście. Nie wygłupiaj się. Ty też masz chyba jakieś zobowiązania. Jak im na imię? Czy nie Eva? – widocznie zmarkotniał.

– Musiałaś psuć ten wieczór?

– Noc już, kochanie. Przepraszam, że o niej wspomniałam, ale ona jest prawdziwa jak Łukasz. Musimy załatwić pewne sprawy, a wtedy będziemy już po prostu razem. *A propos* bycia… Muszę się powoli zbierać… Wiesz o tym, sprawdzić, czy na pewno się spakowałam.

– Zostań jeszcze chwilę… – nie chciał jej puścić, jakby się bał, że gdy raz odejdzie, nigdy nie wróci. Obserwował grę światła w jej włosach, nadal nie umiał powiedzieć, jakiego są koloru, poza tym, że są piękne, miękkie, błyszczące. Patrzył w

jej oczy. Ciemnobrązowe tęczówki ocienione długimi rzęsami. Patrzył w te oczy, które się śmiały, śmiały się do niego. Była taka ufna. – Nie chcę, żebyś szła.

– Też nie chcę. Pierwszy raz nie chcę wracać do domu… – pogłaskała go po policzku, patrząc w te oczy, w które chciała się wpatrywać bez przerwy. – Im szybciej wyjadę, tym szybciej wrócę.

– Ale kiedy?

– Skoro ty chcesz. Chcesz mnie. Chcesz, żebym wróciła. Wrócę za miesiąc.

– Za miesiąc? – spojrzał na nią z wyrzutem, jakby się właśnie dowiedział, że zabiła połowę dzielnicy.

– No za miesiąc, muszę pojechać na wakacje z rodziną, co roku to robimy. Rodzice. Moja upierdliwa siostra z mężem równie superowskim i ich córka. No i mój brat. I choćbym chciała, nie mogę powiedzieć: „Sorry, nie jadę". I tak zacznie się gadanie, co się stało tutaj. Będę miała dużo czasu na tłumaczenie. I mało, żeby za tobą tęsknić. Córeczka mojej siostry jest baaardzo absorbująca. Moja siostra jest zaś strasznie upierdliwa. I razem ze szwagrem tworzą duet, który mnie wykończy. Ostoją normalności teoretycznie jest mój brat, ale ten dawno mnie nie widział, więc aby nie dać po sobie poznać, że tęsknił, będzie prześcigał szwagrostwo w byciu upierdliwym – uśmiechnęła się sama do siebie. Uśmiechem, który chyba można nazwać sentymentalnym. – Zanudzam cię?

– Nie. Opowiadaj mi więcej. Tak mało ciągle o tobie wiem. Ale jedziesz też z rodzicami?

– Tak. To będzie przeprawa. Tata będzie jęczał, że zrywam z Łukaszem. To chyba jedyny facet, którego akceptował. No, ciebie też pokocha… Będą wąty, że wracam tak szybko do Berlina, że się zamęczę, że co ja wyprawiam. No i mama, będzie jej smutno, że wyjeżdżam, będzie stęskniona, zmartwiona tym, że zerwałam z Łukaszem, będzie smutna, że jadę tak szybko, szczęśliwa, że ja jestem szczęśliwa – rozbawiła go. Nieustannie pozytywnie wpływała na jego dobry humor. Bawił go jej

sposób opowiadania, jej mimika, gestykulacja. – Nie śmiej się, Herman. To jest poważna sprawa. A powinieneś usłyszeć moją siostrę. Ooo, ona dopiero będzie miała sporo do powiedzenia w kwestii mojego związku. Zawsze ma.

– A co będzie mówiła? – twarz Hermana zbliżyła się niebezpiecznie do jej twarzy. Gdy był tak blisko, jej myśli, pragnienia stawały się monotematyczne… Pocałowała go, zanurzając dłonie w jego czuprynie i przyciągając jego twarz bliżej. – Niech diabli wezmą moją siostrę. I szwagra – pocałowała go namiętnie, zatraciła się w jego pocałunkach. Chwila, która trwała wieczność.

– Może jednak zostaniesz? – oderwał się od jej ust. Gotów był zaprzedać duszę diabłu, żeby tylko została. Obrysowywał kciukiem kontur jej ust i patrzył w śledzące każdy jego ruch oczy.

– Nie mogę, chciałabym, ale nie mogę – pocałowała go. – Herman, uciekam teraz, zanim dotrę do domu… – oblizała usta i zmierzwiła mu włosy. – Zanim ogarnę chaos w mieszkaniu… Jeszcze się spóźnię na samolot i dostarczę nowej amunicji stęsknionej rodzinie.

– Dlaczego tak późno zdecydowałaś się powiedzieć mi to, co powiedziałaś? Mielibyśmy więcej czasu…

– Będziemy mieli i tak… A ty co? Języczek do podniebienia przyrósł? Sam mogłeś mi to powiedzieć.

– Nie, nie przyrósł. Myślałem, że zauważyłaś. Chyba że coś się zmieniło – pocałował ją znowu, poczuła, że owszem, jego język ma się całkiem dobrze i jest całkiem sprawny. Zakręciło jej się w głowie. I chociaż wiedziała, że powinna już wychodzić, tak bardzo nie chciała. Tak dobrze było w jego obecności. Panował tu taki spokój, sielanka. Nikt o zdrowych zmysłach nie zdecydowałby się z własnej woli opuścić tego azylu. Wykorzystała chwilę, gdy jej nie całował.

– Jeżeli mnie nie puścisz, to najprawdopodobniej przyjadę dopiero pod koniec września. Więc się zastanów. Herman!

– To może cię odprowadzę?

– Zapomnij. Ty mnie odprowadzisz. Będziemy szli ze dwie godziny. Wejdziesz na herbatę, żeby mi pomóc, i cała szopka zacznie się od nowa. A naprawdę jestem do tyłu z czasem – gładziła go po policzku, głaszcząc kciukiem jego wargę. Gładziła jego ramię, powodując u niego gęsią skórkę. I ta kobieta chce go zostawić. – Idę się ubrać – wygramoliła się z jego objęć i z łóżka. Prysznic, ubieranie nigdy nie zajęły jej tak mało czasu. Wyszła z łazienki i pierwszym, co zobaczyła, był on – stał oparty o futrynę i spoglądał wyczekująco. Lekko podbiegła do niego i utonęła w jego ramionach. Szeptał do ucha, jak bardzo jest dla niego ważna. Ciepły oddech wibrował jej w uszach. A jego dłonie rozgrzewały ją do czerwoności. Miała ochotę rzucić w diabły dom, rodzinę, która czekała na nią i zostać z nim.

– Nie zostawiaj mnie na długo – wyszeptał jej do ucha. Szturchając jej ucho nosem, wprawił ją w drżenie.

– Wrócę do ciebie najszybciej, jak będę mogła – wyszeptała w jego ramię. – Nie wiesz, jak cholernie będę za tobą tęskniła – wywinęła się z jego objęć i dała mu buziaka. – Do zobaczenia wkrótce – powiedziała i rzucając ostatnie spojrzenie na jego twarz, wyszła.

***

Pierwsze, co poczuła, to przeraźliwe zimno, które ją uderzyło. Otuliła się marynarką, ale nie mogła opanować drżenia. Zaczęła szczękać zębami. Cała drżała. Uczucie ogarniającego zimna potęgował jeszcze smutek, który czuła po rozstaniu z nim. Przyśpieszyła kroku. Tak bardzo lubiła miasto nocą. Zwłaszcza to. Miała z nim tylko miłe wspomnienia. Teraz jeszcze milsze. Ledwo wyszła od niego, już liczyła dni, kiedy znowu go zobaczy. Z umysłu uleciał jej mężczyzna, który tam, w Polsce, wyczekiwał jej powrotu, który ją kochał i chciał z nią być. Była tak bezwstydnie

szczęśliwa. Tak egoistycznie pełna nadziei na przyszłość. Na ile mogła, przyspieszyła kroku. Dziwił ją aż taki chłód na dworze. Tęskniła do ciepłych objęć Hermana.

Wydawało się jej, że szła i szła. Na miasto opadała coraz gęstsza mgła. To nie było już przyjazne miasto, to była sceneria rodem z horroru. Odczuła swoistą ulgę, gdy wreszcie dotarła do domu. Otworzyła drzwi i oparłszy się o nie, osunęła się na podłogę. Uśmiechnęła się do swoich wspomnień, a po chwili zaśmiała się głośnym, beztroskim śmiechem, który miał być chyba ostatnim. Śmiała się z własnej odwagi. Śmiała się z tego, że jeszcze rok temu, zanim go poznała, nigdy nie pomyślałaby, że jest w stanie pójść do mężczyzny i powiedzieć, że go kocha. I pójść z nim do łóżka. Tak po prostu.

Wspominając chwila po chwili wieczór, podniosła się i poszła przygotować się do krótkich wakacji w Polsce. Jej domem miał być Berlin. Bo dom jest tam, gdzie czeka kochające serce. Na nią czekało tutaj. Podeszła do okna po książkę leżącą na parapecie. Spoglądała w dal, w kierunku, gdzie mieszkał on. Zastanawiała się, czy śpi, czy również przeżywa to, co się stało. Czy na nim też wywarło to taki skutek, jak na niej. Kiedy była już pewna, że spakowała wszystko, co potrzebne. Że ma przygotowane czytadło na czas lotu, zadzwoniła po taksówkę i udała się na lotnisko.

Jadąc przez pogrążony we śnie i mgle Berlin, myślała o tym, jak bardzo pokochała to miasto. Jak nie może się doczekać, kiedy wróci. I czując się tylko odrobinę wyrodną córką i siostrą, wyobrażała sobie, jak za miesiąc będzie wracała. Będzie znowu tutaj, z sytuacją czystą jak *tabula rasa*. Tylko trzeba odbębnić pańszczyznę rodzinną i witaj znowu, Berlinie! Powoli wstawało słońce, niebo było już różowawe. Wchodząc do samolotu, spacyfikowała dzwoniący telefon. Ktoś będzie musiał poczekać z arcyważną sprawą… I gdy samolot unosił się nad budzącym się miastem, bardziej myślała o śpiącym gdzieś tam w dole Hermanie, niż o śpiących w Polsce krewnych i znajomych.

***

Lotnisko – miejsce powitań, tam, gdzie okazujemy sobie naszą radość z powrotu bliskiej osoby oraz pozwalamy sobie okazać naszą miłość w tłumie. Ona postrzegała to jako przesadną ostentację. Wołała na co dzień dawać do zrozumienia komuś, że jej zależy. Chociaż nie raz dawała się ponieść magii powrotów i pożegnań. Tak i teraz nie widziała swojej rodziny już kawałek czasu. Nie była w Polsce od Wielkanocy i chaotycznie szukała teraz wzrokiem swojej rodziny. Zaniepokoiło ją, że zobaczyła tylko swojego – nie, na Boga, nie swojego – Łukasza. Tylko jego. Zdziwiło ją to. Nieważne, jaka była pora, gdy ktoś wracał, jechało się go powitać całą rodziną. Bez względu na dzień, porę. Brało się urlop, zarywało noc. Ale nigdy nie można było dopuścić, by ktoś czuł, że rodzina na niego nie czeka. Dlatego tak dziwnie się czuła, gdy jechała w jakieś nowe miejsce. Wysiadanie z pojazdu ze świadomością, że nikt na ciebie nie czeka. Przez chwilę pomyślała o Hermanie, który za miesiąc będzie czekał na nią na lotnisku. Jednak z konieczności odgoniła tę myśl. „Jak powitać się z mężczyzną, dla którego jesteś całym światem i oznajmić mu, że to koniec. I gdzie jest do cholery ta cała zgraja. Z nimi byłoby łatwiej".

– Łukasz…

– Ania… dobrze, że wróciłaś… – jakoś dziwnie brzmiał jego głos. Wpatrywał się w nią smutnym wzrokiem. „Boże, czy on się domyśla?" – Dzwoniłem do ciebie.

– To byłeś ty? Wchodziłam do samolotu. Nie mogłam odebrać. Gdzie są wszyscy?

– Nie denerwuj się, proszę – jakieś czerwone światełko zapaliło się jej gdzieś w kącie czaszki.

– Łukasz? – omiotła jego twarz wzrokiem, jakby szukając odpowiedzi na pytanie, co się stało. Jakby potwierdzenia, że wszystko jest w porządku. – Łukasz, co się stało?!

– Może usiądziesz… – bał się jej, zawsze przerażała go trochę jej żywiołowość, energia.

– Nie, nie usiądę. I czy powiesz mi, co się do cholery stało? – przeniknął ją chłód.

– Twoja siostra… – zawiesił głos.

– Gośka? Mogłam się domyślić… Co wymyśliła tym razem? Sama czy ze swoim gejzerem genialnych pomysłów, który, tak się złożyło, jest moim szwagrem? – Łukasz nabrał głośno powietrza i wziął ją za rękę, zaglądając jej w oczy.

– Wczoraj wieczorem twoja siostra i szwagier mieli wypadek. Marcin nie żyje. Małgosia jest w krytycznym stanie. Wszyscy są u niej w szpitalu, mnie wysłali, żebym po ciebie przyjechał – nie zemdlała, nie wybuchła płaczem, stała jak skamieniała wobec ogarniającego ją coraz bardziej chłodu i z pionową zmarszczką na czole błądziła wzrokiem, wykonując ogromną pracę umysłową. Dłonią objęła szyję i widział, jak przez bladą skórę pulsowała jej krew. Bał się, że zemdleje, a ona stała tylko ze zmarszczonym członem i co rusz potrząsając głową, wpatrywała się w niego, jakby szukając zaprzeczenia tego, co usłyszała. I stała nieruchomo, nawet gdy ją objął. Mechanicznie złożyła głowę na jego ramieniu, ale na twarzy nadal malował się wyraz niezrozumienia. – Ania? – odwróciła twarz w jego stronę, patrząc niewidzącym wzrokiem. Dała się zaprowadzić do samochodu i powoli do niej docierało to, o czym do niej mówił. Jej siostra umiera. Mówił, że pyta o nią. Jej siostra, jej Gośka, jej wredna kochana siostra, z którą przez całe życie walczyła, z którą się upijała, imprezowała, kłóciła i która ją uczyła tylu rzeczy. Która śpiewała jej kołysanki, gdy była mała. Przez chwilę ją zobaczyła. Tak jak wtedy, gdy ona miała trzy lata, a siostra układała ją do wózeczka, otulała kocykiem i śpiewała kołysanki. Niemalże wydawało jej się, że gdy otworzy oczy, będzie widziała twarz siostry i ten kocyk. Różowy w białe kwiatuszki. Spod przymkniętych powiek spłynęły łzy. Powoli docierała do niej straszna prawda. Zdławionym głosem zapytała:

– Ale nie ma szans, żadnych? Nic? – jej twarz była jak twarz dziecka, któremu się wydaje, że zawsze jest nadzieja i że osoba, w której pokłada tę nadzieję, jest w stanie zrobić wszystko. – Powiedz, że jest nadzieja…

– Kochanie, porozmawiasz sama z lekarzem, ale nie łudź się – jak powiedzieć kochanej kobiecie, że jej siostra jeszcze jako tako ciągnie, że jej szwagier nie miał szans, że zmiotło go na miejscu. Nie umiał pozbawić jej tego strzępka nadziei.

– Ale jak to się stało? Wypadek? Gośka, Marcin, a Majka? Co się stało? – jak się mogło stać, że coś takiego spotkało dwójkę młodych ludzi i co z ich córeczką?

– Maja była z twoimi rodzicami. Oni pojechali na wesele koleżanki Małgosi. Wracali do domu i wjechał w nich tir, kierowca był pijany.

– Nie uważasz tego za ironię? Nasz ojciec przez całe życie odciągał nas od alkoholu, a jego dziecko i tak padło jego ofiarą… – nie byłaby sobą, gdyby tego nie stwierdziła. Popatrzył na nią i odetchnął, skoro wraca jej sarkazm, to może jakoś to przeżyje. Zwłaszcza gdy obejmie całość sytuacji, wszelkie konsekwencje. Potrzebowała sprawnego umysłu. Reszta drogi przebiegała w milczeniu. On wolał pilnować drogi. A ona prosiła Boga o cud, żeby to była jakaś gigantyczna pomyłka. Żeby stał się cud. Żeby ona żyła. Bo przecież potrzebowała siostry. Potrzebowała tego głosu krytyki. Szczerej, niekiedy złośliwej. I teraz została tylko modlitwa i wiara, że stanie się cud.

W szpitalu, po przywitaniu z rodzicami, spojrzeniu w smutne niebieskie tęczówki brata i po tym, jak zobaczy siostrę taką słabą, bezbronną, leżącą w plątaninie rurek i kabli, posiniaczoną i podrapaną, tej wiary w cud już nie będzie. Będzie tylko prośba do Boga, żeby nie cierpiała, żeby odeszła w spokoju wśród bliskich osób, które ją kochają. Ledwo przyszła, ledwo się przywitała z tymi, których nie widziała tak długo i, jak myślała jeszcze parę godzin wcześniej, za którymi nie tęskniła. Poczuła, jak wiele łączy ją z tymi ludźmi. Jak bezpiecznie było w matczynych ramionach, jak dobrze jest poczuć zapach osoby, która towarzyszyła jej

od zawsze, poczuć się znowu córeczką tatusia. Tego ojca, który teraz był taki nieswój, że wszystko traciło swoje proporcje, bo ojciec zawsze był oazą spokoju. Opoką. Wszystko się zmieniało, ale nie ojcowy spokój. I ukochany brat. Osoba, z którą była o wiele bardziej związana niż z siostrą. Razem tworzyli bardzo zżyty duet. Ona kochała jego, on ją. Bezwarunkowo, ale nie bezkrytycznie. I jedno spojrzenie w szafirowo-niebieskie oczy tego ukochanego brata uświadomiły jej, jak poważna jest sytuacja. Matka położyła jej lekko dłoń na ramieniu:

– Aniu, ona chce cię widzieć. Wydaje się, że tylko na to czeka, żeby… – głos się jej załamał, z oczu, które nabiegły łzami, można było wyczytać, jak bardzo cierpi. – Idź do niej, kochanie – na miękkich nogach weszła do sali, w której leżała siostra i znowu wzniosła do Boga niemą prośbę, żeby nie cierpiała. Usiadła na krzesełku przy łóżku i połykając łzy, przygryzając wargi, dotknęła chłodnej dłoni siostry. Otworzyła oczy i jakby odetchnęła, że ją wreszcie widzi.

– Dzień dobry, kochanie… – miała nadzieję, że nie słychać w jej głosie bezbrzeżnego smutku, który czuła. Że nie słychać łez. Bezwiednie gładziła dłoń siostry i śledziła każdy jej ruch, każdy oddech ledwo słyszalny wśród elektronicznego szumu i piknięć. Najwidoczniej Małgorzata zbierała siły, aby coś powiedzieć.

– Obiecaj mi coś – nie była pewna, czy to usłyszała, czy bardziej wyczytała z nieznacznego ruchu warg.

– Co tylko będziesz chciała – może powinna była rzucić żartem, rozładować atmosferę, dać siostrze nadzieję, że wyjdzie z tej beznadziejnej sytuacji. Nastąpiła jednak iluminacja. Jej siostra wiedziała! Wiedziała, że odchodzi, a okrucieństwem byłoby nie pozwolić, czy utrudnić jej ten wysiłek. Miała coś ważnego do powiedzenia. – Maja… – mówienie sprawiało jej trudność. Bardziej szeptała niż mówiła.

– Maja? Co z nią?

– Zaopiekuj się nią… Chcę… chcę, żebyście ją wychowali… Ty i Łukasz… bądźcie dla niej rodzicami. Nikt inny nie zrobi tego lepiej… Dobrze? Daję ci moje dziecko… – spod powiek słuchającej siostry wymknęło się kilka łez. Miała ściśnięte gardło, więc tylko pokiwała głową. Spostrzegła jednak, że siostra ma zamknięte oczy i prawdopodobnie tego nie widzi.

– Dobrze, siostra. Obiecuję ci… Zajmę się Majką.

– Dziękuję ci. Będzie mi lżej… odejść ze świadomością, że zajmiecie się ją. Prosiłam Łukasza, on się zgodził… potrzebna mi była jeszcze twoja zgoda, kochanie.

– Oczywiście. Zajmę się twoim dzieckiem jak własnym, Gosiu… – nie nazwała jej tak od dawna… i chciała ją tak bardzo przeprosić za to wszystko, co było złe. Cofnąć czas. Być dobrą siostrą. Ale nie chciała własną spowiedzią, własnym egoistycznym pragnieniem oczyszczenia utrudniać jej tych ostatnich chwil.

– Aniu… kocham cię – jakby nadludzkim wysiłkiem uniosła swoją dłoń i przykryła dłoń siostry. Młodsza siostra zalała się łzami, walcząc z targającym ją od wewnątrz szlochem. Gryząc wargi, starała się poradzić sobie z bólem, jakby ktoś wyrywał jej kawałek serca. – Byłaś dobrą siostrą, skarbie. Kocham cię… Bądź dla mojego dziecka tak dobrą matką, jak dla mnie byłaś siostrą… Powiedz im… – oddychanie sprawiało jej coraz większy trud – powiedz, że bardzo ich kocham i że przepraszam za wszystko. Do zobaczenia, słońce – serce zwalniało.

– Gosiu… – powiedziała i jakby czując na sobie powiew śmierci, dodała: – Dobranoc. Śpij spokojnie – serce się zatrzymało i włączył się alarm. Wbiegł personel medyczny. Ale ona już wiedziała. Jej siostra odeszła. Jej bliscy też wiedzieli. Gdy wyszła z sali, zobaczyła załamaną rodzinę. Wpadła w ramiona Łukasza, mężczyzny, którego dziś chciała zostawić. A teraz miała z nim wychowywać córkę swojej siostry. Wyplątała się z jego ramion i podeszła do tego, który w każdych okolicznościach dawał jej wsparcie. Jednak jej brat był równie załamany jak ona. Z jego oczu

wyczytała tylko: „Musimy sobie jakoś radzić, mała. Też jeszcze nie wiem jak. Ale musimy". Bo na głos powiedział:

– Łukasz, odwieź ją do domu… – ale gdy Łukasz zagarnął ją ramieniem i chciał wyprowadzić, wyrwała się: – Dlaczego mam jechać? Chcę zostać z wami, z… chcę zostać.

– Córuś, jedź do domu. My też zaraz wracamy… Jej już nic nie pomoże, kochanie.

– Ale mamo…

– Jedź, kochanie. Łukasz, zawieź ją do domu. Do zobaczenia, maleńka.

– Trzymaj się, siostra.

– Do zobaczenia – bardziej była prowadzona, niż szła sama. Gdy otworzył przed nią drzwi do samochodu, jakby się ocknęła. – Wiesz, że już nie mam do kogo powiedzieć: „Trzymaj się, siostra".

I na szpitalnym parkingu wybuchła płaczem. Wtuliła się w niego, czepiając się jego ubrania. Cierpliwie tulił ją do siebie i głaskał jak małą dziewczynkę. Podawał chusteczki. Pierwszy raz pokazała swoją słabość, swoją bezbronność.

– Możemy już jechać? – skinęła tylko głową. Wsiadła do samochodu i oparła się o szybę. Droga do domu była nie tylko milczeniem, była także zupełnym brakiem myśli, ogarnęła ją totalna pustka. Dlatego bez zastanowienia odpowiedziała „nie", gdy zapytał, czy ma z nią zostać. Chciała być sama. Pomógł jej wnieść bagaż i się pożegnał… Siadła obok tych toreb. Paliła się tylko maleńka lampa w przedpokoju. Jak sobie to ułożyć? Jak wytłumaczyć śmierć dwojga młodych ludzi, którzy powinni żyć? W skutek czyjejś głupoty, bezmyślności przestała istnieć jej siostra, jej szwagier, dziecko straciło rodziców. Jej rodzice stracili córkę. Najgorsze były wyrzuty sumienia. Nie była dobrą siostrą, nawet wczoraj. Ała, zapiekło. To tutaj ją bolało. Nadmiar uczuć… Siedziała, kryjąc twarz w dłoniach lub tępo wpatrując się w ścianę. Powinna pojechać do rodziców po Majkę. Biedna dziewczynka… Obecnie

nie była w stanie zdobyć się na takie działanie. W masochistycznym odruchu sięgnęła do jednej torby po album ze zdjęciami, chciała zapamiętać siostrę taką, jaką była naprawdę – pełną życia, żywiołową. Miała te zdjęcia w albumie. W albumie, który woziła ze sobą w każdą podróż, chociaż był ciężki i trudno było go upchnąć. Wyjęła album i zaczęła biegać wzrokiem po zdjęciach.

Pierwsza łza pojawiła się, gdy zobaczyła jedno z ich pierwszych wspólnych zdjęć, na kolanach u Małgośki z żółtym miśkiem w tle. Misiek pewnie jest u rodziców, ona siedzi sama, a jej siostry nie ma. Potem był szereg zdjęć z jej dzieciństwa, z rodzinnych spędów, aż zaczęły się takie, które wywołały jej uśmiech przez łzy. Na weselu kuzynki, gdy totalnie pijane tańczą kankana… Na tym samym weselu prowadzą wężyka… Śpiewają weselne piosenki… Gośka trzyma nogi na jej kolanach i pokazuje, jakie ma brudne i zmęczone… Jej głowa na ramieniu siostry i pożądliwy wzrok skierowany na flaszkę wódki. Ich trochę mniej pijane drugie połówki. Ona na rękach Łukasza. Gośka u Marcina… Biedny Marcin. Odejście szwagra jakoś do niej nie docierało, chyba ciężko uporać się ze wszystkim naraz. Najpierw musiała przepłakać jej odejście…

Tutaj zdjęcie z Kalwarii Pacławskiej – leżą pokotem jedna obok drugiej, a ludzie dookoła myślą, że umarły. Ona nosząca na barana Małgośkę po polu, jak zbierały ziemniaki… z albumu wypadło kilka zdjęć. Najbardziej lubiła to rodzinne. Zrobione tuż przed wyjazdem na stypendium do Hiszpanii. Mama, tata, Gośka, Grzesiek i ona… Było jeszcze kilka wersji typu: cała rodzina plus połówki z Majką. Ale ta pierwotna wersja była najlepsza. I przyszła bolesna świadomość, że już nigdy się nie spotkają w tym składzie. Już nigdy się nie pokłóci z siostrą. Nigdy nie nazwie jej idiotką, nigdy nie powie, że jest głupia i że na pewno nie są siostrami. I nigdy się już nie upiją razem. Nie pojeżdżą rowerem, samochodem, na rolkach. Nigdy. Szlochała oparta o drzwi.

Dopiero teraz przypomniała sobie, skąd właśnie wróciła. Zapomniała, że miała skończyć swój związek. I ma zerwać tak, jak planowała? A co ze słowem danym siostrze? Puścić mimo uszu? Wziąć Majkę i wyprowadzić się? Spakować dziecko, któremu zawalił się cały świat i zabrać je w obcy dla niego teren? Złamać obietnicę daną komuś na łożu śmierci – nie mieściło jej się to w granicy pojmowania. Na madryckim zdjęciu uśmiechała się radośnie. Czy kiedykolwiek będzie jeszcze się tak śmiała? Przypomniała sobie, że nadal ma wyłączoną komórkę, włączyła ją i wykasowała wszystkie raporty o nieodebranych połączeniach. Herman, Marta, Łukasz… I znowu Herman… Powinna do niego zadzwonić? I co powiedzieć? Że plany się zmieniły, że wystarczyło mniej niż dwadzieścia cztery godziny, aby los obrócił wszystko w perzynę? Że wybacz, kochanie, ale nic z tego… możesz nie zrywać z Evą. Zapomnij, że istniałam? No, było fajnie, owszem. Może nawet trochę więcej niż fajnie, ale sorry, Winnetou, wracajmy do życia w realu.

Z drugiej strony Łukasz… nigdy nie był dla niej opcją na całe życie. Owszem, mógł pretendować do roli mężczyzny idealnego. Pod względem stylu bycia, wyglądu, zachowania, ale nie był tym jedynym, nie wywoływał u niej nawet części uczuć, które wywoływał u niej Herman. Nie czuła tego błogiego spokoju, pewności, że przy nim jest jej miejsce. Łukasz… po prostu od paru lat był, trwał wiernie przy jej boku. Od momentu, gdy poznała go w drodze na mecz. Był. Nie wymagał ciągłej uwagi. Nie był zazdrosny o każdego piłkarza, z którym rozmawiała, nie rościł sobie prawa do bycia na pierwszym miejscu. Herman też nie… Herman po prostu był na pierwszym miejscu, ponad wszystkimi, wyłączony z klasyfikacji. Nie musiał rościć sobie praw do jej czasu, ona chciała spędzać z nim każdą minutę.

Łukasz nie był typem ślicznego chłopca. Niebieskie oczy, duże, o wyrazie wiecznego zdziwienia. I ciemne włosy, dwudniowy zarost, może zbyt duże usta i ciut za szeroki nos. Jego twarz wbijała się w pamięć. Jej się wbiła, wryły się w jej pamięć zwłaszcza te duże oczy. Ale wbić w pamięć nie oznacza chęci spędzenia z drugą

osobą całego życia. Jakoś tak wypadło, że zostali parą. Do dziś starała się przypomnieć, co było powodem tej chyba desperacji z jej strony. A wszystko było jej winą. Gdyby była lepszą siostrą, Gośka wiedziałaby, co się dzieje, kto zaprząta jej myśli, kogo kocha, z kim chce być… I nie wepchnęłaby jej w ramiona Łukasza, nie popchnęłaby jej na drogę wiodącą do pułapki na całe życie, zwanej dla niepoznaki małżeństwem. Teraz mogła tylko bezradnie stać i patrzeć jak jej, jeszcze wczoraj poukładane życie, rozprysło się jak piękny kryształowy wazon. Nie mogła marzyć o tym, by złożyć te ostre okruchy znowu w piękną całość.

Agnieszka Gil

Sielanka

Chmury pędziły jak poganiane batem. Czarnosine, niemal granatowe. Wysoko, wysoko widać było, jak przesuwają się po niebie. Wichura zeszła już niżej. Drzewa uginały się pod naporem wiatru. W powietrzu drgał niepokój i zapadał coraz głębszy mrok.

Małgorzata wracała z pola. Szła przez rozkołysany las – gałęzie jałowców w gęstniejącym mroku zmieniały się w łapy stworów. Ostatnie ptaki wyśpiewywały na całe gardło. Spadło kilka kropli deszczu. A dzień zapowiadał się taki słoneczny!

***

To miał być czarowny urlop z dala od zgiełku miast i spalin samochodów, pośród niemal dzikiej przyrody, z którą tubylcy żyli w zgodzie.

Domek był malutki. Bez łazienki, po wodę trzeba było chodzić do studni, bo Małgorzata postanowiła nie brać jej z kranu od gospodyni, skoro na środku podwórza stała prawdziwa studnia z kołowrotem. Gospodyni, chuda kobiecina w chustce na głowie, nie mogła się nadziwić. I kazała klapy na cembrowinie pilnować.

Wszystko było takie urocze. I niecodzienne. Nawet to, że miała dziecko – siostrzenicę, pięcioletniego cherubinka o niebieskich oczach i czarnych lokach wokół rumianej buźki.

Na co dzień Małgorzata odnosiła wrażenie, że chwile przepływają obok niej, czas pędzi, a ona nie nadąża za nim. Tu, na zapadłej wsi, zamierzała dźwignąć się w górę, wrócić do pionu i wytrwać w tej pozycji. Żadnych napadów złości, irytacji, Basi Niechcicowej w lustrze, co to jej wszyscy ludzie na złość robią, skrzywionej i

złej. Tutaj nauczy się być dobra, cierpliwa i ładna. Tutaj znów pokocha swojego męża, nauczy się rozumieć mężczyznę, który każdą bardziej lotną myśl swej żony łapał i wiązał do niej swoje wielkie, ciężkie serce.

Zaczęła od ubrania dającego nadzieję. Niby zwykły, domowy ciuszek, ale kiedy Małgorzata po raz pierwszy zobaczyła tę sukienkę, uznała, że jest przepiękna – błękitna jak czyste niebo, z łąką kwiatów, szeroka i przewiewna. Babcia obiecała ją dać Małgorzacie, gdy ta zajdzie w ciążę. I rzeczywiście, kiedy Magdzie, jej starszej siostrze zaokrąglił się brzuszek brzemienny Malinką, staruszka dała jej tę sukienkę. Małgorzata otrzymała ją, bo dwie Magdy zmieściłyby się w niej teraz.

***

Wiatr ustał, pojaśniało. Kobieta pomału zbliżała się do lasku oddzielającego pasmo gospodarstw od pól – w domku telefon nie działał, między łanami kukurydzy i pszenżyta był lepszy sygnał. Jednak do męża nie sposób było się dodzwonić – szalenie pracowity, wisiał na telefonie o każdej porze. Po dwóch kwadransach poddała się i odwróciła w stronę ciemniejącej linii drzew.

Drogą pod lasem biegł Kajtek. Małgorzata cieszyła się, że jest daleko od niego, bo chociaż nigdy nawet na nią nie warknął, wystarczyło, że patrzył. Teraz kolebał się na krótkich łapach o jakieś pięćdziesiąt metrów od niej, ale mimo to czuła zapach jego sierści – duszącą, skondensowaną woń zwierzęcia. Kajtka trudno było nazwać psem ładnym, a nawet niebrzydkim. Był szeroki, miał ogon zakręcony w dziwaczny sposób i osobliwe oczy, od których robiło się słabo. Każde jego oko z osobna wyglądało niby normalnie, ale oba razem sprawiały, że jego spojrzenie przywodziło jej na myśl wzrok psychopaty. Machając antykomarową gałęzią sosny, poczekała, aż pies zniknie w gęstwinie i ruszyła do domku. Do Malinki. Do insektów i myszy.

***

Małgorzaty stosunek do owadów oscylował między beznamiętną obojętnością a panicznym strachem. Gdy biorąc słoneczną kąpiel, leżała w koniczynie, a pszczoły brzęczały, nie robiło to na niej wrażenia. Ignorowały się wzajemnie. Było więc miło, pojedyncze muszki odganiała leniwie. Czasem w niewielkiej odległości zabrzęczał trzmiel czy bąk. Mrówki Małgorzata strącała z siebie, niemal nie zwracając na nie uwagi. To ich dom – ona tu była intruzem. Wielki pająk, który utkał sieć na ścianie domku, był mało przyjemny, ale wiedziała, że łapie muchy i komary. Mieszkał pod dachem i nie właził do środka. Nie niszczyła jego sieci, bo mógłby przenieść się do wnętrza. Nad kuchnią, na poddaszu miały gniazdo szerszenie. Czasem któryś przeleciał się po okolicy. Nie atakowały niezaczepiane.

Gorzej zrobiło się, kiedy zrozumiała, że gdy nadciąga mrok, nie jest w stanie odgrodzić się od owadów. Poprzedniej nocy, gdy wybierała się już do spania, dwie muchy ujawniły swoją obecność. Brzydziła się nimi nieprzytomnie. Wszystko, co mogłoby być dotknięte przez muchy – naczynia, jedzenie – chowała do szafek, przykrywała. Po każdym dotknięciu klapki dokładnie myła ręce. I nigdy nie dotykała części, którą je tłukła! Kiedy wynosiła truchło drugiej (wyrzucała je na dwór, mimo rzekomego zabicia potrafią ożyć!), na firance wiszącej w drzwiach zobaczyła pająka. Nie był to niewinny kosarz, który w rzeczy samej nie jest nawet pająkiem, ale obrzydliwy czarny stwór z krótkimi, grubymi nogami. Zdrętwiała, bo zawsze miała wrażenie, że one potrafią skakać. Udało jej się go klapnąć i wyrzucić na dwór. Ale potem bała się iść do sławojki, bo a nuż się ocknął? I czy pająki nie są przypadkiem mściwe?

***

Cicho. Nawet komary powoli układały się do snu. Las ciemniał. Już nie można było odróżnić kapelusza kurki od brzozowego listka. Pachniało ziemią, wilgocią,

mchem i ognichą. Na zachodzie, tuż nad linią horyzontu niebo poróżowiało. Zagłębiła się w lasek, a po chwili zamykała za sobą drewnianą furtkę.

Miała zamiar położyć się do łóżka z książką. Pod lampą przy łóżku Malinki fruwała ćma. Kobieta wiedziała, że nie zaśnie, nawet się nie położy, dopóki motyl będzie żył. Jednak nie znalazła go. Cała zlana zimnym potem, rozglądała się co chwilę nerwowo, usiłując czytać. Wiedziała, że gdy tylko przestanie się rozglądać, owad wróci pod lampę – taka jego ćmia natura. Chyba że wylazł już jakąś szparą. Momentami Małgorzacie przechodziły po plecach takie dreszcze, że wszystkie włoski na ciele stawały buka. Niektórym stają dęba. Czuła te przemykające po twarzy cienkie nóżki, miziające po rękach i nogach odwłoki. Kuliła się pod kołdrą i miała nadzieję, że się tam nie dostaną. Trzeba było zgasić światło, a przecież była jeszcze mysz…

Mysz zachowywała się jak u siebie. Właziła wszędzie, robiła małe kupy do Malinkowych kredek, rozrzucała zapałki i czymś szeleściła. Na kratkach kuchenki gazowej zrobiła sobie tor przeszkód. Na skutek jej wędrówek Małgorzacie spadła na głowę jakaś książka, leżąca na półce. Tłukła się za lodówką, bałaganiła wiórkami po temperowaniu kredek. Rozrabiała, a przyłapana, patrzyła tak jakoś niewinnie cwaniacko, robiąc łobuzerskie oczka.

***

Ranek wstał świeży i wonny, z komina sąsiadów docierał dym, niosąc ze sobą zapach palonych pod kuchnią szyszek. Poranne anioły zdmuchnęły już mgłę z łąk, oblały trawę rosą i wymyły skrzydła przy studni. Odleciały, zabierając ze sobą spokój.

Mysz hałasowała przez całą noc w kuchni, rano przeszła do pokoiku. Chrupała nie wiadomo co, może wersalkę. Małgorzata postanowiła pozbyć się jej skutecznie i kategorycznie. Sama nie potrafiła, postanowiła poprosić kogoś o pomoc. Sąsiada.

Pliszki biorące kąpiele piaskowe, odzywający się gdzieś z oddali dzięcioł i zając, któremu coś się pomyliło i wskoczył na podwórze – Malinka kochała zwierzątka. Żałowała, że kury nie dają się głaskać. Patrzyły na nią pojedynczym okiem i uchylały rude łebki. Próbowały dziobać piankowe kwiaty na kolorowych sandałkach. A Kajtek lubił być głaskany. Kładł się na kupce piachu za domem, gdzie chłodził porośnięte gęstym futrem boki. Piach śmierdział jego wonią, nawet gdy psa tam nie było. Dziewczynka też śmierdziała – po każdym głaskaniu musiała dokładnie umyć ręce, a gdy kiedyś przytuliła się do zwierzaka serdecznie, Małgorzata jak najszybciej wyprała jej ubranie – cuchnęło na kilometr.

Sama nie dotknęłaby Kajtusia. Nie ma mowy. Mijali się więc z daleka. Ona wypatrując oznak agresji, w oczekiwaniu na gwałtowny skok i kłapnięcie paszczy małej, ale pełnej twardych zębów. On – patrzył. Może czytał w jej myślach.

***

Ta noc miała być inna – sąsiad założył pułapkę.

Siedzącej nad książką Małgorzacie o mało nie wyskoczyło serce, kiedy w głuchej ciszy rozległ się nagły trzask – mysz wpadła! W sidła na kuchennej szafce.

Zwierzątko poruszyło się kilka razy i machnęło ogonem. Kobieta miała nadzieję, że nie będzie się długo męczyło. Ale ruszało się bez przerwy, sprawiając wrażenie, że zaraz się wyswobodzi i ucieknie. Małgorzata zaświeciła duże światło i przyjrzała się uważnie. Zwierzę było przytrzaśnięte za pyszczek i jedną łapkę. Zaczęło krwawić. Strach dodawał mu sił. Gdy Małgorzata klasnęła w dłonie albo pstryknęła palcami, podrygiwało. I patrzyło! A gdy ona pójdzie spać, pewnie się uwolni i przyjdzie do łóżka. Czy myszy są równie mściwe, jak pająki?

Nie minęło pół godziny, gdy mysz zaczęła popiskiwać, jakby jęczeć. Podskakiwała tak gwałtownie, że wraz z pułapką zleciała za lodówkę, słychać było, jak się tam tłucze. Uwolniła się, czy nadal jest uwięziona? Boże, Boże, co tu robić?!

Jeśli się odczepiła, to z pewnością w nocy przyjdzie się zemścić. I co wtedy? Może jednak się nie wyswobodziła. Z pułapką na plecach chyba nie dojdzie do pokoju? Trzeba było przykryć ją jakimś garnkiem, wtedy do rana może by… Ech, za późno wpadła na ten pomysł.

Małgorzacie zaschło w gardle. Bała się podejść do szafki z wodą. Bała się podejść do lodówki, choć najchętniej łyknęłaby coś mocniejszego.

Była prawie północ, a mysz zamilkła. Zdechła? Uciekła? Odpoczywała?

***

Znów świt, jeszcze szarawy. Nie chce się wyciągać kończyn spod kołdry. Za wcześnie, by budzić syna gospodyni, żeby sprawdził, co z pułapką. Może uda się jeszcze zasnąć, tym razem bez snów bardzo proszę. I… cholera, wstały zbyt późno, już go nie było. Małgorzata nie da rady czekać, aż przyjdzie z pracy. Nie z myszą na tyłach lodówki. Trzeba iść po sąsiada. Poszedł po krowy, więc zwierzyła się jego żonie z nocnych przeżyć. Podwórko było puste, ciche, krowy na łące, a dzieci przed telewizorem. W ciszy zadzwoniły łańcuchy ciągnięte po ziemi. Bezwłose pyski zanurzyły się w korycie z wodą.

– Potrzebuję mężczyzny… – nawet nie mrugnął.

– Ja jestem cienki! – rzucił samokrytycznie.

– Proszę cię, tylko do odsunięcia lodówki.

Pułapka była pusta.

***

Na polu było cicho, tym wyraźniej niosły się słowa wykrzykiwane do telefonu:

– Chyba przestaję sobie radzić z bliskością przyrody. Ze wszystkich stron atakują mnie obrzydliwe stwory! No, jak to jakie? Owady! Nie wiem, jakim cudem dostają się do domu i zatruwają mi życie, brzydzę się ich i boję, nie wiem, jak

walczyć. Nie mogę teraz zapsikać domu trucizną, skoro mam w nim z dzieckiem spać! Zewsząd słyszę szuranie łap chrząszczy czy może żuków, trzepot małych skrzydełek. Siedziałam na narożniku w kuchni, nagle zobaczyłam jakiegoś opancerzonego typa, trzydzieści centymetrów od twarzy! Trzasnęłam go klapkiem, tak, kilka następnych też. Jeden wylazł zza szafy na belkę pod sufitem. Były czarne, wąskie, z łapami jak szydełko do łapania oczek, takimi czepliwymi. Wiem, wiem, pracujesz, do cholery, wiem!

Małgorzata stała, opierając ciężar ciała na jednej nodze, udo drugiej podrygiwało jej rytmicznie i nerwowo. Skąd się wzięły te czarne w domku? Pomyślała, że może znalazły jakąś drogę przez okno, wszystkie planowała dziś zostawić otwarte, ze względu na upał i duchotę. Muchy są głupie, więc nie potrafią pokonać przypiętej do ramy firanki, już prędzej cwane komary znajdują przejścia między pineskami. Grube, ciężkie owady swoją masą odchylają delikatną tkaninę i niejako wpadają do środka, tak sobie to wyobrażała.

Wróciła do domku, Malinka znów zasnęła. Po całym dniu biegania na świeżym powietrzu, zażywania sielanki, spała jak aniołek. Z nadmiaru emocji Małgorzata postanowiła pójść do wychodka i po drodze pozamykać jednak okna, pootwierane na zewnątrz. Gdy doszła do ostatniego, o mało nie wybiła szyby siłą zamachu przy odpychaniu od siebie jednego skrzydła. Gdy miała je zamknąć, dotknęła czegoś, nie wiedziała czego, po ciemku nie widać. Za chwilę wrzasnęła na całą wieś, bo jakieś zwierzę zerwało jej się spod nóg i uciekło na tyły domku, aż zadudniła ścieżka. Chyba to nie kot, bo one jakby ciszej biegają. O dojściu do wygódki nie było już mowy. Chwyciła wiaderko i postanowiła załatwić sprawę w domku. Trudno, jutro będzie wylewać. Wpadła do przedsionka. Przy okazji wleciał wielki komar, samiec. Otarł się o nią! Firanka od much, wisząca w drzwiach, zatrzymała jego impet. Obijał się trochę po ścianach, wreszcie przysiadł. Próbowała załatwić go miotłą, ale był

odporny i czepił się jej spódnicy. Krzyknęła, znowu strącając go z siebie i wpadła do pokoju, szczelnie zaciągając firankę.

Rozpłakała się i szlochając, pytała Boga, za co ją tak karze. Jeżeli za to, co myśli, to jej zdaniem kara nie jest współmierna do winy.

Rozłożyło ją kompletnie poczucie bezsilności. Brak miejsca do ukrycia się przed przerażającymi ohydami. Jak schować się przed czymś, co wyłazi z każdej dziury? Może chodzić po podłodze, ścianie i suficie. W razie potrzeby latać. Nieraz gryzie, wypija krew lub po prostu łazi po człowieku. Przed komarami można się bronić psikaczem, śmierdzielem elektrycznym i gęstością firanek. Muchy, którym uda się wlecieć, mimo zapory firankowej, przed snem da się wytłuc, bo widać je wyraźnie na suficie. A co z całą resztą? Wielki komar padł chyba ze strachu, bo Małgorzata znalazła go ledwie żywego i natychmiast dokończyła jego żywota packą. W kuchni znalazła jeszcze kilka czarnuchów, wyłażących nie wiadomo skąd, ogólnie z kierunku okno – narożnik. Trochę pod sufitem, trochę na zasłonkach. Wszystkie zgarniała packą na ziemię i nie dopuszczała myśli o niedokładnym rozliczeniu się z nimi. W ciągu pół godziny siedem sztuk. Średnio co pięć minut adrenalina skakała jej do góry. Chyba nie będzie dzisiaj wcale spała, bo na myśl, że mogłyby przyjść i chodzić po łóżku, chrzęszcząc pancerzami, łapami czy czym tam, dostawała łabędziej skóry! Są dość pokraczne i mogą spaść im na twarze z sufitu. Po jakiego grzyba one tu w ogóle przylazły?! Mało im miejsca w lesie?

A to jeszcze nie koniec planowanych na tę noc atrakcji. Tu mieszkają jeszcze myszy! Myślała, że przestraszą się po przygodzie z pułapką, jednak nie. Wróciły i to co najmniej dwie, jeśli nie więcej. Hałasy obudziły kobietę pośród ciemnej jeszcze nocy. Szeleściły w torbie ze śmieciami, tupały i popiskiwały po całej kuchni. Nie bały się klaskania, stukania ani skrzypienia sprężynami łóżka, z którego panicznie bała się wyjść. Na myśl, że mogłyby przebiec pod nogami albo rzucić się na nią z

zemsty za ich towarzyszkę (miała nadzieję, że jednak poległą), drętwiała. Postanowiła raczej zmoczyć łóżko, niż wyjść teraz. I o mało do tego nie doszło.

W końcu, pewnie trwało to dłużej niż godzinę, udało się jej zasnąć. Kiedy tylko się rozwidniło, przebudziła się naciskana od wewnątrz. Było już jasno, mogła biec. Do tego wszystkiego dołączył jeszcze strach przed nocnym wychodzeniem siku…

***

Po południu wzięła od sąsiada naprawioną przez niego pułapkę. Syn gospodyni nastawił ją przy butli gazowej – widziała, że tą drogą myszy też wchodzą.

Na wabia położyła kawałek żółtego sera. Miała nadzieję, że w końcu któraś złapie się skutecznie. O północy słyszała, jak popiskują i tupią w rogu kuchni. A może, nie daj Bóg, to w pokoju za ścianą, u boku śpiącej Malinki? Przed chwilą coś stuknęło lekko przy butli z gazem. Chyba już wyczuły ser, tylko pewnie boją się podejść. To czekanie jest okropne. Obsesja lęku powodowała, że przed oczami Małgorzaty migały mroczki – wszystkie w kształcie myszy i chrząszczy. Ewentualnie innych owadów. Wolała już hałas chłodzenia w lodówce niż tę straszną ciszę powodującą, że każdy dźwięk brzmi kilkakrotnie głośniej niż w rzeczywistości.

Coś lub ktoś pętał się dookoła gospodarstwa, psy jazgotały na całą wieś. *Ja chcę do domu*, myślała raz za razem, *ja chcę do domu, do domu*! Bała się czuwać. Bała się zasnąć, chyba zrobi to na siedząco, kiedy skoki adrenaliny i zmęczenie kręgosłupa zwalą ją z nóg. Kark bolał ją od ciągłego kręcenia we wszystkie strony, żeby sprawdzić, czy kolejny czarnuch nie szykuje się do skoku z sufitu. Wszędzie widziała przemykające mysie ogony – zwidy?

Powinna głośno hałasować, a potem błyskawicznie zasnąć (jedyny sposób na doczekanie do rana bez osiwienia) lub siedzieć cicho, aby krążąca mysz odważyła się wreszcie podejść do sera. Na nic nie mogła się zdecydować. Myśl, że myszy chodzą

teraz po pokoju, w którym śpi Malinka, wydaje jej się mało wiarygodna, więc tchórzliwie siedziała z dala od tej ewentualności, w kuchni.

Zasnęła dopiero przed drugą w nocy. Siku poszła dopiero, gdy się już rozwidniło.

***

Najważniejsze jednak było, że miała mysz! Nie sądziła, że tak będzie się cieszyła widokiem mysich zwłok! A sprawiły jej wielką, chyba atawistyczną przyjemność. Przedtem bała się, że nie da rady jeść czy w ogóle normalnie żyć, mając pod bokiem truchło. Jednak poprzednia noc wyprała ją z uczucia litości do czysta! Polowała teraz tylko na faceta, który jej to wyniesie z domu. Ale póki było – nie przeszkadzało, radowało!

***

Koło południa podniosła się z leżaka. Było cudownie, gorąco, pachnąco, a w kuchni, przy butli z gazem leżały mysie szczątki. Zapragnęła się ochłodzić, więc poszła po wodę.

Studnia była stara i omszała, drewniany walec kołowrotu popękany, ale sprawny. Małgorzata podniosła klapę i zdjęła z uchwytu metalowe wiadro, przymocowane do kołowrotu łańcuchem. Po chwili odwiesiła wiadro i klepnęła się w czoło – zapomniała przynieść swoje wiaderko, do którego przeleje wodę! Odwróciła się tyłem do studni i zmartwiała.

Naprzeciw niej, może o trzy metry dalej, stał Kajtek.

Patrzył. I śmierdział. Sierść miał skołtunioną, nigdy nieczesaną, kto by tam czesał podwórzowego psa. Kłapciaste uszy były mięsiste, czasem jedno podnosiło się do góry, tak jak teraz. Nad oczami wyrastały mu dłuższe kłaki sierści. Wyglądał jak zezłoszczony staruszek, o krzaczastych brwiach. Zapatrzył się, nie wykonując jednak

żadnego ruchu – nie drgnął mu ani muskuł, nie kiwnął się ogon. Ale mięśnie miał naprężone. Nie było tego widać przez gęste, choć gładkie futro, lecz dało się wyczuć.

Tego było za wiele dla Małgorzaty. Czuła, że zaraz zwariuje, albo przynajmniej zacznie wrzeszczeć. Nabrała pełne płuca powietrza i wyrzuciła z siebie dręczące ją od początku, od pierwszych dni przyjazdu tutaj, pytanie:

– Czego chcesz? Czego wszyscy chcecie?!

Kajtek wytrzeszczył dziwne oczy i zawarczał głucho. Nagłym ruchem spiął się do skoku i zbliżył do kobiety jednym susem. Wrzasnęła i próbując znaleźć z tyłu oparcie, cofnęła się, macając za sobą ręką. Trafiła na kołowrót, który obrócił się z cichym zgrzytem, nie będąc podporą. Chlupnęła przez czarne lustro wody, ale chyba tego nie czuła – wcześniej uderzyła mocno głową o wnętrze betonowego kręgu.

Kajtek postał przez chwilę pod studnią, odszedł, gdy woda w niej, z powierzchnią przysypaną brzozowymi nasionkami, uspokoiła się. Wrócił na swój piach.

Gospodyni wychyliła się zza drzwi swego domu. Spojrzała na środek podwórza i pokręciła głową – ech, letnicy. Podeszła i opuściła drewnianą klapę na kamienną cembrowinę.

– Sto razy można mówić, żeby zamykali studnię. Jeszcze dzieciak wpadnie.

JUSTYNA KAROLINA GAŁĄZKA

JA – MAŁA

puk puk
pik puk

puk puk

chlip chlip
chlap

Ktoś usiadł pod drzwiami i czekał. Mała, szara postać osunęła się na podłogę obok drzwi i podkuliła kolana. Coś ją zaswędziało za uchem, podniosła rękę i podrapała się powolnym ruchem. Wsunęła dłoń do kieszeni, wyjęła cynamonowe ciastko i zaczęła chrupać.

chrup chrup
chrap chrap

Łzy leciały nadal. Toczyły się powoli po brudnych i wysmaganych wiatrem policzkach. Mała zjadła ciastko, wytarła dłonie w spodnie i wciąż czekała. Drzwi wciąż milczały. Nie wydały z siebie żadnego dźwięku. Mała była coraz bardziej senna i zmęczona. Oparła głowę o zmarznięte kolana i po chwili zasnęła.

Ktoś nachalnie głaskał ją po policzku.

plask plask

głask

To słońce wyciągało swoją drobną, ciepłą dłoń i gładziło Małą po twarzy. Trochę ją ogrzało, trochę przytuliło. Mała nie była zaskoczona. Ani trochę. Ani ociupinę. Rozprostowała nogi i ręce i wstała. Powyciągała się jeszcze kilka razy, zrobiła siedem przysiadów, wygięła usta w podkówkę, w lewo, w prawo, w dzióbek. Ćwiczenia zakończyła mocnym ziewnięciem.

– Aaaaaachchchch.

Pomachała do słońca i poszła przed siebie.

Szła zieloną dróżką. Dookoła rozpościerały się cudowne krajobrazy. Jak z obrazka o pięknych zielonych dolinach. Jak z bajki. Po prawej stronie ścieliły się dywany białych i żółtych stokrotek, a po lewej… po lewej płynął strumyk. Mała podeszła do niego, nachyliła się, nabrała wody w dłonie i umyła twarz. Przeczesała mokrą dłonią swoją rozwichrzoną czuprynę i usiadła z boku. Powoli zaczęła rozwiązywać buciki. Ściągnęła dziurawe skarpetki i zamoczyła brudne stopy w kryształowo czystej wodzie. Chłód wody delikatnie obmywał zmęczone nóżki.

chlap chlap

plusk plusk

plum

Położyła się wygodnie na trawie z nogami wciąż zamoczonymi w wodzie i patrzyła w niebo na przepływające powolnie chmury. Nieskazitelnie czystą przestrzeń przetykało kilka małych, białych obłoczków, powolnie sunących nad ziemią. Mała wciąż leżała błogo na ciepłej trawie. Mimo wczesnego poranka rosa już

dawno wyschła, dzięki czemu nie przemoczyła sobie ubranka. Zresztą, przydałoby się mu porządne pranie, bo było już mocno przybrudzone, a na spodenkach w okolicy kolana widniała duża tłusta plama, po tym jak Mała pośliznęła się niedawno w sklepie i wpadła kolanem w kałużę rozlanego oleju. Ale cóż. Tak to jest. Takie małe osóbki czasem wpadają na plamy oleju i czasami brudzą sobie ubranka.

Mała zamknęła oczy, a mimo tego wciąż widziała płynące po niebie obłoczki.

Kupiłam stopery do uszu. Woskowe. Piankowe jednak przepuszczają jakieś dźwięki. Woskowe idealniej się dopasowują. Dzięki nim milczy świat. Paul namawia mnie, abym nauczyła się spać bez nich, że przy nim jestem bezpieczna. Ale wiedząc, że je mam, nie słyszę już tego całego zła, które mnie otacza. Nikt mnie już nie zrani. Nie wbije mi noża w plecy. Nie rozerwie serca na kawałki. Nie zniszczy resztek mojej wrażliwości. Nie nakarmi się moim strachem.

Będę silniejsza. Będę zdrowsza. Będę miała coś dla siebie z tego życia, do którego zostałam powołana. Ale wciąż słyszę, że jest na świecie zło, którego nie pokonam, że jest ono silniejsze ode mnie i nie ma na nie żadnej mocy.

Powoli sama zaczynam w to wierzyć. Jak mam od tego uciec? Powiedz mi. Jestem zamknięta w klatce. Sama w sobie. Więzi mnie strach. Jeśli istnieje piekło, to mimo szczęścia, do którego doszłam, jestem w nim uwięziona. Chcę się cieszyć tym, co mam, ale los wciąż rzuca mi pod nogi nowe kłody. Jeśli istnieje z tego jakieś wyjście, to ja go nie znam. Podobno jest wiele metod ucieczki. Niektóre z nich jednak spycham w najczarniejszy kąt mojego umysłu. Gdzie jest ta metoda, która stworzona jest tylko dla mnie?

puk puk

chlap chlap

ciap ciap

Chmurki ciągle płynęły powoli, powolutku. Leniwie. Wyciągały delikatnie swoje chmurkowe łapki i chwytały się wzajemnie za rączki, za kostki, za włosy. Bawiły się beztrosko na niebie. Mrugały ciepło swoimi dobrymi spojrzeniami. Bez pytań i bez odpowiedzi. W miękkim, puchatym milczeniu. W nim zwarta była cała prawda tego świata.

Mała znów rozciągnęła się na soczystej trawie. Wyciągnęła z wody czyste stópki, które momentalnie wyschły w ciepłych promieniach poranka. Wstała powoli i jeszcze raz przejrzała się w strumyku. Ubranko miała czyste i lśniące. Chmurki po kryjomu wyczyściły je, a słonko wysuszyło ciuszki co do niteczki. Mała uśmiechnęła się swoimi smutnymi oczami i poszła dalej, przed siebie.

Szła powoli, rozglądając się na boki i chłonąc każdy z rozpościerających się przed nią pięknych widoków. Słońce ciągle głaskało ją czule po głowie, mówiąc, że już zawsze będzie bezpieczna, że nikt jej już więcej nie skrzywdzi.

Mała przeszła przez stary kamienny mostek, zupełnie niepasujący do całego otoczenia. W oddali zamajaczyła studnia. Mała powoli, zapominając o wszystkim, co ją do tej pory spotkało, coraz weselej szła do przodu. Studnia, przy której się znalazła, wykonana była z tego samego kamienia, co mostek. Czas oprószył ją mchem, a nieprzyjemny chłód dawał się wyczuć już z oddali. Wyglądała, jakby ktoś dokleił ją do pięknego krajobrazu. Po prawej stronie wisiała mała, niemal całkiem przetarta tabliczka, na której widniał jakiś napis. Mała poczuła się nieswojo, ogarnął ją lęk, ale słońce znów pogłaskało ją po głowie i Mała odzyskała spokój. Kucnęła, by przeczytać prawie nieczytelny już napis. „Wrzuć kamień i zapomnij”.

Mała wstała i pochyliła się nad studnią. Zajrzała. To, co w niej ujrzała, sprawiło, iż nogi niemal przyrosły do ziemi. Stopy zaczęły wypuszczać korzenie i wrastać w ziemię. Mała nie mogła się poruszyć. Oczy, panicznie wpatrzone w rozgrywającą się w studni scenę, wyglądały jak dwa czarne węgielki. Nogi, wrośnięte już całkowicie w

ziemię, powoli obrastały korą i stawały się drzewem. Ona sama zamieniała się w roślinę. Teraz pamiętała już wszystko. Studnia pokazała jej całą prawdę…

Całe zło tego świata objawiło się jej ze zwielokrotnioną siłą. Ujrzała wszystkie ludzkie nieprawości, ogrom zła, jakie potrafi wyrządzić człowiek drugiemu człowiekowi. Potworność uczynków, makabrę słowa, ból istnienia, bezradność i siłę ludzkiego zapomnienia. Gniew i znieczulenie.

Chwilę później studnia pokazała kolejny obraz. Teraz Mała leżała pod ścianą ze strzałą wbitą w serce. To zło, to ono wystrzeliło w jej kierunku. Po chwili, pod wpływem rozprzestrzeniającego się w zastraszająco szybkim tempie ludzkiego jadu, serduszko skurczyło się całkowicie i zniknęło. Mała wciąż leżała, nie mogąc się podnieść. Leżała i patrzyła pustym wzrokiem.

– KAMIEŃ!

Mała usłyszała głos z oddali. Czuła się jak ogłuszona. Kątem oka zobaczyła, że ktoś do niej macha z nieba i rozpoznała wołający do niej głos. To słońce próbowało jej pomóc. Mała – otumaniona, już prawie całkowicie zdrewniała i obrośnięta korą – resztką sił pochyliła się, złapała leżący nieopodal kamień i wrzuciła go do studni.

plusk plusk
chlap chlap
ciap ciap

Wszystkie złe obrazy nagle zniknęły, kora zaczęła odpadać i znikać, nogi i ręce odzyskały swoją dawną sprawność. W kilka chwil Mała stała się na powrót małą dziewczynką, studnia znikła, a na jej miejscu pojawiła się zielona trawa. Sekundę później Mała zapomniała o wszystkim, co się wydarzyło. Zniknęły wszystkie złe obrazy i wspomnienia, zniknęła studnia i zniknął strach. Mała osunęła się na ziemię i

zasnęła. Słońce nachyliło się nad nią i wzięło ją w ramiona. Powoli i delikatnie głaskało ją po głowie, przekazując jej jak najwięcej swojego ciepła.

– Teraz już jesteś bezpieczna – powiedziało i znów otoczyło Małą swoimi gorącymi ramionami.

Nagle jęknęły zawiasy. Drzwi otworzyły się. Dziwny niepokój obudził nas ze snu. Wstaliśmy z łóżka i powoli poczłapaliśmy do wejścia. Czułam, że nadszedł ten czas. Poczułam ciepłą, męską dłoń na swojej, wiedziałam, że mogę czuć się bezpiecznie. Po lewej stronie drzwi siedziała mała dziewczynka. Miała podkulone nóżki i sine, przemarznięte ciało. Wyglądała tak, jakby zamarzła w pozycji, w której usiadła. Ewidentnie była nieżywa. Zasnęła i już się nie obudziła.

Chwytając ją pod ramiona, podnieśliśmy dziewczynkę delikatnie do góry. Zabraliśmy ją do domu.

– Przepraszam, że o Tobie zapomniałam… Teraz już będziesz bezpieczna, nie musisz się już bać. Zamieszkasz z nami. Nie jestem już sama. Jestem spełniona i szczęśliwa, dlatego znów możemy być razem – wyszeptałam jej powoli do ucha. – Będę o Ciebie dbać, My będziemy o Ciebie dbać, już zawsze. Znów będziemy razem, Ja i Ty, moje zagubione wewnętrzne dziecko.

Przekraczając próg, Mała odżyła. Nerwowo mrugając, otworzyła oczy. W mgnieniu oka odzyskała siły, normalny kolor skóry i na powrót stała się mną. Tak. Mam już swoją metodę. Teraz już obie byłyśmy szczęśliwe i bezpieczne. Dobrze otulone kocem utkanym z ciepła i miłości. Umiałyśmy walczyć o swoje. O siebie. O nas. O mnie. Na powrót stałam się sobą.

Złapaliśmy się mocniej za ręce i zamknęliśmy drzwi. Wiedziałam, że teraz już wszystko będzie dobrze.

Agnieszka Nietresta-Zatoń

Ersatz

Słowa jak sztuczny miód,
ersatz, cholera, nie życie,
miał być raj, miał być cud
i ćwiartka na popicie […]

Agnieszka Osiecka, *Sztuczny miód*

Anioły zaczęły krążyć nad zwłokami jak muchy.

Krzysztof Jaworski, *Opowieść wigilijna*

Gdzie te anioły? Ci aniołowie? Te anielice? Mają płeć…? Może kobiety mają anielice stróżyce, a mężczyźni aniołów stróżów? A może odwrotnie: kobiet strzegą anioły, a mężczyzn anielice? Matriarchat? Patriarchat? Aniołarchat? A mój? Moja? Moje…? Anielątko, cielątko, he, he, he, anioł, nie kobita, to na pewno ma stróża anioła, stróżową anielicę i stróżątko anielątko. Śnięta rodzina. Święta.

Czasem diabli biorą od tego szukania. Białej gorączki można dostać.

Nie ma aniołów nad moją głową, pusto w głowie mam; nie ma w mojej duszy, wyobraźnia szwankuje. Powinny, zdaje się, wieść gminna niesie, szumieć śnieżnobiałymi skrzydłami pod niebieskim sklepieniem; stróżować przechodzącym przez ulice dzieciom. Ulice, psia ich proweniencja, anioły potrzebują dziurawych kładek, nie ulic; przez ulice to przeprowadza dziatwę straż miejska w ramach programu Bezpieczna Droga do Szkoły. Staruszek już nikt nie przeprowadza; taka

tera ta młodzież, panie tego; staruszki bieleją; siwieją, marnieją w białych szpitalnych salach, sterylnych domach radosnej starości.

Powinny być. Jeśli nie białe i skrzydlate, to chociaż tęczowe jak motyle i smutne jak sam diabeł. Nieuwikłane w konwenanse; alternatywne, ekologiczne, genderowe, hipsterskie, freakowate do szpiku kości, jeśli anioły mają kości, bo chyba raczej nie mają, ale z freakami to nigdy nic nie wiadomo, z hipsterami jeszcze mniej; więc jakiekolwiek, w szkocką kratę bodaj, byle były. Nie ma już płci obojga, jest płci continuum; nie ma nieba, piekła i czyśćca jest coaching i ustawienia hellingerowskie; nic nie ma z tego, co pewne było, się zbyło, się zmyło, zanikło było.

A jeśli tylko ja ich nie widzę? Jeśli wszyscy ludzie odnajdują swoje anioły, anielice, anielątka cielątka, jedynie ja nie potrafię wyłuskać boskiego posłańca z kolorowego tłumu; się w głowie poprzewracało i odnaleźć nie nada; jak Mikołaj Święty na wierzenie weń podatny tak bardzo, zniknęły mi z oczu za karę za niewiarę. Wszystko widzę; śmieć każdy na dywanie z włosiem wysokim jak trawa wiosenna, soczysta; zniszczone dłonie swoje i nieprzyzwoicie nowe mojej córki; widzę, czego widzieć bym wcale nie chciała, oczy zasłaniam i widzę nadal między palcami rozcapierzonymi smugi światła przemykające; anioła wypatrzyć nie umiem.

Aniołku, kuszę na pustyni, dobrze, że jesteś. Jesteś?

I czekam. Odezwie się? Da znak? Usłyszał? Cisza. Widocznie źle go wołałam, ale skąd mam wiedzieć, jak się wabi anioła? Kaczkę zwabić mogę i kota, taś, taś, kici, kici; nieudanych facetów wabię udatnie, anioła nie umiem.

Już byłam pewna, że to on, że go nareszcie dopadłam. Klapa; ubranym na biało okazał się lekarz. Skrzydeł nie miał wcale, a drewniane chodaki irytująco tłukły się w szpitalną posadzkę, jakby cichobiegów na gumowej podeszwie kupić sobie nie mógł; diablo irytujący konował, diablo; mało ogon spod kitla wystawał, po posadzce wlókł się. Usiłowałam z nim porozmawiać, ale zajęty swoimi sprawami podał mi tylko białą jak śnieg receptę z refundacją do decyzji NFZ; na sen, warknął całkiem

nieanielsko. Złapałam go za poły rozchełstanego fartucha; tylko słowo, proszę, panie doktorze, pan pewnie wie…; na uspokojenie, dodał i zniknął, a kolejny papierek zawirował mi przed oczami. Papierologia to moja jest ideologia.

Chyba jednak nie był aniołem. W każdym razie nie moim.

W szaleństwie jest metoda; postanowiłam testować wszystkich ubranych na biało. Ktoś kiedyś mówił mi, że widział go na stole pisarza. Leżał zaklęty w kartkę papieru i łudził swoją czystością. Nikt jednak nie piszczał z zachwytu na jego widok, nikt nie krzyczał: „O, anioł!". Może go nie poznali, zbyt blisko był, na wyciągnięcie ręki i wszystko wydawało się zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe? Z resztą, anioł pisarza, anioł pisarz… – cóż mi po nim. Się męczy nad swoją *tabula rasą*, laptopa monitorem, tabletem, innym gadżetem. Już widzę, jak czynności opiekuńczo-wychowawcze w stosunku do mnie podejmuje i przez tę kładkę śmigamy, chyba nad autostradą albo nad torami, żeby w razie mojej niesubordynacji paluszkiem dźgnąć, w dół pchnąć, otrzepać skrzydła i fruuu. I do pisania wrócić; spokój, cisza, kolejny dzień mąk twórczych i odtwórczych.

Wczoraj szukałam go w kubku mleka, ale zrobił się kożuch i nie mogłam się dokładnie przyjrzeć. Może siedział na dnie, obok nierozpuszczonego cukru, słodzę nawet mleko, a ja nie miałam na tyle wyobraźni, by zamiast łyżeczki użyć rąk, jak czyni to dziatwa żądna smakowych wrażeń. Gdzieś między wódką a zakąską utknęła moja wyobraźnia i mleko mi już nie pachnie anielsko; mleko: początek i koniec; jeśli kiedyś sama byłam aniołem, to jedynie z tymi cyckami mlecznymi, kiedy się młode uwieszały i rozanielenie na twarzach się im malowało. Potem zbiesiłam się znacznie; teraz mleko do kawy, kawa do mleka, całość doustnie i naprzód.

A jeśli anioł nie musi być biały? Ale jak w takim razie wytłumaczyć śnieg – jego anielską biel, biel komunijnych i ślubnych sukienek, biel bielizny w noc poślubną, białe grzywy fal, obłoki? To wszystko kwestia stereotypów.

Gdyby nie one, nie pognałabym wtedy do apteki. Był tam, sam widziałem, był na pewno, ktoś zapewniał mnie żarliwie i pognałam na oślep jak głupia. Musiałam wyglądać dziwacznie, bo ludzie w kolejce przyglądali mi się, jakby zobaczyli anioła. A on był tam, był rzeczywiście; stał za ladą odziany w biały fartuch i dłońmi pianisty podawał ludziom jakieś „na sen" i „na uspokojenie". Słucham, co podać? – zapytał ciepłym niskim głosem, kiedy zbliżyłam się do okienka. Boli, skrzywiłam się niepewnie i namacałam w kieszeni kurtki recepty wypisane przez zirytowanego medyka; boli, wszystko. Schylił się i, nie widziałam skąd, wyciągnął listek pastylek. Kolorowe pigułki zamigotały jak światła w lunaparku, ledowe diody w choinkowych lampkach. Po tym wszystko przechodzi, uśmiechnął się dobrodusznie. Jasne. Na usługach farmaceutycznych koncernów jest pewnie; na pasku podarowywaczy notesów i długopisów. Tabletki; tablet dałby, zaplanowałoby się sobie życie jak w Madrycie; od-do; *deadline*; na jutro, pojutrze i zaraz; do pierwszego i do wakacji; okradłoby się geniuszy z geniuszu i zjadaczy chleba z kolacji.

Nie, zajęczałam i musiałam wydać się jeszcze nieszczęśliwsza niż przed chwilą, bo aptekarz schylił się raz jeszcze i wydobył z szuflady jakieś pudełeczko; na uspokojenie.

Uciekłam. Ktoś chciał mnie już w ten sposób uspokoić. Dlaczego, do diabła, wszyscy chcieli mnie uspokajać? Jestem cholernie spokojna. Czy spokój ma coś wspólnego z aniołami? Jeśli tak, to powinnam iść na cmentarz, tam spokój panuje, króluje, dominuje; tylko spokój mnie uratuje.

Dużo starych drzew i marmurowych nagrobków. Anioły też były, ale kamienne, powyginane w dziwnych pozach i nie chciały ze mną rozmawiać. Na próżno zaglądałam im w zamyślone oczy, nie widziały mnie albo nie bardzo wiedziały, jak zacząć rozmowę. Nie o takie anioły mi chodziło; wystarczyłby jeden, ale komunikatywny. Chyba już swoje przeżyły, przefrunęły, przeleciały, przez kładki się

naprzeprowadzały. Bielały sobie jak kości na pobojowisku; takiej ciszy nie zniosę, taki spokój zabija.

A jeśli anioły są tylko czarne jak smoła i trudno odnaleźć je w tłumie. Może nie chcą, by ktokolwiek je znalazł. Ale ja muszę odszukać mojego anioła! On wyraźnie mnie unika, a ja nie wiem dlaczego.

Napotkany przypadkiem znajomy przebąkiwał coś o poduszkach. Że niby anioły lubią spać w puchu i że jak się taki zadomowi w czyjejś pościeli, to człowiek miewa cudowne sny. Położyłam się pełna nadziei. Pół nocy rzucałam się po łóżku jak opętana, a potem śniłam paranoidalny koszmar. Te wszystkie nogi niemogące się poderwać do ucieczki, gardła nieumiejące wydać wołania o pomoc, sukuby osiadające na wątłej piersi; ciemne, brudne wody, wypadające zęby, żywcem pogrzebanie. Jak w senniku mojej babci, który skrzętnie ukrywała pod poduszką i wertując każdego ranka, szukała wytłumaczenia zjawisk niewytłumaczalnych. Widocznie w mojej pościeli nie ma anioła.

Szukałam go potem jeszcze w białym serze i barszczu, liliach, rumiankach, stokrotkach, konwaliach. Dla równowagi przejrzałam wszystkie czarne dziury swojej chorej wyobraźni i przepytałam okoliczne czarne charaktery. I nic. Pustka. Martwa cisza.

Nie, tak dalej być nie może. Wbiegłam do napotkanej piekarni. Był tam! Opasany pobielonym mąką fartuchem trzymał w dłoniach ciepły, błyszczący bochenek chleba. Rumiana twarz śmiała się serdecznie. Boże, takiego go sobie wyobrażałam. Zatańczyłam z wielkiej radości. Coś się stało, zapytał, czemu pani taka niespokojna; więc i on też. Nie od dziś wiadomo, że biały chleb dobry nie jest; czemuż dobrym miałby być jego twórca. Białe buły z mrożonego ciasta; kiedyś to był chleb, panie tego; kiedyś.

Czy znajdę spokój, znajdując swojego anioła? A jeśli anioły nie istnieją, to czy nigdy nie będę szczęśliwa? Nie mogę przecież uzależniać swojego szczęścia od

przypadkowego anioła, który może okazać się na tyle sprytny, że da mi złudzenie spokoju i równowagi. Ale i tak go znajdę.

„Anioła szukać…" – nie ma takiego hasła w encyklopedii. Weźmy ten sennik babci bezsennej, jest: „anioła szukać – ideały porzuć, stań mocno na ziemi". No, masz… było nigdzie nie zaglądać. Wiem, księgarnia, tam źródła biją papierowe; Internet, doktor Google ze specjalizacją wszystkoistyczną. Zapytany o jakąś pozycję sprzedawca ostro tłumaczył, że białych kruków na składzie nie ma. A więc był tu, był mój białoskrzydły anioł. Zamieniony w białego kruka uciekł przed napastliwym księgarzem. Wybiegłam jak szalona. Może spotkam go jeszcze, daleko nie mógł odlecieć. Biały płaszcz mignął w nieodległej uliczce. Szybciej, szybciej… Ogromny ciężarowy samochód przeciął mi drogę. Anioł zniknął. Już deptałam mu po piętach i znów udało mu się wywinąć. Pani na kogoś czeka? Wysoki, ubrany na czarno młodzieniec wydawał się zainteresowany moją osobą. Nie na pana, sorry, nie na pana.

Na kogo ja właściwie czekam? I czy doczekam się kiedykolwiek? Obyś wiecznie czekał, obyś żył w ciekawych czasach, obyś cudze dzieci uczył.

Powlokłam się pustymi uliczkami miasta. Kawiarniane ogródki pełne były młodych ludzi. Zadziwiające, że wszędzie byli tylko młodzi ludzie, gibkie dziewczyny w cygańskich spódnicach, opaleni chłopcy w jadowicie obcisłych dżinsach. Wpatrywali się w siebie nieprzytomnymi oczami i powoli podnosili do ust kufle pełne złotego piwa. Gdzie starsi?; nie mogli przecież zniknąć. Przyszedł mi do głowy szatański pomysł: może zaklęci w anioły pilnują tego festiwalu młodości z wyżyn nieba? Ale nie, byłam pewna, że mój anioł jest młody i piękny jak rzeźba Fidiasza.

Biegłam, potrącałam ludzi, wiatr szumiał mi w uszach. Łzy bezwiednie spływały po policzkach, tępa bezsilność odbierała radość poszukiwań. Ile można wytrzymać, czy istnieje jakaś granica, po przekroczeniu której człowiek nie szuka już

niczego, na nic nie czeka? A jeśli go znajdę, to co? Rzucę mu się na szyję? Życiorys mu opowiem? Białe małżeństwo zaproponuję w zamian za zieloną kartę z niebieskiej ambasady?

Co go to wszystko obchodzi; gdyby był zainteresowany, chodziłby moimi ścieżkami, szczotkował moje myśli nieuczesane.

Dokąd pani tak pędzi, policjant najwyraźniej nie chciał oglądać moich zwłok pod kołami przypadkowego samochodu, nie wiem, wariatka.

Może i wariatka, idiotka, szaleniec i studnia głupoty bez dna. Jakie to ma znaczenie? Nic nie przerwie moich poszukiwań, a kiedy go znajdę, zagram na nosie całemu światu. Znając siebie, znajdę go w najdziwniejszym miejscu, jakie mogłam sobie uroić. Mój anioł zapewne nie kłuje w oczy swoją białością, muszę się lepiej rozglądać, siedzi w jakiejś zatęchłej dziurze, popija dziwny trunek i czeka, aż dołączę. Bym dołączyła; chętnie. Biały miś dla dziewczynyyy, aaa; białe wino patykiem pisane; białe tango na białej sali.

Odeszłam, nie bacząc na okrzyki wściekłego policjanta w białych rękawiczkach.

I nagle poczułam się lekko i zwiewnie; przestałam się bać. Świat wydał mi się dalece niezależny od moich poczynań i postanowiłam nie zwracać na niego uwagi; niech sobie trwa, złośliwy, skarlały, pełen nienawiści do wszystkiego, co łazi mu po grzbiecie. Biały karzeł; zdegenerowana materia; na psa urok.

Mój los w moje ręce. Wszystkie anioły na traktory.

Postanowiłam poczekać na autobus; zmęczone nogi odmawiały posłuszeństwa. Gdyby tak skrzydła mieć; odloty każdy czasem miewa, dostaje skrzydeł, wpada w amok, lotem koszącym mknie pod chmury. Na obłok bodaj skoczyć; ten obłok znad Ferrary i żeglować wielkim oceanem nieba…

I wtedy go zobaczyłam. Siedział po drugiej stronie ulicy na krawężniku. Nie był wysoki, Fidiaszowsko piękny; płeć z daleka nie do rozpoznania. Ciężkie buty, bura kurtka, dłonie wbite w kieszenie wytartych dżinsów. Nic nadzwyczajnego; nic,

doprawdy; ale byłam pewna, że to on. Przenikliwie wpatrywałam się w gęstniejący mrok. Kurza ślepota, kurna, szara godzina. Ale on. Ona. Ono. Znalazłam, czego szukałam; błogi spokój zalał wewnętrzne me organa; co tam mi dane celem błogości odczuwania.

Podniósł głowę i w ostatniej chwili poderwał się przed nadjeżdżającym autobusem.

Miał tylko jedno skrzydło. To prawie tak jak anioł.

AURORA

JAK ŚLIWKA W KOMPOT

Malina nie miała krztyny pojęcia o pieczeniu ciast. Wiedziała, co prawda, jak zrobić pasztet z wątróbek oraz spaghetti bolognese, a nawet golonkę, ale do ciast nie miała tyle zaufania i cierpliwości, co do kawałka krwistego mięsa. Całe to przeliczanie miar i wag męczyło ją. Za bardzo kojarzyło się z matematyką. Niestety, pech chciał, że musiała upiec ciasto. Nie było to, co prawda, jedno z jej postanowień noworocznych ani jeden z tych śmiesznych zakładów czynionych na firmowych imprezach pod wpływem napojów wyskokowych, a coś znacznie ważniejszego. Jedynie jej znany powód. Kropka.

Na dworze panowało to, co meteorolodzy zwykli zwać pluchą lub też opadami deszczu ze śniegiem. Większość ludzi nazywała to po prostu masakrą. W rzeczy samej, nawet parasol by nie pomógł. Nieprzemakalne buty być może, ale tych Malina nie posiadała. Już po pięciu minutach człapania w tej brei czuła, jak jej skarpetki nasiąkają zimną wodą. Mocno owinięta czerwonym szalikiem, z nałożonym na oczy kapturem parła jednak niezłomnie do przodu. Miała jasno wytyczony cel. Księgarnia Zielony Kogucik. Co prawda, bliżej było jej do centrum handlowego, gdzie miała do dyspozycji olbrzymią i nowoczesną księgarnię znanej sieci, ale wolała tamten niewielki sklepik.

Tamten niewielki sklepik mieścił się tuż przy rynku, schowany był w jednej z bocznych uliczek, gdzieś pomiędzy cukiernią a zakładem zegarmistrza, przez co tylko niektórzy mieli okazję i przyjemność do niego trafić. Kto już do niego trafił, mógł czuć się wyróżniony. Wiedział bowiem od tej pory, co naprawdę znaczy słowo księgarnia. Regały zapełnione równo poukładanymi tytułami, tak by każdy przyciągał

wzrok. Oddzielne działy oraz poddziały, dzięki czemu klient znajdował zawsze to, czego szukał. Tym, co czyniło ów sklepik tak wyjątkowym, była osoba z rudym wąsem pod nosem stojąca zazwyczaj na chybotającym się krzesełku. Pan Księgarz. Pan Księgarz nie mówił prawie nic, z wyjątkiem dzień dobry i do widzenia. Obdarzał książki tą samą nabożną czcią, którą piwosze obdarzają złocisty napój w kuflu. Cisza była częścią tej czci.

– Dżem dobry! – wybełkotał ktoś u progu.

Malina nie zdążyła odpowiedzieć ani zobaczyć kto to, bo postać pognała na drugi koniec sklepu w tempie spłoszonej gazeli. Po chwili postać wróciła. W jej zębach tkwił rogal z dżemem. Gdy postać utkwiła swój wzrok w Malinie, to ona poczuła się spłoszona. Gdzie był Pan Księgarz z rudym wąsem? Dlaczego zamiast ciszy w sklepie rozbrzmiewał głos jakieś zagranicznej panienki? I skąd ten osobnik znał jej imię?

Malina miała dosyć pytań.

– Kim pan jest? Skąd pan zna moje imię?

– Jestem nowym właścicielem tej oto księgarenki. Nie znam pani imienia, ale chętnie bym je poznał. Nawet bardzo chętnie.

– Ale przed sekundą powiedział pan do mnie Malino, więc…

– Zapytałem tylko, czy mógłby miłą panią poprosić o przejście w głąb sklepu. Blokuje pani drzwi.

„Księgarenki" – prychnęła w myślach i pomknęła w kierunku półki z kulinariami. Nigdy tam nie dotarła, gdyż na miejscu półki z książkami kucharskimi, z której zwyczajowo uśmiechała się do klientów pani w staromodnym fartuszku trzymająca oburącz tłustą gęś, stał regał pełen niezdarnie poukładanych książek w błyszczących obwolutach. Jeśli to mają być książki kucharskie, to ja jestem kotem w butach – pomyślała Malina i zmarszczyła czoło. Wszystko wskazywało na to, że to nie jej dzień. Mieszkańcy Wielkiej Brytanii mówią na taki stan rzeczy *bad hair day*.

Włosy Maliny nie były w szczytowej formie, to fakt. Być może miały się nawet bardzo źle. Ale nie to stanowiło jej powód zmartwienia. Jak ona teraz upiecze ciasto? Mogła schować dumę i przyzwyczajenia głęboko do kieszeni i ruszyć do wielkiej, gwarnej księgarni w centrum handlowym. Na taki krok nie miała jednak najmniejszej ochoty. Być może takie zachowanie wyda wam się sztywne jak wykrochmalony obrus i zwyczajnie krnąbrne. Zrozumielibyście je jednak, gdybyście wychowywali się na tym osiedlu, co bohaterka tego opowiadania. Osiedlu, na którym rządziła Pani Ala. Ale o Pani Ali nie napiszę nic więcej, bo ta historia to romans, nie horror.

Skoro wygadałam się już, że to romans, powróćmy do księgarni Zielony Kogucik i półki, na której nie było książki kucharskiej.

– Tutaj będzie romans.

Znów ten dziwny typ, mówiący z pełnymi ustami. Tym razem do ust włożył nie kawałek rogala, a książkę. Tego było zbyt wiele. Źrenice Maliny rozszerzyły się gwałtownie, po czym jednym ruchem wyrwała ofiarę z zaciśniętych zębów księgarza.

– Jaki romans?! Tak nie wolno! Zwariował pan czy co?

– Jak śliwka w kompot, proszę pani – odpowiedział zaskoczony księgarz, prezentując przy tym egzemplarz nadgryzionej książki i czytając na głos tytuł. – Poza tym, mi wolno, bo jestem nowym właścicielem tej księgarenki, proszę pani. Poza tym… Zwariuję, jeśli każda klientka będzie mi wyrywała z ust książkę – westchnął.

– Kiedy, szanowny panie nowy właścicielu, do ust w ogóle się nie wkłada książek.

– No to jestem ciekaw, proszę pani, co takiego, zdaniem pani, należy wkładać do ust…

Malina włożyła… nabrała powietrza do ust.

– Raczy pan… Ja chętnie bym włożyła do moich ust kawałek pysznego bananowego ciasta. Ale nie włożę, bo nie mam książki kucharskiej, z której

mogłabym wziąć przepis. A książki nie mam, bo z księgarni znikł prawdziwy właściciel. I wszystkie książki…

Westchnęła.

Zmarszczyła czoło, ponieważ uświadomiła sobie, że zaraz jej stopy znajdą się w lodowatej, brudnej brei. I cały ten trud na nic.

– Proszę pani, proszę pani… Pro…!

Gdy tylko opuściła wnętrze sklepu, opuścił je też jego nowy właściciel. Teraz oboje stali w pośniegowym błocie.

– Może w mojej księgarni nie ma książek kucharskich, ale… jestem ja.

Malina zadrżała. Poczuła, że jej stopy robią się mokre. Nie dość, że grzęzła w śniegu, zaczęło sypać z nieba. Był to jednak śnieg z deszczem. To nie były walentynki, a ostatni dzień stycznia. A oni nie byli świadomi tego, że są bohaterami romansu. Całe szczęście, nie trzeba być tego świadomym, by świeżo rozpoczęty romans kontynuować. Wystarczy wymienić się telefonami, znaczącymi uśmiechami i umówić na wspólne pieczenie ciasta bananowego. Z kawałkami czekolady. Malinie i Panu Księgarzowi wystarczyło tylko to ostatnie. Umówili się. Wystarczyło, by do kolejnego wieczora uśmiech z twarzy obojga nie schodził nawet na minutę. Malina będzie miała ciasto. A Pan Księgarz randkę.

Czy zielona koszula pasuje do beżowych sztruksów? Czy sztruksy są jeszcze w ogóle w modzie? Chyba lepiej będzie założyć zwykłe dżinsy. Mniejsza o ubranie… co z włosami? Dlaczego salony fryzjerskie czynne są tylko do osiemnastej? A te czynne później są tak paskudnie drogie? I dlaczego – do cholery – wszystkie skarpetki są dziurawe?! Albo bez pary… Pary… Czy Malina w ogóle będzie chciała myśleć o tworzeniu pary z kimś, kto użył wstrętnego kłamstwa i podstępu do tego, by się z nią umówić na randkę? Przedstawił jej siebie jako Nigellę Lawson w męskim wydaniu. Tak naprawdę nie miał zielonego pojęcia o gotowaniu, duszeniu, smażeniu, a już najmniej ze wszystkich tych kulinarnych sprawek wiedział o pieczeniu ciast.

Zdawał sobie sprawę jednak, że tylko dzięki temu Malina ulegnie pokusie spotkania z nim. On zaś zwyczajnie nie potrafił oprzeć się pokusie kolejnego spojrzenia w te zielone oczy. Co prawda, nie był pewien, czy rzeczywiście były zielone, ale za całą pewnością były piękne. A ona słodka. Słodka jak… malina.

Czy do bananów pasują jagody? Czy raczej ananas? A może nie dodawać żadnych innych owoców? Lepiej zająć się czekoladą. Nie ulega wątpliwości, że z dodatkiem czekolady ciasto nie tylko się uda, ale będzie smaczniejsze. Tak mówiła Pani Ala. Tylko jaką tu wybrać? Gorzka czy mleczna? Dlaczego istnieje tyle różnych rodzajów czekolady? I jak tu zdecydować się na jedną, skoro każda przyprawia podniebienie o czystą rozkosz?! Malina tak bardzo przejęła się smakowaniem czekoladowych tabliczek, że zupełnie straciła rachubę czasu.

Tymczasem do jej domu zapukał ktoś, kto miał zapukać dokładnie o tej porze. Tylko dlaczego ona nadal była w fartuchu, podczas gdy ktoś, kto stał za drzwiami, wyglądał zachęcająco jak ciastko w witrynie najlepszej cukierni w mieście? Być może dlatego, że umówiła się nie na randkę, a na lekcję pieczenia ciasta? Mimo wszystko, pomiędzy zerkaniem w judasza a przekręcaniem klucza, położyła na usta warstwę czerwonego błyszczyku. W końcu jak często gościła w swoich progach jakichkolwiek gości? Zwłaszcza płci męskiej. Stanowczo za rzadko, jak się miało okazać…

– Dobry wie… Cześć – rzucił na powitanie Pan Księgarz i wręczył jej kilogram mąki.

Następnie zdjął płaszcz, pod którym Malina ujrzała zieloną koszulę. I szelki. Na ten widok uśmiechnęła się w duchu, bo sama takie kiedyś nosiła. Miała wtedy sześć lat i nie miała dwóch zębów. I bawiła się w klowna. Być może – pomyślała Malina – nowy właściciel Zielonego Kogucika nie jest taki zły, jak się wydaje. Po kolejnych piętnastu minutach przemknęła jej myśl, że jest nawet fajny. A w momencie, w którym się wreszcie przedstawił, stwierdziła, że go lubi. W końcu nazywał się

dokładnie tak jak jej kot, który przed rokiem udał się do kociej Krainy Wiecznej Szczęśliwości – Antoni. To nie mógł być przypadek. Podobnie jak to, że jego, tak jak i jej, dziadek również nie posiadał lewego oka oraz fakt, że obojgu wszystkie zęby mądrości powychodziły w tym samym pamiętnym roku, kiedy to w mieście otwarto lodziarnię, w której sprzedawano lody o smaku cynamonowym. To był ulubiony smak Maliny. Tak jak i Antoniego. Ich obojga.

Zabawa w poszukiwanie podobieństw między nimi była wciągająca jak jedzenie czereśni. Ciasto jednak domagało się w swój tajemniczy sposób zrobienia go. Wszystkie składniki czekały cierpliwie na moment, kiedy zostaną ze sobą połączone, ale i one miały granice cierpliwości. Pierwsza wkroczyła do akcji mąka, która beztrosko rozsypała się na podłodze, strącona z kuchennego blatu łokciem Maliny.

– A byłabym zapomniała – rzekła. – Ciasto. Przecież po to się spotkaliśmy. Masz mnie nauczyć tej magii…

– Ale… prawda jest taka… że… Ja nie jestem magikiem.

Malina roześmiała się, podczas gdy Antoni zrobił się czerwony jak wigilijny barszcz.

– Znam kilka niezłych sztuczek z monetą i jedną z kartami, ale… ale… ja nie umiem robić ciasta. Żadnego…

– Nawet murzynka?

– Zwłaszcza murzynka. Tak naprawdę nie potrafię gotować nic, prócz wyśmienitych pieczarek w śmietanie z pietruszką.

Malina przyglądała mu się badawczo, zastanawiając się, czy chce mu zaufać.

– A dobre są te pieczarki?

– Nie wiem. Nie dowiesz się nigdy, póki nie zaryzykujesz i nie skosztujesz jednej.

Zapadła kilkuminutowa cisza, którą przerwał trzask zrzucanych ze stołu kolejnych składników. Wszystko wskazywało na to, że jeśli tej nocy na tym stole

pojawi się coś rozkosznego, to z pewnością nie będzie to ciasto bananowe z czekoladą. Tymczasem na stole już zagościła słodka Malina, która smakowała Antoniemu znacznie bardziej niż całe góry lodów cynamonowych. Jej samej pocałunki Antoniego dostarczały przyjemniejszych dreszczy, niż mogłaby to sobie wyobrazić, a wyobraźnię miała naprawdę potężną.

W tym momencie zostawiam ich samych. Pisnę tylko, że w krótkim czasie stół stał się niewygodny na to, co planowali zrobić. Przenieśli się zatem do łóżka i rzucili się w wir zadawania sobie niewygodnych pytań, podczas których odkryli jeszcze jedną łączącą ich cechę – nie lubią fast foodów. A więc to, co skonsumowali tego wieczoru, to była jedynie przystawka przed ucztą.

Leżąc z głową na brzuchu Antoniego, Malina poczuła dziwne uczucie. Dziwne, bo nieznane. Jak zdążyła się przekonać ostatnimi czasy, nie wszystko, co nowe, jest złe. Odetchnęła z ulgą i zadała ostatnie niewygodne pytanie:

– I co z tym ciastem?

Zamiast odpowiedzi usłyszała ciche chrapanie. Odetchnęła raz, drugi. A więc miała do czynienia z prawdziwym mężczyzną.

Czy rzeczywiście nadal musiała piec to ciasto?

Malina błogo zwinęła się w kłębek i zasnęła najspokojniejszym snem od wielu, wielu lat.

***

Tymczasem kilka przecznic dalej, na ostatnim piętrze starej kamienicy, w wielkim łóżku z grubą pierzyną, dozorczyni tejże kamienicy, pani Ala, usypiała troje swoich wnucząt. Dziewczynkom wcale jednak oczy nie kleiły się do snu. Słuchały z rozdziawionymi buziami tego, co wielce uczonym tonem opowiadała im babcia:

– Słuchajcie, co wam teraz powiem, i zapamiętajcie to sobie do końca swojego życia! Dopóki się nie nauczycie gotować mięsiwa, nie znajdziecie prawego kawalera, a póki nie upieczecie ciasta, nie znajdziecie kawalera, co was pokocha do końca dni!

I żyli długo i szczęśliwie? Tak… dopóki Malina rzeczywiście nie postanowiła wziąć się za pieczenie ciast. Potem zaczęło też być zabawnie. Nigdy więc nie otwarła cukierni. Pozostała przy przyrządzaniu pysznej golonki.

MAŁGORZATA RYBARCZYK-BOŃCZAK

PIELĘGNUJMY GUZIKI

PROLOG

Zwój materiału w drobne bordowe kwiatki leżał na stole gotowy na przyjęcie igieł i nożyczek.

– Spójrz, co ci znalazłam – powiedziała starsza kobieta. – Może to i dalekie od bieli, ale się nada.

– To w ogóle złe czasy na takie rzeczy – westchnęła młodsza. – Nie wiadomo, co się może wydarzyć za dwie godziny, a my tutaj… ludzie wychodzą z domów i znikają. Jak kamień w wodę. A jeśli to samo przytrafi się jemu?

– Miłość nie wybiera ani czasu, ani miejsca, kochanie. Wszystko się jakoś ułoży. Zobacz, do kwiatuszków chyba będą pasowały takie słodkie guziczki. Są małe i również mają na wierzchu kwiatek.

Obok nożyc pojawiła się garść drewnianych, okrągłych guzików, aż topornych w swojej prostocie. Z wierzchu widniały niewielkie kwiatki o łagodnych łukach płatków okalających dziurki. Leżały nieświadome, że właśnie zaczynają swoje nowe życie, zupełnie tak jak ich właścicielka. Życie w symbiozie z tkaniną, które upłynie im na muskaniu ich delikatnymi kobiecymi palcami.

Jakiś czas później zręczne ręce przyszyły guziki jeden po drugim do letniej sukienki z bufiastymi rękawami i szerokim paskiem. Pasowały idealnie. Od tej pory guziki i sukienka tworzyły układ zamknięty.

1941

Spocone białe dłonie o długich palcach mocno przyciskały niewielki bukiet stokrotek do drobnej piersi. Kilka płatków oderwanych z bukietu malowniczo osiadło na bordowym wzorze.

– I że cię nie opuszczę aż do śmierci.

Mimo tych stokrotek Ona pachniała bzem. Świeżo ściętym liliowym bzem. A taki jest najpiękniejszy.

Cichy, chrapliwy śmiech. Męskie dłonie ocierające się o kwiecisty materiał. Zapach szczęścia w powietrzu. Woda po goleniu, błękitny poranek wdzierający się przez uchylone okno. Czas się zatrzymał na chwilę, dając ułudę bezpieczeństwa.

Mężczyzna wciąż znikał i pojawiał się całkiem niespodziewanie, przynosząc ze sobą aurę tajemnej przygody.

A guziki wciąż trwały przy swojej właścicielce.

1944

Upał osiadł na zakurzonych butach. Z lewej strony pole kapusty. Z prawej wydeptana droga, pełna ludzi niosących tobołki. Gdzieś z przodu głośno płakało dziecko. Obok starszy człowiek w jesionce z kołnierzem z lisa mocował się z cały czas otwierającą się skórzaną teczką. Szła na opuchniętych nogach, trzymając się za duży, sztywniejący brzuch. Zapach bzu został gdzieś w tyle, mieszając się z zapachem płonącego miasta. Guziki trzeszczały na ciasno opiętej sukience w bordowe kwiatki. Było ich o jeden za mało.

Takie czasy, że każdy ponosi jakieś straty.

1948

Cztery lata później było ich już tylko trzy. Tkwiły teraz mocno przyszyte do wełnianej granatowej dziecinnej kamizelki, oglądając świat z poziomu mocno

wypastowanej, dębowej podłogi. Jeździły na skrzypiącym trójkołowym rowerku, z turkotem mijając szeroko otwarte białe drzwi z mlecznymi szybami. Dni pędziły jeden za drugim, wypełnione dziecięcym szczebiotem. Najpierw starszego chłopca, potem dziewczynki, której męski krój kamizelki wcale nie przeszkadzał.

Ona znów pachniała bzem i dalej gładziła guziki, z czułością składając małe ubranka i układając na półce w szafie.

Pierwszy raz było tak spokojnie.

1955

Coraz rzadziej wyciągano je z szafy na rowerowe przejażdżki. Pewnego wieczora przyszła Ona i z westchnieniem wyciągnęła kamizelkę z szafy. W rękach trzymała krawieckie nożyce. Wełniana kamizelka pożegnała się z dotychczasową postacią, stając się dziewczęcą czapeczką, guziki zaś trafiły na pasek smutnej ciemnobrązowej spódnicy.

Niby miały ją ozdabiać, ale cały czas tkwiąc w tym miejscu, mogły co najwyżej zawrzeć kontakt z bielą bluzki albo sztywną podszewką szarej damskiej marynarki. Nie było gładzenia podczas ceremonii zapinania. Tkwiły sztywno przyszyte do spódnicy. Miały ozdabiać, tylko nie do końca wiedziały co. Szara spódnica, szare dni wypełnione pustymi słowami. W tych czasach liczyło się tylko przetrwanie.

– Towarzysze i Towarzyszki – dość tego!

Za stara, za brzydka, za gruba – płakała, tnąc na paski swoją elegancką wyjściową spódnicę.

Guziki, odprute, ze złością wpadły do pustej metalowej puszki. Trzasnęło wieczko i zapadła ciemność.

1981

– Babciu, babciu – rozległ się wrzask. – A on urwał oko temu misiu.

– Zaraz zobaczymy, co da się zrobić – starczy głos wyrwał guziki z niebytu. Do wnętrza puszki wpadło światło. Chwilę później jej zawartość leżała na stole.

– O, ten drewniany będzie dobry – czyjeś pomarszczone ręce uniosły guzik do światła. Ledwo w nich poznał ręce, które z taką delikatnością zapinały i rozpinały go lata temu.

Od tego momentu stał się Okiem. Towarzyszył w podwórkowych wyprawach, kąpielach w błocie i przesiadywaniu na schodach starej kamienicy. Przypatrywał się światu zupełnie innemu, niż pamiętał. Ten nowy był głośniejszy i bardziej kolorowy. Ale dzieci, na które patrzył, miały w sobie coś znajomego, tak jakby i wokół nich unosił się lekki zapach wiosennych kwiatów.

Jakiś czas później Oko wylądowało w dużym pudle na zabawki, gdzie kurzyło się wpatrzone w sufit. Wkrótce nici wokół dziurek guzika z wolna przetarły się tak, że guzik spadł na dno pudełka.

1995

– Taki dobry guziczek wyrzucać – zamamrotała staruszka, grzebiąc w sporym kartonowym pudełku, stojącym tuż przy kuble na śmieci. – Teraz im się wydaje, że tak wszystko łatwo przychodzi – zmrużyła oczy, uważnie się przypatrując przedmiotowi trzymanemu w ręku. Podreptała na swoje wysiedziane miejsce na starej kraciastej wersalce. Tuż obok, na niewielkim regale stała mała odrapana puszka po orzechach laskowych, pełna guzików.

Dołączyła i ten do swojej kolekcji.

Wieczorami siadała na wersalce i wysypywała zawartość puszki na podołek. Potem je starannie oglądała. Guziki stanowiły swoisty nośnik pamięci: duży metalowy – to od płaszcza syna, ten plastikowy od bluzki, którą miała na sobie w ostatnim dniu swojej pracy, mały z masy perłowej tkwił przy ulubionym sweterku, a

ten z kwiatkiem miała przy ślubnej sukience. Może je kiedyś jeszcze wykorzysta? Zrobi prawnukowi na drutach sweterek zapinany na białe guziczki.

Ale schorowane ręce dawno zapomniały już sploty i powoli też zapominały życie. Coraz trudniej było sobie przypomnieć, dlaczego ten mały drewniany guziczek niósł ze sobą tyle emocji. Staruszka coraz rzadziej otwierała puszkę. W końcu przestała w ogóle do niej zaglądać. A guzik wciąż czekał na delikatny zapach bzu, który towarzyszył mu przez większość życia.

2005

– A to co jest? – rozległ się głos z oddali. – Kochanie, możesz tu przyjść? Zobacz, co znalazłam.

Młoda kobieta trzymała w rękach zakurzoną puszkę.

– Guziki babci.

Kiedy człowiek znika na zawsze z naszego życia, powoli się do tego przyzwyczajamy. Pamiętamy o nim, ale coraz rzadziej jest z nami na co dzień. Staje się nienamacalny, a życie powoli usuwa znaki jego fizycznej obecności. Pozbywamy się jego ubrań, zmieniamy wystrój pokoju, rozdajemy bliskim pamiątki: obrączka, zegarek, książeczka do nabożeństwa. Porządkujemy sprawy spadkowe, powoli urzędowo unicestwiamy osobę, która odeszła…

Na koniec stawiamy w widocznym miejscu jej zdjęcie i wydaje nam się, że już posprzątaliśmy po śmierci, która nas zaskoczyła bądź nie.

A potem natykamy się na jakiś drobiazg, pieczołowicie pielęgnowany przez zmarłego za życia i wydaje nam się, że właśnie ta przypadkowa rzecz, to kwintesencja tego, co zmarły pozostawił po sobie…

Guzik

Okulary

Zapalniczka

Zakładka w niedoczytanej książce

Tylko tyle czasem świadczy o czyimś istnieniu, nieważne, jak dużo ktoś w życiu zrobił złego albo dobrego, ile miał dzieci lub jaki majątek zostawił.

Pielęgnujmy więc swoje guziki…

Warszawa, styczeń 2012

OLAF TUMSKI

GOLEM POZNAŃSKI

– Posen? – kamienna twarz celnika rozluźniła się. Funkcjonariusz dla pewności jeszcze raz przeczytał nazwisko w paszporcie.

– Aron Posen – potwierdził spokojnie właściciel dokumentu.

– Witamy w Poznaniu, panie Posen – celnik oddał dokument.

Aron ruszył przez terminal portu lotniczego, ciągnąc za sobą walizkę na kółkach. Wiedział, że jego nazwisko będzie wzbudzało w tym mieście takie reakcje. Dziadek Mordechaj miał oryginalny pomysł, kiedy prawie siedemdziesiąt lat temu postawił nogę na amerykańskiej ziemi. Z jakichś powodów chciał zachować pamięć dla miasta swojej młodości.

Zanim wsiadł do taksówki, kupił miejscową gazetę. Władał dobrze kilkoma językami, dziadek zadbał, aby nauczył się również polskiego. Nie miał problemu z przeczytaniem informacji, ale ponieważ nie znał miasta, ludzi i miejscowej specyfiki, suche wiadomości niewiele mu mówiły. Większą uwagę zwrócił jedynie na artykuł o uszkodzeniu rzeźby stojącej przy głównej alei w centrum miasta, pomnika Golema autorstwa czeskiego artysty. Oburzały go wszelkie akty wandalizmu, szczególnie gdy dotyczyły czyjejś twórczości. Sam był rzeźbiarzem i nie po to wkładał wysiłek w swoje prace, aby te były później kaleczone.

Taksówka zawiozła go pod wskazany adres w okolice Starego Rynku. Przy jednej z bocznych ulic znajdowała się odnowiona kamienica, w której mieściło się biuro Lidii Berg. To z nią miał się spotkać. Przez domofon przywitał go zdecydowany, ale ciepły głos. Wszedł na pierwsze piętro i ujrzał w drzwiach

niewysoką kobietę około sześćdziesiątki, bardzo zadbaną, ubraną w elegancką niebieską sukienkę, z krótko przyciętymi włosami w rudym kolorze.

– Witaj Aronie, niezwykle się cieszę, że nareszcie mogę cię zobaczyć.

– Dzień dobry. Ciociu – zdecydował się tytułować ją tak, jak mówił o niej dziadek, chociaż nie miał pewności czy ich rodziny rzeczywiście były spokrewnione.

– Świetnie mówisz po polsku – pochwaliła Lidia i zaprosiła Arona do środka.

Przy herbacie i ciastkach Aron najpierw podzielił się swoimi pierwszymi wrażeniami z pobytu w Polsce, a następnie zaczęli wspominać Mordechaja Posena.

– Bardzo chciał cię odwiedzić. Niestety nagła choroba pokrzyżowała mu plany – opowiadał Aron. – Krótko przed śmiercią miał do siebie żal, że tak długo zwlekał z wyjazdem. Musiałem mu obiecać, że przyjadę w jego imieniu.

– Wypełniłeś obietnicę – uśmiechnęła się Lidia, podsuwając talerz z ciastkami.

– Odnoszę wrażenie, że tylko część obietnicy – Aron ruchem ręki dał do zrozumienia, że nie da rady więcej zjeść. – Dziadek mówił, że chcesz mi wyjawić jakąś rodzinną tajemnicę i powierzyć pewne zadanie.

– Korespondowałam na ten temat z Mordechajem. Chcę ci trochę opowiedzieć o naszym przodku. Potem zdradzę ci swój pomysł. Jeśli zechcesz, możesz pomóc mi w jego realizacji. Jeśli odmówisz, zrozumiem to i nie będę miała do ciebie żalu.

Aron pokiwał głową. Od początku podejrzewał, że to nie będzie zwykła, kurtuazyjna wizyta.

– Dziadek wspominał mi jedynie, że prowadziliście badania nad drzewem genealogicznym naszej rodziny.

– Zgadza się. Właściwie to ja przez wiele lat poszukiwałam naszych korzeni. Miałam pewne podejrzenia, które się potwierdziły. Mordechaj, początkowo sceptyczny, ostatecznie przekonał się do mojego odkrycia – Lidia wypiła łyk herbaty, zaś Aron cierpliwie czekał na kontynuację. Ta kobieta miała w sobie jakąś dobrą siłę, która w sposób naturalny wymuszała szacunek i uprzejmość. – Wnioski, do których

doszłam, są spełnieniem moich snów. Naszym wspólnym przodkiem, twoim, moim, Mordechaja, był Jehuda Loew ben Bekalel znany również jako Maharal. Jesteśmy potomkami jednego z najsłynniejszych rabinów, uczonego, filozofa i mistyka.

Zauważyła, że zrobiło to na Aronie wrażenie.

– W jakich czasach żył?

– Pięć wieków temu. Był głównym rabinem w Pradze i w Poznaniu, lecz nie z tego został zapamiętany.

– Dokonał czegoś ważnego? Jakiegoś odkrycia?

– Przypisuje mu się stworzenie postaci mitycznego Golema.

– Ciało bez duszy – zamyślił się Aron. – Dziadek opowiadał mi tę legendę, gdy byłem mały. Teraz sobie przypominam, że wymienił nawet to nazwisko. Nie wspominał jednak, że w opowieści występuje nasz przodek.

– Wtedy jeszcze tego nie wiedział. Kiedy mieliśmy już pewność, zaczęliśmy się zastanawiać, jak możemy oddać pamięć naszemu wspaniałemu krewnemu. Wreszcie przypomniałam sobie o twoim talencie. Jesteś rzeźbiarzem.

– Ciociu, chcesz, żebym wykonał rzeźbę rabina ben Bekalela?

Lidia wstała i podeszła do okna. Poprosiła Arona, żeby stanął obok niej. Skinęła głową na stojący po drugiej stronie ulicy gmach. Masywny, rozłożysty, z szarym tynkiem.

– Poznańska synagoga – jej słowa potwierdziły to, czego Aron już się domyślił. – W czasie wojny hitlerowcy zamienili ją na pływalnię. Po wojnie budynek nadal służył jako pływalnia. Aż do niedawna. Przez kilkadziesiąt lat po pokonaniu naszych oprawców ich decyzja cały czas pozostawała w mocy.

– Jak to możliwe… – Aron wzdrygnął się. – Czujesz się bezpieczna w tym kraju?

– Nie jest źle. Chociaż przyznam, że wiele tu absurdów. Ale najważniejsze, że synagoga zmieni swoje przeznaczenie. Nasza gmina weźmie ją pod opiekę. Wracając

do naszego rabina, chciałabym, aby na ścianie synagogi zawisła tablica upamiętniająca Jehudę ben Bekalela.

– I chcesz, abym ją wykonał.

– Chcę cię poprosić.

– To będzie dla mnie przyjemność i zaszczyt.

– Myślałam nie tylko o tablicy – Lidia spojrzała tajemniczo w kierunku synagogi. – Obok niej mogłaby stanąć rzeźba Golema. Z gliny.

– Nie widzę problemu – zgodził się Aron.

Przez kolejne tygodnie Aron pracował w mieszkaniu wynajętym przez Gminę Żydowską. Mieściło się na poddaszu kamienicy, w której urzędowała Lidia i wprost idealnie nadawało się na pracownię. Przestronne i doskonale oświetlone. Najpierw wykonał tablicę z brązu. Umieścił na niej podobiznę wzorowaną na starych ilustracjach i rycinach. Nie miał pojęcia, czy tak właśnie wyglądał Jehuda Loew ben Bekalel, ale tak wyobrażali go sobie potomni. Na tablicy umieścił krótki opis, kim był ów rabin i co robił, uwzględniając również wzmiankę o stworzeniu Golema, na czym bardzo zależało Lidii. Następnie zabrał się za postać samego Golema. Zadanie było trudniejsze, tym bardziej, że ciocia upierała się, aby była to rzeźba z gliny, z której ulepiona miała być mityczna postać. Na szczęście Aron tworzył również w tym materiale. Efekt jego pracy zachwycił Lidię.

– Jesteś prawdziwym artystą – mówiła wpatrzona w rzeźbę Golema.

– Raczej rzemieślnikiem.

– O nie! – zaprzeczyła stanowczo. – Golem wygląda, jakby miał za chwilę ożyć.

Aron nie podzielał tej opinii, ale zdążył już na tyle poznać Lidię, że wiedział, kiedy nie należy z nią polemizować.

Odsłonięcie tablicy i posągu odbyło się w piątkowe południe z udziałem członków gminy i przedstawicieli władz miejskich. Uroczystość na krótko zakłóciło kilku osobników z wygolonymi głowami, wznosząc okrzyki świadczące o ich braku

sympatii do społeczności żydowskiej. Na odchodne jeden z nich, wskazując palcem na rzeźbę Golema, krzyknął:

– Rozjebiemy to żydowskie gówno!

Arona zaswędziały ręce, ale Lidia uspokoiła go, że Golem będzie pod dobrą opieką i nikt nie zrobi mu krzywdy.

– Ustawicie przy nim całodobową straż? – ironizował Aron.

– Są inne sposoby – ucięła Lidia.

Po oficjalnej uroczystości goście mogli dokładnie przyjrzeć się dziełom rzeźbiarza. Podziwiali tablicę, ale najbardziej Golema, jego masywną sylwetkę, której widok budził respekt, a otwarte usta sprawiały wrażenie jakby chciał przemówić do zebranych ludzi. Tylko puste, ciemne oczy nie pozostawiały wątpliwości, że mamy do czynienia z martwą bryłą.

– Chyba za bardzo wyeksponowałem Golema. Nikt teraz nie będzie zwracał uwagi na tablicę z rabinem – martwił się Aron.

– Wręcz przeciwnie – zaprotestowała Lidia. – Rzeźba przykuwa uwagę, dzięki temu ludzie zauważą również tablicę z Maharalem.

Po zakończeniu uroczystości Lidia i Aron weszli jeszcze do biura.

– Zacznę szykować się do powrotu, ciociu – zagaił Aron. – Wykonałem zadanie, o które dziadek nie chciał mnie prosić, a na którym chyba bardzo mu zależało.

– Zgadza się, ale nie zrobiłeś jeszcze wszystkiego.

– Co jeszcze mam wyrzeźbić? – westchnął.

– Niczego nie musisz rzeźbić. Teraz trzeba ożywić Golema.

– Zdążyłem już poznać twoje specyficzne poczucie humoru.

– Mówię poważnie – Lidia patrzyła mu prosto w oczy.

Aron zastanawiał się, czy jego ciocia nie zwariowała, ale nic na to nie wskazywało. Wyraz twarzy, głos i spojrzenie były całkowicie świadome.

– Po co chcesz ożywić Golema? – postanowił dostosować się do jej konwencji, sprawdzając, jak długo będzie kontynuowała zabawę.

– Żeby nas chronił. Widziałeś tych ludzi, którzy chcieli zakłócić uroczystość? Widziałeś ich agresję, wściekłe spojrzenia?

– Sama mówiłaś, że to margines.

– Na razie. Ten margines rozrasta się. Zyskują poparcie części polityków, którzy nazywają ich patriotami. Potrzebujemy siły, która będzie nas chronić.

– Zaraz, zaraz – Aron zmrużył oczy. – Czy według legendy Golem nie wyrwał się spod kontroli? Zaczął atakować swoich. Nie można było nad nim zapanować, więc rabin pozbawił go życia.

– To prawda tylko częściowo – Lidia wskazała Aronowi krzesło. – Usiądźmy. Napijemy się herbaty i wszystko ci opowiem. Poznasz prawdziwą historię Golema.

Opowieść Lidii początkowo nie różniła się od powszechnie znanej legendy. Stworzony przez Jehudę ben Bekalela Golem okazał się obrońcą równie silnym i skutecznym, co trudnym do opanowania. Potężna postać miała psychikę małego dziecka, o ile w tym przypadku można było w ogóle mówić o psychice. Golem słuchał wyłącznie człowieka, który go stworzył, a przy tym rozumiał jedynie proste polecenia. Gdy nie potrafił czegoś pojąć, denerwował się i wpadał w szał. Zdarzyło się kilka razy, że swą siłę kierował przeciwko członkom praskiej gminy żydowskiej, tym, których miał chronić. Ludzie, którzy wcześniej z nadzieją powitali Golema, teraz zaczęli się go obawiać i zażądali od ben Bekalela pozbawienia go życia. Rabin chciał poprawić swoje dzieło, sprawić, aby Golem potrafił lepiej oceniać otaczającą go rzeczywistość, odróżniać wrogów i przyjaciół, podejmować decyzje. Nacisk społeczny był jednak tak silny, że nie pozostało mu nic innego, jak zamienić Golema z powrotem w bezkształtną masę gliny.

– Uważał to za swój największy błąd w życiu – zamyślona Lidia patrzyła w dal. – Opisał wszystko w swoim testamencie.

– Zostawił testament?

– Niewielu o tym wie. Odnalazłam testament. Okazało się, że przez wieki był dobrze schowany tutaj, w Poznaniu. W testamencie wiele miejsca poświęcił Golemowi. Czuł się za niego odpowiedzialny. Winił się za to, że uległ naciskom i unicestwił go. Pozostawił wskazówki, jak można odtworzyć Golema, aby nie stanowił zagrożenia. Rabin zrozumiał, że popełnił błąd, nie wyposażając swojego dzieła w siłę kształtującą i podtrzymującą jego osobowość, dającą zdolność pojmowania. Wskazówki zawarte w testamencie były proste, ale jeden z elementów tej układanki, przygotowany przez ben Bekalela, zaginął. Na szczęście niedawno odnalazłam go. Jest również w Poznaniu.

– Masz przy sobie ten element?

– Mam jego fragment.

Lidia wstała i wyszła do drugiego pokoju. Po chwili wróciła, niosąc duży karton. Położyła go na stole i zachęciła Arona, aby zajrzał do środka. Ostrożnie otworzył wieko. W środku leżały pozaginane stalowe listwy.

– Śmiało. Możesz je obejrzeć dokładnie – uśmiechnęła się Lidia.

Sięgnął do kartonu. Okazało się, że są to dwa identyczne przedmioty z hartowanej stali. Materiał został tak powyginany, że przedmioty tworzyły konkretny kształt o ażurowej konstrukcji.

– Coś mi to przypomina – Aron przyglądał się bardzo uważnie. – Wygląda jak… skradziony fragment rzeźby… Golema.

– Zgadza się – przytaknęła spokojnie Lidia. – Dokładnie są to dłonie rzeźby odpiłowane kilka tygodni temu. Ja to zleciłam. Wynajęłam dwóch zbieraczy złomu zajmujących się zawodowo kradzieżą metali. Nikomu nic nie powiedzą. Nie lubią kontaktować się z policją, bo sami mają sporo na sumieniu. Za pieniądze, które dostali, będą mogli żyć sobie dostatnio przez długi czas.

Aron odłożył stalowe dłonie i usiał. Przestał już cokolwiek rozumieć. „Lidia Berg korzystająca z usług złodziei złomiarzy? Musiała być bardzo zdeterminowana albo szalona”.

– Nie podejrzewałem cię o to. Po co ci te trofea?

– Na dnie kartonu jest jeszcze coś. To ci więcej wyjaśni.

Rzeczywiście, na samym dnie znajdował się jeszcze jeden przedmiot. Stalowa tuba.

– Otwórz – poprosiła Lidia.

W tubie znajdował się zwój pergaminu. Gdy Aron go rozwinął, wypadł z niego mniejszy skrawek pergaminu. Zapisane na nim było jedno słowo. Emet.

– Słowo ożywiające Golema – Aron niepewnie spojrzał na Lidię, oczekując od niej potwierdzenia.

– W języku hebrajskim oznacza prawdę – przytaknęła Lidia. – Ten pergamin Maharal umieścił w ustach Golema, a później wyjął, pozbawiając go życia. Duży pergamin to testament rabina.

– Skąd pewność, że to oryginały?

– Jestem historykiem sztuki.

Aron rozwinął testament i zaczął czytać. Lekcje dziadka Mordechaja teraz się przydały. Tekst zrobił na nim wrażenie.

– Niesamowite – przyznał. – Nadal jednak nie rozumiem, co ma z tym wspólnego pomnik Golema, który kazałaś uszkodzić i przywłaszczyłaś sobie jego fragment.

– Nie zrobiłam tego dla siebie – tłumaczyła cierpliwie Lidia.

Aron patrzył na swoją ciotkę, oczekując dalszych wyjaśnień. Usłyszał je. Była to długa i wyczerpująca odpowiedź. Najwyraźniej jednak nie przekonała Arona.

– To bez sensu – podsumował.

– Początkowo też tak myślałam, ale wierz mi, wszystko sprawdziłam. Mamy w ręku narzędzia potrzebne, by reaktywować Golema. W ulepszonej wersji.

– I chcesz to zrobić?

– Ty to zrobisz. Dziś w nocy.

– Nic z tego – Aron zasłonił się dłońmi. – Znam się na tworzeniu rzeźb, ale nie na ich ożywianiu.

– Jesteś w prostej linii potomkiem ben Bekalela. Tylko ty możesz tego dokonać.

– Nie jestem rabinem ani mistykiem.

– Moc ben Bekalela przechodzi na jego potomków. Nie na każdego, ale na ciebie tak, Aronie.

– Skąd możesz to wiedzieć?

– Od Mordechaja. On był taki jak ben Bekalel. Ty odziedziczyłeś to po nim. Twój ojciec nie miał tej mocy.

– Nie miał żadnej mocy – prychnął Aron.

Prawie nie pamiętał swojego ojca, którego z resztą nigdy nie nazywał tym określeniem. Nie lubił wspominać alkoholika, który bił matkę. Na szczęście skończył tak, jak sobie na to zasłużył. Wracając z baru, tradycyjnie mocno zawiany, zatoczył się z chodnika na jezdnię i wpadł pod ciężarówkę. Matka nigdy nie wróciła do psychicznej równowagi. Zmarła, kiedy Aron miał dziewiętnaście lat.

– Przepraszam, nie chciałam ci o tym przypominać – zmartwiła się Lidia. – Chodziło mi o to, że Mordechaj opiekował się tobą i wspierał swoją córkę, a twoją matkę. Obserwował cię przez wiele lat, widział, jak dorastasz i miał wystarczająco wiele czasu, aby przekonać się, że drzemie w tobie dziedzictwo Maharala.

Aron pokręcił głową.

– Nigdy nie odniosłem takiego wrażenia.

– Ponieważ nie wypróbowałeś swoich umiejętności. Teraz masz sposobność.

Spojrzał w górę, jakby oczekiwał jakiegoś znaku. Szkoda, że Mordechaj nigdy z nim o tym nie rozmawiał. Aron często odnosił wrażenie, że dziadek skrywa w sobie jakąś tajemnicę, ale uznawał to za oczywiste. Dziadkowie muszą mieć swoje tajemnice. Poza tym Mordechaj był niezwykle uduchowionym Żydem.

– Dobrze, ciociu – spojrzał na nią poważnie. – Odprawię ten rytuał, ale zrobię to tylko dla ciebie. W podziękowaniu za życzliwość, jaką mi okazywałaś. Pobyt tutaj i to, co mogłem zrobić dla waszej społeczności, jest dla mnie fantastyczną sprawą.

– Dziękuję, Aronie – Lidia była autentycznie wzruszona. – Przystąpisz do dzieła dziś w nocy. I nie trzeba odprawiać żadnych rytuałów. Jeśli jesteś taki jak twój przodek, wystarczy, że włożysz w usta golema pergamin ze słowem „Emet".

– A tajemne modły i zaklęcia?

– Nie ma niczego takiego. Legendę o Golemie przekazywali ludzie, którym nie mieściło się w głowie, że można ot tak sobie ożywić gliniany posąg. Jeśli masz czystą duszę i umysł oraz tę trudną do uchwycenia zdolność, którą posiadał ben Bekalel, uda ci się powtórzyć jego dzieło.

Kilka minut po drugiej w nocy podeszli pod synagogę. Stary Rynek i okolice długo tętnią życiem, ale w tygodniu o tej porze robi się już pusto, zwłaszcza w tym miejscu, będącym raczej zapomnianym zaułkiem.

W ciemnościach rozświetlanych przez uliczne lampy majaczyła sylwetka Golema. Aron spojrzał na trzymany w ręku pergamin z napisem, potem podniósł wzrok na posąg. Był nieruchomy i zimny. Podszedł i włożył pergamin w gliniane usta Golema. Cofną się o krok. Nic się nie działo.

– Golemie – powiedział niezbyt głośno, lecz wyraźnie i szybko ogarnęło go przerażenie.

Pergamin z napisem zniknął w zamykających się ustach. Posąg poruszył się, zrobił krok w kierunku Arona i pochylił głowę.

– Dokonałeś tego – Lidia przyłożyła dłonie do twarzy. – Ożywiłeś go, a on oddaje się pod twoją służbę. Zabierzmy go do samochodu.

Aron spojrzał w ciemne oczy Golema. Były martwe i obojętne, a jednak ta gliniana bryła wykazywała oznaki życia. Do ostatniej chwili sądził, że nic z tego nie będzie, że odbębni rytuał, na który nalegała Lidia, wróci do mieszkania i wyśpi się. Nic z tego. Teraz dopiero się zacznie.

– Chodź za mną – powiedział do Golema, a ten ruszył się posłusznie.

Podeszli do zaparkowanej przy ulicy furgonetki, wcześniej wynajętej przez Lidię. Aron otworzył rozsuwane drzwi i gestem zaprosił Golema do środka, następnie podał mu dwa stalowe, ażurowe fragmenty pomnika.

– Nałóż je na swoje dłonie.

Golem znowu bez słowa wykonał polecenie. Pasowały idealnie – stal oplotła glinę, przylegając do niej. Stwór uniósł dłonie na wysokość głowy i przyglądał się im uważnie. Na jego twarzy po raz pierwszy dało się zauważyć emocje.

Chociaż do pomnika Golema nie mieli daleko, Aron raz po raz zerkał we wsteczne lusterko. Gliniany Golem siedział nieruchomo, cały czas wpatrując się w swoje stalowe dłonie. Metal coraz bardziej zatapiał się w glinę, a kiedy dojechali na miejsce, został całkowicie pochłonięty.

Wysiedli z samochodu i weszli na skwer ciągnący się przez środek ulicy. Stalowa figura prezentująca postać w ruchu, stała sobie spokojnie. Gdy zobaczył ją gliniany Golem, jego wielkie cielsko zaczęło drżeć.

– Posłuchaj, Golemie – Aron patrzył prosto w ciemne, gliniane oczy – otrzymałeś coś, czego nie odważyłbym się nazwać życiem. To bardziej istnienie. Chcę dać ci więcej. Ten stalowy szkielet nie będzie tylko rusztowaniem dla twojego glinianego ciała. Da ci możliwość pojmowania, oceny sytuacji, podejmowania decyzji, a przede wszystkim odróżniania tych, których masz bronić, od tych, przed którymi masz ich bronić. Zawsze i w każdym przypadku. Próbkę tego, co możesz

otrzymać, masz już w swoich dłoniach. Wiem, że poczułeś różnicę. Weź więc i resztę.

Golem zbliżył się do stalowego pomnika, mającego przypominać jego samego. Dotknął ręką zimnego metalu, następnie dwoma silnymi ramionami objął rzeźbę i mocno ścisnął. Gliniana masa stanowiąca jego ciało zaczęła się przelewać przez ażurową konstrukcję, aż Golem znalazł się wewnątrz rzeźby. Teraz nastąpił odwrotny proces. O ile wcześniej stalowy szkielet zamknął Golema jak w klatce, tak teraz Golem zaczął powiększać się i pochłaniać stal, aż całkowicie znikła w jego cielsku, które po tej swoistej konsumpcji było teraz jeszcze większe. Golem wyprostował się i spojrzał na Arona. Jego oczy nie były już ciemne. Błyszczały metalicznie. Zszedł z betonowego podestu, na którym stał pomnik, pozostawiając puste miejsce.

– Odjedźmy stąd, zanim ktoś to zauważy – ponagliła Lidia.

Golem nie odrywał wzroku od Arona. Dopiero na jego znak wsiadł do samochodu. Wysadzili go pod synagogą. Aron wskazał na tablicę z podobizną rabina.

– Posłuchaj, Golemie. Tutaj jest twoje miejsce. Obok tablicy rabina Jehudy Loew ben Bekalela. Tego, który cię stworzył. Jestem jego potomkiem, odtworzyłem cię i ulepszyłem dzieło rabina. Lecz musisz wiedzieć, że było to możliwe tylko dzięki testamentowi, który po sobie zostawił. Powinieneś wiedzieć, co działo się po tym, jak rabin ponownie przekształcił cię w stertę gliny.

Aron mówił do nieruchomego, glinianego olbrzyma, który połyskiwał jedynie metalicznymi oczyma. Postać, której tożsamość trudno było określić, zawieszona między bytem a niebytem, chłonęła każde słowo. Aron opowiedział wszystko, co zapisane było w testamencie oraz historię poszukiwań Lidii.

Maharal wyjął z ust Golema pergamin ze słowem „Emet”, gdy ten spał. Gliniany posąg rozsypał się. Rabin zebrał to, co z niego zostało i schował na strychu praskiej synagogi. Sumienie nie dawało mu jednak spokoju. Wiedział, że mógł zrobić więcej, aby utrzymać Golema przy życiu. W testamencie zapisał, że zabrakło mu

determinacji i odwagi. Postanowił przekazać potomnym to, czego sam nie zrealizował. Swoisty przepis na Golema. Wiedząc, że jemu współcześni nie zechcą już słuchać o Golemie, testamentu nikomu nie pokazał. Przykazał wyraźnie, aby po jego śmierci złożyć go w metalowej trumnie, w której rozsypana zostanie również glina po Golemie. Materiał na trumnę miał podobno sprowadzić z samej Jerozolimy, lecz ben Bekalel nigdy tego nie potwierdził. Ostatnia wola szanowanego rabina została wykonana. Nikt nie odważył się jej zakwestionować, chociaż wielu mogła wydawać się cudaczna. Przez wieki ciało mistyka oddawało swoją energię i moc, które pochłaniała stalowa skrzynia. Spoczynek zakłócili dopiero hitlerowcy, którzy splądrowali synagogę. Zabrali skrzynię i przetopili na swastykę. Zawartość trumny pozostawili na strychu, a rozłożone na proch kości Maharala wymieszały się z gliną. Po nastaniu komunistów swastykę przetopiono na gwiazdę, a gdy nadeszła Jesień Ludów i komunizm upadł, gwiazdę przetopiono na stalowe sztaby i pozostawiono na strychu synagogi. Tam przeleżały sobie kilkanaście lat, aż pewien czeski artysta, który miał wykonać dla Poznania pomnik Golema i szukał odpowiedniego tworzywa, zaproponował wykorzystanie tej właśnie stali. Ponieważ nikt nie miał pomysłu, co zrobić z pozostałością trumny rabina, uznano, że stworzenie pomnika postaci z żydowskiej mitologii będzie dobrym rozwiązaniem. Artysta zabrał więc materiał ze sobą i wykonał z niego ażurową postać Golema, która stanęła w Poznaniu.

Glinę, wymieszaną ze szczątkami rabina, sprowadziła dopiero Lidia Berg. Ona też odnalazła testament. Okazało się, że przezorny i przewidujący Maharal ukrył go w podziemiach poznańskiej synagogi. Zapakowany w tubę, wytopioną z tej samej stali, z której wykonano trumnę, przeleżał spokojnie nieodnaleziony nawet przez faszystowskich okupantów. Razem z testamentem rabin ukrył także wyjęty z ust Golema kawałek pergaminu. Testament czekał spokojnie pod dnem basenu, który zbudowali w synagodze hitlerowcy, aż do dnia, gdy zlikwidowano pływalnię, aby przywrócić budynkowi jego pierwotny charakter. Stalową tubę odnaleźli robotnicy

likwidujący basen. Komu mieli pokazać znalezisko, jeśli nie przewodniczącej Gminy Żydowskiej. Lidia nie mogła uwierzyć w to, co znalazła w tubie. Testament wielkiego rabina i kawałek pergaminu ze słowem „Emet". Od tej pory nie miała wątpliwości, że legenda Golema jest prawdziwa. Postanowiła wykonać ostatnią wolę Maharala. Odszukała jego potomka Mordechaja Posena, który podzielając jej zamiary, sam obawiał się podjąć tego zadania. Nie wystarczyło, bowiem być krewnym rabina w prostej linii, mieć czyste serce i duszę oraz szczere i dobre zamiary. Trzeba było jeszcze posiadać w sobie tę nadprzyrodzoną moc, jaką miał ben Bekalel. Mordechaj wiedział, że tego mu brakuje, ale potrafił rozpoznać osobę, która odziedziczyła tę cechę po sławnym rabinie. I tak rozpoznał w swoim wnuku spadkobiercę mistyka. W ten sposób Lidia, która miała już wszystkie elementy golemowej układanki, znalazła człowieka, który wykona dzieło.

– Oto historia twojego ponownego powstania – Aron kończył opowieść. – Tym razem twoim budulcem nie jest już sama glina. Zostałeś zbudowany ze szczątek ciała rabina, twojego budowniczego, i wzmocniony stalą, w której zamknięto jego moc. Nie wiem, skąd pochodziła stal. Maharal nie zapisał tego w testamencie, ale nie sądzę, aby jej pochodzenie było przypadkowe. Jehuda Loew ben Bekalel chciał, abyś istniał. Wzmocniony, lepszy, rozumiejący. Jako spadkobierca starałem się takiego cię odtworzyć. Żyj z nami i służ nam dobrze. Broń nas przed agresją, a my będziemy cię szanować i nigdy już nie pozbawimy życia.

Zapadła cisza. Niezamierzona. Usta Golema poruszały się, lecz nie mogły wydobyć żadnego dźwięku. Jego świadomość została tej nocy bardzo rozszerzona, lecz nie zyskał daru mowy. Pokłonił się więc Aronowi i Lidii.

– Dziękuję – powiedział wzruszony Aron.

Razem z Lidią opuścili skwer przed synagogą.

Wrócili do biura. Lidia usiadła w fotelu i zaczęła rozmasowywać skronie. Aron sięgnął po szklankę wody.

– Chciałem cię przeprosić – powiedział po kilku łykach. – Nie wierzyłem ci. Do samego końca nie wierzyłem, że to może się stać.

– Sama miałam wątpliwości. Nawet teraz nie wiem, czy to nie sen.

Aron przysunął krzesło i usiadł na wprost Lidii.

– Dziękuję, że mnie tu zaprosiłaś i powierzyłaś to zadanie. Nie umiem ogarnąć słowami tego, co dane mi było przeżyć. Jesteś w równym stopniu twórczynią nowego Golema. Gdyby nie twoja wiara, zaangażowanie, wysiłek, nigdy nie doszłoby do tego. Jestem pewien, że Golem będzie ci służył.

– Wracasz do Ameryki – spojrzała gdzieś poza Arona.

– Już czas na mnie. Tam jest mój dom.

– Dom? – przekrzywiła głowę. – Praca, rodzina, przyjaciele, pasje. O tym mówisz Aronie.

– No tak.

– Nigdy mi nie opowiadałeś, co robisz, jakich masz przyjaciół, dziewczynę.

– Nie pytałaś – rozłożył ręce.

Złożyła dłonie w namiot.

– Z wykształcenia jestem, co prawda, historykiem sztuki, ale zawsze interesowała mnie psychologia i tajemnice ludzkiej osobowości. Spędziłam z tobą wiele czasu. Jesteś samotnikiem, nie masz przyjaciół ani stałych związków. Próbowałeś różnych zajęć, ale nie zdecydowałeś się jeszcze na nic konkretnego. Być może nawet rozważałeś zostanie rabinem, ale i tego nie jesteś pewien. Mówisz o domu, a przecież nikt i nic cię tam nie trzyma. Nawet ze swojej działalności artystycznej nie jesteś zadowolony. Uważasz się bardziej za rzemieślnika niż twórcę i ciągle marzysz o dziele swojego życia.

Aron po raz pierwszy poczuł do niej niechęć.

– Dlaczego robisz mi seans psychologiczny o trzeciej w nocy po tym, co przeszliśmy? – zapytał z wyrzutem.

– Chcę ci uświadomić, że tutaj może być twój dom.

– A niby co lub kto ma mnie tutaj trzymać? – Aron silił się na ironię.

– Odnalazłeś w Poznaniu swoje przeznaczenie, odkryłeś swoją moc, nawiązałeś wiele znajomości. No i jest jeszcze on. Golem. Najważniejsze dzieło twojego życia. Teraz ktoś musi sprawować nad nim opiekę.

– Golem, Golem – wstał i zaczął chodzić po pokoju. – On jest teraz inny. Poza tym powtarzam, jest w równym stopniu twoim dziełem. Będzie cię słuchał i nie sprawi problemu.

– Mylisz się. Ty jesteś jedynym łącznikiem między nim a światem. Widziałam, jak słuchał, gdy opowiadałeś historię Maharala. On ci ufa i szanuje cię.

– Nic z tego. Jutro mam samolot. Poradzicie sobie sami, a w razie problemów zawsze mogę przyjechać. Teraz już się pożegnam, ciociu. Jestem zmęczony. Muszę się wyspać, spakować. Ty też idź spać. Dziękuję ci za poświęcony czas i życzliwość. Wierzę, że sobie poradzicie.

To mówiąc, opuścił biuro. Nie chciał w taki sposób żegnać się z Lidią, ale nie zamierzał przedłużać tej rozmowy. Nawet jeśli miała rację i rzeczywiście jest samotnikiem, to on zdecyduje, gdzie samotnie spędzi czas. Nie miał zamiaru zostać dożywotnim strażnikiem Golema.

Następnego dnia Lidia udała się do mieszkania Arona, ale jego już nie było. W drzwiach znalazła list pożegnalny, w którym przepraszał za swoje zachowanie i tłumaczył, że sam chce pokierować swoim losem. Nie czuła żalu. Spodziewała się, że zareaguje w ten sposób. Był człowiekiem poszukującym, będącym cały czas w drodze, bez portu docelowego. Problem w tym, że zostawił ją samą z Golemem.

Cały dzień spędziła na przemyśleniach i odpoczynku po nocy pełnej wrażeń. Wieczorem włączyła telewizor, aby powrócić na chwilę do codzienności, zapomnieć przez moment o Aronie i Golemie. Nic z tego. W lokalnych wiadomościach pierwszą informacją była zuchwała kradzież rzeźby Golema. Policja nie mogła zrozumieć, jak

udało się zabrać wielki stalowy posąg bez użycia ciężkiego sprzętu. Zupełnie jakby ktoś po prostu zdjął Golema i zabrał go ze sobą. Rzecz jasna ani policja, ani dziennikarze nie zakładali wariantu, że Golem mógł odejść sam.

Druga informacja dotyczyła kilkorga młodych ludzi, których znaleziono poturbowanych w okolicy synagogi. Twierdzili oni, że zaatakował ich gliniany Golem stojący od wczoraj przy ścianie budynku. Policja szybko ustaliła, że wszyscy byli pod wpływem substancji psychoaktywnych, a poza tym mieli przy sobie ostre narzędzia i farbę.

– Prawdopodobnie próbowali zniszczyć rzeźbę Golema i tablicę rabina Jehudy ben Bekalela, a na ścianie synagogi napisać obraźliwe słowa, ale najwyraźniej zażyli za dużo amfetaminy – mówił przed kamerą lekko rozbawiony rzecznik komendy miejskiej. – Sprawdziliśmy. Ten Golem stoi na swoim miejscu i nie nosi śladów walki.

– Może pobił ich Golem ze skweru położonego kilka ulic dalej? – pytał równie rozweselony dziennikarz.

– Tę sprawę traktujemy poważnie – policjant znów przybrał służbowy ton i wyraz twarzy. – Poza tym zastanawiamy się, czy zatrzymani nie są powiązani z kradzieżą stalowego Golema. Znamy ich antysemickie poglądy i groźby, jakie kierowali pod adresem społeczności żydowskiej.

Telewidzowie oglądający program reagowali oburzeniem przemieszanym z kpiną wobec łysych pał, którym narkotyki pomieszały w głowach. W jednym tylko mieszkaniu panowała absolutna cisza, zakłócona jedynie dźwiękiem filiżanki rozbijającej się o podłogę. Filiżanka wypadła z dłoni Lidii Berg, która nawet tego nie zauważyła. Nie sądziła, że Golem tak szybko zacznie. Początkowo chciała zatelefonować do Arona, ale zarzuciła ten pomysł. Mógł być teraz gdzieś nad oceanem albo nawet już w Nowym Jorku. Nie zawróciłby przecież samolotu. Sama musiała sprawdzić. Zaczekała, aż zapadnie głęboka noc i chociaż paraliżował ją

strach, podeszła pod synagogę. Spojrzała na nieruchomego Golema, na jego ciemne oczy.

– Słyszałam, co stało się ubiegłej nocy – szepnęła. – Dobrze postąpiłeś. Przepędziłeś naszych wrogów. Użyłeś siły proporcjonalnie do sytuacji. Aron wyjechał do swojego kraju. Teraz ja będę się tobą opiekować. Mam nadzieję, że się nawzajem zrozumiemy.

Wtedy oczy Golema ożyły. Nie było to jednak stalowe spojrzenie. Na Lidię spoglądały ludzkie oczy. Cofnęła się zaniepokojona.

– Już dobrze, Lidio. Już wszystko dobrze.

On do niej przemówił. Najdziwniejsze było to, że znała ten głos i to spojrzenie.

– Co zrobiłeś z Aronem? – była bliska płaczu.

– Ja jestem Aronem.

– Jesteś uwięziony w Golemie?

– Nie. Jestem tu, gdzie powinienem być i tym, kim jest mi pisane być.

– Jak do tego doszło? Miałeś wyjechać.

– Po naszej nocnej rozmowie spakowałem się i chciałem wyjechać jak najszybciej, wcześniejszym lotem – Aron-Golem poruszał glinianymi ustami. – Podszedłem pod synagogę, aby pożegnać się z Golemem i przykazać mu, że teraz ma słuchać ciebie. Gdy do niego mówiłem, poczułem, że zakręciło mi się w głowie, a po chwili stałem na miejscu posągu. W pierwszym momencie sądziłem, że Golem uciekł, ale spojrzałem na swoje gliniane dłonie i nogi. Wtedy wszystko zrozumiałem. Tylko w ten sposób można całkowicie zapanować nad Golemem. On jest jedynie formą, którą jego twórca musi wypełnić. Tchnąć w nią życie. Najdoskonalszym sposobem jest wypełnić dzieło samym sobą. Oddać swoje ciało i umysł.

– Sprowokowałam cię do tego – Lidia zakryła twarz dłońmi.

– Przeznaczenie samo do mnie przyszło. Miałaś rację. Moje życie było puste, pełne pozorów i fasad, które sam sobie tworzyłem. Nie mam do kogo wracać. Teraz już wiem, że przez cały czas czekałem na to, co się właśnie stało.

– Więc nie czujesz niepokoju? – nie dowierzała Lidia. – Zamknięty w glinianym posągu.

Aron postąpił krok do przodu. Gliniane usta rozszerzyły się w uśmiechu.

– Nigdy nie czułem się lepiej. Trudno mi to opisać. Jestem taki spokojny, spełniony. Nic mnie nie przytłacza. Czuję siłę Golema i potrafię nad nią panować. Czuję również mądrość Maharala. Teraz nikt już nie będzie musiał pilnować Golema i niepokoić się, że wyrwie się spod kontroli. Dzieło rabina zostało dokończone.

– Ty załatwiłeś tych…

– Zgadza się – Aron był z siebie zadowolony. – Próbowali sprofanować to miejsce. Szkoda, że nie widziałaś, jak uciekali.

Lidia podeszła i dotknęła glinianej dłoni.

– Zostaniesz tutaj na zawsze.

– Będę was bronił.

– Przyrzekam, że będę opiekowała się tym miejscem – Lidia otarła łzy wzruszenia.

Oczy osadzone w glinianej skorupie spojrzały na Lidię z niewypowiedzianą dobrocią.

– Dziękuję ci za wszystko – wyszeptały gliniane usta.

Aron-Golem cofnął się na swoje miejsce obok tablicy Jehudy Loew ben Bekalela. Zamknął oczy i znieruchomiał. Lidia nie wiedziała, czy śpi, czy też chwilowo odpłynął w niebyt. Tak wiele pytań chciała mu jeszcze zadać, lecz nie wiedziała, czy otrzyma odpowiedź. Pewna była natomiast, że Aron, kimkolwiek stał się teraz, nareszcie zaznał szczęścia.

– Dziękuję, Aronie.

Spojrzała jeszcze na tablicę z wizerunkiem Maharala. Przyszło jej do głowy, że wielki mistyk wszystko przewidział. Przeczuwał, a może wiedział na pewno, że kiedyś pojawi się jego potomek mający jeszcze większą moc sprawczą i dokończy to, co zostało przerwane pięć wieków wcześniej.

JUSTYNA GUL

OBSERWATOR

Promień słońca błysnął pomiędzy nagimi gałęziami kasztanowca, oświetlając małego szarego ptaszka przytulonego do chropowatej pokrywy drzewa. Skrzydlaty poruszył się niepewnie, przestępując z nóżki na nóżkę i potrząsnął łebkiem, by zwalczyć przesłaniającą oczy senność. Zaczynał się nowy dzień. Wróbel otworzył ponownie jedno ślepko, a gdy dostrzegł wychodzącą z domu Joasię – drugie. Dziewczynka ospale schodziła po walących się schodach, gdzieniegdzie sztukowanych obłupanymi cegłami.

Stuk… stuk… po podwórku rozchodził się miarowy odgłos uderzeń jej o wiele za dużych bucików z pękającymi noskami.

Jak się cieszyła, kiedy matka przyniosła worek z darami z MOPS-u, a w nim, na samym dnie, leżały te buty. Joasia chciwie rzuciła się do przodu, nurkując w czarnym worze i już po chwili piastowała w objęciach skarby. Jej pierwsze buty nie po Maciusiu. To „nie po” jeszcze przez długie lata miało stanowić wyznacznik jej życia… Ale dziś nie była szczęśliwa. Po wczorajszym trochę pobolewały ją plecy i ta ręka tak dziwnie spuchła; nic dziwnego, że nie ma najmniejszej ochoty na pójście do szkoły.

– Biedactwo! – zakwilił wróbelek i wciągnął powietrze głęboko w płuca. – Dzień jak co dzień.

Joasia przystanęła pod drzewem i zadarła głowę, poszukując źródła świergotu. W plątaninie gałęzi dojrzała szarego artystę i pomachała mu, na ile pozwalał jej ból. Już troszeczkę weselsza poczłapała w kierunku centrum. Za chwilę w ładnej klasie będzie uczyć się o równości, perspektywach i innym życiu. Lepszym?

W ślad za siostrą wyłonił się Maciuś. W brudnych rękach ściskał wiadro i szufelkę, a swe kroki kierował ku komórce z węglem. Uśmiechnął się do siebie pod nosem, wspominając udany nocny połów. Cały worek wypełniony kawałkami tego czarnego złota cieszył oczy, dla bezpieczeństwa został upchnięty w rogu pomieszczenia i nakryty kupą szmat jeszcze niedawno będących sukienkami Joasi. Dzisiaj Maciuś też pójdzie wieczorem na torowisko niedaleko domu, ale wróbelek już tego nie dojrzy. Prawdopodobnie będzie smacznie spał. Maciuś, a właściwie Maciej, bo czternastoletni chłopiec to już prawie mężczyzna, nie chodzi do szkoły.

– No bo i po co? Chłopokowi ino łeb gupotami nabijo! – stwierdził filozoficznie kochany tatuś.

Chłopak co rano pomaga w domu; to drzewa narąbie, to węgiel przyniesie, skombinuje kilka starych kartofli z targu na kartoflankę (dobra, bo brzuch zapycha); popołudniem z kumplami się poszlaja i dzień minie. A wieczorem bierze swój worek do kieszeni wyświechtanej kurciny i idzie na zarobek.

Czasem go inni od skarbów kijami albo kamieniami odpędzą, ale sprytny jest i się nie da. Ostatnio udało mu się nawet na węglarkę wskoczyć. Tak sokistów wyruchali, że aż miło, ha, ha…

– Maciek, sieroto! Psia mać! – rozlega się zachrypnięty głos. Ptaszek aż podskakuje na swojej gałązce i spogląda w kierunku, skąd dobiega wrzask. Producentem jazgotu jest przepona grubego mężczyzny o czerwonej, nalanej twarzy. Mimo przenikliwego chłodu, na grzbiecie ma tylko potargany i zatłuszczony podkoszulek. Jedną ręką drapie się po owłosionym brzucholu, a w drugiej dzierży uszczerbioną butelkę z winem domowej roboty. Jest zaledwie po siódmej. Klin klinem?

– Skoczże do Matysiaka na róg i przynieś dwie flaszki tego sikacza – wychrypuje, pociągając kolejnego łyka. – A niech ci nie da, jak ostatnio, na krechę, to powiedz, że ja się z nim policzę. – Uśmiecha się nieprzyjemnie, ukazując dwa

nadpsute przednie zęby. Wspomina, jak to w zeszły piątek obił mordę temu staruchowi. – Sknera jeden – mruczy już pod nosem. – Matka, wstawaj, ty leniu śmierdzący! – wchodzi do domu i podnosi głos, „pieszczotliwie" wołając żonę.

Maciek z rezygnacją wzdycha i zamyka wiadro w komórce. Wie, że właściciel sklepu nic już nie da. A i na policję może iść. Za to mordobicie ojcu się upiekło, bo stara tak prosiła, ale ile razy jeszcze?

Mały ptaszek też o tym wiedział, ale co było robić? Przygładził tylko swe szare piórka i odleciał ze świergotem! Na kolejne szare podwórko. W końcu jest tylko obserwatorem.

ROMAN MONKIEWICZ

LUSTRO

Góry rupieci piętrzyły się na półkach miejscowego antykwariatu. Wewnątrz nie było ludzi. W nowoczesnym, pełnym technologicznych nowinek świecie mało kto zagłębiał się w krainę historii starych, niekiedy drogich przedmiotów. Beata od dziecka uwielbiała starocie, nic więc dziwnego, że tego ranka buszowała wśród skarbów pobliskiego sklepu z antykami.

Niewielki sklepik pełen był wiekowych krzeseł, stolików, biurek, pozłacanych i posrebrzanych bibelotów sprzed lat. Kobieta z podziwem przeglądała asortyment starego antykwariusza Alberta. Chciała kupić coś niepowtarzalnego – coś, co pasowałoby do jej nowego domu. Dużego, starego, parterowego domu, który kupiła wraz z Piotrem po kilku latach wyrzeczeń oraz jednym spadku po bogatej cioci. Nie zastanawiała się więc, gdy zobaczyła wielkie zdobione lustro. Oczyma wyobraźni widziała już, jak zwierciadło wisi w szerokim przedpokoju, napawając gości podziwem i nutką zazdrości. Pozostała tylko jedna kwestia: cena.

– Ile pan chce za to lustro? – zapytała, odwracając się w stronę właściciela sklepu. Jej palec wskazujący zawisł nad opartym o ścianę znaleziskiem. Albert sięgnął po wykończone cienką, złotą oprawką okulary i podszedł do klientki.

– To lustro? – zapytał niepewnie.

– Tak.

Antykwariusz pobladł, wpatrując się w przedmiot, lecz po chwili odzyskał rezon.

– Sprzedam je pani za… – zawiesił głos, zastanawiając się przez moment – … trzy tysiące dwieście – dokończył, odwracając pomarszczoną twarz w stronę Beaty. –

To dosyć tanio, biorąc pod uwagę, że jest to egipskie lustro – wyjaśnił prędko. – Umówmy się, że wezmę złotówkę, za każdy rok jego istnienia – zażartował. Beata wbiła wzrok w zwierciadło.

– Jak to? – wyjąkała zdziwiona. Albert westchnął, uśmiechając się.

– To zwierciadło – stary antykwariusz uwielbiał używać bardziej wzniosłych pojęć, nazywając proste przedmioty – ma ponad trzy tysiące lat, proszę pani. A pani, jak widzę, zna się na antykach – komplementował klientkę. – Dlatego odsprzedam je pani trochę taniej.

Białe – prawdopodobnie sztuczne – zęby staruszka maskowały dziwny niepokój na jego twarzy.

Parę chwil później egipskie cacko było już zapakowane, opłacone i gotowe do podróży.

– Mam nadzieję, że będzie pani długo służyło – powiedział antykwariusz, żegnając się z klientką. Dumna z siebie kobieta pragnęła czym prędzej zawiesić lustro w zaplanowanym miejscu. Taszcząc przed sobą spory pakunek, wyszła na nasłonecznioną ulicę. Gwar miasta ogromnie kontrastował z zaciszem antykwariatu, gdzie było spokojnie, cicho i – według Beaty – przytulnie. Kobieta chwyciła nabytek pewniej i ostrożnie ruszyła w stronę ekskluzywnej dzielnicy, gdzie kilka tygodni temu wraz z Piotrem kupili wspomniany dom.

***

Lustro pasowało idealnie. Gruba złota rama wspaniale komponowała się z orzechową boazerią przedpokoju. Beata ustawiła przy zwierciadle zabytkową drewnianą toaletkę. W końcu miała swoje wymarzone miejsce do podkreślania urody. Czuła się jak gwiazda filmowa, gdy siedziała przy meblu i nakładała makijaż. Ciemny, zdobiony po bokach rzeźbionymi rybami stolik, wspaniale uzupełniał wygrawerowany rysunek Nilu na błyszczącej ramie lustra. Dumna głowa Horusa,

mieszcząca się na szczycie starożytnego przedmiotu, władczo spoglądała z góry na kobietę.

Beata opuściła wzrok na swoje odbicie, gdy nagle zamarła z czarną kredką przy oku. Postać patrząca na nią wcale nią nie była. Długie blond włosy były teraz czarne, proste i sięgające do wysokości podbródka. Błękitne oczy nabrały koloru szmaragdu, drobne usta stały się pełnymi, czerwonymi niczym dojrzała wiśnia. Beata przyglądała się przez chwilę widziadłu, po czym odskoczyła od toaletki, jakby ta stanęła nagle w ogniu. Niski taboret z łoskotem przewrócił się na drewniane panele podłogi. Kobieta jeszcze raz zerknęła na zwierciadło i zobaczyła siebie bladą, przerażoną z czarną kreską kredki na prawym policzku.

– Boże – szepnęła do siebie. – Mam zwidy?

Chrzęst zamka w drzwiach wejściowych przerwał jej rozważania i w progu stanął Piotr.

– Więc co kupiłaś tym razem? – zapytał uśmiechnięty. Zamknął drzwi i podszedł do małżonki. – Niezłe – skwitował, oglądając nabytek. Musnął palcami drogocenną ramę, przyglądając się rycinom. – Egipskie? – zapytał. Beata w odpowiedzi tylko skinęła głową. Dopiero wtedy Piotr dojrzał wyraz jej twarzy.

– Co się stało? – zaniepokoił się. Blade oblicze Beaty natychmiast pokryło się rumieńcem.

– Nic – odparła szybko. – Coś mi się przywidziało. Tylko tyle.

– Coś?

– Nic takiego, głupota. Wystraszyłam się tylko. Wszystko w porządku – zapewniła. Podnosząc przewrócone siedzisko, wróciła do malowania twarzy. Piotr pogładził miodowe włosy Beaty, dodając z uśmiechem, że musi w końcu odpocząć po tygodniach urządzania domu, po czym zadowolony z siebie podążył do salonu.

– Ile dałaś? – dobiegło z głębi domu.

– Trzy dwieście – odparła Beata. – To i tak tanio.

***

– Lecę. Jestem już spóźniony – odezwał się Piotr, dopiwszy ostatnie łyki gorącej czarnej kawy. Pożegnał Beatę krótkim cmoknięciem w policzek i po chwili z przedpokoju dobiegło trzaśnięcie drzwi wejściowych. Beata została sama. Wypełniający do połowy białą, porcelanową filiżankę ciepły płyn parował jeszcze, gdy kobieta, siedząc przy kuchennym stole, rozmyślała nad widziadłem z lustra.

„Przecież nie zwariowałam" – przekonywała się w myślach.

– Więc co to było? – zapytała, tym razem półgłosem. Podświadomie czuła, że coś nie jest tak, jak być powinno. I to coś z pewnością dotyczy lustra.

Upiła łyk kawy, wpatrując się w wyjście z kuchni. Za nim rozciągał się przedpokój, w którym wisiało felerne zwierciadło. Wstała. Odsuwane krzesło zachrobotało po podłodze. Przecież dokładnie widziała osobę w odbiciu. To nie była ona. Ostrożnie zajrzała do korytarza. Złota rama lśniła, odbijając docierające do pomieszczenia światło. Beata zbliżyła się do toaletki i stanęła przed lustrem. Zza tafli szkła badawczo spoglądała na nią ona sama. Odbicie wnętrza przedpokoju, Beaty i białej filiżanki w jej dłoni, którą zabrała ze sobą z kuchni. Wszystko wydawało się zwyczajne, a jednak wczorajsze wspomnienie nie dawało kobiecie spokoju.

„Brednie" – pomyślała w końcu, i już miała się odwrócić i podążyć w stronę kuchennego stołu, gdy nagle obraz w zwierciadle zadrżał. Odbicie trzęsło się, jakby ktoś lub coś uderzał w lustro. Beata zbliżyła się do niego, wstrzymując oddech.

„A jednak mi się nie przywidziało" – zdążyła pomyśleć, zanim obraz w zwierciadle się zmienił. Smukła, czarnowłosa, młoda dziewczyna wpatrywała się w oniemiałą Beatę. Charakterystyczny makijaż, jaki robiła nieznajoma, mówił, że była mieszkanką starożytnego Egiptu. Długa, biała, prosta tunika falowała, szarpana delikatnym podmuchem gorącego powietrza. Surowe ściany miały barwę piasku. Żółte, odznaczające się linią równo ciosanych cegieł piętrzyły się za Egipcjanką. Po prawej stronie znajdowały się drzwi. Otwarte, wpuszczające pustynne powietrze do

wewnątrz. Wpatrzonej w widziadło Beacie wydawało się, że niemal czuje gorąco afrykańskiego powietrza, zapach piasku i perfum nieznajomej. Delikatna nuta daktyli i pomarańczy drażniła jej nozdrza słodkawą wonią.

„O co tu chodzi?" – zastanowiła się przelotnie Beata. Wtem tuż przy wejściu do domu nieznanej dziewczyny rozlał się czarny cień. To właśnie on sprawił, że Beata odczuła szybki marsz ciarek wzdłuż kręgosłupa.

Po chwili w drzwiach stanął wysoki, barczysty mężczyzna. Ubrany na czarno. Pochylony, z błyszczącym nożem w prawej dłoni zbliżał się do dziewczyny.

– Odwróć się – szepnęła mimowolnie Beata. Dziewczyna nawet nie drgnęła. Nadal wpatrywała się w blednące oblicze obecnej właścicielki lustra, malując oko czarnym barwnikiem.

– Przecież musisz go widzieć w lustrze! – krzyczała Beata. Słyszała to, ale nie mogła inaczej. Wiedziała, co się zaraz stanie, i z całego serca pragnęła temu zapobiec. W tej chwili nieznana Egipcjanka była dla niej niemal najważniejszą osobą. Beata dopadła do zwierciadła i gruchnęła pięścią w taflę.

– Uciekaj – zawołała. – Jest za tobą – wrzeszczała, bijąc dłonią o szkło, jakby to mogło zwrócić uwagę czarnowłosej. Nagle zobaczyła jak, tuż przed jej nosem, ostrze noża przesunęło się pod brodą dziewczyny.

Czerwona posoka zalała zwierciadło i spłynęła cienkimi strumykami w dół, a potem na złotą oprawę i ciemną toaletkę. Kobieta odskoczyła od lustra na widok krwi. Nie zwróciła uwagi na fakt, że posoka przedostała się do jej domu, gdyż obraz w odbiciu ponownie się zmienił. Oczy Beaty rozszerzyły się momentalnie. Na sporym fotelu siedział…

– To niemożliwe – szepnęła do siebie. – Piotr?

Mężczyzna z widziadła wyglądał dokładnie jak mąż Beaty. Kolorowa, zdobiona szlachetnymi kamieniami tunika oplatała ciało „Piotra". Ogolona głowa błyszczała, odbijając promienie dawnego słońca. Siedział uśmiechnięty i czytał jakiś zwój. Beata

poczuła dziwny ucisk w gardle. Nie mogła pozbyć się wrażenia, że patrzy na męża. Nie potrafiła jednak zaprzeczyć podświadomości, która szeptała jej, iż patrzy na złego i okrutnego człowieka. I wtedy usłyszała głośny śmiech mężczyzny. Chrapliwy, niemal histeryczny, nie do zniesienia.

– Co to ma być? – krzyknęła i z całych sił grzmotnęła w lustro pięścią. Obraz zniknął, ukazując odbicie przedpokoju i lustro z hukiem zwaliło się na toaletkę, rozsypując kremy i cienie do powiek po podłodze. Zgrabnym fikołkiem omiotło mebel i z jękiem wylądowało na podłodze, u stóp ciągle cofającej się kobiety.

Zdezorientowana Beata rozglądała się po pomieszczeniu, jakby znajdowała się w nim pierwszy raz. Jej wzrok zatrzymał się tuż nad toaletką. W powietrzu unosił się niewielki świstek pożółkłego papieru. Zataczając małe kręgi, lądował na meblu. Beata chwyciła go, zanim ten opadł na rozlany lakier do paznokci, i zerknęła na karteczkę. Rząd równo kreślonych obrazków przywoływał widok malunków wewnątrz piramid, które kobieta widziała w telewizji. Szybko, jakby bała się o cenny świstek, schowała papierek do kieszeni. Dopiero teraz spłynął na nią strach, który powinna odczuć o wiele wcześniej. Nie zastanowiwszy się nawet przez sekundę, pobiegła do sypialni i z trzaskiem zamknęła drzwi.

***

Nazajutrz Beata wstała wcześniej niż zazwyczaj. Piotr wyszedł do pracy, więc miała czas, aby w tajemnicy dowiedzieć się czegoś o znalezisku z poprzedniego dnia. Nie mogła nic powiedzieć Piotrowi. „Uznałby mnie za wariatkę” – powtarzała sobie. Pospiesznie założyła beżową letnią kurtkę i weszła do korytarza. Przelotnie spojrzała na wiszące na ścianie lustro. Wczoraj, zanim Piotr wrócił, uprzątnęła cały bałagan. Połyskująca plama po lakierze, widniejąca na blacie toaletki, przypominała o zdarzeniu. Beata zatrzymała na niej wzrok, ubolewając w duchu nad zniszczeniem

antyku. Uniosła oczy na zwierciadło i – obawiając się kolejnej wizji – ruszyła w kierunku wyjścia.

Kilka minut później stała pod drzwiami do gabinetu profesora Żwarka, wykładowcy na wydziale historii pobliskiej uczelni. Długo namyślała się, zanim zapukała.

– Proszę – usłyszała głos swego dawnego mentora. Uchyliła skrzydło i wślizgnęła się do środka.

– Dzień dobry, panie profesorze – powiedziała, wszedłszy głębiej. Znów czuła się jak studentka potrzebująca pomocy. Siwy mężczyzna poprawił zespolone w cienką, błękitną oprawkę okulary i uniósł wzrok na gościa.

– A kogóż to moje oczy widzą? – uradował się. – Moja ulubiona studentka.

– Cieszę się, że mnie pan jeszcze pamięta – odparła z uśmiechem Beata. Żwarek zmierzył ją badawczym wzrokiem.

– Pani Jankowiak – zaczął żartobliwie. – Czyżby wątpiła pani w moje możliwości? – zapytał. Beata oblała się rumieńcem. Doskonale pamiętała, jak podczas wykładów stary profesor z pamięci przytaczał cytaty, fakty, daty i szczegóły minionych wydarzeń na świecie.

– Ależ nie – próbowała się tłumaczyć. Staruszek wstał z krzesła i roześmiał się łagodnie.

– Proszę usiąść – wskazał na siedzenie po drugiej stronie biurka. – Co panią do mnie sprowadza? – zaciekawił się. Beata wydobyła z torebki świstek starego papieru i położyła arkusik przed wykładowcą.

– Potrzebuję tłumaczenia – wyjaśniła. – Jak… jak najszybciej. To bardzo ważne.

Żwarek ujął papierek w palce i przyjrzał się hieroglifom.

– Jak najszybciej? – mruknął, analizując znaczki, po czym odłożył kartkę na swoje notatki i chwycił za słuchawkę telefonu. – Myślę, że mogę coś na to poradzić – oznajmił z uśmiechem, zanim wykręcił numer. Minęła chwila oczekiwania.

– Janek? – odezwał się do mikrofonu Żwarek. – Janeczku, podejdź do mnie. Potrzebuję twojej pomocy. Mam coś, co cię bardzo zaciekawi.

Beata w milczeniu przysłuchiwała się rozmowie profesora, a raczej jego monologowi, gdyż nie była w stanie dosłyszeć odpowiedzi, jak się domyślała, profesora Miśkiewicza z wydziału archeologii, który mieścił się w tym samym budynku.

– Dziesięć minut? Wspaniale. Czekam – zakończył Żwarek i odkładając słuchawkę aparatu, zwrócił się do Beaty. – Zaraz będziemy wiedzieli, jakie tajemnice skrywa ten świstek.

– Wspaniale – odparła kobieta.

Dziesięć minut później – jak w zegarku – w wejściu stanął nie kto inny jak profesor Jan Miśkiewicz. Przywitał się z Beatą i sięgnął po wręczany mu przez profesora historii papirus. Miśkiewicz przesuwał wzrok po rzędach obrazków, gładząc gęstą, niemal białą brodę.

W studenckich czasach Beata lubiła żartować, że jakby go wcisnąć w czerwony kombinezon, mieliby świętego Mikołaja na uczelni. Jednak tego dnia nie było jej do śmiechu.

Ostatnie wydarzenia wstrząsnęły nią. Zwłaszcza widok mężczyzny wyglądającego jak Piotr. Tłumaczenie znalezionego tekstu mogło wiele wyjaśnić w tej sprawie. Zniecierpliwiona, obserwowała kamienną twarz archeologa, analizującego starożytne znaki. Bała się. Obawiała się tego, co mogła zawierać wiadomość, a jednocześnie wyczekiwała jej niczym dziecko gwiazdkowych prezentów. Profesor Miśkiewicz nabrał powietrza.

– Skąd to wziąłeś? – zwrócił się do kolegi z pracy. Żwarek wskazał dłonią na siedzącą w milczeniu kobietę.

– Pani Jankowiak przyniosła ten papirus – wyjaśnił. – Potrzebuje tłumaczenia. Jak najszybciej – zacytował, przenosząc wzrok na Beatę. Ta przytaknęła skinieniem

głowy. Miśkiewicz rozsiadł się na ostatnim wolnym krześle przy biurku i odłożył karteczkę na blat.

– To jest, droga pani, list – oznajmił, patrząc na kobietę.

– List? – zdziwiła się.

– Dokładnie. Niejaki Septeh – tłumaczył profesor tonem, jakiego zapewne używał na wykładach – donosi swemu panu, że sprawa nijakiej Saeny zakończyła się sukcesem. Nie podano imienia tego „pana" ani szczegółów danej sprawy – zakończył profesor, dodając jeszcze, że autor listu przypomina także o obiecanej mu zapłacie.

– Nie ma nic więcej? – zapytała zdumiona Beata. Spodziewała się jakiegoś zadania, tajemnicy czy choćby wskazówki, jak pozbyć się mary z lustra. Szczegółów wspomnianej „sprawy" domyślała się. Nadal, oczyma wspomnień, widziała przesuwający się po gardle Egipcjanki nóż i krew sączącą się z lustra.

– Tylko tyle – zapewnił archeolog.

– No cóż – odparła kobieta. – Bardzo panu dziękuję – powiedziała i szybko się pożegnawszy, ruszyła w stronę wyjścia.

– Pani Jankowiak – usłyszała za plecami. – Zapomniała pani o papirusie – rzucił profesor Miśkiewicz. Beata spojrzała na niego zakłopotana.

– Może… – zająknęła się. – Może przydałby się na uczelni?

– I to bardzo – potwierdził profesor.

– Więc proszę go przyjąć w ramach podziękowania – odparła, siląc się na uśmiech. Nie chciała więcej widzieć tego świstka, więc z chęcią zostawi go na uczelni.

Archeolog podziękował za prezent, natomiast Żwarek, odprowadzając kobietę do wyjścia, wymusił na niej obietnicę ponownych odwiedzin. Wiadomo bowiem było, że stary historyk niechętnie żegnał się ze swoimi ulubieńcami i z przyjemnością przyjmował ich wizyty po latach.

Kwadrans później Beata szła chodnikiem do domu. Nie miała nic. Nic, czego już by nie wiedziała albo czego by się nie domyślała. Myśli, że makabryczne sceny z lustra będą ją nękały przez lata, przyprawiały ją o gęsią skórkę i zawrót głowy.

„Co mam robić?" – pytała sama siebie. Nagle uderzyło ją coś innego. – „W jaki sposób ta krew wydostała się na zewnątrz?" – przemknęło jej przez myśl i poczuła, jak jej własna odpływa z twarzy, pozostawiając blade oblicze z miną przerażenia.

– A jeśli… – natychmiast odepchnęła straszną myśl, jednak ta uparcie do niej powracała. – A jeśli ta dziewczyna też może przejść? – odważyła się dokończyć przerażające zdanie.

Rozmyślania przerwał jej widok własnego domu. Pośpiesznie pogrzebała w torebce i wydobyła klucze. Nawet nie zerknęła na wiszące na ścianie przedpokoju zwierciadło, kiedy weszła do kuchni i zamknęła za sobą przeszklone drzwi.

„Tak dla bezpieczeństwa" – szepnęła podświadomość kobiety. Oparła się o szafkę, rozmyślając, co może jeszcze zrobić.

***

Beata odchodziła od zmysłów. Zestaw kosmetyków powędrował z powrotem do łazienki, lustro w przedpokoju zostało zasłonięte płachtą materiału, a drzwi od sypialni zamykane na klucz każdej nocy. Piotr z niepokojem przyglądał się dziwactwom żony. Obawiał się jednak zagłębić w temat, gdyż – ilekroć dopytywał o źródło takiego zachowania – Beata robiła się nerwowa i unikała odpowiedzi. Broniła się przed każdym pytaniem męża do tego stopnia, że wszystko kończyło się sprzeczką. Tak było i tym razem. Piotr po skończonej wymianie zdań z Beatą w ciszy żuł śniadanie, przyglądając się małżonce. Beata jak zwykle krzątała się po kuchni, co chwilę zaglądając ukradkiem do przedpokoju. Piotr zauważył cień zdenerwowania na jej twarzy, gdy tylko spoglądała za drzwi kuchni. Niepokoiło go to wszystko. Ta szmata – jak to określał podczas sprzeczek – na lustrze, zamykane drzwi i

wyczuwalny strach Beaty. Nie chciał jej zostawiać w pustym domu, jednak wiedział, że to doprowadzi do kolejnej kłótni. Musiał poczekać, aż jego żona przełamie się i opowie mu o swoich problemach. Musiał też iść do pracy.

Wstał, ucałował Beatę w policzek i bez słowa wyszedł. Beata usiadła przy kuchennym stole. Oparła łokcie o blat i ścisnęła dłońmi skronie. Chłodne powietrze wpadało przez uchylone okno, szarpiąc zwisające ze stołu rogi obrusa.

„Co robić?" – pytała się w duchu. – „Żebym tylko wiedziała, czego ona…".

Nagle Beata poderwała się z krzesła. Mebel zaskrzypiał przeciągle. Przez chwilę stała w bezruchu, wpatrując się w wyjście z kuchni. Opuszczone wzdłuż ciała ręce drżały delikatnie. Kamienna mina wyrażała głębokie zamyślenie. Nagle, jakby kierowana impulsem, rzuciła się w stronę przedpokoju. Dopadła do zasłoniętego zwierciadła i jednym ruchem zerwała materiał. Lustrzana tafla błysnęła odbitymi promieniami słońca. Beata odrzuciła płachtę na podłogę.

– Czego ty chcesz? – krzyknęła prosto w szkło. Powierzchnia zmatowiała na wysokości jej ust, pokrywszy się parą oddechu. – Czego chcesz? – zapytała znowu. Tym razem już ciszej, bez tej energii, bez emocji, jakby w jednej chwili poddała się zupełnie, wiedząc, że odpowiedź na to pytanie nic nie zmieni.

Oparła czoło o szklaną powierzchnię, wpatrując się w odbicie własnych źrenic zatopionych w błyszczących jeziorkach łez. – Czego chcesz? – powtarzała półgłosem. Kiedy uniosła znowu oczy, zobaczyła, że obraz się zmienił. Oddaliła twarz, aby ogarnąć wzrokiem całość. Jasne wnętrze starożytnej komnaty kontrastowało z ciemną ozdobą ścian przedpokoju. Beata z przerażeniem przyglądała się znajomej już postaci. Blady, wyglądający jak Piotr Egipcjanin leżał na zdobionych kafelkach. Wokół niego rosła ciemna plama. „Krew" – zrozumiała Beata.

W tym momencie widziadło zniknęło.

***

Skąpany w słońcu chodnik zdawał się opustoszały, kiedy Beata wyszła na spotkanie z antykwariuszem. Była pewna, że starszy pan może coś wiedzieć o lustrze, które jej sprzedał. Już nie widziała świetnej okazji w cenie antyku. Rozumiała, dlaczego zwierciadło miało zaniżoną wartość. Bardzo zaniżoną. Antykwariusz musi jej to wyjaśnić, postanowiła. Obcasy monotonnie biły o betonowe płyty. Miarowe stukanie nikło wśród warkotu silników pędzących jezdnią samochodów. Beata przystanęła, gdyż drogę zagrodził jej jakiś cień.

– Wybierasz się dokądś? – usłyszała. Piotr stał naprzeciwko niej z badawczym wzrokiem.

– Piotr, ja…

– Dość – odburknął mężczyzna. – Dowiem się, co się dzieje?

– To nie jest…

– Nie obchodzi mnie, co to nie jest – znowu przerwał Piotr. – Obchodzi mnie, co to jest.

Mina i postawa Piotra mówiły, że tym razem nie odpuści. Nie po to wyrwał się wcześniej z pracy, żeby odejść z kwitkiem. Stanowczy wzrok mierzył twarz Beaty. Nagle złagodniał.

– Martwię się – powiedział Piotr. Beata spojrzała mu w oczy.

– Ja nie zwariowałam – wydusiła z siebie. Nie to chciała powiedzieć, ale tylko to zdołała.

– Gdzie idziesz?

– Do antykwariatu – Piotr uniósł w zdziwieniu brwi.

– Zakupy? – zapytał. Beata pokręciła przecząco głową. – Dobra. Idę z tobą – postanowił mężczyzna. Beata nagle zaczęła protestować, ale stanowczy gest Piotra, uniesienie wskazującego palca, mówił, że żarty się skończyły. Piotr pójdzie z nią, choćby mieli się za to znienawidzić. Beata westchnęła ciężko.

– Ja nie zwariowałam – powtórzyła cicho.

***

– Jak pan mógł? – wystrzeliła bez namysłu. Stary antykwariusz w zdumieniu wpatrywał się w jej twarz.

– Pani wybaczy – zaczął niepewnie. – Ale nie mam pojęcia, o czym…

– Z tym lustrem jest coś nie tak – zawołała Beata prosto w twarz staruszka. – I pan doskonale o tym wiedział.

– Pani wybaczy – bronił się starzec. – M… mam słabą pamięć.

Nerwy kobiety były w strzępach. Ten cwaniak sprzedał jej lustro z duchem i udaje, że nie pamięta. Beata gotowała się w środku.

– Stare egipskie lustro! – niemal wykrzyczała. Antykwariusz drgnął.

– To pani. Już pamiętam.

– A o duchu pan pamięta? – oczy kobiety zwęziły się jak u kota gotowego do ataku na mysz. Starzec pobladł jeszcze bardziej. Jego oddech przyśpieszył.

– O… ona nie… nie jest groźna – wyjąkał.

– Nie jest groźna? – syknęła Beata. – W dupę sobie pan wsadź to lustro – wybuchła w końcu. – Razem z tą egipską…

– Beata! – donośny głos przerwał szturm znerwicowanej kobiety. Piotr, widząc nieuniknioną awanturę, wszedł do środka. Beata zaniosła się płaczem. Piotr podszedł do drewnianej lady z przepraszającą miną.

– Bardzo mi przykro – zaczął przepraszać. – Nie mam pojęcia, co się z nią dzieje.

– Ale ja mam – odparł antykwariusz. Oczy Piotra rozszerzyły się ze zdziwienia. Zaniemówił, tępo wpatrując się w starca, który właśnie wydobywał z zaplecza gruby zwój papirusu. Położył zwitek na blacie lady i jednym ruchem rozwinął papier.

– Ja widziałem ją tylko raz – zaczął. Beata przetarła oczy, zbliżając się do pokrytego hieroglifami i rycinami arkusza. – Nie miałem pojęcia, że pani też ją zobaczy – ciągnął dalej antykwariusz. – Ten zwój – wskazał palcem rozciągnięty papier – przywiozłem z Egiptu razem z lustrem. Opowiada on historię pewnej dziewczyny, którą za żonę chciał bogaty kapłan – antykwariusz nachylił się nad zwojem, śledząc pismo obrazkowe.

– Nazywała się Saena – zaczął opowiadać. – Nie była bogatą kobietą, to lustro było jej największym skarbem, jednak nie miała zamiaru oddać się Ptahowi.

– Komu? – zapytał coraz bardziej zdziwiony Piotr. Starzec wyprostował się, spoglądając na niego.

– Tak miał na imię ów kapłan – wyjaśnił i wrócił do przerwanej opowieści. – Nie chciała ani pieniędzy, ani pałaców. Ptah był nikczemnym i złym człowiekiem. Prawdopodobnie dlatego Saena nie chciała wyjść za niego i niewzruszona trwała w swym postanowieniu. Kapłan nie tolerował najmniejszego sprzeciwu. Wynajął zabójcę i wysłał go do Saeny, by ten groźbą nakłonił ją do zamążpójścia, a jeżeli to by się nie udało, miał ją zabić – antykwariusz wyprostował się. – Reszta zwoju jest zniszczona – powiedział, siląc się na przepraszający ton. – Ale lustro opowiedziało mi dalszy los Saeny. Otóż ów morderca nie silił się przekonywaniem dziewczyny…

– Tylko od razu ją zabił – podjęła Beata. Antykwariusz pokiwał głową.

– Widziała pani – mruknął ze zrozumieniem.

– Co robić? – zapytała kobieta. Starzec wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Ona chce zemsty na Ptahu, a minęło już ponad trzy tysiące lat. Niemożliwe jest wypełnienie tego zadania.

W tej chwili Beata znieruchomiała. Niemal białe usta szepnęły.

– Piotr. Musimy… – Piotr przystanął przy niej. – Musimy pozbyć się tego lustra.

– Co ty mówisz? Uspokój się, chodź do domu – pociągnął żonę ku wyjściu, piorunując antykwariusza wzrokiem na pożegnanie.

– Dziękuję panu bardzo – warknął w stronę starca. – Bardzo jej pomogły pańskie bajki.

Antykwariusz uśmiechnął się pod nosem, unosząc do ust drewnianą fajkę.

– Bajki? – mruknął drwiąco.

***

– Co ty wyprawiasz? – Piotr krzyczał, próbując przebić się głosem przez huki rzucanych o lustro coraz cięższych przedmiotów. Beata w zapamiętaniu ciskała w zwierciadło wszystkim, co zdołała unieść. – Uspokój się! – wrzasnął Piotr.

– Ty nic nie rozumiesz – wydukała Beata. Dyszała z wysiłku. – Ona cię zabije.

– Oszalałaś.

– Oszalałam? – Beata przerwała atak. – Spójrz – wskazała palcem lustro. – Całe – stwierdziła. – A rzucałam wszystkim.

Do Piotra dopiero teraz dotarł fakt, iż mimo ciągłych ataków Beaty, niekiedy bardzo ciężkimi przedmiotami, zwierciadło nie nosiło nawet śladów zadrapań.

– Bajki – powtórzył sobie półgłosem, zbliżając się do szklanej tafli. Nagle odskoczył. Jego odbicie było całkiem inne. Pogładził się po włosach. W tej samej chwili jego obraz przejechał dłonią po łysej głowie. Kolorowa tunika zastępowała czarną koszulę i granatowe dżinsy, w które Piotr był ubrany.

– T… to ja? – zapytał zszokowany.

– Nie – ucięła nagle wciąż sapiąca Beata. – To Ptah.

W tym momencie, jakby na komendę, lustro wybuchło setkami odłamków w stronę zdziwionego Piotra. Mężczyzna poczuł nagłe uderzenie w lewe ramię i runął na podłogę. Mnóstwo odłamków błysnęło w powietrzu, niczym galaktyki w kosmosie.

– Co to ma być?! – wrzasnął spanikowany Piotr. Beata, nadal leżąc obok niego, prychnęła drwiąco.

– Bajki – odparła z przekąsem. Twarz Piotra skierowała się na zwierciadło, wzrok znieruchomiał, oczy się rozszerzyły. Lustro było nietknięte. Za to dłonie, szyję i twarz mężczyzny znaczyło mnóstwo drobnych ran. Sącząca się z nich krew ostudziła gniew Beaty.

– Piotruś – szepnęła nagle. – Krwawisz.

– Co? – Piotr spojrzał tępo na swoje ręce. – Trzeba to zniszczyć – wskazał palcem egipski antyk. Beata wzruszyła ramionami.

– Próbuję od pół godziny. Nie zauważyłeś? – odparła, idąc do sypialni po bandaże.

***

Srebrzysty księżyc oświetlał hałdy śmieci na oddalonym wysypisku. Potłuczone butelki migotały w blasku luny niczym drogocenne klejnoty. Krętą ścieżką prowadzącą pomiędzy usypiskami odpadów przesuwał się warczący samochód.

– Tutaj – stwierdziła Beata. – Tutaj będzie dobrze.

– Pomogę ci – odparł Piotr i chwycił spory pakunek, spoczywający na tylnej kanapie auta. Brunatny papier zaszeleścił, szorując o oparcie fotela kierowcy.

– Po prostu je wyrzuć – szepnęła Beata i po chwili dobiegł ją dźwięk uderzenia paczki o ziemię i szczęk osuwających się szkieł. Oboje wsiedli do nowego, srebrnego Volkswagena Passata i ruszyli ku wyjazdowi z miejskiego wysypiska.

***

– Niech pan zaczeka – zawołała Violetta. Miejscowy bezdomny, pan Zdzisiek, szarpnął wózek, przyśpieszając kroku. Co to, to nie! Nie odda swoich skarbów. Wory zebranych puszek klekotały w rytmie podskakującego wózka. Zdzisiek udawał, że nie słyszy doganiającej go młodej brunetki.

– Proszę poczekać! – wołała kobieta. Wreszcie dotarła na wysokość rozklekotanego wózka i zatrzymała kloszarda.

– Czego? – ryknął gniewnie bezdomny. Violetta wskazała palcem duży błyszczący przedmiot.

– Sprzeda mi pan to lustro? – zapytała niewinnym tonem. Rysy twarzy Zdziśka złagodniały w sekundę. Niepewnie zmierzył dziewczynę wzrokiem.

– Chce panienka kupić…?

– To lustro – przerwała. – Podoba mi się. Ile pan za nie chce?

Zdzisiek, zmieszany, zdjął z głowy swą czarną, wełnianą czapkę. Pierwszy raz w jego życiu ktoś chciał od niego czegoś innego, niż tylko zelżyć biedaka i go wyśmiać. Oszołomiony spoglądał to na błyszczący przedmiot, to na Violettę. Kobieta wpatrywała się pytająco w jego poszarzałą twarz. Kloszard najwyraźniej zapomniał języka w gębie. Zniecierpliwiona brunetka wyjęła portfel.

– Tyle wystarczy? – w jej dłoni znalazł się nowiuśki stuzłotowy banknot. Oczy Zdziśka zaiskrzyły na widok pieniędzy. Nie mógł uwierzyć, że Violetta proponuje mu taki majątek za byle lustro znalezione rano na wysypisku. Pośpiesznie pokiwał głową.

– Świetnie – uśmiechnęła się Violetta, wręczając mężczyźnie pieniądze. Bezdomny, jakby wraz z zapłatą otrzymał dodatkową dawkę energii, pośpiesznie wytaszczył znalezisko z wózka.

– Mo… może pomóc panience zanieść? – zaproponował, uznając, że i tak za dużo dostał za stary rupieć. Brunetka ze szczerym uśmiechem pokręciła głową.

– Poradzę sobie – odparła.

– No więc – odezwał się Zdzisiek. – Dziękuję panience.

– To ja dziękuję – powiedziała dziewczyna, odchodząc w kierunku swojej kamienicy. Zdzisiek przetarł dłonią czoło, spojrzał na tkwiącą w jego palcach

stuzłotówkę i – czym prędzej, zanim niespodziewana klientka się rozmyśli – popchnął swój grajdoł naprzód.

– Co tam taszczysz? – usłyszała Violetta zza niesionego pakunku. Przechyliła głowę, aby dojrzeć zaczepiającego ją sąsiada.

– Lustro – odpowiedziała lakonicznie. Jacek zaśmiał się tylko, wyminął dziewczynę i wrócił do swoich spraw.

„Będzie mi pasować do pokoju" – pomyślała Violetta, otwierając drzwi do mieszkania.

***

Violetta miała rację. Duże lustro idealnie wkomponowało się w wystrój pokoju dziewczyny. Niewielki, nowoczesny stolik, ustawiony przy ścianie tuż pod zwierciadłem, pełnił funkcję toaletki. Stylowa lampka dopełniała całości. Brunetka była dumna z zakupu.

Zerknęła na zegarek. Do spotkania zostały dwie godziny z hakiem. Usiadła przy blacie wypełnionym kremami, cieniami do powiek i innymi kobiecymi szpargałami i – niczym gwiazda filmowa – zabrała się za makijaż. W skupieniu wpatrywała się w odbicie swoich zielonych oczu, kreśląc ciemną linię wzdłuż długich rzęs. Po chwili odłożyła kredkę i – odchyliwszy się – zauważyła, że coś w jej odbiciu się nie zgadza. Chwilę później wiedziała już co. W lustrze przyglądała się sobie nie w fioletowym, błyszczącym żakiecie, lecz białej, prostej koszuli.

– Nie, raczej tunice – stwierdziła Violetta. Natychmiast odskoczyła od krzesła.

Nie mogła zrozumieć, co się dzieje. Kobieta w lustrze patrzyła na nią w bezruchu. Jej mina wyrażała głęboki żal i zrozumienie. Drobne strużki łez spłynęły po policzkach drugiej Violetty.

– Ale jazda – szepnęła dziewczyna, z coraz większą uwagą wpatrując się w odbicie. Wtem długa tunika ponownie przybrała postać fioletowego żakietu i granatowej dżinsowej spódnicy.

Violetta przetarła oczy ze zdumienia. W panującej ciszy rozległ się cichy, przytłumiony brzęk i na powierzchni zwierciadła pojawiła się długa rysa. Z sekundy na sekundę pęknięcie rosło, rozwidlając się na kilka drobnych gałęzi. Chwilę potem szklana tafla runęła na stolik pod postacią dziesiątek szkiełek. Violetta aż krzyknęła ze zdumienia. Kupione lustro obróciło się na jej oczach w mnóstwo odłamków i pustą, wiszącą na ścianie złotą ramę.

„Szlag by to” – pomyślała brunetka.

– Stówa w plecy – stwierdziła z rezygnacją.

AGNES A. ROSE

OSTATNIA MISJA

Pamięci wszystkich polskich Żołnierzy
poległych w misjach pokojowych
poza granicami kraju

Irak, koniec września, rok 2008

Słońce grzało niemiłosiernie. Zaczęło już kilka minut po piątej rano. Choć był koniec września, to jednak fakt ten niczego nie zmieniał. Tutaj, na irackiej ziemi, suche i gorące lato trwało od maja do października. Tak naprawdę nigdy nie było wiadomo, ile akurat wynosiła temperatura, bo termometry bardzo często szlag trafiał z gorąca. Ale do tego piekła ostatecznie można było się przyzwyczaić. Kiedy Krzysztof Witkowski był tu po raz pierwszy dwa lata temu, myślał, że przeżyje przygodę swojego życia, a zamiast tego dostał pół roku więzienia, w którym każdy dzień wyglądał identycznie. A nudę w oczekiwaniu na rozkaz czymś trzeba było zabijać. Tak więc najczęściej korzystał z gier PlayStation, bo wtedy mógł sobie do woli postrzelać bez ryzyka, że kula wroga dosięgnie jego głowy. Od tamtego czasu awansował do stopnia majora i teraz już inaczej postrzegał to, co działo się w Iraku, a tym samym i w jego życiu. Teraz miał trzydzieści sześć lat, żonę i kilkumiesięczne dziecko, którego jeszcze nie zdążył poznać. Dwa lata temu jeszcze nic nie zapowiadało, że w tak krótkim czasie ponownie zostanie mężem i po raz pierwszy ojcem. Anna była jego drugą żoną i po fatalnych doświadczeniach ze swojego

pierwszego małżeństwa nie paliło mu się do powtórnego ożenku. Owszem, podobało mu się, że ma przy sobie kobietę, która cierpliwie czeka na niego, kiedy on bohatersko niesie pomoc Amerykanom w skracaniu czarnej listy terrorystów czy im podobnych gnid. Dlatego fakt, że znowu założył na palec obrączkę, nawet jemu wydawał się dziwaczny.

Krzysztof wszedł do ogromnego namiotu, podobnego do tego, jaki pamiętał jeszcze z lat dzieciństwa, kiedy matka zabierała go do cyrku. Tylko że tutaj zamiast klownów z czerwonymi nosami siedzieli jego koledzy, niczym w pubie, a zamiast whiskey raczyli się colą w nielimitowanych ilościach. Było gwarno jak w ulu. Z perspektywy tego miejsca raczej ciężko było wyobrazić sobie, że na zewnątrz jest wojna.

Stołówka, czyli miejsce socjalizowania się armii, błyszczała czystością. Niczego tutaj nie brakowało. W menu były potrawy, które obowiązkowo wydawali kucharze. Lecz były i takie, które żołnierz mógł pobrać sobie sam. Oprócz kantyny w bazie była też pralnia, kościół, poczta, sklep, siłownia, szpital, fryzjer, a nawet oczyszczalnia ścieków. Jednak miejsca te były dość dobrze ukryte. Spadający na nie granat powinien zabić jedynie tych trafionych bezpośrednio. Ot, taka oznaka wojennego prymitywizmu.

Krzysiek zdjął hełm i niedbałym ruchem przejechał dłonią po krótko ostrzyżonych jasnych włosach. Idąc tutaj, założył wysokiej klasy okulary z filtrem, aby ochronić oczy. W tym miejscu nie sposób było ruszyć się bez nich gdziekolwiek. Nie dość, że słońce prażyło bezlitośnie, to jeszcze te nieszczęsne, prawie niewidoczne meszki wpadające dosłownie wszędzie. Do nosa, oczu, uszu.

Rozejrzał się wokół i zaczął zastanawiać nad sensem swojego pobytu w takim parszywym miejscu. Tak bardzo tęsknił za rodziną i za tą zieloną trawą i liśćmi na drzewach. Już prawie zapomniał, jak to jest usłyszeć śpiew ptaków. Widział, jak jego koledzy nad czymś zawzięcie dyskutują, posilając się firmowym zestawem od

McDonalda. Krzysztof nie słyszał, o czym rozmawiają, bo zagłuszał ich włączony na cały regulator telewizor. Zerknął w kierunku odbiornika i zobaczył, jak z ekranu śmieje się do niego grupa wdzięcznych Irakijczyków. Ale czy oni na pewno uśmiechają się do niego? Nie. Oni wiwatują na cześć heroicznych amerykańskich żołnierzy, którzy właśnie zakończyli rozdawać im butelki z wodą. Czasami miał już serdecznie dość tego całego szpikowania ideologią na siłę. Przecież każdy doskonale wiedział, jak tutaj jest. Więc po co ta hipokryzja i ciągłe pokazywanie jedynie pozytywnych stron życia w Iraku?

Krzysztof odłożył karabin i zaopatrzony w tacę, jednorazowe sztućce i plastikowy talerz podszedł do długiego bufetu, na którym można było znaleźć praktycznie wszystko, co nadawało się do jedzenia. Począwszy od tradycyjnego zestawu od McDonalda, a skończywszy na homarach. Jakoś nie miał specjalnie apetytu, ale mimo to ostatecznie zdecydował się jednak zapełnić czymś żołądek. Wybrał smażonego kurczaka. Nie miał ochoty na towarzystwo, zwłaszcza że przyszedł rozkaz wyjazdu w teren. Teraz najważniejsze to skupić się na patrolu. Jednak w takim miejscu, jak kantyna, trudno było spędzać czas tylko z własnymi myślami.

– Co jest grane? – nagle, jakby spod ziemi, obok Krzysztofa wyrósł sierżant Pichowski. Mówił dość głośno, aby przekrzyczeć ryk telewizora.

– A co ma być? Wreszcie coś będzie się działo. Za trzy godziny jedziemy w teren. – Krzysztof próbował się uśmiechnąć, ale zamiast tego wyszedł mu jakiś dziwaczny grymas.

– Wiesz, że nie o to pytam. Znamy się nie od dziś i wiem, kiedy coś gnębi mojego kumpla.

– Podobnie jak większość, liczę dni do końca.

– Nie wiem, czy zdecyduję się jeszcze na jakąś misję. A nawet jeśli, to z pewnością nie tak szybko. Może za kilka lat.

Wojciech Pichowski był kilka lat młodszy od Krzysztofa. To był jego pierwszy wyjazd i jakoś nie mógł się tutaj odnaleźć. Nie miał jeszcze własnej rodziny, ale mimo to chciał jak najszybciej wracać do Polski. W kraju zostawił dziewczynę, od której maila dostał całe dwanaście godzin temu. Wciąż zastanawiał się, co ona tam robi i z kim. Najchętniej całe dnie i noce spędzałby w kafejce internetowej na rozmowach. Był o nią zazdrosny jak cholera.

– A ja obiecałem Ance, że to już ostatni raz. Choć nie pokazuje tego po sobie, to wiem, że ciężko to znosi. Szczególnie teraz, kiedy jest dziecko.

– Moja Iwona wręcz wpadła w histerię, kiedy dowiedziała się, że lecę – Pichowski zatopił zęby w kolejnym już batonie energetyzującym. Jego organizm potrzebował sporej dawki energii. Dzisiejszej nocy spał tylko dwie godziny. – Ale ty do kompletu masz jeszcze dziecko.

– Mała jest fantastyczna – na samą myśl o córeczce twarz Krzysztofa rozjaśnił szeroki uśmiech. – Już nie mogę się doczekać, kiedy ją zobaczę. To będzie mój debiut w roli ojca.

– Chłopaki, czas się zbierać – Krzysztof poczuł mocne klepnięcie w ramię. Podniósł wzrok i zza ciemnych szkieł dojrzał roześmianą gębę dowódcy.

Za każdym razem, gdy wyjeżdżali na patrol, to właśnie Krzysztofowi miało przypaść przejęcie dowodzenia w razie śmierci pułkownika Stasiaka. Na szczęście nigdy do tego nie doszło i miał nadzieję, że już nie dojdzie.

Nagle w stołówce zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Można było odnieść wrażenie, że to już nie to samo miejsce, co jeszcze przed kilkoma minutami. Żołnierze chwycili swoje karabiny i w milczeniu, jeden za drugim zaczęli opuszczać kantynę. Oczywiście nie wszyscy mieli jechać na patrol. Były też inne zadania do wykonania.

Krzysztof wiedział, co teraz nastąpi. Będzie odprawa, w czasie której to znów jemu zostanie wydany rozkaz przejęcia dowodzenia na wypadek śmierci Stasiaka.

Potem włożą na siebie trzydziestosześciokilogramowe wojenne oprzyrządowanie, schowają oczy za ciemnymi okularami, a twarz za kominiarkami i wtedy już nikt nie będzie miał wątpliwości, że w razie potrzeby nie zawahają się pociągnąć za spust. Nie będą zabijać, a likwidować. Podobnie jak nie będą strzelać do człowieka, a jedynie do celu. Krzysiek liczył na to, że uda mu się jeszcze wysłać maila do Anki. Niestety nie zdążył.

***

Jazda hummerem zawsze kojarzyła się Krzysztofowi ze spływem górską rzeką. Tylko raz w życiu brał udział w takim spływie, ale wrażenie pozostało na wiele lat. Dlatego było to jedyne, co w tym momencie przychodziło mu do głowy. Żałował, że nie zabrał z kraju niczego, co choćby w minimalnym stopniu stwarzało emocjonalną bliskość z rodziną. Jego koledzy przywozili ze sobą przeważnie maskotki od swoich dzieci. Miały one pełnić funkcję talizmanów i chronić przed ostrzałem. Taki żółciutki Kubuś Puchatek trochę śmiesznie wyglądał, dyndając na wykrywaczu podczerwieni. Kiedy wyjeżdżał, jego córeczki jeszcze nie było na świecie, więc nie mogła mu podarować nic więcej oprócz swoich szczęśliwych narodzin, które nastąpiły dokładnie tydzień po jego wylocie.

W hummerze było dość ciasno. Przed wyjazdem zaopatrzyli się w żywność i amunicję, jak gdyby ich wyprawa miała trwać co najmniej tydzień. Nikt się nie odzywał. Było ich pięciu i każdy koncentrował się na swojej robocie. W skupieniu obserwowali okolicę z bronią gotową do strzału. Już wcześniej drogę sprawdzali saperzy i nic nie wskazywało na to, że może zaistnieć choć minimalne ryzyko wybuchu. Jednak w pewnym momencie ktoś przeraźliwie krzyknął. Rozległ się potężny huk, a hummer wystrzelił w powietrze i wylądował kołami do góry. Krzysztof zdążył jeszcze zobaczyć błysk. Tumany kurzu wzbiły się w powietrze… A potem nie było już nic.

W tym samym czasie, gdzieś w Polsce

Stary zabytkowy zegar wybił północ. Anna uniosła głowę i spojrzała w jego kierunku. Blask bijący z monitora komputera oświetlał wyraźnie jego ogromną tarczę. Nie wiadomo, dlaczego akurat w tym momencie przypomniała sobie historię jego pochodzenia. Był to prezent ślubny, który ona i Krzysztof otrzymali od jego starszego brata. Marek prowadził na obrzeżach miasta sklep z antykami, więc nic dziwnego, że w najważniejszym dniu ich życia zdecydował się podarować im coś tak pięknego. Bo zegar był naprawdę piękny. Przyciągał wzrok każdego, kto pojawił się w ich domu. Ale u Anny budził jedynie lęk. Do dziś pamiętała swoją reakcję na jego widok. Była przerażona i jak najszybciej chciała się go pozbyć, wiedząc, że jest to podarunek przynoszący nieszczęście.

Anna od dziecka była przesądna i zazwyczaj jej zabobonne przeczucia sprawdzały się. Dla niej zegar był symbolem upływającego czasu i wciąż przypominał jej, że tego wspólnego czasu z Krzyśkiem z dnia na dzień jest coraz mniej. Dlatego tak bardzo sprzeciwiała się takim prezentom. Ale jej mąż uparł się, aby zegar pozostał w ich domu, bo po pierwsze nie chciał robić bratu przykrości, a po drugie uznał, że taki wiszący na ścianie mebel doskonale komponuje się z resztą ich domu. Lecz to nie zmieniło faktu, że za każdym razem, kiedy Anna na niego spojrzała, czuła dreszcze biegnące po kręgosłupie.

Dzisiejszej nocy Anna nie mogła zasnąć. Wciąż czuła lęk, który praktycznie nie opuszczał jej odkąd pięć miesięcy temu pożegnała Krzysztofa na lotnisku. Znów wylatywał do Iraku, a ona nic nie mogła zrobić. Mogła jedynie pogodzić się z jego decyzją. To była jego druga misja. Gdy wyjeżdżał po raz pierwszy, nie miała żadnych obaw. A teraz drżała o jego bezpieczeństwo, choć Krzysiek obiecał, że to już ostatni raz. Ale czy tak będzie naprawdę? Czy chęć podniesienia sobie poziomu adrenaliny nie będzie ważniejsza niż zapewnienie spokojnego życia rodzinie?

Krzysiek swój wyjazd tłumaczył tym, że muszą się odkuć, bo przecież wykosztowali się na budowę domu, a w Polsce nie miał możliwości zarobienia sporych pieniędzy w tak krótkim czasie. Dlatego uznał, że jedynym wyjściem jest jego wylot do Iraku. To już ostatnia zmiana, więc była nadzieja, że być może Krzysiek dotrzyma obietnicy, choć nigdy nie wiadomo, czy nagle nie zamarzy mu się kolejna misja. Może tym razem Afganistan? Te misje tylko z nazwy były pokojowe. Tak naprawdę żołnierze jechali tam, aby brać udział w otwartej wojnie. Dlatego Anna tak bardzo bała się o swojego męża. Co kilka tygodni świat obiegała informacja, że jakiś polski żołnierz stracił życie w Iraku. W takich chwilach Anna zastanawiała się dlaczego. Dlaczego tak się dzieje? Dlaczego polscy żołnierze muszą umierać na obcej ziemi? W imię czego? W imię jakiejś bezsensownej polityki? Nie rozumiała tego i nie umiała wyobrazić sobie bólu i żalu po stracie najbliższej osoby, bo przecież każdy z tych żołnierzy miał rodzinę i kogoś, kogo kochał i kto czekał na niego w kraju.

Wpatrując się w ciemność za oknem, Anna widziała, jak miasto już dawno pogrążyło się we śnie. Tylko pojedyncze latarnie rzucały niewyraźne światło na ulice. Gdzieś przejechał samochód, to znowu w innym miejscu zaszczekał pies. Ale ona tego nie słyszała. Jej myśli były tysiące kilometrów stąd. Dryfowały po pustynnych terenach Iraku, jak gdyby w ten sposób chciała przywołać do siebie swojego męża. Zastanawiała się, dlaczego od dwóch dni nie miała od niego żadnej wiadomości. Minęło już prawie czterdzieści osiem godzin, od kiedy przeczytała ostatnią wiadomość od Krzysztofa. Pytał w nim o ich córeczkę, która teraz spała w pokoju obok. Nie zdążył jej jeszcze zobaczyć, bo wyleciał do Iraku tuż przed jej narodzinami. Znał ją jedynie ze zdjęć, które Anna regularnie wysyłała mu drogą elektroniczną. Dopiero teraz zdała sobie sprawę z tego, jakim błogosławieństwem jest Internet. Codziennie rozmawiali ze sobą przez godzinę, bo tylko tyle czasu przysługiwało każdemu żołnierzowi na kontakt z rodziną. W ciągu tej jednej godziny

Anna musiała opowiedzieć mu wszystko, ale niestety nie mogła się do niego przytulić i właśnie to najbardziej bolało. Byli młodym małżeństwem i tak naprawdę jeszcze nie zdążyli nacieszyć się sobą. A przecież nie można było tego zrobić, kiedy dzieliło ich trzy i pół tysiąca kilometrów. Dlatego Anna z niecierpliwością i lękiem odliczała dni, które pozostały do końca misji Krzysztofa. Jeszcze cztery tygodnie. Cztery tygodnie, które dla niej były wiecznością. Nie wiedziała, w jaki sposób da sobie z tym radę. To oczekiwanie przypłacała bezsennymi nocami przy stale włączonym komputerze. Tak właśnie było i tej nocy.

Od kiedy Krzysztof wyjechał, Anna mieszkała z matką, która wprowadziła się do nich głównie po to, by pomóc córce przy dziecku. Anna była jej za to wdzięczna i jeszcze bardziej doceniała jej matczyną miłość. Obecność matki pomagała jej przeżyć każdy dzień z dala od Krzysztofa w miarę normalnie. Ojciec Anny nie żył już od wielu lat. Kiedy umarł zastrzelony przez bandytę, Anna obiecała sobie, że nigdy nie poślubi mundurowego. Ale los chciał inaczej. Zwyczajnie zażartował sobie z niej i oto jej wybranek również nosił mundur i narażał życie.

W końcu Anna odsunęła się od okna i usiadła przy sosnowym biurku, na którym stał komputer. Ruszyła myszką i monitor ożył. Lecz nadal nie było żadnej wiadomości od męża. Nie było jej ani na skrzynce pocztowej, ani też na komunikatorze. Jego telefon komórkowy również nie odpowiadał. Do podświadomości Anny powoli zaczynało docierać, że mogło stać się coś złego. Może jest ranny? A może po prostu pojechał na patrol? Choć wiedziała, że w Iraku życie płynie innym torem, to jednak nie potrafiła pogodzić się z tym, że jest bezsilna i nie może nic zrobić, aby dowiedzieć się, co tak naprawdę dzieje się z jej mężem. Nie pozostało jej nic innego, jak tylko czekać. Ale na co? Jaką wiadomość otrzyma, kiedy dzień zacznie budzić się do życia?

Nagle drzwi pokoju otworzyły się i stanęła w nich matka Anny. Kobieta miała na sobie bordowy szlafrok *frotte*, spod którego wystawał kawałek bawełnianej koszuli nocnej. Była boso, więc Anna nie mogła usłyszeć jej kroków.

– Dlaczego nie śpisz? – zapytała Maria, siadając na sofie koloru mięty, stojącej przy jednej ze ścian. – Widziałam światło monitora, więc… – urwała, widząc wymizerowaną twarz swojej jedynaczki.

Anna wciąż tępo wpatrywała się w jakiś punkt na monitorze komputera. Choć w pokoju było ciemno, to jednak Maria dostrzegła łzy spływające po policzkach córki. Nie musiała pytać o nic więcej. Wiedziała, że jej zięć nadal nie dał znaku życia.

– Jego komórka też nie odpowiada – głos Anny dochodził jakby z oddali. – Mamo, mam złe przeczucia – młoda kobieta spojrzała na matkę.

– Dziecko, przecież wiesz, że z połączeniami telefonicznymi też jest inaczej niż w Polsce.

– Tak, wiem. Dziesięć minut na stacjonarny i cztery na komórkowy. I co z tego? Mamo, jakie to ma znaczenie, kiedy tak bardzo się tęskni i chce usłyszeć ukochany głos?

– Córuś, ma znaczenie, i to ogromne. On nie może dzwonić, kiedy tylko mu się zamarzy i ty też nie możesz połączyć się z nim z Polski.

Maria odruchowo zapaliła światło i natychmiast pokój zalała jasność. Oprócz sofy i biurka znajdowała się tutaj pokaźnych rozmiarów szafa garderobiana z wmontowanym lustrem, a także mnóstwo różnego rozmiaru i kształtu szafek wykonanych z drewna sosnowego. Ale Maria nie zwracała uwagi na wystrój pokoju. Ona widziała jedynie strach w oczach swojej córki, który wydobywał się gdzieś z dna jej duszy. Na ten widok starsza kobieta poczuła tak ogromny ból, że w ułamku sekundy znalazła się przy swoim dziecku i ukryła je w swoich kruchych ramionach. Poczuła, jak Anna drży, a ona, przytulając ją, miała nadzieję, że w jakiś sposób

będzie w stanie ją uspokoić. Była przekonana, że tylko wiadomość od Krzyśka mogłaby ukoić cierpienie jej dziecka.

– Ciii. Wszystko będzie dobrze. Zobaczysz… – Maria z czułością, jaka znana jest tylko matce, gładziła Annę po plecach. Dopiero teraz zauważyła, że córka wciąż jest ubrana w znoszony beżowy podkoszulek swojego męża i jeansy, które po ciąży stały się nieco przyciasne. Widocznie ból oczekiwania sprawił, że Anna nie miała siły nawet na to, aby się przebrać. Przez pół dnia pracowała w ogrodzie przy astrach, więc taki strój był dla niej najwygodniejszy.

– Mamo, mam złe przeczucia – Anna powtórzyła to zdanie niczym mantrę. Wyswobodziła się z uścisku matki i spojrzała na nią. Były tak do siebie podobne, że gdyby nie różnica wieku, jaka je dzieliła, ktoś mógłby uznać, że są siostrami. Miały te same regularne rysy twarzy, tę samą błękitną barwę oczu, podobny zarys ust. Nawet kolor włosów miały identyczny, choć matka, aby go zachować, używała do tego farby o kasztanowym odcieniu, ponieważ z wiekiem zaczęło pojawiać się u niej coraz więcej srebrnych nitek. Obydwie też nosiły krótkie chłopięce fryzury, twierdząc, że tak jest wygodniej. – Co chwila włączam radio albo sprawdzam wiadomości, ale…

– Przecież wiesz, że w mediach niczego nie znajdziesz.

– Tak, mamo, wiem, że niczego tam nie znajdę, dopóki nie przyjdą mnie o tym powiadomić! – Anna nieznacznie podniosła głos. Znała te wszystkie pieprzone procedury. Najpierw powiadamiają rodzinę, a dopiero potem informacja idzie do mediów.

– Dziecko, nie możesz zakładać najgorszego. Może naprawdę mu coś wypadło. Wiesz przecież, że tam życie toczy się inaczej niż tu. On nie pojechał tam w celach turystycznych.

– Ale on nigdy tak długo nie milczał – Anna podniosła się z krzesła i zaczęła nerwowo przemierzać pokój. Jej zdenerwowanie udzieliło się również Marii, która

także podniosła się z klęczek. Oparła się o krzesło, ponieważ zdrętwiałe nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

– Zobaczysz, że jutro wszystko się wyjaśni. Krzysiek napisze albo zadzwoni, a ty uznasz, że nie było się czym martwić – Maria próbowała pocieszać, lecz wiedziała, że w tej sytuacji niewiele jest w stanie osiągnąć.

– To wszystko przez ten przeklęty zegar! Mówiłam, żeby go wyrzucić! – krzyczała Anna, jak gdyby zapominając, że za ścianą śpi jej córeczka, która, zanim zasnęła, trochę marudziła. Widocznie też czuła, że z jej tatą dzieje się coś złego.

– Nie opowiadaj bzdur. Co ma jakiś tam zegar do tego, że Krzysiek milczy? Nigdy nie dam wiary takim głupotom. I ty też nie powinnaś zatruwać sobie umysłu jakimiś zabobonami. Już bardziej skłonna jestem uwierzyć, że mają tam awarię Internetu niż w jakieś zegarowe fatum.

Może i matka miała rację. Może Anna naprawdę przesadzała, przypisując tykającej maszynce jakieś nadprzyrodzone właściwości?

– Zostań. Ja do niej zajrzę – zza ściany dobiegał płacz Zosi. Maria natychmiast poczłapała do pokoju swojej wnuczki, gestem nakazując córce pozostanie tu, gdzie jest. Nie chciała, aby Anna w tej chwili pokazywała się dziecku. Jej zdenerwowanie sięgało zenitu i niemowlę z łatwością mogło to wyczuć.

Kiedy kobieta wzięła dziecko na ręce i mocno je przytuliła, Zosia od razu ucichła. W ramionach babci znalazła bezpieczeństwo i miłość. Bo Maria naprawdę darzyła tę kruszynkę niesamowicie silnym uczuciem. Tak długo czekała, aby w końcu zostać babcią. Pamiętała, że Annie raczej nie spieszyło się do zamążpójścia, a tym bardziej do macierzyństwa. Dla niej najważniejsza była medycyna, a dopiero potem rodzina. Maria często modliła się, żeby córka wreszcie przejrzała na oczy, bo człowiek na świecie nie może być całkiem sam. Teraz wiedziała już, że jej modlitwy zostały wysłuchane. Anna w wieku trzydziestu czterech lat została matką, a ją uczyniła najszczęśliwszą babcią na świecie.

Nagle poczuła, że dziewczynka w jej ramionach znów zasypia. Jednak mimo wszystko nie zdecydowała się zostawić jej tutaj samej. Wyłączyła nocną lampkę, którą Anna zawsze zostawiała zapaloną tuż obok łóżeczka Zosi i pokój pogrążył się w całkowitej ciemności. Nie było tutaj zbyt wiele mebli. Znajdowało się tylko to, co niezbędne dla prawie pięciomiesięcznego dziecka. Cicho zamknęła za sobą drzwi i znów skierowała kroki do pokoju, gdzie przed kilkunastoma minutami zostawiła swoją córkę.

Gdy weszła, zobaczyła, że Anna znów siedzi przed komputerem i tępo wpatruje się w monitor. Z wyrazu jej twarzy Maria odczytała, że nic się nie zmieniło. Wiadomości od Krzyśka nadal nie było.

– Może prześpisz się chwilę – zaproponowała, tuląc do siebie niemowlę, które uśmiechało się przez sen. A może Marii tylko wydawało się, że dostrzega uśmiech na tej niewinnej twarzyczce? To dziecko coraz bardziej przypominało swojego ojca. Jasny meszek na główce wskazywał, że Zosia kolor włosów odziedziczyła po Krzysztofie. Podobnie jak oczy. Duże i zielone niczym dwie oliwki.

– Przecież doskonale wiesz, że nie zasnę. Nie mogłabym, kiedy nie mam pojęcia, co dzieje się z moim mężem.

– Myślisz, że takie wpatrywanie się w komputer w czymś pomoże? Pamiętasz, co powiedział ci Krzysiek przed wyjazdem?

– Tak, mamo, pamiętam. Powiedział, że mam być silna. Mam miotłą przeganiać facetów, którzy będą chcieli się mną zaopiekować. I mam czekać, bo on na pewno wróci. – Na to wspomnienie poczuła, że jej usta nieznacznie drgnęły w uśmiechu. Podniosła wzrok i dopiero teraz dostrzegła swoją córeczkę. W tym momencie poczuła ciepło rozlewające się wokół serca. Pomyślała, że może matka ma jednak rację. Może powinna przespać się przynajmniej te kilka godzin, które pozostały do świtu?

Anna wstała z krzesła, wyjęła koc i położyła się na szerokiej kanapie. W ślad za nią podążyła Maria. Już po chwili obie kobiety zapadły w sen, czując ciepło Zosi, która leżała pomiędzy nimi. Lecz każdej z nich śniło się coś innego.

***

Anna nie wiedziała, ile czasu tak naprawdę spała. Obudził ją tak przeraźliwy łomot, że przez chwilę myślała, iż to sąsiad za ścianą zaczął remont skoro świt. Już miała uderzyć do niego z interwencją, gdy przypomniała sobie, że przecież nie mieszka w bloku, a w pięknym piętrowym domu w samym centrum miasta.

Łomot powtórzył się. Anna zerknęła na matkę, która również nie spała. Spojrzały na siebie i niemal równocześnie zerwały się na nogi. Zosia także już nie spała. Wodziła za nimi swoimi oliwkowymi tęczówkami, gaworząc w sobie tylko znanym języku.

Przy drzwiach pierwsza znalazła się Anna. Odsunęła ciężką zasuwę i drżącą ręką pociągnęła za klamkę. Dębowe drzwi otworzyły się i oczom kobiet ukazało się dwóch żołnierzy. Byli w mundurach i wyglądali jakoś tak odświętnie. Tuż za nimi, na schodach, niedbale opierając się o poręcz, stał jeszcze jeden mężczyzna w cywilnym ubraniu. Na ten widok Anna poczuła, że krew odpływa jej od mózgu, a nogi ma jak z waty. W żołądku poczuła nieprzyjemny ucisk, który w zastraszającym tempie przemieszczał się w górę, aby ścisnąć gardło. Nie czuła obecności matki tuż za plecami. Pomyślała tylko, że powinna się przebrać, bo nie może przyjmować gości w ubraniu pobrudzonym ziemią.

– Czy pani Anna Witkowska? – odezwał się żołnierz stojący najbliżej. Jego mocny głos docierał do Anny jakby z bardzo daleka. Słyszała swoje nazwisko, ale nie była do końca przekonana, czy to na pewno o nią chodzi. Lecz mimo to mechanicznie skinęła głową.

– Wejdźcie, panowie, do środka – to była Maria. Kobieta wiedziała już, co oznacza ta wizyta. Wiele lat temu sama przez to przechodziła.

Ojciec Anny był policjantem. Pracował w sekcji kryminalnej. Rozpracowywał sprawy najgorszych i najniebezpieczniejszych mend w województwie. Któregoś dnia wyjechał na akcję i już z niej nie wrócił żywy. Wtedy też do jej mieszkania o szóstej rano wdarli się mundurowi i sucho oznajmili, że komisarz Maciej Tyszka oddał życie w słusznej sprawie. Tamtego dnia Maria straciła męża, a piętnastoletnia wówczas Ania – ojca. Potem odznaczyli go jakimś orderem, ale dla Marii było to bez znaczenia. Ona pragnęła swojego męża żywego, lecz zamiast tego dostała kawałek blachy, który dla niej nie miał najmniejszej wartości.

Mężczyźni, jeden za drugim, pewnym krokiem wmaszerowali do środka. Anna oparła się o ścianę i poczuła, jak olchowe deski wbijają jej się w plecy.

– On nie żyje, prawda? Przyszliście powiedzieć mi, że mój mąż nie żyje – jej głos przypominał skrzek. Mężczyźni spojrzeli na nią. To nie był pierwszy raz, kiedy musieli powiadomić rodzinę o śmierci ojca, męża, brata, syna. Nie wiedzieli dlaczego, ale pragnęli jak najszybciej przekazać informację, zaoferować ewentualną pomoc i uciec stąd jak najdalej. Nie mogli znieść tego cierpienia i bólu w jej oczach.

– Bardzo nam przykro – teraz odezwał się ten drugi.

– Czy mógłby… czy mógłby mi pan powiedzieć, jak to się stało? – wyszeptała.

– To był rutynowy patrol – żołnierz przerwał i głośno przełknął ślinę. – W czasie kontroli wyznaczonego rejonu obok przejeżdżającego hummera wybuchła mina pułapka. Ponieważ tego typu miny mogą być zdetonowane z dość dużej odległości, terrorysta bardzo łatwo mógł wybrać ten właściwy moment, w którym nastąpiła eksplozja. – Po co on jej to wszystko wyjaśnia? Chyba już do reszty oszalał. Ta kobieta właśnie straciła męża, a on jej tłumaczy, jak działają miny pułapki. A do tego są to sprawy wojskowe. Po co informować o tym cywilów? Owszem, za jakiś czas to wszystko trafi do mediów. Ale na razie powinien jedynie poinformować ją o

śmierci Krzyśka. Jednak ta kobieta miała w sobie coś takiego, że słowa same cisnęły mu się na usta.

– Czy bardzo cierpiał?

– Nie. Zgon nastąpił natychmiast. Pani mąż na pewno nie cierpiał – tym razem odezwał się żołnierz, który na początku sprawdzał jej tożsamość. Przynajmniej powinni byli się przedstawić, a nie tak anonimowo rozmawiać z tą kobietą. Co się, do cholery, z nimi dzieje? Czyżby stracili resztki profesjonalizmu? Dla nich Krzysiek też był ważny. Oni też jego śmierć przeżywali, choć może inaczej niż rodzina.

– Czy ktoś jeszcze…

– Tak. Jednak nie możemy podać nazwiska drugiego żołnierza, dopóki nie poinformujmy rodziny.

– Jeśli to wszystko, to chciałabym zostać sama.

Anna nie wiedziała, jakim cudem udało jej się zmusić nogi do ruchu. Teraz przypominały ołów. Kiedy opierając się ręką o ścianę, skierowała się w stronę kuchni, poczuła, jak czyjeś ramię opasuje ją w talii, aby uchronić przed upadkiem. Pomyślała o matce. Tak bardzo jej teraz potrzebowała. Ale gdy podniosła wzrok, ujrzała młodego mężczyznę o przyjaznym wyrazie twarzy. Choć był poważny i skupiony, to jednak jego oczy sprawiały wrażenie, jakby wciąż się śmiały.

– Jestem tutaj po to, żeby pani pomóc przez to przejść – odezwał się nagle. – Nazywam się Mikołaj Olszański i jestem psychologiem.

– Nie potrzebuję pana pomocy. Sama świetnie dam sobie radę! – głos Anny nieznacznie przybrał na sile.

– Nie da sobie pani rady sama. W tej chwili jest pani w stresie. Być może nie dociera do pani, co się stało. Próbuje pani wypchnąć tę myśl bardzo daleko, ale przyjdzie moment kiedy…

– A skąd pan, do cholery, wie, co do mnie dociera, a co nie?! Z książek?! Ile pan ma lat? Dwadzieścia pięć? Dwadzieścia siedem?

– Pani Anno, porozmawiajmy…

– Nie chcę rozmawiać?! Chcę zostać sama! Czy nie wyraziłam się jasno?! – gwałtownie wyswobodziła się z uścisku mężczyzny i ruszyła przed siebie. Nie widziała nigdzie matki. Pewnie poszła do Zosi. To dobrze. Dziecko nie powinno zostawać bez opieki.

– Musi pani o tym mówić. Nie może pani tłumić emocji – psycholog nie dawał za wygraną.

Miała rację, określając jego młody wiek. Była to jego pierwsza praca po studiach i to w dodatku w zastępstwie za chorego kumpla. Jego brak doświadczenia mógł rzucać się w oczy. Miał nadzieję, że ta kobieta tego nie zauważy. Na studiach ostrzegali go, że będzie miał do czynienia z trudnymi przypadkami, lecz mało go to obchodziło. On widział tylko zyski, które miał nadzieję czerpać po otworzeniu prywatnego gabinetu.

– Posłuchaj, chłopczyku – Anna nagle zawróciła i spojrzała na Olszańskiego. Z jej oczu zamiast rozpaczy biła wściekłość. – Niczego nie muszę! Moje emocje to jest tylko i wyłącznie moja sprawa! W dupie mam, co sobie teraz myślisz! Nigdy, powtarzam, nigdy nie zrozumiesz, co czuje człowiek, gdy straci najbliższą osobę, dopóki sam tego nie przeżyjesz. Dlatego proszę o opuszczenie mojego domu. Natychmiast! Chcę zostać sama. Ewentualnie z najbliższą rodziną, bo to ona jest mi teraz najbardziej potrzebna, a nie twoje podręcznikowe regułki o stresie i emocjach!

Anna zauważyła, że Olszański powoli zaczyna się wycofywać. Chyba wreszcie dotarł do niego sens jej słów. Wiedziała, że nikt nie jest w stanie jej pomóc. Ze swoją rozpaczą musi zmagać się sama. Spojrzała w kierunku drzwi, gdzie jeszcze przed chwilą stało dwóch żołnierzy. Teraz było tam pusto. Widocznie uznali, że zrobili swoje i zmyli się jak tchórze.

– Myślę, że najlepiej będzie jak pan już pójdzie – Maria pojawiła się nie wiadomo skąd. Była niczym Anioł Stróż. – Jeśli moja córka twierdzi, że chce zostać

sama, to tak w istocie jest. Znam ją dłużej niż pan, panie Mikołaju. – Widać było, że Maria usiłuje zniwelować negatywne wrażenie, jakie mogła wywrzeć na psychologu jej córka. Nikt bardziej niż ona nie wiedział, co w tym momencie czuje jej dziecko.

– W porządku – odezwał się Olszański. – Niemniej będę musiał zanotować w raporcie, że…

– Gówno mnie obchodzi, co napiszesz w tym swoim notesiku! Won! I to natychmiast!

Skoro tylko za psychologiem zamknęły się drzwi, Anna nie wytrzymała. Rzuciła się w kierunku drewnianych schodów prowadzących na piętro, a Maria usłyszała jedynie potężne trzaśnięcie drzwiami. Wiedziała, co jej córka teraz robi. Leży na łóżku i szlocha tak przerażająco, że poruszyłaby tym najtwardszy głaz. Wiele lat temu ona robiła dokładnie to samo.

I tak było w istocie. Anna, wbita w poduszki, nie płakała. Bo tego, co robiła, nie można było nazwać zwykłym płaczem. Ona wyła jak zwierzę złapane w sidła, które już wie, że śmierć jest na wyciągnięcie ręki. Za każdym razem, gdy czuła, że brakuje jej powietrza, przerywała na chwilę, aby znów zatracić się w rozpaczy. Nie wiedziała, ile czasu minęło odkąd dowiedziała się o śmierci Krzyśka. Wiedziała tylko, że musi wypłakać wszystkie łzy, żeby potem być silną dla swojej małej córeczki. Teraz już tylko ona jej została. Jedyna pamiątka i ślad obecności Krzyśka na tym świecie. To właśnie Zosia będzie wciąż przypominać jej, że był taki czas, kiedy Krzysztof był z nią, a ona mogła go dotknąć i przytulić. To właśnie w niej ten wspaniały mężczyzna nadal będzie żył.

Do świadomości Anny z wielkim trudem docierał z dołu niemiłosierny wrzask dziecka. Wyglądało to tak, jakby dziewczynka naśladowała swoją matkę i wiedziała, że tatusia będzie znać już tylko ze zdjęć.

Anna momentami miała wrażenie, że to wszystko dzieje się obok niej. W pewnej chwili wyczerpana płaczem zapadła w niespokojny sen.

***

Wojskowa Casa wreszcie wylądowała. Major Krzysztof Witkowski wracał do kraju ze swojej ostatniej misji. Na płycie lotniska czekała na niego rodzina. Żona, teściowa i brat. Jego maleńka córeczka została pod opieką bratowej. Teraz najbliżsi zabiorą go do domu. Ale nie do tego, na który poleciał zarabiać pieniądze. Jego nowy dom będzie wykopany w ziemi. Potem tą samą ziemią przykryją go niczym puchową kołdrą. Położą na niej kwiaty, zapalą znicze, może za jakiś czas postawią mu piękny marmurowy nagrobek. Koledzy oddadzą mu cześć salwami, a wojskowy kapelan wyrecytuje odpowiednie formułki.

Anna, naszpikowana tabletkami uspokajającymi, stała niczym posąg, wpatrzona w potężnego metalowego ptaka, z którego właśnie wynoszono dwie sosnowe trumny przykryte biało-czerwoną flagą. W jednej z nich spoczywało ciało jej męża. Mężczyzny, który całe życie miał przed sobą i który nigdy nie weźmie na ręce swojej małej córeczki. Anna nie czuła już nic. Całą rozpacz zostawiła za drzwiami gabinetu Krzyśka. Wiedziała, że minie sporo czasu, zanim ponownie tam wejdzie.

Pogrzeb odbył się dość szybko. Był drugi dzień października. Do końca misji polskich żołnierzy w Iraku zostało tak niewiele. Dlaczego nie wytrzymał? Przecież był już tak blisko. W tym dniu słońce nie grzało tak mocno jak na irackiej ziemi. Tutaj jedynie pojedyncze promienie przedzierały się przez kłębiaste chmury. A potem słońce zaszło i nastał kolejny dzień.

Minął rok

Polskich żołnierzy nie ma już w Iraku. Teraz walczą i oddają życie w Afganistanie. Anna właśnie złożyła wniosek o powołanie do zawodowej służby wojskowej. Wie, że jako lekarz na pewno przyda się polskiej armii. Teraz jedyne, co robi, to opiekuje się Zosią i czeka na decyzję Szefa Sztabu Generalnego Wojska

Polskiego. Ma nadzieję, że uda jej się zasilić szeregi armii. A gdy tylko przyjdzie rozkaz, natychmiast wyleci do Afganistanu.

– To dla ciebie, kochany. Wiem, że zrozumiałbyś i nie zabronił – mówi, stojąc nad grobem męża, na którym właśnie położyła kwiaty i zapaliła znicz. – Wiem też, że będziesz się mną opiekował. I naszą córeczką również – dodaje po chwili i odchodzi, spoglądając raz jeszcze na inskrypcję umieszczoną na grobie.

mjr Krzysztof Jakub Witkowski
żył 36 lat

Agata Adelajda Kołodziejczyk

Benevole lector

Wydawało jej się, że ktoś zadzwonił do drzwi. Słuchała w radiu audycji o polityce i rzeczywiście mogła nie usłyszeć. Podniosła się z kolan i nasłuchiwała. Okrążyła sterty rozrzuconych zapisanych kartek, pism urzędowych, gazet i zdecydowanie ruszyła w kierunku drzwi. Na końcu korytarza szła szybciej.

Przez rybie oko wizjera dostrzegła zniekształconą, nieproporcjonalną sylwetkę mężczyzny ubranego w płaszcz. Stał tyłem. Wahała się, czy jest sens pytać, kim jest i czego chce? Może to było coś ważnego? A może szuka kogoś, kto mieszka dwa piętra wyżej? Po kilku sekundach mężczyzna widocznie zirytował się na tyle, aby obruszony spojrzeć z wyrzutem na drzwi i ruszył w kierunku schodów. I wtedy, widząc jego twarz dosłownie przez ułamek sekundy, zdała sobie sprawę z tego, kim jest.

Za każdym razem, kiedy o nim myślała, doznawała dziwnego uczucia; mieszanina uniesienia, niedowierzania i… jak gdyby strachu.

Najszybciej jak tylko mogła otworzyła obydwa zamki, nacisnęła klamkę i wyskoczyła na korytarz.

– Halo! – krzyknęła, nie mogąc ustalić, co właściwie wypada krzyknąć za kimś, kto chce już odejść.

Reakcja była natychmiastowa. Mężczyzna zawrócił. Jego gniewne spojrzenie, które uprzednio przypisała zbyt długiemu oczekiwaniu, skierowane było widocznie do niej osobiście. Kiedy podążał w jej stronę, widziała, że oczy mu płonęły, a twarz aż drżała z gniewu.

– Pani nie miała prawa! Tak się nie robi! – wrzasnął, aż z kącika ust trysnęły

krople śliny.

Do tej pory nie zauważyła książki, którą miał w ręku. Wymachiwał nią ze zdenerwowaniem. Patrzyła na niego bez słowa. Prawdę mówiąc, osłupiała nieco, ponieważ był ostatnią osobą, której się spodziewała.

– Niech pan wejdzie – powiedziała dość cicho, być może nawet nazbyt sucho. Zwiesił głowę i opuścił książkę, którą machał przed jej nosem. Poszedł za nią.

– Jak pan mnie znalazł? A zresztą nieważne. Proszę wejść.

Poprowadziła go do mieszkania, wskazując ręką drzwi, które zamknęła za nim, ale tylko na klamkę. Wtedy mężczyzna zrobił coś irracjonalnego, machinalnego. Schylił się, żeby zdjąć buty. Bardzo ją to rozbawiło; zupełnie kłóciło się z powagą sytuacji.

– Niech pan nie zdejmuje, proszę! – akcent padł na słowo proszę, które nieco przeciągnęła. Musiał wyczuć uśmiech w jej głosie, bo nagle zmienił mu się wyraz twarzy. Kiedy wstał, była kilka kroków od niego. Może nie tyle bała się stanąć bliżej, co raczej nie wypadało jej tak nad nim sterczeć.

– Przepraszam, że prowadzę pana do kuchni, ale robię porządki i mam straszny bałagan w domu – miała wrażenie, że brzmi to, jakby mówiła: „Tak zaśmieciłam mieszkanie, że teraz tu ślęczę nad odgruzowywaniem”. – Proszę, niech pan usiądzie – wskazała ręką stołek. Mężczyzna nadal stał. Na jego twarzy nie było cienia uśmiechu sprzed chwili.

– Pani nie miała prawa o mnie pisać – zaczął spokojnie i miarowo, trochę zbyt *staccato*.

– Czy ktokolwiek wie, że to pan? – nie przypuszczała, że kiedykolwiek będzie odbywała taką rozmowę.

– Jak to jest możliwe, że pani mnie tak dobrze zna, skoro nie zamieniliśmy ze sobą ani jednego zdania?

– Intuicja?

Usiadł, po czym wstał, zdjął płaszcz i przełożył go przez rękę i znów usiadł. Zaproponowała, że go weźmie i, ku jej zdziwieniu, oddał go jej, jakby miał ochotę spędzić z nią trochę czasu. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, ale z premedytacją odwróciła się do niego plecami pod pozorem wyniesienia płaszcza do przedpokoju.

– Ma pan ochotę na kawę? Właśnie robię, więc to nie będzie kłopot – dodała, widząc, że już ma zamiar odmówić.

– Proszę.

– Dużą? Małą? Słodzi pan? Przepraszam, ale mleka nie mam, bo go nie piję.

– Obojętnie. Niech mi pani zrobi taką samą jak sobie.

Najbardziej uderzyło ją w nim to, że był taki zgaszony. Zawsze myślała o nim z rozpromienionym wzrokiem i uśmiechniętą twarzą. No ale wtedy był nieco młodszy. I ja też byłam młodsza, dodała w myślach. I nagle przyszło jej do głowy, że nie wygląda chyba zbyt korzystnie w zakurzonym ubraniu i nieuczesanych włosach. Makijaż wszedł jej w nawyk tak głęboko, że malowała powieki codziennie, niezależnie od tego, czy miała dokądś wyjść, czy przez cały dzień siedzieć w domu. To nieprawda, że kobieta maluje się dla mężczyzny. Nawet nie maluje się dla innych kobiet. Maluje się, by ukryć zmęczenie, zniechęcenie, starzenie…

„Zastanawiałam się, jaką mnie teraz widzi? Postarzałą i zaniedbaną? Przecież idąc tu, nie mógł oczekiwać dwudziestopięciolatki”. Jego twarz była zmęczona. Jakby wymięta. Wiele razy próbowała ją sobie przypomnieć, ale jej podstawowy rys uciekał gdzieś w nicość, umykał; zostawało to promienne sedno…

Ma taki nawyk, że kawę pije w ciemnych fajansowych kubkach z dużym uchem, a herbatę w lekkiej porcelanie w róże. Nie znosi kubków firmowych i z napisami. Miała kubek z imieniem. Prezent imieninowy od syna. Schowała go w tyle szafki i, o ile pamięta, nie piła z niego ani razu. Prawdopodobnie zrobiła dziecku przykrość.

Zalała dwie słabe kawy, pomieszała i postawiła na stole, który stał na środku kuchni. Nigdy na ten stół nie kładła obrusu ani serwety, ani tym bardziej ceraty. Był

popisany ołówkami, kredkami, zalewany barszczem, herbatą, zasypywany mąką. Przez myśl jej przeszło, że nigdy nie kochała się na tym stole. Własne myśli czasami potrafią zdziwić.

Usiadła naprzeciwko gościa. Wiedziała, że chce zacząć, ale nie bardzo wie jak. Nie wiedziała, co chce jej przekazać. Przypomniała sobie o cukrze. Wstała i podeszła do kredensu. Przy okazji zgarnęła do szuflady resztki chipsów, do których miała niesłychaną słabość. Nie chciała, żeby wiedział, że obżera się takimi śmieciami; jeszcze gotów pomyśleć, jaka jest pospolita, a zawsze chciała być kimś pięknym i dostojnym w oczach innych.

Posłodził dwie łyżeczki i taktownie trzymał łyżeczkę w powietrzu; nie zostawił jej w kubku, nie chciał również poplamić (i tak już poplamionego) stołu. Usłużnie odebrała mu ją, pilnując, by ich dłonie nie spotkały się. Wrzuciła łyżeczkę z brzękiem do pustego zlewu.

– Nawet nie zmieniła pani imienia… – powiedział cicho, raczej do kubka z kawą niż do niej.

Już miała zaproponować, żeby mówił jej po imieniu, ale sam pomysł by usłyszeć, jak je wymawia, wydawał się dość kuriozalny. Dlaczego?

Wziął do ręki kubek, zbliżył do ust i dmuchnął kilka razy, po czym ostrożnie upił dwa łyki, wyraźnie starając się nie siorbnąć.

– Bardzo smaczna.

– Dziękuję – uśmiechnęła się najbardziej kokieteryjnie, jak potrafiła.

– Pani nie pije?

– Och, ja lubię zimną kawę. W zimie wystawiam na parapet, bo tam szybciej stygnie – chciała dodać, że mąż zawsze przygotowywał jej kawę przed wyjściem do pracy, a kiedy wstawała, kawa była w sam raz, ale zrobiło jej się żal i nie powiedziała już nic.

– Przepraszam, właściwie nie powinienem był tu przychodzić. Chyba źle

zrobiłem. Chyba już pójdę – powtórzenie przez niego dwa razy chyba było oczywistym znakiem, że powinna go zatrzymać. Nie wiedziała, jak wybrnąć. Nagle ogarnęła ją panika, że jeśli wyjdzie stąd, to nie zobaczą się kolejne piętnaście lat. I wtedy powiedziała chyba nieco zbyt ostro, może jej głos brzmiał jak zbyt przejęty:

– Zostań! – od macicy przez żołądek aż do splotu słonecznego poczuła jak gdyby wrzącą falę. Kończyny miała pozbawione czucia i gdyby miała wstać, mogłoby się to skończyć omdleniem. Co do twarzy zaś, to miała dziwne złudzenie, że nagle oczy wystają jej z obcej twarzy, maski płonącej żywym ogniem.

Spojrzał na nią. Znów przeszyły ją jego oczy – niebieskie jak u dziecka.

– Przepraszam, ale na prawdę muszę już iść. To był błąd, że tu przyszedłem. Nie mam prawa pani pouczać. Sądzę, że pisarz musi skądś czerpać. Pani ma własne życie. Nie pomyślałem, że mógłbym w czymś przeszkodzić. Przepraszam – to mówiąc, wstał i skierował się do wyjścia. Po drodze zgarnął płaszcz z wieszaka. Szarpnął zbyt mocno i wieszak o mało co nie spadł na niego. Zareagowała odruchowo i starała się złapać drewniany starodawny wieszak pełen swetrów. Doszedł do niej przyjemny męski zapach. Pierwszy raz poczuła, jak pachnie. A może pierwszy raz uświadomiła sobie jego zapach. W każdym razie był to pierwszy męski zapach, który poczuła od czasu rozwodu. Zapach płynu po goleniu, potu i swetra. Siedziała kiedyś w kinie, nie pamięta, na jakim filmie; obok siedział młody chłopak z dziewczyną. Pachniał tak niesamowicie, że złapała się na zamykaniu oczu i wchłanianiu jego zapachu. Innym razem młodziutki chłopaczek z trądzikiem wszedł do autobusu i pachniał tak ujmująco, że zrobiło jej się trochę głupio tak wodzić za nim nosem.

Nie wiedziała, jak rozładować napięcie. Nie chciała, żeby był tak wzburzony; ludzie w takim stanie robią rzeczy nieprzemyślane.

– Nie może pan teraz wyjść.

– A to dlaczego?

– Bo ja nie mogłam przestać o panu myśleć – zawstydziła się tego, co wydostało się z jej ust. Znów doznała głębokiego wrażenia nierealności. – Nie było dnia w moim życiu, żebym o tobie nie myślała…

Spojrzał na nią z wyrzutem. Drugi raz w życiu obdarzył ją równie żałosnym spojrzeniem. Nic nie odpowiedział. Włożył tylko płaszcz, nacisnął klamkę i wyszedł.

– Niech pani nie pisze o mnie więcej! Proszę o mnie nie myśleć! – mówił, zbiegając ze schodów. Nie obrócił się ani razu. Doszedł ją z dołu hałas, jaki wydają drzwi wejściowe, kiedy je ktoś mocno zatrzaskuje. Zapiszczały, potem był trzask i taki dziwny dźwięk, jakby drzwi chciały się wyswobodzić z niewoli zamka zatrzaskowego.

Stała jeszcze chwilę na korytarzu. Było jej strasznie głupio i czuła żal, że zawaliło się to, co konstruowała przez tyle lat. Miała szczerą nadzieję, że nikt z sąsiadów nie słyszał, co przed chwilą zaszło.

Jakbym została za coś ukarana i to ukarana słusznie…

Zamknęła drzwi na wszystkie zamki. Nie przyszło jej do głowy wyjrzeć przez okno. Nawet gdyby o tym pomyślała, raczej nie zrobiłaby tego z powodu paraliżującego strachu. Jak on w ogóle śmiał się do niej odezwać?! Czemu przyszedł robić wyrzuty?

Mimo dźwięku radia dochodzącego z pokoju na końcu korytarza (nazywanego przez domowników małym pokojem) w mieszkaniu było wręcz przerażająco cicho. Doskoczyła do radia w kuchni i włączyła je. Fala była ustawiona na tę samą częstotliwość; zawsze słuchała dwójki lub trójki. Dochodziła pierwsza. Nie miała ochoty na jedzenie. W tym kontekście lepsza byłaby whiskey i papieros, co nie wydawało się takim złym pomysłem. Była pewna, że Franek miał schowane papierosy, ale grzebanie w rzeczach nastoletniego syna byłoby – cokolwiek by nie mówić – w złym guście. Uchodziła zresztą za osobę niepalącą, prowadzącą zdrowy tryb życia.

Przypomniało jej się, co robiła przedtem. Wróciła do małego pokoju, do sterty papierzysk zostawionych przez jej męża. Janek odszedł ponad rok temu, ale do tej pory odkładała porządki. Nie chciała o tym myśleć. Gdyby natrafiła na jego pismo odręczne bądź podpis, zaczęłaby łkać. Pisać nie przestała. Nawet rozwodzono się nad tym, jak szybko doszła do siebie. Spotkania autorskie, warsztaty dla młodych pisarzy, dla młodzieży, w końcu wywiady po ostatniej powieści. Można powiedzieć, że rzuciła się w wir pracy. Nadal była również odpowiedzialna za prowadzenie domu.

Odkładając na kolejne kupki paragony, faktury i stare PIT-y, przeszło jej przez myśl, że właściwie nie potrafi sobie przypomnieć, skąd zna swojego niedawnego gościa. Owszem, pisała o nim, fantazjowała, ale chyba nigdy nie spotkała osobiście…

DOROTA KAMIŃSKA

OSTATNI UŚMIECH REMBRANDTA

Zadbane palce Olgi zręcznie przeskakiwały po klawiaturze komputera. Prawie nie odrywała wzroku od ekranu, tylko sporadycznie zerkała na klawiaturę, patrząc na perfekcyjnie pomalowane paznokcie w kolorze ciemnej wiśni. Ten zimny kolor idealnie pasował do jasnej skóry jej dłoni. Za każdym razem kiedy zerkała w dół, miała wielką przyjemność z tego, jak pięknie wyglądają jej ręce. Idealnie polakierowane płytki paznokci wpasowywały się w nie mniej idealnie dopasowany jasnobeżowy sweter, który miała dziś na sobie.

Każdej nocy, kiedy przygotowała już wszystko do swojej pracy, umyła naczynia i wzięła prysznic, zmywała lakier z poprzedniego dnia i nakładała nowy. Zawsze dwie warstwy. Na równo rozłożonych daleko od siebie palcach lakier wysychał w spokoju, kiedy ona leżała, już śpiąc albo czekała na sen. Czasem zdarzały się noce, kiedy budziła się dokładnie w tej samej pozycji.

– Cześć, piękna! Ty już działasz? Ależ z ciebie ranny ptaszek! Jak ty to robisz? – kiedy usłyszała głos Zośki, z którą dzieliła biuro, poczuła jeden mocny skurcz w żołądku i przyśpieszenie bicia serca. Mimowolnie popatrzyła w górę i wzięła głęboki wdech.

– To nie ja jestem za wcześnie, tylko ty się spóźniłaś – odpowiedziała, z całych sił starając się trzymać emocje na wodzy tak, aby jej głos zabrzmiał możliwie neutralnie. Nie zabrzmiał.

– Co ty taka od rana? Lepiej opowiedz, jak tam było w weekend?

Zajęta poprawianiem makijażu Zosia nawet nie zauważyła, że Olga nie odpowiada na pytanie. Próbując uspokoić bicie serca i rozluźnić mięśnie brzucha, nie

przestawała pisać, jeszcze mocniej waląc palcami w klawiaturę. Zośka siadła przy swoim biurku, dokładnie naprzeciwko Olgi.

– Katastrofa? – spytała Zośka.

– Nigdy ci tego nie wybaczę – odpowiedziała Olga i dopiero teraz oderwała wzrok od ekranu. – Naprawdę nigdy ci tego nie wybaczę! – powtórzyła jeszcze raz.

– Było naprawdę aż tak źle?

– Źle? To była jakaś tragedia. Jak mogłaś w ogóle pomyśleć, że może mi się spodobać ktoś taki?

– Ej, trochę przesadzasz. On jest całkiem w porządku. Co ty od niego właściwie chcesz, dziewczyno?

– Co ja od niego chcę? Tak w ogóle to czym on się zajmuje? Stawia znaki drogowe. Genialne!

– Nie stawia znaków, tylko analizuje gdzie jaki powinien stać. Normalna praca.

– Stawia znaki drogowe!

Na wspomnienie o poprzednim wieczorze Olga poczuła, że robi się czerwona. Skurcz w żołądku ustał, a bicie serca się uspokoiło. Ale pojawił się gniew, który całkiem dosłownie napędzał krew płynącą w jej żyłach. Gdyby tylko paliła, chętnie zapaliłaby teraz papierosa, jednego, a później kolejnego.

Facet, który zajmował się stawianiem znaków drogowych zabrał ją najpierw do kina, a później na kolację. Nawet nie pamiętała, jaki to był dokładnie film i za nic nie mogła sobie przypomnieć. Przez całe półtorej godziny słyszała tylko mlaskanie i ciapanie towarzyszące chrupaniu popcornu, które dla urozmaicenia przerywało siorbanie coli. Później zabrał ją na kolację do całkiem przyzwoitej restauracji, gdzie ku jej zdziwieniu kelnerka wiedziała, jak podaje się wino. Dopiero siedząc przy stoliku, zauważyła, że mimo iż miał na oko jakieś trzydzieści pięć lat, już powoli łysiał. Na czubku głowy pojawił się nieowłosiony placek, na którym połyskiwało światło. Dokładnie tak, jakby wypolerował sobie przed wyjściem głowę. Wiedziała,

że wygląda to niegrzecznie, ale nie mogła się powstrzymać przed zerkaniem tam co chwilę.

Zamówił sobie kurczaka w sosie szpinakowym. Na całe szczęście to jej zostawił wybór wina. Jadł szybko, jakby przed chwilą wrócił z pracy, a na koniec nawet nie dotknął serwetki. Właściwie – nawet nie zauważył jej istnienia. Mówił coś o swojej pracy. O tym, jak bada wypadki. Co? Gdzie? I dlaczego się wydarzyło? Jak decyduje się o tym, że gdzieś pojawia się dany znak albo trzeba go usunąć. Olga nie mogła wytrzymać, kiedy przeszedł do omawiania skrzyżowań i rond. Był naprawdę zafascynowany swoją pracą. Ona raczej nie. Po piętnastu minutach, kiedy zorientował się, że ona nadal milczy, opowiedział coś o swoim psie rasy Husky i o tym, jak czasami razem śpią. To był już gwóźdź do trumny, bo oczami wyobraźni widziała, jak śpi z łysiejącym facetem wraz z jego psem rasy Husky, leżącym pomiędzy ich nogami.

Kiedy już odwiózł ją do domu, zatrzymał się na chwilę przed samym mieszkaniem. Podziękowała pro-forma, trzasnęła drzwiami i po chwili znalazła się w swoim mieszkaniu. Najszybciej jak mogła wyjęła z torebki telefon i ostentacyjnie, z wielką siłą i zaciśniętymi wargami, nacisnęła na przycisk „skasuj kontakt”. Po czym spakowała się do pracy, umyła naczynia, wzięła gorący prysznic. Zmazała z paznokci starą warstwę lakieru i pomalowała sobie nowym, tym razem w kolorze świeżej maliny. Kiedy już leżała w łóżku, z palcami równo rozłożonymi na pościeli, myślała sobie o tym, jak można być takim nudziarzem i o tym, że nie zachwycił jej zupełnie niczym. Był taki zwyczajny. Zupełnie zwykły. *Zwykły*, *zwykło*, *zwykle* były dla Olgi najgorszymi określeniami. Niemalże jak obelgi. Nie znosiła wszystkiego, co było zwyczajne, co niczym się nie odróżniało. Kiedy malinowy lakier już prawie wysychał, tłumaczyła sobie w myślach, że pragnie kogoś niezwykłego. Kogoś, kto będzie ją inspirował i stanie się bodźcem do jeszcze większego rozwoju. Kogoś na miarę jej samej. Kogoś, kto byłby jej godny. Miernota ją wręcz brzydziła.

– No i co teraz? – spytała Zosia.

– Nic. Jak tylko weszłam do domu, najszybciej jak mogłam skasowałam jego numer, żeby tylko o tym zapomnieć. Dzięki Bogu i tak już nie zadzwonił.

– Po co miałby do ciebie dzwonić? Przecież przez całą randkę prawie się do niego nie odezwałaś. Pewnie bał się, że powiesz halo i na tym skończy się twoja rozmowa. Ola, trochę przesadzasz… Z takim nastawieniem…

– Co chcesz przez to powiedzieć?!

– Chcę przez to powiedzieć, że jest piękny kwiecień. Za mniej więcej tydzień jest majowy weekend. Jak zamierzasz go spędzić?

– W końcu trochę odpocznę! Usatysfakcjonowana? Zośka, daj mi już z tym spokój. Numer skasowałam, on nie zadzwonił. Sprawa jest zamknięta!

Ale sprawa nie była zamknięta. Nie była nawet ani trochę przymknięta. Bo od momentu, kiedy Olga to powiedziała, zaczęła przez cały czas rozmyślać, co takiego będzie robić w majowy weekend, który w tym roku ułożył się tak, że czekały ją aż cztery wolne dni. Mimo naprawdę wielkich starań nie mogła skupić się już właściwie na niczym, a im bardziej próbowała, tym bardziej przerażało ją to, że za tydzień ma całe cztery niezagospodarowane dni i ani jednego pomysłu, co z nimi zrobić. Przeniesienie pracy do domu byłoby już wielką przesadą, zwłaszcza patrząc na to, że Olga zawsze wyrabiała się ze wszystkim na czas. Nie miała więc niczego do zrobienia. Mieszkanie przeszło generalne wiosenne porządki dwa tygodnie temu i nic nie miało szans się nawet lekko zakurzyć, bo Olga mieszkała sama i sama systematycznie sprzątała wszystko w każdy czwartek, tuż po pracy. Tak, żeby piątek był weekendowy. Nie pamiętała zupełnie, kiedy właściwie złamała czwartkową regułę sprzątania.

Przeglądając stosy czarno-białych dokumentów notarialnych, przybijając pieczątki i stawiając parafki, właściwie kończąc dopijanie kawy, spojrzała na swoją ulubioną filiżankę z filigranowym spodkiem. Każdą kawę piła tylko z tej filiżanki,

która kosztowała ją mały majątek. Filiżanka Rosenthala nie miała powierzchni, która nie byłaby pofalowana. Jej uszko nawet w środku miało drobne ślimacznice, tak że trzeba było wykazać się nie lada sztuką, żeby ją utrzymać. Całą filiżankę, jak i spodek, pokrywały wielkie różowe róże, których łodygi i liście wiły się i plątały między sobą, tworząc gmatwaninę, która nie miała ani początku, ani końca. Raz zdarzyło się przypadkiem, że filiżankę wzięła Zosia i przez cały dzień piła w niej herbatę, zostawiając wielkie, rozmazane ślady swojej szminki. Przez cały dzień Olga nie była w stanie skoncentrować się zupełnie na niczym, a kiedy w końcu wybiła szesnasta, udała, że ma coś jeszcze do zrobienia, po czym wymyła filiżankę chlorem. Wytarła z każdej strony i zamknęła w swojej szafce na klucz. Nikt już nigdy więcej nie miał najmniejszej szansy, żeby napić się z niej czegokolwiek.

– Barok… – wyszeptała do siebie, kiedy właśnie kończyła pić kawę z filiżanki, która była jednym z ważniejszych przedmiotów, jakie posiadała.

– Barok… barok… barok…

Tak bardzo potrzebowała doświadczyć czegoś niezwykłego, wyszukanego i wysokiego. Oderwać się od nudnego świata papierów, podań, kserówek. Właściwie wszystko, co wiązało się z barokiem, potrafiło szybko wprowadzić ją w stan poczucia wzniosłości, wspaniałości, prawdziwego uniesienia.

Wyjechać do pięknego miejsca, gdzieś daleko. Zachwycić się pięknem baroku, poczuć, że odrywa się od ziemi, przeżywając całą sobą prawdziwą, wysoką sztukę.

– Barokowy Rzym… – wyszeptała do siebie, kiedy dojechała już do domu, zgasiła silnik i zaciągnęła ręczny.

– Barokowy Rzym – tego właśnie mi potrzeba.

Wchodząc do windy i wjeżdżając na czwarte piętro, przypomniała sobie artykuł w sierpniowym numerze „Pani”. *Samotnie podróżujące kobiety*. „Nie trzeba mieć kogoś, żeby naprawdę cieszyć się życiem, poznawać świat i podróżować. A samotne

podróże potrafią być prawdziwą przygodą" – pisała Roma Ligocka, której felietony Olga uwielbiała.

Dlaczego by więc nie wziąć dwóch dni wolnego, wyjechać, oderwać się, przeżyć coś wzniosłego i pokazać wszystkim, łącznie z Zośką, że do prawdziwego szczęścia żaden facet nie jest potrzebny. Kiedy odwiesiła płaszcz do szafy, sięgnęła do wielkiego pudła z przeczytanymi magazynami. Wciągnęła numer z sierpnia 2011. Usiadła wygodnie i jeszcze raz spokojnie przeczytała tekst Tencer od deski do deski, analizując każde słowo i upewniając się w swojej decyzji.

– Tak właśnie zrobię. Rzym w maju… Boże – będzie bajecznie.

Jeszcze tego samego dnia zabukowała bilet easyJetem w relacji Berlin – Rzym. A zaraz po tym wyjęła wielką walizę i spisała wszystko, co chciała ze sobą zabrać, tak żeby każdego dnia Wieczne Miasto zachwycało się tym, jak pięknie wygląda. Dokładnie tydzień później znalazła się na lotnisku w Berlinie z perfekcyjnie spakowaną torbą, ważącą dwadzieścia kilogramów i ani grama więcej.

– Co za dokładność – powiedziała ważąca torbę Niemka. – Zapraszam do bramy numer 25. Miłego lotu!

W momencie kiedy przeszła przez odprawę celną, poczuła, jakby przeszła przez bramę do innego świata, który nie miał nic wspólnego z jej codzienną rzeczywistością. Dzięki Bogu nikt nie mówił po polsku. Dokładnie tego potrzebowała – zostawić całe swoje życie za bramą odprawy celnej. Całą godzinę, jaka dzieliła ją do lotu, spędziła w sklepie bezcłowym, gdzie zrobiła pierwsze zakupy. Perfumy Chanel, nowy lakier do paznokci w odcieniu gorzkiej czekolady i krem pod oczy. Fakt, że nigdy nie musiała przejmować się pieniędzmi, był właściwie jedynym plusem jej pracy notariusza. Nienawidziła swojej pracy całą sobą. Do skończenia prawa, jak pewną część prawników, zmusiły ją trzy czynniki: nacisk rodziny, zapowiedź prestiżu i pieniędzy. Tę codzienną męczarnię przekładania,

wypełniania i podpisywania papierów tłumaczyła sobie tylko tym, że ma pieniądze na to, aby robić rzeczy, które ją udoskonalają, uwznioślają, rozwijają. Sztuka, zwłaszcza malarstwo, cały ten barok były tym, w co naprawdę kochała się zagłębiać.

Weszła na pokład i zajęła miejsce przy oknie. Samolot był przepełniony i nie było ani jednego wolnego miejsca. „Ciekawe, po co lecą do Rzymu ci wszyscy ludzie?" – pomyślała i obiecała sobie jednocześnie, że właśnie od tej chwili będzie podróżować częściej. Kiedy samolot wystartował, wyjęła z torebki wielką kartkę. Kartka podzielona była na pięć części, odpowiadających każdemu dniu, jaki miała spędzić w Rzymie. Każdy dzień podzielony był na godziny, a poszczególnym godzinom przypisane było miejsce, gdzie w danej chwili Olga będzie. Watykan. Galeria Borghese. Schody Hiszpańskie. Zakupy. Najmniejsze pola znajdowały się w równym pionie po prawej stronie i stanowiły miejsce na postawienie małego plusa, kiedy dana rzecz, zabytek zostanie zobaczony. Przejechała palcem po liście, docierając do punktu zaznaczonego trzeba wykrzyknikami: Wystawa Rembrandta – *Autoportrety*. Stuknęła palcem trzy razy i wyjęła biografię barokowego malarza, którą już w zasadzie czytać kończyła.

– Czy masz może na imię Zorganizowana? – usłyszała głos dochodzący z lewej strony i poczuła, jak podnosi jej się ciśnienie.

– Proszę?

– Widzę, że wszystko jest zaplanowane! Zapomniałaś tylko o jednym… – mężczyzna siedzący obok niestety był Polakiem. Nie musiał nawet otwierać buzi, było to widać po nim od razu. Miał jakby wypisane na twarzy: „Ze mną nie zginiesz – jestem w stanie załatwić wszystko".

– Przepraszam bardzo. Po pierwsze pan mi przeszkadza. A po drugie przede wszystkim nie pamiętam, żebyśmy przeszli na ty.

– Na dodatek roszczeniowa! Co za temperament! Co prawda brudzia jeszcze nie wypiliśmy, ale wszystko da się załatwić – mówiąc to, wyjął z plecaka piersiówkę, otworzył i podał Oldze.

– Michał jestem. Ale ty, szkarbie, mów mi misiu!

– Boże, właśnie przez takich ludzi musimy się wstydzić na zachodzie!

– To ty się wstydź, a ja ci w tym czasie powiem, że zapomniałaś wpisać na listę, że trzeba zaliczyć Włocha. Czarnego i włochatego. No, mogę być to ja, ale raczej w Ogrodach Watykańskich będzie ciężko. Ale dla ciebie, szkarbie, nawet za papieża się przebiorę!

Jedyne, co przychodziło jej w tej chwili do głowy, to zmienić miejsce. Wodziła właśnie wzrokiem za stewardessą, ale uświadomiła sobie, że wszystkie fotele są zajęte. Zastanawiała się też, czy po prostu powiedzieć, że ten mężczyzna jej przeszkadza. To miała być idealna podróż. Nie mogła pozwolić sobie na nic, co mogło ją popsuć. Postawiła sobie za cel dobrze się bawić i choćby nie wiadomo co, miała w planach ten cel osiągnąć.

– No to jak? Mogę przynajmniej wiedzieć, na czym stoję? Mam chociaż małą szansę na kieliszek wina? Ty, ja, wino i piękny zachód słońca na Kapitolu?

– Boże, człowieku, daj mi święty spokój!

– A… może wolisz tą wersję z księdzem na Watykanie? Co za szkarb!

Pierwszy raz od bardzo długiego czasu Olga nie wiedziała, co odpowiedzieć, bo wchodzenie w głupią dyskusję nie miało zupełnego sensu. Popatrzyła na swojego natrętnego znajomego i po trzech sekundach zdawało się jej, że wie o nim już wszystko. Miał sterczące w każdą stronę, proste jak szczecina włosy, po których można było od razu rozpoznać, na której stronie spał. Wyciągniętą, za dużą koszulę, dżinsy, które opadały z bioder i wielkie sportowe buty. Na pewno był od niej młodszy o jakieś pięć, może nawet siedem lat. Zamilkł na chwilę, a ona zaczęła myśleć, jak to możliwe – jeśli nie jest to żart – że zainteresował się nią młodszy facet.

Spojrzała na niego ukradkiem. Patrzył w przestrzeń i wyglądał na urażonego. „Może rzeczywiście nie powinnam traktować go aż tak z góry" – pomyślała, ale nie zdążyła uświadomić sobie jeszcze swoich myśli, kiedy obrócił się do niej szybko i powiedział:

– Wyjdź za mnie! – patrzył na nią zawieszonym, błagalnym wzrokiem.

– Czy tobie zupełnie odbiło?

– Proszę… Ale dlaczego nie? Podaj choć trzy argumenty przeciw! Jesteś taka słodka! Proszę…

– Człowieku, ty nie jesteś normalny?

– Chociaż mała szansa? Taka tyci, tyci?

Olga jeszcze raz przejechała wzrokiem od stóp w wielkich butach, przez koszulę, aż wreszcie jej wzrok doszedł do błagalnych oczu, po których zupełnie nie można było powiedzieć, czy żartują, czy też są poważne.

– Nie!

– Szkarbie, żyje się tylko raz! – mówiąc to, Michał przechylił swoją piersiówkę, po czym złapał wielkimi rękami twarz Olgi. Przycisnął ją do siebie, wcelował w jej usta i mocno pocałował. Nie musiał używać wiele sił, bo mocno się nie przeciwstawiała. Dopiero po kilku dobrych sekundach, wyrwała twarz i zaczęła krzyczeć na cały głos.

– Zboczeniec! Zostaw mnie w spokoju! Ty świrze!

Nie było osoby, która nie patrzyła w tamtą stronę. Stewardessy zaczęły uspokajać Olgę i jednocześnie krzyczeć coś do Michała. Olga straciła orientację, co właściwie się dzieje. Czuła, jakby ktoś uderzył ją obuchem w głowę. Przerażona całą sytuacją stewardessa znalazła jej miejsce na samym początku samolotu, przy miłej starszej pani. Tymczasem Michał jeszcze przez dobre dziesięć minut śmiał się sam do siebie.

Do samego końca lotu Olga próbowała pozbierać myśli. Im bardziej jednak próbowała, tym bardziej się nie udawało. Chciała zamówić szklankę whiskey, ale wydawało jej się, że to zupełnie nie wypada. Ktoś mógłby uznać, że po pierwsze sobie nie radzi, a po drugie, że może ma problem z alkoholem.

Mocno zagryzła zęby. „Chociażby nie wiem co – i tak ta podróż musi mi się udać". Otworzyła swoją książkę o Rembrandcie i przeczytała do końca. Nie zrozumiała z niej nawet jednego zdania.

Kiedy wyszła z pokładu samolotu, w jej twarz buchnęło ciepłe, suche powietrze. Poczuła od razu, że jest bardzo daleko od swojego udomowionego świata. Weszła w wysoką temperaturę, trochę oszołomiona, zmęczona lotem. Myślała o tym, żeby jak najszybciej wyjść z lotniska, załapać taksówkę i nie spotkać jeszcze raz Michała. Serce waliło jej mocno. Żeby go tylko nie spotkać. Czuła się upokorzona. Czuła, że zakpił z jej dumy i godności.

Kiedy tylko znalazła się w taksówce, mocno odetchnęła. Pół godziny później była już w niewielkim przytulnym hotelu. Odebrała klucze. Wjechała windą na trzecie piętro i weszła do przestronnego pokoju, który pogrążony był w całkowitej ciemności. Pozamykane okna i szczelne okiennice odgradzały pokój od świata zewnętrznego. Olga postawiła walizki. Odłożyła na wieszak płaszcz i otworzyła jedną okiennicę. Kiedy w pokoju był już półmrok, lekko przygarbiona usiadła na wielkim dwuosobowym łożu.

Zupełnie nie mogła zrozumieć, dlaczego jest aż tak zmęczona. Czuła, jak ze zmęczenia boli ją całe ciało. Czy to możliwe, że wykończył ją jedynie trzygodzinny lot samolotem? Nonsensem wydawało jej się to, że tak zmęczyć mogła ją rozmowa z Michałem, która trwała zaledwie piętnaście minut.

Zupełnie pozbawiona sił, zdjęła z nóg buty. Położyła się na łóżku, myśląc, że wstanie za chwilę, żeby umyć się, poprawić makijaż, pójść coś zjeść i zacząć

zwiedzanie miasta. W punkcie pierwszym na ten dzień był Panteon, a na zegarku dochodziła piętnasta.

Obudziła się kilka godzin później, skulona na środku łóżka. Przez kilka pierwszych minut zupełnie nie wiedziała, co się z nią dzieje i gdzie w tej chwili jest. Wyjrzała przez okno, żeby powdychać świeże powietrze. Postała w oknie, patrząc na nocne życie toczące się za ścianami hotelu. Dochodziła pierwsza w nocy, a żołądek ściskał jej się z głodu. Była tak szczęśliwa, że nie wyrzuciła wcześniej starej już kanapki, którą teraz odnalazła na dnie swojej torby.

Usiadła na łóżku i przeżuwała powoli. Czuła, jak stopniowo powraca jej pamięć i po chwili wiedziała już wszystko. Przyjechała do Rzymu. Jest majowy weekend. To jej pierwszy dzień. Całowała się dziś z zupełnie obcym facetem.

W pokoju było tak cicho. Szukała wzrokiem telewizora albo radia, ale nie znalazła niczego, co dawałoby choć namiastkę życia. Czuła się już zupełnie wypoczęta, ale nie miała gdzie iść w środku nocy.

Rozpakowała walizkę. Przygotowała ubranie na jutro, a w łazience porozstawiała wszystkie swoje kosmetyki, tak żeby wyglądały ładnie. W międzyczasie napuściła do wanny gorącej wody z ogromną ilością piany. Kiedy już leżała w ciepłej wodzie, uświadomiła sobie, że dawno nie przybywała w takiej ciszy. Dziwaczne było to uczucie. Zupełnie nie wiedziała, co takiego ze swoimi myślami zrobić. O czym właściwie myśleć, nie mając niczego na głowie.

Kiedy skończyła, wytarła się ręcznikiem i delikatnie, opuszkami palców wklepała nowy krem przeciwzmarszczkowy. Popatrzyła chwilę na swoją twarz i zauważyła, że rzeczywiście – powoli zaczyna się starzeć. Przeraziła ją myśl, że czasu naprawdę nie da się cofnąć. Mimo że krem był naprawdę drogi, za trzy lata zmarszczki i tak się pogłębią.

Położyła się w łóżku, opatulona kocem. Zastawiła zapalone światło małej lampki, bo nie lubiła spać w ciemności, w miejscach, których nie znała. Sen nie

przychodził, bo była wypoczęta, więc przez kilka godzin patrzyła na sufit. Było tak dziwacznie cicho i zbyt spokojnie. Zasnęła nad ranem, przekonując samą siebie, że jej podróż naprawdę się uda i będzie cudowna. Dała sobie słowo. Przygotowała perfekcyjny plan, który nie przewidywał klęski. Jutro miało zacząć się od zwiedzania Watykanu. Barok. Ten cudowny barok w najlepszym wydaniu miał być prawdziwym balsamem na jej wrażliwą, spragnioną wyższych doznań duszę.

Budzik zadzwonił o siódmej rano. Olga wstała prawie od razu. Ubrała się we wcześniej przygotowane ubranie, umalowała się i ułożyła włosy. Po godzinie była już gotowa. Usiadła na łóżku i wysypała całą zawartość swojej torebki na koc. Przejrzała dokładnie każdy przedmiot, sortując to, co trzeba było wyrzucić. Przejrzała również i portfel, z którego wyjęła nawet banknoty, po czym równo ułożyła je z powrotem od najmniejszego po największy nominał. Po posortowaniu wszystkiego, włożyła do torby każdy przedmiot na odpowiednie miejsce i w odpowiednią przegródkę. Olga potrafiła to, czego nie umiała żadna inna kobieta – w swojej torebce zawsze miała porządek. Kosztowało ją to bardzo dużo energii, ale taki rytuał wykonywała codziennie.

Po typowym kontynentalnym śniadaniu wyszła z hotelu, zostawiając w recepcji klucze. Wcześniej przejrzała cały plan Rzymu i system metra, nie miała więc żadnego problemu, żeby znaleźć się w Watykanie. Postanowiła użyć metra, żeby zobaczyć, jak wygląda typowa codzienność Włochów. Nic nadzwyczajnego – tak się jej wydawało i była to jej ostatnia przejażdżka rzymskim metrem. Nie znosiła stać w ścisku, wśród ludzi, których nie znała. Jedyne, na czym starała się teraz koncentrować, to Watykan. Barokowy Watykan. To on miał być nagrodą za cały trud podróży i ten incydent w samolocie, o którym tak usilnie starała się nie myśleć.

Kiedy znalazła się na placu Św. Piotra, słońce świeciło już bardzo wysoko na bezchmurnym niebie. Dzień zapowiadał się przepiękny. Przeszła przez cały plac, a później pod kolumnadą. Weszła do bazyliki, w której spędziła dobre dwie godziny,

oglądając wszystko, o czym wcześniej czytała w książkach. Wszystko szło zgodnie z jej planem, zapisanym na kartce równo złożonej w przewodniku nie mniej równo ułożonym w torebce. Kiedy dochodziła pierwsza, siedziała na jednej z ławek, patrząc przed siebie. Idealnie z planem. O pierwszej miała skończyć zwiedzać bazylikę. Wyjęła kartkę i postawiła plusa przy nazwie „Watykan". O godzinie pierwszej zero trzy wychodziła już z placu, szukając przytulnej knajpki, gdzie mogłaby coś przekąsić. Miała na to przeznaczoną godzinę do godziny i pół.

Dzień piękniał z minuty na minutę i robiło się coraz cieplej. Rzym w maju był już na tyle ciepły, że można było chodzić w krótkim rękawku. Ale wysoka temperatura nie była jeszcze uciążliwa. Można było czuć się naprawdę rześko.

Przechodząc po wąskich ulicach Rzymu, już z dala od Watykanu, weszła do strefy, w której pełno było małych restauracyjek, knajpek mieszczących zaledwie kilka stolików, gdzie serwowano jedynie kawę. Olga szukała tej najlepszej, niezbyt tłocznej, w której mogłaby spokojnie zjeść lekkie spaghetti, popijając lampką wina. Myślała o tym od momentu, kiedy wsiadła do samolotu. Wszystkie miejsca były zatłoczone i dopiero po pół godzinie udało się znaleźć jeden stolik, gdzie miałaby dużo miejsca tylko dla siebie. Weszła do środka i usiadła najszybciej jak mogła, czując w nogach wielką ulgę. Stolik był przy samym oknie, z którego rozciągał się widok na całą ulicę. Kelner podał kartę. Olga nie potrzebowała wiele czasu, bo dokładnie wiedziała, co zjeść. Klasyczne spaghetti w sosie bolońskim szybko znalazło się naprzeciwko niej, obok lampki czerwonego wina.

Nawinęła kilka nitek na widelec i zamoczyła w sosie. Wessała koniec nitki, a spadająca z niej kropla sosu, upadła jej na brodę. To samo stało się z następnym i jeszcze następnym kęsem, tak że za każdym razem jej broda poplamiona była kilkoma kroplami sosu bolońskiego. Nie znosiła uczucia, kiedy coś ciekło jej po brodzie. Czuła się jak dziecko, które nie potrafi jeszcze normalnie jeść. Spojrzała w bok i pomyślała, że wygląda jak na witrynie sklepowej i wszyscy mogą na nią teraz

patrzeć. Kto tylko przechadzał się tą uliczką, mógł widzieć kobietę, która nie potrafiła normalnie jeść spaghetti. Kobietę, która siedziała przy stoliku sama. Zupełnie sama i na dodatek na nikogo nie czekała. Im bardziej się starała, tym bardziej w jakiś przeciwnie działający sposób coraz więcej kropel upadało na brodę i czuła jak ściekają powoli do momentu, aż wytrze je chusteczką. Nie miała żadnej przyjemności z jedzenia, bo trudno czuć ją w stresie. I kiedy już na całe szczęście na talerzu została prawie ostatnia porcja, chwyciła szybko kilka nitek makaronu, nawinęła na widelec i trafiła do ust.

Jedna, całkiem pokaźna porcja makaronu wywinęła się jednak i nie tylko nie trafiła do ust ani na brodę, ale spadła ciężko na śnieżnobiałą, uprasowaną w kant i równo przetransportowaną w walizce bluzkę.

– Boże, co z ciebie za pokraka… – wypadło jej z ust zupełnie niekontrolowanie. Dopiero po chwili zorientowała się, co takiego powiedziała. Ulżyło jej bardzo, kiedy uświadomiła sobie, że na całe szczęście na pewno nikt nie zrozumiał.

Zapłaciła rachunek i wbiegła do łazienki. Nic jednak nie potrafiło zmyć plamki, która roztarła się tylko, zostawiając wielki brunatny ślad dokładnie na samym środku. Nie dało się tego w żaden sposób ukryć. Wielka brunatno-czerwona plama była faktem i naprawdę w żaden sposób nie dało się jej nie zauważyć. Im bardziej próbowała ją zmyć, tym bardziej żałośnie wyglądała plama. Wyrzuciła garść zużytych papierowych ręczników do kosza i spojrzała w lustro. Roztarta plama kontrastowała z idealnie ułożonymi włosami i dokładnym makijażem.

Kiedy wychodziła z restauracji, była chwila po drugiej. Przeszła przez wąską uliczkę i doszła do jednej z głównych, gdzie zaczęła przedzierać się przez tłumy turystów w poszukiwaniu taksówki. Nie wyobrażała sobie, że może w takim stanie dalej zwiedzać Rzym.

Złapała taksówkę, siadła na tylne siedzenie i nic nie mówiąc, podała taksówkarzowi wizytówkę z nazwą hotelu. Modliła się tylko, żeby nic nie mówił,

żeby jej nie zaczepiał, tylko zostawił w spokoju, bo tego właśnie potrzebowała. Korki były straszne, bo właśnie dochodziła trzecia. Jechali wolno przez centrum miasta, co chwila się zatrzymując. Przez okna samochodu Olga obserwowała tłumy turystów, prawdziwy koktajl narodowościowy, który przewijał się przez miasto. Ludzie leniwie przemieszczali się przez ulicę, zahipnotyzowani urokiem Wiecznego Miasta. Jeden wielki gwarny tłum. Nikt jakby nigdzie się nie śpieszył. Z ulicy słychać było jednostajny gwar. Życie tętniło w Rzymie w ten pięknie słoneczny dzień.

Chwila po trzeciej dotarła do hotelu. Kiedy była już w środku, jak najszybciej zdjęła z siebie poplamioną bluzkę i z całej siły wrzuciła ją do kosza na śmieci. Nie mogła patrzeć na przedmiot, który zniszczył jej dzień. Nie wyobrażała sobie nawet, że mogłaby ją jeszcze kiedykolwiek założyć. Na pewno za każdym razem przypominałaby jej o tym koszmarze.

Usiadła na łóżku. Poczuła, że stres wyssał z niej całą energię. Nie miała siły na nic. Ściągnęła tylko buty i leżąc na boku, zasnęła. Jedyne, czego pragnęła, to przestać myśleć. Zatrzymać bieg zdań, bezsensowną paplaninę, która kłębiła się jej w głowie. Plama. Bluzka. Głupi sos. Spaghetti bolognese. Jak wywabić plamę z pomidora? Bezsensowne zdania, powtarzane i powyrywane z kontekstów, bełkotały w jej w głowie. Czekała na sen. Był to jedyny sposób, jaki znała, żeby wyłączyć swój mózg. Żeby choć na trochę przestać myśleć. Jedyne, co ją we śnie męczyło, to świadomość, że i on nie może trwać wiecznie i w pewnej chwili trzeba się wybudzić.

Kiedy się obudziła, znów nie miała pojęcia, ile spała i która może być godzina. Jedyne, co czuła, to wielkie, tętniące kłucie w prawej części czoła, nad łukiem brwi. To typowa migrena, która pojawiała się zazwyczaj po podróży, zmęczeniu, napięciu albo po jakimś ważnym wydarzeniu. Funkcjonowała na zasadzie przymusowego odpoczynku, bo Olga zazwyczaj nie była w stanie zrobić wtedy niczego. Wiedziała już dokładnie, co znaczyło to kłucie – do rana zapewne nigdzie nie ruszy się z pokoju.

Wstała i uchyliła okno, żeby wpuścić świeże powietrze. Poczuła, jak bardzo inne jest to tutaj, w Rzymie. Czuć było w nim suchość i gorąco, mimo iż tak naprawdę temperatura wcale nie była taka wysoka. Miasto powoli przygotowywało się do snu. Czuć było to również i w powietrzu, które stawało się cięższe, wyraźnie bardziej uspokojone. Olga stała przez chwilę w oknie. Wdychała powietrze głęboko, tak bardzo chcąc być teraz na zewnątrz, w środku tętniącego życiem miasta.

Ból migrenowy pulsował równomiernym tempem w tym samym miejscu. Nie ustawał ani na chwilę i nie dawał nadziei na to, że stanie się choć trochę mniejszy. Dokładnie tak, jakby w środku jej głowy ktoś walił w czaszkę młotkiem, biorąc coraz to mocniejszy zamach. Weszła do łazienki, żeby zmazać z twarzy makijaż. Męczyło ją wszystko, co miała na twarzy, wszystko, co pachniało, wydawało dźwięk lub było jaskrawe.

Ostatkiem sił zmazała z rzęs tusz i resztki pudru z twarzy. Namoczyła mały ręcznik do twarzy lodowatą wodą i przyłożyła sobie do bolącego miejsca. Skulona poszła do łóżka. Było jej raz ciepło, raz zimno, a żadna pozycja nie była wygodna. Zapaliła małą lampkę, bo męczyło ją mocne światło, a nie znosiła całkowitej ciemności.

Ból nie malał. Za oknem powoli zapadał zmrok. Sen nie miał najmniejszej szansy na przyjście, bo Olga była już wystarczająco wyspana.

W pokoju było tak spokojnie i przede wszystkim cicho. Cisza była niemalże namacalnie ciężka. Nie mogła jej znieść. Dałaby wszystko za telewizor, jakiekolwiek radio, żeby móc słyszeć jakiś dźwięk. Nieważne co – cokolwiek, byle tylko zajęło jej myśli. Nie mogła uwierzyć – te wakacje były koszmarne. Zupełnie nie przewidziała, że mogły tak wyglądać. Olga nie mogła się już dalej oszukiwać i przyznała przed sobą, że było naprawdę źle.

– Dlaczego ja sobie to robię? Dlaczego moje własne ciało mnie tak torturuje?… – pojawiło się w jej głowie. Czuła się przeraźliwie samotnie, jak nigdy wcześniej w

życiu. Dałaby tak wiele, żeby ktoś podał jej teraz chociaż szklankę wody. Albo żeby mogła chociaż zadzwonić do kogoś i powiedzieć, jak paskudnie się czuje i że wszystko ją boli. Tyle by wystarczyło.

Nagle, nie wiadomo dlaczego, jej samej zaczęło być siebie żal. Przypomniała sobie o zapisanej planami kartce z kratkami i nazwami miejsc, dniami i godzinami. Plan był zapełniony po brzegi, a ona leżała w łóżku i nie była w stanie nawet umyć zębów.

– Cholerny plan – pomyślała, nie wiedząc, o co właściwie jej chodzi.

Z nieprzyjemnym kwaskowatym smakiem w ustach i potwornym poczuciem żalu nad sobą zasnęła. Dziwne to uczucie – współczuć samej sobie. Spała twardo i nie śniło jej się zupełnie nic. Czarna pustka w mózgu i zupełna bezsilność ciała, które bezwładnie leżało na łóżku.

Twardy, prawie nieprzytomny sen przyniósł wytchnienie, wyłączając jej mózg, na takiej samej zasadzie, jak wyciąga się wtyczkę z prądu. W nocy Olga obudziła się jednak. Ból nadal trwał, był jednak mniejszy. Przeszedł do dolnej części brzucha i poczuła, jak ją mdli. Na wpół przytomna, wybudzona ze snu wstała z łóżka i poszła do łazienki. Prawie instynktownie uklękła przed klozetem, trzymając włosy w górze. Czekała na największy, samoczynny skurcz w żołądku, który oznaczał koniec potwornego mdlenia. Chwilę później w klozecie znalazło się spaghetti wraz z lampką wina. Usiadła przy zimnej ścianie, podkulając nogi. Siedziała chwilę, unosząc głowę do góry. Brak sił nie był teraz dla niej męczący, bo czuła przede wszystkim wielką ulgę. Jej ciało samoczynnie się oczyściło. Było czyste. Siedząc tak pod ścianą, upajała się uczuciem ulgi – jednym z najmilszych uczuć, jakie może zaznać człowiek. Po chwili przemyła zęby i znów poszła spać.

Sen przyszedł, jak tylko zamknęła oczy. Był spokojny i tak bardzo przyjemny.

– I jak się pani podoba u nas w Rzymie? – spytała młoda recepcjonistka, kiedy Olga oddawała klucz.

– Pogoda dopisuje.

– Taki jest właśnie ten nasz Rzym. Nie lubi marudzenia i nigdy nie płacze – odpowiedziała z uśmiechem i wróciła do swojej pracy.

Olga usiadła na małej ławce naprzeciwko recepcji. Chciała sprawdzić, czy ma ze sobą wszystko, co będzie jej potrzebne. Wszystko jak zawsze było na swoim miejscu, a Olga nie mogła oderwać wzroku od młodej dziewczyny. Mogła mieć dwadzieścia pięć lat, zapewne nie więcej. Sprawdzała coś w papierach. Coś wypełniała. Wyglądała, jakby wszystko, co w życiu robi, wykonywała z wielką uwagą i przyjemnością. Jakby przewracanie kartek, ich wypełnianie i podpisywanie było jej hobby. Olga nie mogła przestać patrzeć na jej spokojną i zadbaną twarz, myśląc, nie wiadomo dlaczego, że cudownie byłoby być taką właśnie recepcjonistką.

Tematem całego niemalże czwartku miał być starożytny Rzym. Olga opracowała trasę tak, aby wszystko wiązało się ze starożytnym światem. Koloseum. Forum Romanum. Łuk Tytusa i pomnik konny Marka Aureliusza. Po obiedzie miała iść na wystawę Rembrandta, na którą tak długo czekała – główny punkt jej dzisiejszego programu.

Po całym wczorajszym dniu i nocy czuła, że jeszcze nie odzyskała sił i schudła o jakiś kilogram. Szła wolno, czując, że nie może nadwerężać swojego ciała i że musi obchodzić się z nim szczególnie delikatnie. Przysiadała co kilka kroków, chwilę później idąc dalej. Czuła się szczęśliwa, że już nic ją nie boli, ale jednocześnie było jej przed samą sobą tak zwyczajnie głupio, że prawie połowę swojego wyjazdu spędziła w hotelu. Zawsze pogardzała ludźmi, którzy marnowali swój czas, nie robili niczego użytecznego, niczego, co by ich rozwijało. Tymczasem ona połowę swoich wakacji przeleżała w łóżku, nie robiąc zupełnie niczego. Jedno wielkie nic.

„Dobrze przynajmniej, że nikt o tym nie wie. Co za wstyd” – pomyślała.

Przeszła przez Koloseum i poczuła, jak stopniowo wraca jej apetyt. Nie miała sił, żeby iść dalej. Poczuła, że albo coś szybko zje, albo zemdleje. Weszła do środka

pierwszej lepszej restauracji. Zamówiła sałatę z kurczakiem i porcję ryżu. W środku było tak spokojnie, przed porą lunchu nie było prawie nikogo. Powoli wygrzebywała z sałaty kawałki kurczaka i jadła na przemian z ryżem. Czuła, jak jedzenie dodaje jej sił. Z minuty na minutę każdy kęs zamieniał się w energię.

Kiedy skończyła jeść, zasiedziała się w wygodnym fotelu. Popatrzyła na kartkę z kolejnymi starożytnymi zabytkami i pomyślała, że nie ma na to jeszcze sił. Tak naprawdę siły wracały bardzo szybko, ale im więcej ich było, tym bardziej nie chciało jej się wstawać. W gruncie rzeczy nawet nie lubiła starożytności i zaczęła się zastanawiać, dlaczego wpisała tyle antycznych zabytków na listę. Po co, skoro nawet w Koloseum nie znajdowała niczego, co by ją interesowało. Dziwne, ale nawet samej sobie wolała powiedzieć, że po prostu nie ma już na to sił, choć naprawdę czuła się już całkiem dobrze.

Ruch na ulicy na zewnątrz był całkowitym zaprzeczeniem przyjemnego spokoju, który panował w restauracji. Była taka wielka, ale prawie zupełnie pusta, a kelner wciąż gdzieś znikał. Jak zahipnotyzowana patrzyła na to, co działo się na zewnątrz. Ludzie chodzili zamyśleni, każdy w swoją stronę. Wyglądali jak rybki w akwarium, a ich oglądanie ją relaksowało.

Kiedy upłynęła godzina albo może nawet i dwie, wstała i od razu udała się na wystawę Rembrandta. Chciała tam spędzić cały dzień.

Jak tylko wyszła, poczuła, że zlewa się z tłumem i dostosowuje do jego jednostajnego rytmu. Jakby wszystko płynęło w jednym kierunku. Olga miała już siłę, żeby iść dość szybko, a jej kroki stały się mocniejsze. Wyszła z głównej ulicy i przeszła do mniejszych, coraz mniejszych i coraz bardziej krętych. Szła po strzałkach, które jednoznacznie prowadziły ją do celu. Dokładnie tak jak w harcerskiej zabawie.

Wystawa zajmowała dwa piętra jednego z mniej znanych barokowych pałaców. W szatni zostawiła torbę i poczuła się lżejsza o dobre kilka kilogramów. Kupiła bilet

i przeszła przez bramkę wykrywacza metali. Kiedy strażnik przerwał bilet w pół, zrobiła jeden krok do przodu i poczuła, jakby był to bilet do innej rzeczywistości.

Stara drewniana podłoga lekko uginała się pod każdym krokiem. Ściany też obłożone były drewnianymi deskami, aż w powietrzu czuć było zapach starego, zdrowego drewna. Na ścianach, od samego początku aż do końca sal, porozwieszane były autoportrety Rembrandta. Od najmłodszego po coraz bardziej dojrzałe i wreszcie te starcze, poukładane w restrykcyjnie chronologicznym porządku. Kiedy próbowała ogarnąć całość, czuła, że kręci jej się w głowie, widząc natłok min, póz, grymasów jednej, wciąż tej samej twarzy. Podeszła do pierwszego, najwcześniejszego obrazu, na którym Rembrandt miał może niecałe piętnaście lat. Stanęła z młodym mistrzem twarzą w twarz. Ale czuła, jakby to on na nią patrzył.

„Geniusz artysty, czy mi się to śni?" – myślała, patrząc na wzrok młodego chłopca, który – dałaby głowę – z wielkim niedowierzaniem patrzył na nią.

Młody Rembrandt, oświetlony po części, w części w mroku, patrzył na nią, jakby dziwił się, że ją tu widzi. Ze zdziwieniem, spokojem czy też poczuciem wyższości patrzyła, jak dorastał z obrazu na obraz. Stał się dwudziestolatkiem, aż po kilku następnych portretach dorównał jej wiekiem. Spokojny, czy też teatralnie rozśmieszony, to naprawdę właśnie on, zadawał jej pytanie: „Hej, to znowu ty?".

Więcej porozwieszanych w równej linii na ścianach obrazów było na następnym piętrze. Wraz z nieuchronnym starzeniem się malarza były coraz bardziej ciemne. Znów pojawiały się grymasy, dziwne miny, ale im starszy był na płótnie mistrz, tym bardziej wydawał się być sobą.

„Jesteś wariatem, już zupełnie zwariowałeś" – mówiła w myślach do niego. – „Musiałeś tak malować siebie ciągle. To musiało się toczyć każdego dnia. Pewnie każdego dnia wstawałeś, patrzyłeś w lustro i malowałeś siebie. Tylko po co? Co za mania. Byłeś opętany".

Starcze obrazy były już zupełnie spokojne, nie było już w nich żadnych dziwnych min. Rembrandt stał twarzą w twarz z Olgą i patrzył na nią, przeszywając wzrokiem. Nie mogła znieść widoku jego oczu, które ani razu nie mrugnęły. Rembrandt coś wiedział – myślała sobie i zdawało jej się całkiem racjonalnie, że wiedział o niej znacznie więcej niż ona sama.

– Głupi starcze… – wyszeptała, chcąc się przed tym wzrokiem bronić. – Głupi starcze, co się tak gapisz? Już zupełnie zwariowałeś – wyszeptała na głos. I dopiero po chwili doszło do niej samej, że to ona rozmawia z obrazem.

Rembrandt milczał obojętny na jej słowa, jakby w ogóle go nie obchodziły. Starzał się, milcząc i ciemniejąc na każdym płótnie, jakby się z nimi zlewał. Starzał się i stapiał z ciemnością jednocześnie.

„Dlaczego ty tak na mnie patrzysz? Czego ty ode mnie chcesz?!" – pytała, krzycząc na niego w myślach.

„Daj mi spokój, głupi starcze. Jesteś zwykłym wariatem" – myślała dalej, wodząc wzrokiem aż po koniec równego rzędu obrazów, aż do ostatniego, czarnego już prawie, ostatniego portretu Rembrandta.

Ostatni obraz wisiał trochę dalej niż wszystkie pozostałe. W złotej, ciężkiej ramie wyglądał, jakby za chwilę miał spaść, huknąć i rozpaść się na małe kawałki. Obraz jednak wisiał mocno i wcale nie chciał spaść.

„Co z ciebie za głupiec! Jak ty tutaj wyglądasz! Zestarzałeś się zupełnie i teraz już cię nie ma!" – krzyczała w myślach.

Ale Rembrandt tam był i patrzył na nią, śmiejąc się szyderczym starczym grymasem. Stapiał się już prawie z ciemnością, która go wchłaniała, ale mimo wszystko był, a ona czuła jego wzrok na sobie. I to jego ciągłe powitanie: „Witaj! O, to znowu ty?".

Śmierć na obrazie mistrza była już zupełnie namacalna. Nie tyle wchłaniała go jako wszechobecna czerń, ale stała tuż obok, naprzeciwko starca. Czekała na niego

spokojnie, jakby miała czas, czekała, aż będzie zupełnie gotowy. Rembrandt odchodził, już się do niej zwracał, patrząc na Olgę przelotem, ostatni raz. Śmiejąc się do niej, dałaby za to głowę, tylko do niej naprawdę ostatni raz.

Ale co to był za uśmiech? Odkrywał zęby, które poczerniały już zupełnie. Pomarszczona twarz, wielki nos, uniesione brwi.

„Dlaczego jest ci tak wesoło? Dlaczego się śmiejesz?" – pytała, ale za każdym razem odpowiedź była taka sama. Oczy mistrza bez mrugnięcia wpatrzone w nią, zdawały się mówić: „To znowu jesteś ty, po raz kolejny ty…".

Stary głupiec patrzył na nią, wiedząc o niej wszystko.

Stary głupiec uśmiechnął się po raz ostatni i nie powiedział już niczego.

„To znowu ty?" – utkwiło jej zdanie, które wypowiadała w głowie ciągle od początku i od początku, aż do zupełnego wariactwa.

Weszła do niewielkiej windy, która bezszelestnie zjechała w dół.

Tuż obok była toaleta. Na szczęście nie było w niej nikogo. To znowu ty?! – powiedziała głośno do siebie, widząc w lustrze swoją twarz. Łzy płynęły jej po policzkach, a ona zupełnie nie wiedziała dlaczego. Rozmazały cały tusz, który ściekał, za sobą rozmazując też puder. „To znowu ty?!". Brzęczało jej w głowie, kiedy patrzyła głęboko w swoje oczy w lustrze. Czy też może, jak u Rembrandta, te oczy patrzyły na nią?

„To znowu ty?!".

Zupełnie pomieszało jej się w głowie, kto tu był kim i kim była ona w rzeczywistości. Otworzyła kran, z którego zaczęła płynąć lodowata woda. Obmyła twarz, na której nie pozostało już nic z misternego makijażu. Tylko oczy miała jeszcze zupełnie czerwone, ale przestała już płakać.

Patrzyła jeszcze chwilę na swoją nieumalowaną, wymytą twarz. Czerwone, zapłakane oczy wydały jej się jakoś nieznajomo prawdziwe. Wyglądała tak, jakby miała trochę inną twarz.

Drzwi od muzeum rozsunęły się powoli. Na zewnątrz jak zawsze panował jednostajny gwar. Słońce, pierwszy raz od tak dawna, świeciło na jej zupełnie czystą twarz. Zaczęła iść wolno przed siebie, zupełnie nie wiedząc dokąd. Trochę zmęczona, powoli szła bez celu, jakby to miasto wiodło ją po swoich małych ulicach. Nie miała w głowie niczego. Tkwiła tam zupełna pustka, której nie zakłócała ani jedna myśl. Jej umysł odpoczywał, spał spokojnie, a ona jak małe dziecko gapiła się na to, co jest przed jej oczami, nie mogąc się nadziwić, jak intensywne kolory ma ten świat.

Szła, nie wiedząc, jak długo to już trwa. Doszła do Schodów Hiszpańskich, które znała z książek i nie mogła się nadziwić, że są tak wielkie. Usiadła, czując już zmęczenie i siedziała tak, patrząc na tłum. Ludzie zlewali się ze sobą i zamieniali w fale, które znikały gdzieś w ulicach. Z gwaru, szumu ulic nie można było usłyszeć ani jednego głosu, zdania czy też wyrazu. Cały ten gwar był zupełnie bezkształtny.

Siedziała i patrzyła na słońce, które powoli zaczęło zachodzić, różowiejąc z minuty na minutę.

Nie chciała nigdzie iść. Siedziała więc prawie w bezruchu, patrząc na to wszystko, co działo się obok. Jak zahipnotyzowana, jakby na wpół śpiąca czuła, jak jej ciało staje się ciężkie, zupełnie bezwładne i nie ma w sobie najmniejszej chęci, żeby wstać i gdziekolwiek iść. Tutaj było jej dobrze.

***

Położyła swoją torbę na taśmie z wagą. Tym razem ważyła trochę więcej niż przepisowe dwadzieścia kilogramów, ale kobieta za ladą udała, że tego nie widzi. Włoskie suszone pomidory i kilka innych smakołyków musiały ważyć swoje. Jak mogła o tym zapomnieć? Wygrzebała trochę wymiętą kartkę, która była wydrukiem biletu. Po odprawie postała kilka minut w kolejce do strefy bezcłowej i po krótkiej kontroli była już w środku. Miała przy sobie tylko lekką torebkę, w której nie było

prawie nic. Pomyślała wcześniej, że jeszcze raz tutaj kupi sobie kawę, coś słodkiego i tak po prostu sobie posiedzi.

„Co takiego dosypują do tej kawy?". Nie mogła tego rozgryźć, bo przecież ta sama w Warszawie smakowała zupełnie inaczej. „Czy było tu coś w wodzie? A może w tym powietrzu?". Pijąc swoje cappuccino, myślała, że chciałaby jeszcze kiedyś tutaj wrócić. Może jeszcze nie teraz, ale kiedyś – dlaczego by nie.

Teraz miała ochotę znów gdzieś jechać, znów coś zobaczyć, ale zupełnie nie wiedziała gdzie. Uznała, że pomysł przyjdzie sam w odpowiedniej chwili. Teraz wracała już do domu.

Kiedy na ekranie wyświetliło się, że samolot jest gotowy, wstała i zaczęła powoli iść. Zupełnie nie rozumiała, dlaczego kiedyś ją to stresowało. Miała na sobie zwykłą koszulkę i dżinsy, bo chciała, żeby w podróży było jej wygodnie. Nic nadzwyczajnego. Włosy tylko przeczesała i zebrała z tyłu w kitkę. Straciło na znaczeniu to, że koszulka była trochę wymięta.

W kolejce na samolot powrotny do Berlina czekał tłum i nie zapowiadało się, że jakieś miejsca będą jeszcze wolne. Olga usiadła i myślała nad tym, co ciekawego można zrobić z suszonych pomidorów. To takie dziwne, że widziała je już tyle razy i nigdy wcześniej ich nie kupiła. Dopiero tutaj, we Włoszech. Kiedy do drzwi doszła stewardessa, Olga wstała i stanęła na samym końcu, myśląc dalej, co zrobić z pomidorami i co jeszcze ciekawego zjeść. „Owoce morza w Grecji – to byłoby to!" – pomyślała i poczuła, jakby w głowie zapaliła jej się żarówka. Strzał w dziesiątkę – była tego pewna i jednocześnie poczuła, jak jej serce nagle przyśpieszyło swój rytm.

W kolejce, dwie, trzy osoby przed nią stał Michał. To musiał być on, była tego pewna, mimo iż nie widziała jego twarzy. To musiał być on. Te same szczeciniaste włosy, po których każdy wiedział, na której stronie spał. I tym razem – widać było wyraźnie – był to prawy bok. Wielkie, prawie rozsznurowane buty. Za duże,

opadające spodnie. Wygnieciona koszulka. Na jednym ramieniu plecak. On – wiedziała o tym doskonale.

„Co robić? Wyjść? Ukryć się?”. Jej ręce stały się mokre, a serce waliło jeszcze mocniej. „Co robić?”.

Odwrócił się, jakby chciał sprawdzić, czy coś ciekawego dzieje się obok. „Co robić?”.

Było już za późno, bo patrzył jej głęboko w oczy i nic nie mówił. Nie myślała. Mięśnie same bezwiednie ułożyły się w szeroki, zupełnie szczery uśmiech. Nie potrafiłaby go nawet powstrzymać. Wyszło samo.

Uśmiechnął się w odpowiedzi, jakby sam nie wierzył w to, co się dzieje. Trochę niepewnie, ale śmiał się nadal.

„Jakikolwiek by nie był” – pomyślała – „nie można powiedzieć, że jest przeciętny. A niech to, życie tak szybko ucieka”.

– To znowu ty?… – wyszeptała, nie przestając się śmiać.

PITER MURPHY

POWRÓT OJCA

Witaj, Córeczko.

Długo zwlekałem, aby przyjść do Ciebie. Miałem powody. Przyniosłem Ci kwiaty. Takie jak lubiłaś. Pamiętam, jak zrywałaś mamie stokrotki na łące i przynosiłaś mi je w swoich malutkich rączkach. Dlaczego odeszłaś tak szybko? Nawet nie zdążyłem Ci powiedzieć, jak bardzo Cię kochałem. Twojej mamie powiedziałem, ale teraz wiem, że jej również mówiłem zbyt rzadko i za późno. Kiedy pytałaś mnie, gdzie jest mama, co ja mogłem Ci powiedzieć? Oszukałem Cię i nie było mi z tym dobrze. Chciała żyć, ale jedna chwila przekreśliła jej życie, zmieniając nasze losy. Pytałaś, dlaczego mama śpi, kiedy się obudzi. Zadawałaś wiele pytań, a ja nie potrafiłem na nie odpowiedzieć. Tak mi przykro, że w Twoim krótkim życiu nie potrafiłem Cię wspierać. Mama chciała żyć, podobnie jak Ty. Tamtego dnia spieszyła się z pracy jak zawsze, aby się z nami zobaczyć. Pijany kierowca tira nie dał jej szansy na ratunek. Możliwe, że nawet nie czuła bólu. Ja również pytałem, dlaczego właśnie nas to spotkało. Pamiętasz, jak pokazywałem Ci chmury, mówiąc, że mama patrzy na nas z nieba? Starałaś się to wszystko ogarnąć swoim krótkim doświadczeniem. Uśmiechałaś się promiennie, machając do nieba i wołając: „Patrz, tato, mama się uśmiecha”. Kochanie! Moja dusza wtedy wyła, ale przyklejałem sztuczny uśmiech do twarzy. Pytałaś coraz rzadziej, a ja nie wiedziałem dlaczego. Chyba rozumiałaś mój ból.

Teraz sama na mnie patrzysz z góry. Uwielbiałaś, kiedy brałem Cię na ręce i wznosiłem jak najwyżej. Byłaś, jesteś i będziesz moim ukochanym dzieckiem. Całą swoją miłość przelałem na Ciebie. Byłaś bardzo podobna do mamy – czasami

nienawidziłem Cię za to, a jednocześnie kochałem. Kiedy się tuliłaś w moich ramionach, kiedy bawiliśmy się w berka, zawsze widziałem ją. Byłyście do siebie tak podobne. Byłaś tak radosnym dzieckiem. Uczyliśmy się żyć na nowo, każde z nas na swój sposób, bez tej trzeciej osoby. Błądziliśmy po omacku, szukając szczęścia w potwornym bólu. Teraz wiem, że przeżywałaś ból po swojemu. A ja znowu Cię zawiodłem. Nie potrafiłem sobie poradzić z myślami, że kiedyś znów zostanę sam. Nie wiedziałem wtedy, że Bóg planuje to tak szybko. Z wolą Boga zawsze przegrywałem. Nie było szans na kompromis. Byłem zbyt zadufany w sobie, buntując się i szukając innej drogi, nie chciałem zrozumieć. Chyba ciągle nie rozumiem… Co ja miałem Ci mówić, kiedy robiłaś się smutna w parku, gdy inne dzieci spacerowały z mamami? Pamiętasz jesienny dzień, kiedy podarowałaś mi w parku liście klonu, twierdząc z uporem, że one potrafią mnie rozweselić? Rozbawiłaś mnie tym tekstem. A nasze wygłupy, gdy się przekomarzaliśmy? Tak, kochanie… to był nasz świat, skurczony, ale nasz. Tak nam było lżej żyć. Zostałaś moją królową. Rozpieszczałem Cię, jak tylko potrafiłem, a ty oczekiwałaś ode mnie po prostu zwykłej ojcowskiej miłości.

Nauczyłaś mnie, Córeczko, tej siły, którą nosiłaś w sobie. Miałaś siłę, aby godnie znosić swoje cierpienia i jeszcze, aby pocieszać ojca, który nie potrafił ukryć buntu. Powtarzałaś: „Tatusiu, ja wyzdrowieję”. Dlaczego tak mówiłaś? Dałaś mi nadzieję. Ja ją tam w sobie pielęgnowałem i podlewałem każdej nocy obfitymi łzami. Ty wiedziałaś, że umierasz, prawda? Chyba znowu nie rozumiałaś czegoś, co się dzieje, ale byłaś pogodzona z rzeczywistością. Zdałaś celująco egzamin ze swojego krótkiego życia. A przecież miałaś wkrótce iść do szkoły, potem na studia. Miały być pierwsze randki i mąż. Ja bym z pewnością grał oburzonego ojca, a ty buntowniczą córeczkę. Miałem tyle planów… Byłoby fajnie wiedzieć, że jesteś gdzieś na wyciągnięcie ręki. To moja wina. Mówiłaś, że boli Cię główka, a ja myślałem o miliardzie innych spraw. Mało dostrzegałem Ciebie. Przez egoizm nie

zainterweniowałem na czas. Zabijałem Cię powoli. Diagnoza nie pozostawiała złudzeń. Wyrok bez nadziei. Lekarze mówili, że mogę liczyć na cud. Dlatego zagrałem z Bogiem. A on miał już plany. Teraz to widzę. Balansowałem na krawędzi rzeczywistości. Ukrywałem przed Tobą łzy, kochanie. Tak bardzo chciałem być dobrym ojcem, że przegapiłem Twoją chorobę. Kiedy w szpitalu pytałaś, co płynie w rurkach, ja mówiłem, że lekarstwo. Pamiętasz? Patrzyłem, jak zabijają Cię na moich oczach. Nie skarżyłaś się, byłaś taka dzielna. Widziałem uchodzące z Ciebie życie i prosiłem Boga, aby zabrał mnie. A Bóg milczał. W białej szpitalnej sali zaczęłaś nagle pytać o niebo, czy umieranie boli. Kochanie, teraz znasz odpowiedź. Pogrzebu prawie nie pamiętam. Tak musiało być, abym nie postradał rozumu. Maleńka, biała sosnowa trumienka, las ludzi, pamiętam czyjeś łkanie i potem długie nic.

Twój pokoik jest do dzisiaj taki, jakim go opuściłaś, gdy wyjeżdżałaś na ostatnią chemię. Jest w nim Twój ukochany miś – Kubuś, są zasuszone liście z naszego spaceru i Twoje zdjęcia. I jest przeklęta cisza, której tak nienawidzę. Rzadko tam wchodziłem. Bałem się otwartych drzwi i przeklętej ciszy zaczarowanej w moich oczekiwaniach. Nie zawsze miałem siłę, aby wierzyć, że stanie się cud.

Jestem tutaj, aby znowu się z Tobą pożegnać, na swój sposób. Nigdy nie nauczę się z tym żyć, to już wiem. Zresztą ja już od dawna nie żyję. Proszę o jedno. Wybacz mi, Kochanie, i wybacz mamie. Scenariusz naszego życia nie przewidywał takiego zakończenia. Ale to nie my go pisaliśmy.

Ja po Twojej śmierci popadłem w obłęd. Nie wiem, dlaczego to robiłem. Chodziłem po parku, po którym stąpały twoje małe nóżki. Nie chciałem tego robić. Nie mogłem patrzeć spokojnie na szczęście innych.. Pamiętam twarz pierwszej dziewczynki i jej delikatne pytanie – dlaczego? Nie chciałem, aby cierpiały. Zawsze wybierałem podobne do Ciebie i mniej więcej w Twoim wieku. Po śmierci pierwszej poczułem się lepiej, chociaż przez parę nocy mi się śniła. Złapano mnie po paru miesiącach. Nie byłem ostrożny. Sąd nie rozumiał, że robiłem to, aby nie cierpiały

jak Ty. Skierowano mnie do szpitala psychiatrycznego, a potem do więzienia. Dwadzieścia pięć lat w celi nie zmieniło mnie tak bardzo, jak powinno. Wierzyłem, że to moja misja. Kiedy opuściłem mury więzienia, wiedziałem, że będę robił to dalej. I stał się cud. W momencie kiedy przestałem w niego wierzyć i na niego czekać… Poszedłem do parku, szukając Ciebie. I znalazłem. Dziecko było z mamą. Była ubrana w jasny płaszczyk i niebieskie kalosze. Miała niebieskie oczy i była taka radosna. Stałem nieopodal, czekając na ten moment, kiedy będę mógł jej pomóc. Stałem, czekałem i patrzyłem. W pewnej chwili dziecko spojrzało na mnie i wyczytałem w jej oczach miłość. Wyczytałem w nich Twoje spojrzenie i prośbę – nie rób tego. Chyba zemdlałem. Nie wiem, jak długo tam leżałem. Byłem ukryty za kępą modrzewi, prawie niewidoczny. Poczułem ulgę. Świat nagle dał mi jasną odpowiedź. Zrozumiałem, kochanie… dlatego tutaj jestem. Muszę to zakończyć. Zobacz, co mam. To pistolet. Wiem, że zwykły i nabyty nielegalnie, ale czy to ważne? Za chwilę będziemy razem. Ty jesteś aniołem, a ja diabłem, ale może spotkamy się gdzieś po drodze? Ja, Ty i mama. Kocham Was… Czekacie na mnie? Powiedz, że czekacie.

Żegnaj, Córeczko. Kochałem Cię…

AGNIESZKA STEUR

OPOWIEŚĆ TRZECIEGO STOPNIA

Niewiele wiem. Niewiele pamiętam. Właściwie nic nie potrafię. Taka jest prawda. Jeszcze do niedawna nie spodziewałem się niczego, również niczego nie chciałem. Byłem, to wystarczyło.

Jestem już stary, natarczywie zaczynam to odczuwać każdą częścią mego istnienia. Drewniane deski, z których jestem zrobiony, oddalają się od siebie coraz bardziej, wpuszczając do wnętrza promienie słońca. Staję się jaśniejszy. Poznaję siebie od środka. Jednak razem ze słońcem do mego wnętrza dostaje się coraz więcej brudu, kurzu, piasku i ziemi. Pewnie taką cenę płaci się za możliwość spojrzenia w siebie.

Czuję, że właśnie teraz nadszedł czas, bym opowiedział moją historię. Wydaje mi się, że mam ponad sto lat, jednak całkowitej pewności nie mam. Dopiero niedawno zdałem sobie sprawę z tego, że istnieje coś, co inni nazywają czasem. *Istnieje… czas…* – co to znaczy? *Wcześniej*, czyli nie *teraz*, nie myślałem o tym; nie miało to znaczenia. Coś takiego jak *wcześniej* czy *później* nie istniało, nie musiało. Bardzo długo wszystko było *teraz*, a jeśli wykraczało poza teraźniejszość, przepadało. To, że jest inaczej, uświadomiły mi moje dwie przyjaciółki – czółenka w rozmiarze 36. Od nich zresztą dowiedziałem się znacznie więcej. Opowiedziały mi o świecie, który jest *poza*, znajduje się wyżej niż dziesięć centymetrów nade mną.

Istnieję przy ulicy Wiklinowej nr 9. To też wiem od przyjaciółek, bo natura ma nigdy nie pozwalała mi wychodzić na zewnątrz. *Zewnątrz* to dla mnie niezwykle intrygujące pojęcie. Przez wiele lat całym moim światem był parter kamienicy, a jedyne, co mnie określało, to moje *jestem*, nie liczyło się nic ponad nim.

Jestem trzecim stopniem na schodach parteru. Gdy pojawiłem się w kamienicy, byłem koloru drewna, z którego zostałem stworzony. Tak sądzę, bo od tamtego czasu wielokrotnie przemalowano nas wszystkie. Jednak im dłużej się zastanawiam, tym mniejszą mam pewność. Zapamiętywanie takich informacji w mym przekonaniu nie miało znaczenia. Teraz mi tego żal. Wiem za to na pewno, że jestem zrobiony z dębowego drewna. Skąd to wiem? Schody po prostu to wiedzą.

Poniżej mnie istnieją dwa stopnie, a powyżej chyba dwanaście, ale tak daleko nie sięga mój wzrok, więc muszę wierzyć słowom mych przyjaciółek, które wiedzą o czternastu. Czasem staram się liczyć ich kroki i z tego wywnioskować, ile nas jest, ale słuch mam już nie najlepszy, a one często przystają, więc gubię się w mych obliczeniach. Czy ilość ma znaczenie? Jeden więcej, dwa mniej? Czy schody byłyby takie same, gdyby mnie nie było?

Na parterze znajduje się sześcioro drzwi. Jedne prowadzą na zewnątrz, a za pozostałymi pięcioma mieszkają buty. Nie poznałem ich bliżej, bo prawie nigdy nie używają schodów. Nade mną na pewno jest znacznie więcej drzwi. Domyślam się tego z ilości butów, które codziennie się ze mną spotykają. W mej opinii znam je dość dobrze, nawet jeśli zbyt często nie rozmawiamy. Wiem, które są stąd, a które przychodzą tu tylko czasami. Teraz zwracam uwagę na wszystko, co się na mnie i wokół mnie dzieje. Zapamiętywanie stało się istotą mego istnienia. Tak jak wcześniej było nią zapominanie.

Pamiętam, są tutaj takie czarne lakierowane buty w rozmiarze 42, które wciąż chodzą w towarzystwie parasolowego szpica. Przychodzą zawsze czyste i błyszczące, ale są coraz mniej pewne. Ten, kto je zamieszkuje musi już długo istnieć, wyjaśniły mi to moje przyjaciółki. Ponoć, gdy buty się starzeją, używają parasola albo laski do podpierania się. To znaczy, nie gdy buty się starzeją, tylko istota, która w nich mieszka. Nadal to wszystko mi się myli. Nie tak dawno lakierowane buty rozmiaru 42 przystanęły akurat na mnie i parasol wbił się tak głęboko, że do teraz to czuję.

Widuję też tenisówki. Z nimi w ogóle nie można się dogadać, przemieszczają się bardzo szybko, zawsze jest im śpieszno. Niekiedy nawet nie mają czasu nadepnąć na wiele stopni. Może właśnie dla nich ilość nie jest ważna? Piąty stopień mówił, że tenisówki coś rzuciły na niego i to już na zawsze z nim zostało. Pomimo regularnego mycia. Pasjonujące! Regularne mycie. Tak, to lubią wszystkie stopnie. W niewielu kwestiach się zgadzamy, ale w tej jednej nigdy się nie sprzeczamy. Zazwyczaj myją nas kapcie, nie buty. To taka odmiana obuwia, która jest bardzo miękka. Przyjemnie się z nimi rozmawia, ale trudno się zaprzyjaźnić, ponieważ w dniu, w którym odbywa się sprzątanie, pojawiają się za każdym razem inne, nowe. Najpierw nas zamiatają z piasku i ziemi, a potem wycierają mokrą tkaniną. Ten materiał coraz ładniej pachnie. Przyjemne zdumienie tym, co tak zwyczajne, codzienne… a z czasem staje się niezwykłe. Niczego nie chcę pogubić, przeoczyć tego, co ważne. Fascynujący jest fakt, iż kapcie nigdy nie wychodzą za szóste drzwi, prowadzące na zewnątrz, dokładnie tak jak ja.

Butów jest wiele. Są takie na szpilkach, które chodzą szybko i dotykają nas tylko noskami. Znacznie rzadziej widujemy obcasy. Zdarza się, że buty na szpilkach przychodzą z innymi, różnymi, a później te towarzyszące odchodzą same. Buty mają dziwne zwyczaje.

Człapią też takie na grubej podeszwie. Nie lękam się ich, ale razem z nimi chodzą cztery łapy. To prawdziwa udręka wszystkich schodów razem i każdego z osobna. One to dopiero mają dziwaczne zwyczaje. Te ułapione, warczące stworzenia są takie nieznośne, istne utrapienie!

Bardzo długo tkwiłem w przekonaniu, iż buty to istoty, które zamieszkują wnętrze kamienicy. Jednak dzięki mym przyjaciółkom pojąłem, że do butów wchodzą istoty, które to w rzeczywistości mieszkają za drzwiami. W mym odczuciu to skomplikowane… Możliwość zmiany miejsca daje im poniekąd prawo do uważania tego miejsca za swoje. Niestałość i ciągła zmienność czynią własność.

Dlaczego nie to, co stałe…? Ale ja tak dumam i dochodzę do wniosku, że to jednak ma nieruchomość daje nam, schodom, większe prawa. My prowadzimy, wyznaczamy kierunek i pomagamy dotrzeć wyżej każdemu, kto na nas stanie.

Gdy czółenka opowiedziały mi o tym, że wszystko wokół się zmienia, porusza, przemieszcza, o tym, że istnieje świat *poza*, przypomniały mi się zdarzenia z mej przeszłości. Wróciło do mnie *kiedyś*; moje własne *kiedyś*.

To było w nocy, wokół panowała ciemność, dawno temu, prawie na samym początku mego istnienia. Pamiętam przyjemny spokój do chwili, gdy przebiegły po nas ciężkie, skórzane buty. Przeczuwałem, że są złe. Chwilę później ze schodów zbiegły inne buty, próbując nie robić hałasu. Teraz wydaje mi się, że i my się staraliśmy, by tych butów nie było słychać, choć do końca nie wiem dlaczego. Chwilę potem już zupełnie nic nie słyszałem, żadnych kroków i nagle… Poczułem przepływającą przeze mnie energię. Potem to uczucie odeszło. Teraz już wiem, że stanęła na mnie jedna z tych istot, które mieszkają w butach, tyle że ona wówczas w nich nie była. Moje przyjaciółki mówią, że to możliwe, ale bardzo rzadko się zdarza. Potem ciężkie buty zeszły razem z grupą innych i już nigdy nie wróciły.

To fascynujące, że coś, co dzieje się *teraz* może wywołać wspomnienia tego, co wydarzyło się *kiedyś*. Świadomość ta wypełniła mnie nadzieją, że przypomnę sobie to, co zignorowałem kiedyś. Niedawno przystanęły na mnie buty rozmiaru 37. Takie całkiem zwykłe, delikatne, na płaskim obcasie i tupnęły na cztery łapy, które nie chciały iść na górę. To tupnięcie przypomniało mi kolejne zdarzenie z *kiedyś*.

Było późno, ponuro i zimno. Dotknęły mnie buty w rozmiarze 43, trochę zaniedbane. Czuję, że ich nie lubiłem. Chwilę stały, potem tupnęły, a istota w nich coś krzyknęła. Po czym odwróciły się i odeszły. Gdy tylko zniknęły mi z pola widzenia, przystanęły na mnie inne buty, może nawet te same, które niedawno groziły czterem łapom. Stały nieruchomo i nagle, podobnie jak te większe, tupnęły, odwróciły się i poszły na górę. Nic z tego nie rozumiałem. Myślałem, że tak do siebie

mówią. Teraz już wiem, że to było coś innego – *odchodzenie*. Rozmawiałem z moimi przyjaciółkami i one mi wszystko wyjaśniły. *Kiedyś* buty większe tupiące i te mniejsze delikatne mieszkały razem, były dla siebie bardzo ważne. Jednak pewnego dnia te większe ponoć znalazły lepsze miejsce i tam właśnie odeszły. Słyszałem, że te, które tu zostały, bardzo cierpiały. Zatem *odchodzenie* boli. Mogę to sobie chyba już wyobrazić. Odchodzi się, tupiąc i cierpiąc. *Odchodzenie* jest głośne. Buty odchodzą, już ich nie ma, a czas płynie dalej.

Czas dla nas nie jest ważny, ważne są natomiast wymiary, to wie każdy. Stopień nie może być za wysoki, buty miałyby wówczas strapienie, z trudem się unosząc. Nie powinien być też za niski, gdyż byłoby nas o wiele więcej, buty wówczas bardzo by się umęczyły. Każdy stopień powinien natomiast mieć od 14 do 20 centymetrów, ani więcej, ani mniej. Żaden z nas nie może być zbyt wąski, powinien wynosić od 25 do 35 centymetrów, bowiem każdy but bez wyjątku powinien mieć możliwość choć na chwilę przystanąć.

Wszyscy jesteśmy tacy sami i wszyscy o tym wiemy. Skąd? Po prostu taka jest natura schodów. Mimo jednakowości, spory o to, który z nas jest najważniejszy, nie cichną. Chodzi o to, że pomimo mego zdumienia, paramy się tym zajęciem dzień w dzień. Pierwszy uważa, że jest najważniejszy, bo od niego wszystko się zaczyna, twierdzi, że gdyby go nie było, nie istniałby żaden z nas. W mym przekonaniu to absurd, gdyby nie było tego pierwszego, na jego miejscu byłby inny. Być może wtedy drugi byłby pierwszym, a ja drugim? Nie jest mym zamiarem rozważanie, co by było, gdyby… Pragnę jedynie opowiedzieć to, co wiem.

Wczoraj słyszałem, jak piąty krzyczał, że dziewiątego w połowie zastąpiono, ponieważ zrobiła mu się dziura. Dziury nie wróżą nic dobrego. Szpary należące do mnie robią się coraz większe i zapewne właśnie z nich powstają nasze zgryzoty. Z pierwszym też nie jest dobrze, może ta ważność tak go wyczerpuje. Drugi wygląda

trochę lepiej, ale z nas wszystkich najlepiej trzyma się czwarty. Twierdzi, iż buty go omijają.

Na początku naszej znajomości przyjaciółki opowiadały, że mieszkająca w nich istota jest prawie tak stara, jak my, schody. Wtedy począłem uświadamiać sobie, czym jest *czas*. Istota zamieszkująca me przyjaciółki porusza się bardzo wolno, dlatego mamy z czółenkami tyle chwil na pogawędki. *Czas* niczym powietrze wpuszczone przez zewnętrzne drzwi nie da się zatrzymać!

Czółenka poinformowały mnie, że gdy trafiły do swej istoty, stały bez ruchu obok innych butów. Były z istotą, ale istota jeszcze w nich nie mieszkała, trochę to dziwne, ale teraz dowiaduję się wielu dziwnych rzeczy. Gdy moje przyjaciółki opowiedziały mi o ich poprzednikach, wiedziałem już, o kogo chodzi. Zdałem sobie sprawę, że je kiedyś poznałem, że istota pozostała ta sama, zmieniła jedynie obuwie. Chciałem sobie wszystko przypomnieć, ale niekiedy jest to takie trudne, szczególnie że kiedyś nie starałem się czegokolwiek zapamiętać. Nie wiedziałem, że trzeba. Skoro istota mych przyjaciółek jest tutaj od tak dawna, powinienem znać jej inne buty.

Przypominanie jest trudne… Wydaje mi się, że kiedyś były butami sportowymi, które się na mnie potknęły, ale zaraz potem zaczynam w to powątpiewać i już sam nie wiem. Być może to były też maleńkie buciki dawno, dawno temu, ale właściwie… ani jednych nie pamiętam. Zresztą nawet teraz chyba nie odwiedzają mnie żadne takie. Kiedyś, być może… Szkoda, że na początku mego bytu nie wiedziałem tego, co teraz. Wszystko dochodziło do mnie dość powierzchownie, nic mi nie ciążyło. To był urok niewiedzy.

Dla stopnia najważniejszy jest kształt, sześcienna doskonałość, aby nie być węższym ani szerszym niż ten powyżej, a już z całą pewnością niż ten poniżej. Wszyscy razem, wszyscy zależni, a każdy sam. Ze stopniami powyżej rozmawia się bardzo trudno. Każdy pilnuje swoich interesów i nie mam z kim omówić mych

odkryć; doskwiera mi pojedynczość w naszej naturze mnogości. Przecież do tej pory z mym bytem wiązało się tylko wnętrze kamienicy i to bardzo dokładnie określone, dla nich nadal tak jest…

Jednak coś innego leży w naturze stopni, w mej naturze. Walczę z tym od chwili, gdy zacząłem podążać za mymi wspomnieniami. *Kolejność* jest najważniejsza. Być może jest tak ważna, bo niezmienna. Daje miejsce w rzędzie; najważniejsze i niepodważalne, pewność istnienia – numer! Stopień, który jest drugi, nigdy, przenigdy nie będzie trzeci, a czwarty nie będzie drugi. Miejsce, które zyskaliśmy dzięki temu, kto nas stworzył, nie może się zmienić. Schody, te na początku, twierdzą, że one są najważniejsze, natomiast te z końca, że one i nie można ustalić, czy pierwszy jest najlepszy, czy może dwunasty…

Stopnie wciąż się o to kłócą. Szczególnie, iż pierwszy z ostatnim nigdy nie rozmawiał, bo są od siebie za bardzo oddalone. Najgorszy jednak jest szósty. Nie tylko kłóci się najwięcej i najdłużej, ale co gorsza twierdzi, że wcale nie jest szósty, lecz siódmy. Doprowadza tym do furii siódmego. Scysja trwa przez *nieskończoność*. Zaczynam odczuwać, że faktycznie *nieskończoność* istnieje w wydaniu sprzeczających się stopni. Szósty twierdzi, że bez wątpienia jest najważniejszy, bo wszystkie buty go używają i że jeśli przystają, to właśnie na nim. Twierdzi, że musi być siódmy, ponieważ jest doskonały i tylko nieparzyste to prawdziwe stopnie. Bzdura! Drażniło mnie to, ale teraz bardziej zajmuje mnie wszystko, co *poza*, nie udowadnianie, który jest najważniejszy.

Przypomniało mi się coś jeszcze… To były buty jednostronne, co bardzo rzadko się zdarza. Wchodzą i już nigdy nie wychodzą. Były jednostronne, bardzo wolne i na dodatek maleńkie. Nic nie mówiły, przystanęły na mnie, przystawały chyba na każdym stopniu i milcząc odeszły. Nigdy więcej już ich nie widziałem. Dlaczego nie wyszły? Nic z tego nie rozumiałem. Dopiero czółenka wyjaśniły mi, że to buty istot

najmłodszych, a myślałem, że żadne po mnie nie chodziły, a jednak… One potrafią wchodzić, ale jeszcze nie schodzić, czyż to nie zajmujące?

Ja się nie sprzeczam, wiem, że jest wiele innych zajęć, znacznie ciekawszych od kłótni, na przykład rozmowy z moimi przyjaciółkami. One wiedzą tak dużo, tak wiele widziały. Teraz opowiadają mi, dokąd chodzą na spacery. To takie fascynujące; poznają różne miejsca, a tych miejsc jest niezliczona ilość. Cudowna niepoliczalność! Jeszcze nie jestem w stanie sobie tego wyobrazić – różnych miejsc ani niezliczonej ilości… czegokolwiek. Może zacznę od wyobrażenia sobie niezliczonej ilości stopni. Powinno mi się udać. Potem spróbuję z czymś *poza*.

Lakierowane buty rozmiar 42 odeszły. One też nie wrócą… Przystanęły na mnie, wbiły parasolowy czub i po raz pierwszy rozpoczęły rozmowę. Opowiadały o tym, co znajduje się na zewnątrz, o błyszczących schodach z kamienia, po których dziś stąpały. Rozmawialiśmy bardzo długo. Buty zamartwiały się, że z istotą w nich dzieje się coś złego. Miały rację. Nagle obróciły się, po czym osoba w nich objęła poręcz i wolno osunęła się na piąty stopień. Oparła głowę o ścianę i cicho westchnęła. Parasol, szeleszcząc, upadł na podłogę przed pierwszym stopniem. Czółenka wyjaśniły mi, co się stało. To było *odejście* – koniec istoty. Buty już wówczas nie są potrzebne… schody też nie; a więc odejścia mogą też być takie ciche? Z jednym westchnięciem i już? Te w krzyku i tupaniu wydały mi się takie… odpowiednie, najstosowniejsze. No i znów nic nie rozumiem. Wydawało mi się, że pojmuję, a tyle jest jeszcze do zrozumienia. Na przykład zadziwiająca jest ilość butów, które pojawiły się tuż po *odejściu* istoty, zamieszkującej lakierowane. Wchodziły i schodziły, przystawały, wzdychały, ale te w rozmiarze 42 cierpliwie czekały, aż zejdą niesione przez inną istotę.

Czasem nachodzi mnie obawa, czy zdołam wszystko pojąć. Jak poukładać całą wiedzę na temat tego, co przyszło *spoza*? Czy zapamiętywanie ma sens, skoro tak boli to, co przywołuje… Musi mieć znaczenie.

Tyle już za mną, tak wiele odeszło. Nadejdzie nowe.

Wysłucham, spamiętam?

Opowiem.

MARTA KUSZ

IRONIA LOSU

Z PAMIĘTNIKA ELWIRY

Zaczęło się tak, że spotkałam go na imprezie u koleżanki. Przystojny, z dobrymi manierami, sympatyczny, świetnie ubrany i, o dziwo, bardzo miły dla mnie. To była zdecydowanie mieszanka wybuchowa. I choć otaczał go wianuszek dziewczyn ślicznych jak z okładek czasopism modowych, to i tak raz po raz czułam jego wzrok błądzący gdzieś po mojej twarzy. Robiło mi się gorąco i moje postanowienie niezakochiwania się w niższych ode mnie chłopakach legło w gruzach. To było silniejsze ode mnie.

Żeby nie było zbyt słodko, przez kilka dobrych miesięcy mogłam tylko o nim marzyć. Drugi rok studiów, nauki więcej niż w poprzednich semestrach, przedmioty, które nijak się miały do wiedzy zdobywanej w liceum. Nie miałam czasu, by śledzić go w jego rejonach miasta (a gdy już odwiedzałam odpowiednie sklepy czy ulice, to i tak nie miałam szczęścia minąć go choćby na ulicy), nie dałam rady znaleźć go też przez portale społecznościowe. Wcześniej wspomniana koleżanka, Agata, nie znała Krzysztofa (bo tak miał przystojniak na imię) i też nie miała czasu na poszukiwania, a poza tym uważała, że chłopak jest gejem i nie jest wart uwagi, choćby najmniejszej.

Jednak okrutny los uśmiechnął się do mnie wtedy, gdy najmniej się tego spodziewałam. Kilka dni po pierwszym zaliczonym egzaminie, a zaraz przed trzecim (ogłoszenie wyników w takim momencie dekoncentruje, ale również uskrzydla), czyli w środku sesji, dostałam SMS od Agaty z propozycją spotkania na jej imprezie kierunkowej pod nazwą: „Koniec sesji początkiem nowego, lepszego życia”.

Szczerze? W tym momencie nie w głowie mi były imprezy, czytaj: chłopcy, alkohol i tańce. Chciałam jak najlepiej zdać egzaminy, by w końcu dorobić się stypendium i udowodnić starszemu rodzeństwu, że potrafię. Odpisałam coś w stylu: „Owszem, jak zdam wszystkie egzaminy na piątkę. A teraz nie dekoncentruj mnie, bo za dziesięć minut wchodzę na salę! :P" i wyłączyłam telefon. Zatem odpowiedź zwrotna: „Krzyś będzie tam na 99%, więc się staraj" została przeczytana jakieś dwie godziny później.

– Halo, Agata? Ale kiedy ta impreza? – zaczęłam natychmiast rozmowę. Oczywiście należy wspomnieć, że Agata odebrała po szóstym sygnale.

– No proszę… – drażniła się jak kotka. – Wiedziałam, że tak zareagujesz. Jak egzamin?

– Egzamin jak egzamin, do dupy. Prawie nic nie ściągnęłam, trochę lania wody…

– Czyli nie przyjdziesz na imprezę? – przerwała mi w pół zdania. Usłyszałam ten jej ulubiony jęk współczucia.

– Oj, weź nie katuj! Sorry za pierwszy SMS, ale naprawdę wybrałaś genialny moment na takie rewelacje. Proszę, powiedz, kiedy ta impreza, może akurat uda mi się wyrwać. Dobrze wiesz, że chcę tam być. I wiesz aż za dobrze dla kogo.

– Dla mnie? No skoro tak mnie kochasz i nie możesz beze mnie wytrwać sesji – co jest zrozumiałe – to wiedz, że nasza sesja kończy się jutro, a więc wieczorem spotykamy się na rynku i najprawdopodobniej idziemy do Ministerstwa. Już ci nie przeszkadzam. Jak się zdecydujesz, to pisz. Miłego dnia! – I się rozłączyła. Oczywiście po kilku godzinach odpisałam, że zaszczycę ich swoją obecnością. To nic, że tego dnia miałam egzamin, a następnego kolokwium poprawkowe. Musiałam zapanować nad tym chaosem, by znowu go zobaczyć. Wiele się od tego czasu zmieniło.

Choćby to, że trochę schudłam, zmieniłam fryzurę i odświeżyłam garderobę (mieszkanie w wielkim mieście ma ten plus, że wszystkie sklepy są pod ręką i można sobie pomarudzić i szukać do woli). Jednym zdaniem: szykowałam się na ten moment, kiedy w końcu ujrzę go po raz drugi. Wtedy za szybko wyszłam, bez pożegnania, on akurat z kimś tańczył, a ja byłam strasznie zakompleksiona. Miałam beznadziejne wakacje, więc nie dawałam większych szans powrotowi do Krakowa. Ale wyszło tak, że większa ilość zajęć trzymała mnie z dala od jedzenia. Treningi siatkówki były naprawdę wyczerpujące i obiecałam sobie już nigdy więcej nie pić piwa. W czym wytrwałam, o dziwo. No i za pieniądze zarobione za granicą mogłam trochę zaszaleć na zakupach. W końcu ubierałam się dokładnie tak, jak chciałam. Gdy wieczorem następnego dnia byłam już prawie gotowa do wyjścia i przejrzałam się w lustrze, zobaczyłam się prawie taką, jaką chciałam się widzieć.

Miałam wciąż trochę za dużo krągłości tu i tam, jednak po wielu latach na swoje miejsce powróciła talia. Do tego miałam na sobie sweterkową sukienkę z długim rękawem i pokaźnym golfem w kolorze głębokiego fioletu. Na twarz opadała asymetryczna grzywka zaczesana trochę na bok, idealnie komponująca się z aktualną długością moich jasnych włosów. Do tego zrobiłam sobie wyraźny, ale nie krzykliwy czy kolorowy makijaż. Raczej takie przydymione oko plus malinowe usta. A w uszy wpięłam duże okrągłe koła ze złotymi, fioletowymi i różowymi koralikami. Obowiązkowo do takiej kreacji rajstopy z kwiecistym wzorkiem i zamszowe czarne buty na wysokim obcasie. To nic, że przez przygotowania na imprezę prawie nic nie powtórzyłam na kolokwium. Jego wynik pozostawiłam losowi. Niech się dzieje wola nieba. I nawet trzeci termin.

Na rynku byłam trochę za późno. Wszyscy już kłócili się o to, który klub jest lepszy. Chciałam przyjść jako jedna z pierwszych, żeby spotkać się z Agatą i być zauważoną przez Krzyśka. Jak się po chwili okazało, niepotrzebnie się martwiłam.

– Mmm, jaka laska. Agata, przedstaw nam swoją koleżankę – usłyszałam, podchodząc do koleżanki stojącej na obrzeżu grupy w asyście kilku przystojnych kolegów. Cała ona.

– Chłopcy, Elwira. Elwira, chłopcy – Agata jak zwykle popisała się dobrymi manierami. Zaraz po tym w moją stronę wysunął się las rąk. Gdy już z wszystkimi się przywitałam i nie zapamiętałam ani jednego imienia, kątem oka zauważyłam Krzyśka w towarzystwie jakiejś długonogiej brunetki. Cała moja odwaga i nadzieja rozpłynęły się w powietrzu tak szybko, jak się pojawiły.

– Elwira, spokojnie. Oni nie są parą – pocieszyła mnie Agata. Oczywiście zauważyła mój cielęcy wzrok skierowany w stronę niepozornego chłopaka, ubranego w modną ciemnozieloną kurtkę i dżinsy rurki. Na nogach miał porządne zimowe półbuty z jasnobrązowej skóry. Zatem wszystko według najnowszych trendów. Gęste, czarne włosy miał fantazyjnie zaczesane do tyłu jak mężczyźni z czarno-białych filmów. Biały powalający uśmiech na jego idealnych ustach spowodował nieokiełznane poruszenie motyli w moim brzuchu. Oczywiście ten uśmiech nie był przeznaczony dla mnie. Choć stałam przed nim na tym cholernym mrozie w byle jakim płaszczyku „oficerskim", wystrojona od stóp do głów, już od dobrych siedmiu minut, to jego wzrok ani przez chwilę nie skierował się w moją stronę.

– Chodźmy do Ministerstwa, tak jak zawsze! – krzyknęła Agata i, o dziwo, posłuchano jej. Jej mina wyrażała pełną determinację i pewność siebie. Ta to wie, jak zostać zauważoną.

Po pięciu minutach byliśmy już w podziemiach Krakowa, w klubie, gdzie kręcono kilka „hardkorowych" teledysków i gdzie spotkałam Krzyśka po raz pierwszy. Dziwnym trafem Agata znalazła nam takie miejsce, że po drodze z naszego kąta do baru i na parkiet, mijałyśmy bezpośrednio stolik Krzyśka i jego znajomych. Jednak nawet to nie wywołało jakiejkolwiek reakcji ze strony bruneta. On mnie chyba po prostu nie pamiętał…

***

Minęły prawie trzy godziny, kiedy obok mnie na parkiecie pojawił się Krzysiek. Bez koleżanki, co ciekawe. Tańczyłam akurat z kolegą Agaty, o imieniu… Paweł, chyba. Udawałam, że go nie zauważyłam. Postanowiłam zachować resztki godności i mimo wszystko dobrze się bawić. Było już grubo po północy, więc powoli powinnam zbierać się do wyjścia. Jako jedyna tutaj nie miałam sesji za sobą. Myśląc tak, nie zauważyłam, że piosenka dobiegała już końca, a Paweł chciał ukraść kolejny wspólny taniec.

– Odbijany?

Zdezorientowana, nagle wypuszczona z ramion chłopaka, wpadłam wprost na ślicznego bruneta, który teraz uśmiechał się do mnie uwodzicielsko. Purpurowa na twarzy wymruczałam pod nosem liche przeprosiny. Krzysiek nie przejął się tym szczególnie i nim zdążyłam zrobić cokolwiek konstruktywnego (powiedzieć „cześć", powiedzieć „co u ciebie?", powiedzieć cokolwiek!, odsunąć się na bezpieczną odległość), już tonęłam w jego ramionach. Przytuleni ciasno, gdyż tego wymagała sytuacja na parkiecie, poruszający się po jak najmniejszej powierzchni, lekko bujając się do taktu muzyki, milczeliśmy. Krzysiek, jak gdyby nigdy nic, owijał mnie wokół palca, kręcąc mną piruety czy przyciągając lub oddalając od siebie. Muzyka była jakaś latynoska… Nie zapamiętałam żadnego szczegółu, ani jednego słowa czy nawet rytmu. W głowie miałam tylko szum, a wzrok sięgał jedynie do twarzy partnera. Dalej mógł palić się świat.

– Pamiętasz mnie jeszcze z tej imprezy w październiku? – spytał Krzysiek, gdy muzyka cichła i piosenka powoli dobiegała końca.

– Chciałam spytać o to samo.

Uśmiech na jego twarzy mówił wszystko. Cały ten wieczór bawił się ze mną w kotka i myszkę, czekając aż zmięknę. Ostatni raz okręcił mnie w miejscu i przyciągnął do siebie.

– A więc mamy wiele do nadrobienia.

– A co na to twoja dziewczyna? – ochłodziłam nieco atmosferę. Jakoś nie mogłam uwierzyć, że nagle znalazłam się w środku bajki, którą zakończy legendarne: „i żyli długo i szczęśliwie”.

– To ja mam dziewczynę? – zdziwił się Krzysiek. – Interesujące…

– Skoro tak, udajmy, że nie było tego pytania.

– Jakiego pytania?

Roześmiałam się, patrząc na poważny wyraz twarzy chłopaka. Nie zmienił się nic a nic od naszego ostatniego spotkania. A do tego wykonał pierwszy krok. Coraz bardziej traciłam dla niego głowę. Miałam tylko nadzieję, że po drodze niczego nie zepsuję i nie zrażę go do siebie.

– Powiedz mi, w jaki sposób chcesz nadrobić te stracone cztery miesiące?

– Przede wszystkim, dziś wieczorem już nie wypuszczę cię z rąk. Potem coś wymyślimy. Co robisz jutro?

– Rano piszę kolokwium poprawkowe – odpowiedziałam zgodnie z prawdą. Niech ma wyrzuty sumienia.

– Co?! Serio? O której? – na czole Krzyśka pojawiła się zmarszczka od intensywnego myślenia. Zabawnie wyglądał z taką poważną miną.

– O ósmej. Ale to nic, po prostu wyśpię się po kolokwium.

– A pojutrze też masz jeszcze coś na uczelni? Jakiś egzamin, kolokwium?

– Nie, najprawdopodobniej wtedy mam wolne.

– No to widzimy się jutro wieczorem.

***

Do samego rana uczyłam się o zanieczyszczeniach gleby, wody i powietrza. Wiedza nijak nie chciała wchodzić mi do głowy, więc przechodziłam ogromne katusze, chcąc przyswoić choćby najbardziej ogólne informacje. Wciąż nie mogłam

uwierzyć, że jeszcze cztery godziny temu stałam przed akademikiem razem z Krzyśkiem, a siarczysty mróz smagał nasze policzki. Piłam właśnie drugą kawę, rozpamiętując nasze pożegnanie, gdy zadzwonił budzik koleżanki, która z głośnym jękiem zbudziła się z, jak było widać, całkiem przyjemnego snu.

– Ty jeszcze w ubraniach? – spytała, gdy tylko jej zaspany wzrok padł na mnie.

– No cóż, chciałabym powiedzieć, że już w ubraniach, ale tak – odkąd wróciłam z imprezy nie miałam czasu na takie czynności jak kąpiel czy sen.

– Warto było tak zarywać noc? – Natalia pokręciła z dezaprobatą głową, rozsypując złote loki na ramiona. W jej brązowych oczach widziałam powątpiewanie.

– Bardziej niż myślisz.

Odłożyłam kawę i szybko przygotowałam się do kąpieli. Za godzinę powinnam już wychodzić. Wiedza, którą zdobyłam, była niewystarczająca, by pozwalać sobie na taki luksus, ale z drugiej strony… Lepiej nie odstraszać profesora, może akurat zlituje się nad tępakami i za ładny uśmiech da trójkę.

Dwie godziny później byłam już zmęczona do granic możliwości, ale i szczęśliwa. Napisałam, o dziwo, całkiem sporo. Trochę lałam wodę, trochę wiedziałam, ale przynajmniej kartkę pięknie zapełniłam. Nie mogłam dostać dwói. Zasłużyłam więc na sen. Jednak nim zdążyłam przebrać się w piżamę i wskoczyć pod pierzynę, mój telefon dał o sobie znać, budząc wszystkich zmarłych w odległości kilometra. Dzwoniła Agata.

– Hej, zombie! Jak tam wczorajsza noc i dzisiejsze zaliczenie? Wiesz, że nie zasłużyłaś na mój telefon, bo wczoraj wyszłaś bez słowa z tym swoim księciem?

– Przepraszam, naprawdę straciłam głowę. Ale owszem, zaliczenie już za mną, noc mam nieprzespaną, więc dzięki za pamięć, ale idę spać. I nie, on nie jest gejem.

– Dobra, dobra. Niech ci będzie. Jestem zazdrosna o to, że ubiera się lepiej niż mój chłopak.

– No.

– I tyle? – koleżanka nie miała ochoty odpuścić tak po prostu.

– Agata, kocham cię bardzo i dziękuję, że mnie zabrałaś na tę imprezę, ale pogadamy później. Idę spać. Ty też idź, dobrze wiem, że Szymon przyszedł tuż przed moim wyjściem i bawiliście się pewnie do samego rana.

– Cóż, nic nie umknie twojej uwadze.

– Ma się ten dar.

– Ale ja mam już ferie, mogę zaszaleć.

– Cieszę się bardzo – miałam ochotę pokazać tej jędzy język. – Więc bądź tak dobrym człowiekiem i daj mi spać, a może później zdradzę ci trochę szczegółów z wczoraj.

– W takim razie dobranoc, najdroższa. Niech ci się twój Krzysiu na białym rumaku przyśni.

– Ble, przez ciebie będę mieć koszmary – skrzywiłam się, gdy umysł, płatając mi figle, pokazał obraz nieco inny od tego, które widuje się w bajkach. I się rozłączyłam.

***

Kolejne dni płynęły mi na nauce, strojeniu się na wyjścia z Krzyśkiem, imprezach z nim do samego rana, spacerach z nim i na kolacjach w średniej klasy knajpach. Było mi tak niewysłowienie wspaniale, że częściej unosiłam się nad ziemią, niż po niej stąpałam. Chłopak okazał się spełnieniem moich najskrytszych marzeń. Był swobodny, wygadany, miał poczucie humoru i potrafił myśleć życiowo. Dla niego studia to nie była tylko formalność, ale realna ścieżka do wymarzonej kariery. Do tego słuchał świetnej muzyki i każdy wieczór spędzony na słuchaniu płyt w jego pokoju był cudowną odskocznią od szarej rzeczywistości. Siadałam wtedy obok niego, opierając głowę na jego ramieniu i opowiadałam mu, co porabiałam przez te kilka miesięcy, gdy się nie widzieliśmy, kogo poznałam i co zwiedziłam,

gdyż każdy weekend spędzałam na odwiedzaniu kolejnych ciekawych miejsc w Krakowie. Dzieliliśmy się wrażeniami ze studiów i nie tylko.

Jednak nadszedł dzień, w którym musiałam się z nim pożegnać na trochę i pojechać na długi weekend do domu. Byłam to winna rodzicom. W końcu ostatnimi czasy niewiele z nimi rozmawiałam, a przecież zawsze szczegółowo opowiadałam im kolejne dni sesji. Musiałam też wykonać kilka prac przy domu – powoli kończyła się zima, ale gęsty śnieg zalegał w górach i było prawdopodobieństwo powodzi.

W ostatni czwartek lutego, po południu, spakowałam się i po krótkim, ale jakim!, pożegnaniu z Krzyśkiem wsiadłam do autobusu bezpośrednio wiozącego mnie w moje rejony. Im bardziej oddalałam się od Krakowa, tym bardziej chciałam do niego wracać, a moja tęsknota rosła wprost proporcjonalnie do ilości śniegu przy mijanej drodze. Prawdziwa zima ominęła w tym roku Kraków.

Późnym wieczorem dotarłam do miasta, w którym spędziłam czas gimnazjum i liceum. Zastanawiałam się, jak wyglądałoby moje życie, gdybym wtedy spotkała takiego Krzyśka. Nie wiedziałam nic o byciu w związku. Nie byłam świadoma tego, co wypada, a co nie. Czy już powinnam zacząć być zazdrosna i wykonać pierwszy telefon do ukochanego? Obiecałam napisać SMS, gdy już będę w domu, ale to przecież jeszcze kawałek. W sumie przez te kilka kilometrów nic mi się nie stanie. Przyjeżdża po mnie tata. Mam więc czas, by jeszcze przez chwilę pobyć z Krzyśkiem sam na sam. W domu nie będzie już tak łatwo.

Wybrałam jego numer i zanim zdążyłam pomyśleć, po drugiej stronie już odezwał się mój ukochany:

– Cześć, słońce, już w domu?

– Prawie, ale wolałam zadzwonić teraz, niż później kryć się po kątach. W moim domu ściany mają uszy.

– Ale później napiszesz, że już jesteś cała i zdrowa w domu? Słyszałem, że pogoda u ciebie jest beznadziejna.

– No tak, to prawda… strasznie się rozpadał śnieg, ledwo drogę widać. Ale to nie pierwszy raz. Jednak nie bój się, napiszę – obiecałam solennie głosem harcerza. – Pewnie za jakieś pół godziny.

– Dobrze.

– A co tam u ciebie? Poszedłeś na tę imprezę?

– W sumie dopiero się zbieram. Ale chciałem ci coś powiedzieć. Spotkałem twoją koleżankę, Agatę chyba…

– Tak, raczej Agatę. I co tam? Rozmawialiście, czy dalej się jej boisz? – zachichotałam jak nastolatka. Krzysiek, który boi się mojej koleżanki, drobniejszej postury ode mnie… Bezcenne.

– Nie boję się jej. Po prostu jest strasznie nadęta. Sorry. Widziała mnie po tym, jak cię odprowadziłem na dworzec. Byłem w galerii, spotkałem kolegę z liceum. No i podeszła pogadać.

– Rozumiem. Chociaż to trochę dziwne. Myślałam, że też będzie jechać do domu.

– No właśnie spóźniła się na autobus, bo zlikwidowali jej połowę połączeń MPK. Chyba na tej drugiej trasie popękały jakieś rury od mrozu czy coś.

– Mówiła, że będzie próbowała dojechać pociągiem? W sumie rodzice mogliby po nią wyjechać… – przypomniało mi się, jak sama spóźniłam się na ostatni autobus do domu i musiałam jechać pociągiem z przesiadką. A potem jeszcze wykorzystywać rodziców, by jechali po mnie kilkadziesiąt kilometrów.

– Nie. Powiedziała, że pojedzie jutro z samego rana. No i chyba nie pójdzie z tobą do tego waszego klubu. Wydaje mi się, że ma wtedy jakieś spotkanie rodzinne.

– Trudno… no to pójdę sama – bardzo chciałam tam iść, a tu nagle Agata sobie przypomina, że ma imprezę rodzinną. Może wyciągnęłabym tam kogoś innego?

– Sama? Może z kimś? Samej to tak raczej nudno.

– W sumie masz rację… – Krzysiek chyba bał się, że kogoś tam poznam. – No to zostanę w domu. Po karnawale też można imprezować. Tylko trochę spokojniej. Piszesz się?

– Pewnie. Mam już co do tego pewne plany.

– No to świetnie się złożyło – zażartowałam. – Dzięki za informacje, autobus już zajechał na dworzec i muszę wysiadać, bo jeszcze mnie kierowca za uszy wyciągnie – puściłam oczko do kierowcy, który patrzył jak nieporadnie próbuję wyjść, w jednej ręce mając laptopa, w drugiej telefon, a na ramieniu torbę, która zaczepia mi się o każde kolejne siedzenie. – To pa. Trzymaj się i miłego wieczoru!

– Pa, kochanie.

***

Cały piątek się leniłam. Jedyną pożyteczną czynnością, jaką wykonałam, było odśnieżenie podjazdu. Wieczorem spotkałam się z koleżanką, z którą chodziłam do podstawówki i gimnazjum. Obgadałyśmy wszystkie zmiany w moim i jej życiu. Ona planowała ślub z chłopakiem, z którym chodziła od kilku lat, a ja z niemałym podnieceniem opowiadałam jej o Krzyśku, który był moim ideałem i spełnieniem wszelakich marzeń.

– Tak słucham cię i słucham, i myślę, że ten twój chłopak to jakiś gej albo że jest metroseksualny – skwitowała moje wywody Ania. Brązowe włosy okalające jej twarz, długie do brody i umęczone wieloma farbowaniami, poruszały się razem z nią, gdy nalewała nam soku i zamykała okno. Była wyższa ode mnie, podobnej budowy, jednak węższa w ramionach i poruszała się z jakąś taką większą gracją. Jej słowa, pomimo iż były żartem, trochę mnie zabolały.

– Co? Czemu?

– No bo taki wystrojony. To raz. Dwa, że nie miał dziewczyny przez długi czas przed waszym spotkaniem. A teraz jest taki idealny i całowaliście się, ale do niczego więcej nie doszło. Okazja czyni złodzieja, a on miał okazję, żeby zrobić to i owo.

– Łe… Anka, błagam cię. Jesteśmy ze sobą od kilku tygodni. Zanim ty zrobiłaś to pierwszy raz ze swoim księciem, to też minęło trochę czasu.

– Ale my mieliśmy ledwo skończone szesnaście lat. A wy już macie dwadzieścia. Całkiem inaczej się to teraz odbywa.

– Czy to, że się we mnie tak szaleńczo zakochał, jest dziwne? – nie wytrzymałam.

– Elwira, nie to miałam na myśli. Po prostu jest trochę niedojrzały, ten Krzysiek… i pedałkowaty. Zawsze ceniłyśmy w sobie szczerość. A ty zawsze miałaś pociąg do takich chłopców.

– Przepraszam, że tak naskoczyłam. Agata też tak mówi. No i ona chyba by chciała, żebym miała wyższego chłopaka. Wiesz, takiego siatkarza, jak zawsze mówiłam.

– To, że jest niższy, nic nie znaczy. Ważne, że tobie się podoba i na odwrót. Zawsze możesz siadać przy nim albo stawać na niższym stopniu…

– Oż… ty małpo! – wystawiłam język do koleżanki i udawałam oburzoną.

***

Następnego dnia po wysprzątaniu całego domu i wykonaniu kilku innych „kobiecych” zadań Elwira była tak zmęczona, że perspektywa pójścia na imprezę w pojedynkę wydawała jej się wręcz karą. Jednak przesiedzenie tego popołudnia w domu również jej nie satysfakcjonowało. Postanowiła pójść na spacer, a że było zimno, wiedziała, że będzie musiała iść szybko – więc może i kilka kalorii z maminego obiadu spali. Od kiedy była z Krzyśkiem, więcej o tym myślała. O ładnym wyglądzie, o dbaniu o zdrowie i tym podobnych rzeczach.

Ciepło ubrana, zaraz po obiedzie poszła w góry. Szła krańcem lasu, czyli najkrótszą drogą. Dziewczyna nigdy nie była amatorką górskich wędrówek, chodziło jej tylko o widoki, więc pragnęła jak najszybciej pokonać drogę na szczyt, a później zrobić kilka dobrych zdjęć słońca zachodzącego nad wsią. Chciała je później pokazać Krzyśkowi, zawsze narzekał, że nie lubi zimy – może te fotografie mogłyby go nieco przekonać do tej pory roku. Może kiedyś wybrałby się z nią na taki spacer?

Słońce szybko chyliło się ku zachodowi. Zapowiadało się na to, że zanim wejdzie na sam szczyt, może być już po sprawie i będzie musiała wracać przy świetle latarki, ewentualnie księżyca. Wybrała więc to, czego zawsze najbardziej się bała. Skróty przez las.

Jako mała dziewczynka zawsze wyobrażała sobie, że w tym gęstym, iglastym lesie czają się wilki i niedźwiedzie, które chcą ją rozszarpać na strzępy. Istnieją też wojenne legendy, mówiące, że w tych lasach ukrywali się „banderowcy ukraińscy", a później próbowali ich stąd wygonić polscy żołnierze, wycinając tych pierwszych w pień. Dlatego podobno w tym lesie straszą duchy ukraińskich rozbójników.

Duchów się nie bała, ale wilków już bardziej.

Przerażona, sama sobie dodając strachu, starała się jak najszybciej przemknąć przez las, by potem puknąć się w głowę. Wyłączyła muzykę w telefonie i prawie truchtając, nasłuchiwała wszelkich odgłosów. Każda sucha, złamana gałązka przeprawiała ją o dreszcze i skurcze żołądka. A przecież gdy była mała, odwiedzała te lasy z rodzeństwem, tylko trochę niżej.

W końcu szczyt góry zaczął migotać zza drzew. Była już całkiem blisko, więc odetchnęła z ulgą. *Za chwilę mój koszmar się skończy. Wracam, choćby najbardziej okrężną drogą, byleby ominąć ten koszmarny las.*

Szła już spokojniej, pewniej stawiając stopy i gwiżdżąc na wilki. *Niech się same ugryzą*. I nie, nie miała zamiaru udawać, że obchodzi ją ich zagrożony gatunek. Niech się swobodnie krzyżują i rozmnażają, byleby z dala od niej.

Tak sobie rozmawiając sama ze sobą, nie zwróciła szczególnej uwagi, że pod stopą wyczuła coś dziwnie twardego, przez co ziemia trochę odstawała. Jednak nie dane jej było wykonać kolejnego kroku. Usłyszała potężny wybuch i poczuła najgorszy ból w życiu, rozrywający całe ciało. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczyła, było pomarańczowe niebo wyłaniające się zza czubków drzew. Potem nie było już nic.

***

Nie mogłam uwierzyć, że Elwira spóźniała się już godzinę. Nie, żeby zawsze była punktualna. Co to, to nie – jednak zawsze dzwoniła do mnie choćby kilka minut wcześniej, tłumaczyła się i potem robiła wielkie wejście. No, może nie takie wielkie, ale jednak… Chociaż chyba nigdy nie była świadoma, że faceci z naszej klasy patrzą na nią czasami z podziwem. Myślą sobie, że jest całkiem ładna i tym podobne. Zawsze uważała, że patrzą na nią z obrzydzeniem albo totalną obojętnością, więc całkowicie przestała się nimi interesować. Nawet teraz, gdy była na studiach i mogła zaszaleć, to odpuszczała to sobie całkowicie i pozwalała, by chłopak, który jej się kiedyś podobał, wypłakiwał się na jej ramieniu – przy czym ona go pocieszała, tłumaczyła zachowanie byłej i w sumie starała się ich pogodzić. Miałam ochotę walnąć ją za to jakimś obuchem czy czymś podobnym.

Teraz też widziałam tego chłopaka w naszym ulubionym barze. Jak zwykle był pijany i ledwo trzymał się na nogach. Chudy, wysoki, niegdyś siatkarz, teraz chłopak bez perspektyw, jednak z ładną buzią i złotymi loczkami jak u aniołka. Ten słodki typ, idealny dla Agaty.

Spojrzałam jeszcze raz na telefon. Minęła właśnie równo godzina. Nie narzekałam na nudę, nie byłam też sama – wiele osób miało sesję za sobą i zjechało w Bieszczady. W tym kilka naszych wspólnych koleżanek, z którymi teraz obgadywałyśmy Krzyśka. Dzięki Elwirze miałam jego zdjęcie na komórce i mogłam dziewczynom zarysować obraz sytuacji. Dokładniej było nas trzy. Z Elwirą

stanowiłyśmy „fantastyczną czwórkę", więc teraz, gdy jej nie było, nie miałam większych wyrzutów sumienia, wtajemniczając Weronikę i Olę w sprawę.

A było co omawiać. Gdy ja pędziłam na autobus, na który *summa summarum* się spóźniłam, chłopak Elwiry – Krzysiek – był w Galerii Krakowskiej razem z jakimś kolegą i cóż… nie zachowywali się jak kumple, ale jak dwie cioty. Byłam zszokowana i mocno zdenerwowana, jednak czym prędzej podeszłam do niego, by sprawdzić, jak zachowa się przyłapany na gorącym uczynku. I mówiąc szczerze, zachował się dokładnie tak, jak się spodziewałam. Natychmiast odsunął się od kolegi, ledwo pamiętał, by go przedstawić i próbował nawiązać jakąś sztuczną pogawędkę. Musiałam coś zrobić. Chciałam porozmawiać z Elwirą, jednak dziewczyny mnie od tego na razie odwodziły.

– Nie mów jej jeszcze. Albo opowiedz, co widziałaś, ale bez komentarzy. Rozumiesz? – to Weronika, najbardziej zrównoważona z nas wszystkich.

– Kurczę, nie wyobrażam sobie tego. Koleś zdradza Elwirę z facetem. To poniżej pasa – skomentowała Ola. – No nic, na razie dzwoń do Elwiry, bo obiecała, że przyjdzie. Co, jakby się okazało, że ktoś już jej przekazał nowiny? Może dlatego jej nie ma?

Zadzwoniłam. Po piątym sygnale odebrała chyba jej starsza siostra.

– Halo? Czy Elwira jest w domu? Czy już wyjechała?

– Elwira… miała wypadek – dziewczyna pociągnęła nosem. Chyba płakała.

– Co? Jak jechała? Co się stało?

– Nie. Stanęła na niewybuch… Ona… Elwira nie żyje.

Nim zdążyłam przyswoić tę informację, siostra Elwiry już się rozłączyła. Dziewczyny patrzyły na mnie przerażone i zniecierpliwione. Oczy miały jak spodki, a ja nie mogłam wykrztusić z siebie słowa. Nagle wszystko było takie błahe i niepoważne. Niepasujące.

– Agata, co się stało? Jesteś blada jak ściana.

– Wyjdźmy, proszę.

Nie chciałam przekrzykiwać skocznej muzyki ani też patrzeć na twarze tych wszystkich znanych i nieznanych ludzi. Szybko ubrałyśmy kurtki i opuściłyśmy lokal. Idąc, ledwo łapałam równowagę. Wciąż nie wierzyłam w to, co usłyszałam. Nie mieściło mi się to w głowie. Kiedy minęłyśmy już ogrodzenie, przystanęłam na chodniku i w końcu spojrzałam na przyjaciółki. To był koniec fantastycznej czwórki. Pozostało smutne trio.

– Elwira miała wypadek… Stanęła na jakiś niewybuch, nie wiem…

– Ale przeżyła? – weszła mi w słowo Ola.

– Nie.

Nie uroniłam ani jednej łzy. Nie mogłam. Nie dlatego, że nie miałam serca, że nic nie czułam, że nie tęskniłam. To po prostu było zbyt wielkie. Płacze się na smutnych filmach.

– Agata, przykro nam. Trzymałyście się we dwie teraz, przez studia… – zaczęła Weronika, po czym zarzuciła mi ramiona na szyję i płakała, długo płakała. Ola również przytuliła się do nas i wszystkie trzy tak stałyśmy na zimnym wietrze, a nasze łzy i oddechy zamarzały. Nie mogłam uwierzyć, że Elwira nas tak po prostu zostawiła.

***

W dniu pogrzebu na cmentarzu pojawili się chyba wszyscy znajomi Elwiry. Ci z podstawówki, gimnazjum, cała nasza licealna klasa i kilku znajomych ze szkoły, była też reprezentacja ze studiów i Krzysiek. Ja przyjechałam z chłopakiem, bo on też znał Elwirę, a Ola i Weronika były akurat same, tylko z rodzicami, którzy je przywieźli. Każda z nas pochodziła z innej miejscowości. Rodzina Elwiry była liczna – mniej więcej równa liczbie ludności wsi, w której od urodzenia mieszkała nasza

przyjaciółka. Do tego pojawili się znajomi z pracy rodziców Elwiry i znajomi jej rodzeństwa.

Wszyscy ci ludzie ciasnym kręgiem otaczali jasnobrązową trumnę ze złoconymi wykończeniami. W głębokim dole było już na nią miejsce. I gdy spojrzałam na tę trumnę, ten dół i przypomniałam sobie uśmiech Elwiry, zawsze zwariowanej, zakręconej, gnającej gdzieś lub za czymś, rozpłakałam się na dobre i nie mogłam się powstrzymać. Łzy zamarzały mi na policzkach, a czkawka dławiła. Adrian, mój chłopak, nie patrząc na mnie, przytulił mnie mocno i również przyglądał się ceremonii. Ksiądz czytał akurat coś z Biblii, wiele osób wokół płakało jak ja, tylko nieliczni słuchali ze spokojem.

Nie wiem, jakim cudem ujrzałam w tym tłumie ludzi i kwiatów Krzyśka. Stał gdzieś z boku, całkiem sam, nie wyglądał, jakby właśnie płakał, ale miał zaczerwienione i podpuchnięte oczy. Było mi go trochę szkodę. Nie byłam pewna, czy był gejem, ale wiedziałam, że z Elwirą byli szczęśliwi. A przynajmniej ją potrafił uszczęśliwić. Nie miałam jednak dość odwagi, by podejść. Poza tym w takim stanie i tak wiele bym z siebie nie wykrztusiła.

Kiedy ksiądz już skończył, trumna została ułożona w ziemi (rodzina Elwiry zachowywała się dość spokojnie, nikt nie kładł się na ziemi ani też nie chciał być pochowany razem z nią), a grabarz zabrał się za zakopywanie dołu. Widziałam, że praca sprawia mu ogromne trudności, gdyż gleba była od mrozu twarda jak kamień. Po chwili zawołał do siebie kogoś do pomocy.

Potem ludzie zaczęli przepychać się z wieńcami i wiązankami do przodu. Sama miałam kupiony z dziewczynami na spółkę bukiet białych róż. Zauważyłam, że Krzysiek nie stoi już tam gdzie wcześniej. Kiedy w ciszy rozmawiałyśmy z dziewczynami, on podszedł do samego dołu i razem z innymi rzucał ziemię. Wydawało mi się jednak, że oprócz grudy ziemi rzucił też na trumnę kartkę papieru… albo kopertę.

Nie spytałam go nigdy, co było tam napisane, choć miesiąc po pogrzebie nasze stosunki trochę się poprawiły i Krzysiek nie uważał mnie już za swojego wroga. Nie dowiedziałam się też, dlaczego Elwira nocą chodziła po lesie, który kiedyś był polem bitwy. Dlaczego w ogóle poszła wtedy do lasu, zamiast szykować się do wyjazdu? Byłyśmy przecież od tygodnia umówione na ten wieczór. W Krakowie przez naukę nie miałyśmy szans się spotkać, ale wtedy? Miałyśmy nawet wracać do domu tego samego dnia. Mam przeczucie, że gdybym tego dnia nie nawaliła i zdążyła na ten autobus, nie widząc po drodze Krzyśka, wszystko wyglądałoby inaczej. Obie żyłybyśmy w cudownej niewiedzy, a w tamten wieczór wspólnie oblewałybyśmy jej udany związek. To mógł być jeden z najlepszych wieczorów naszego życia. Nie wierzę, że tak to się skończyło.

***

Dwa lata później, wiosną, gdy Elwira powinna zostawać inżynierem, a ja licencjatem, znowu zobaczyłam na uczelni Krzyśka w towarzystwie tego kolegi, z którym przyłapałam go po odjeździe Elwiry do domu. Jednak tym razem Krzysiek ze smutkiem odmawiał czegoś tamtemu. Podsłuchałam, gdy mówił, że to była jego wina. Że nigdy nie powinni być razem, bo na to nie zasłużył. Tamten czule pocieszał kolegę i mówił, że nie może pokutować do końca życia. Kiedy tak na nich patrzyłam, w pierwszej chwili chciałam powiedzieć, że i owszem. Niech pokutuje do końca życia. Elementy układanki nagle poskładały się w mojej głowie w przerażającą całość. Smutek wypełnił mnie całą, po koniuszki palców, gdy zrozumiałam, dlaczego Elwira nie poszła wtedy na naszą imprezę. Krzysiek jej nie pozwolił. Nie byłam pewna dlaczego, ale to na pewno jego sprawka.

Gdy tylko niepocieszony kochanek odszedł, dosłownie złapałam Krzyśka za fraki.

– Coś ty jej zrobił? Dlaczego Elwira wtedy nie przyjechała?

Krzysiek spojrzał na mnie jak zbity pies i bez cienia sprzeciwu odpowiedział na zadane pytanie, tak jakby przeczuwał, że prędzej czy później przyjdzie na to czas.

– Kiedy rozmawialiśmy ze sobą kilka godzin po jej wyjeździe i po tym, jak przyłapałaś mnie z Łukaszem, powiedziałem jej, że nie idziesz na tę imprezę, więc i ona nie ma po co się tam wybierać. Miałem nadzieję, że minie trochę czasu, nim się zobaczycie i zapomnisz o całej tej akcji.

– Nadal nie zapomniałam… Jak śmiałeś? Elwira była tylko twoją wymówką? Zasłaniałeś się nią przed kolegami, żeby nie wiedzieli, że jesteś gejem? Przez twój misterny plan zginęła?

– Nie! To nie był żaden plan ani nic takiego! Kochałem Elwirę naprawdę, ale wcześniej ciągnęło mnie do facetów… i Łukasz był właśnie kiedyś ze mną… Nie byłem pewien, czy już nic do niego nie czuję, czy jestem homo czy hetero. Wtedy, gdy nas spotkałaś… wydawało mi się, że to wróciło…

– Przyznaj się więc, przed sobą, Bogiem i mną, kim w końcu jesteś?! – krzyknęłam, aż kilka osób obok podskoczyło, a reszta zwróciła na nas uwagę.

– Gejem.

Wiedziałam. Przez pierwszą chwilę miałam ochotę wykrzyczeć to całemu światu. A później zastrzelić tego pedała i wszystkich innych homo w zasięgu wzroku, ale najzwyczajniej skapitulowałam. Skuliłam się w sobie i zgarbiona odeszłam. Nie spojrzałam już więcej w oczy Krzyśka. Mijałam tłum ludzi i ledwo co widząc przez łzy, starałam się dojść cało do sali wykładowej. Z tego dnia nie pamiętam już nic.

Adrian przyszedł do mnie następnego ranka. Zaparzył mi kawę, zrobił śniadanie i przypilnował, bym zjadła. Mówił coś do mnie, ale albo nie słuchałam, albo odpowiadałam wymijająco. W końcu nie wytrzymał.

– Przestań! Przestań się obwiniać. Tak wyszło. Winny jest Krzysiek, ale…

– Co ale? – obudziłam się z amoku. Jakie mogło być „ale”?

Chłopak podał mi gazetę i otworzył na odpowiedniej stronie, po czym pozbierał ze stołu talerze. Minęła chwila, zanim zrozumiałam, o który artykuł mu chodzi. O ten zatytułowany *Samobójstwo studenta*. Bohaterem był niejaki Krzysztof S. (22), który późnym wieczorem 21 kwietnia połknął kilkadziesiąt tabletek różnego rodzaju i poszedł spać. Znajomi z mieszkania nie zauważyli, że dwudziestodwulatek zamknął się w pokoju i był nieprzytomny. Rankiem wyważyli drzwi jego pokoju i znaleźli go martwego. Pozostawił po sobie list do rodziców. Wcześniej nie zauważono u niego depresji.

Odłożyłam gazetę. Adrian zabrał ją ze stołu i wrzucił do kosza. Usiadł na krześle obok i położył dłoń na mojej dłoni.

– Aga, wiesz, czemu on to zrobił, prawda?

– Tak.

Znowu nie wiedziałam, jak to wszystko ubrać w słowa. Spojrzałam w okno, z którego widać było tylko ściany innych bloków.

– Rozmawiałam z nim wczoraj. Przyznał się, że jest gejem – znowu zrobiłam pauzę na głęboki oddech. – To przez niego Elwira nie przyjechała wtedy do nas.

– Rozumiem.

– Nie wiedziałam, że to się tak skończy… – zaczęłam płakać. Chciałam być dzielna i tak niewzruszona jak w dniu śmierci Elwiry. Powinnam być dzielna. To nie była moja wina. Chyba…

Tak to się skończyło – powtarzałam w głowie. To już jest koniec tej historii. Ona martwa i on martwy. Ona umarła w pełni szczęścia, on w apogeum rozpaczy. Ogień i woda. To nie mogło skończyć się dobrze…

SYLWETKI AUTORÓW

JAN ANTONI HOMA

Skrzypek i pisarz. Absolwent Uniwersytetu Muzycznego im. Fryderyka Chopina w Warszawie. Solista, kameralista, symfonik. Drugi koncertmistrz Filharmonii Brabanckiej. Od kilku lat próbuje swych sił w słowie pisanym. Dotychczasowy efekt to dwie powieści: *Altowiolista* (2009) – przygodowy kryminał muzyczny oraz *Kręgi albo kolejność zdarzeń* (2010) – współczesna baśń dedykowana braciom mniejszym. Jego blog *oto I owo* otrzymał Nagrodę Jury w konkursie na Literacki Blog Roku 2011. Wkrótce do księgarń trafi *Ostatni koncert*, trzecia książka autora, będąca kolejnym tomem przygód *Altowiolisty*.

ALICJA MINICKA

Pisze od niedawna. Ma na koncie dwie powieści, klasyczne kryminały: *Colette* i *Genewska zagadka*. Głównymi bohaterami obu książek są żyjący w przyszłości detektywi z Centralnego Biura Kryminalnego w Londynie. Ale chociaż opisane w nich wydarzenia rozgrywają się za lat trzysta, nie są to powieści science fiction. Obecnie autorka kończy pisać powieść obyczajową z wątkami kryminalnymi zatytułowaną *Matnia*. Jej akcję ulokowała w Polsce lat 20. ubiegłego stulecia. Drugą literacką pasją Alicji jest publicystyka. Artykuły publikuje między innymi na swoim blogu: http://mysli-o-ludziach.blog.onet.pl.

KATARZYNA WARPAS

Rocznik 1983. Studiowała intermedia, animację, projektowanie i wystawiennictwo w Toruniu i w Hildesheim (Niemcy). Obecnie w Wielkiej Brytanii

pisze doktorat o muzealnych przestrzeniach interaktywnych i owe przestrzenie buduje. W weekendy czyta, rysuje, medytuje w biegu, piecze chleb na zakwasie i bloguje na: http://bebeluch.blogspot.com (wyróżniony tytułem Literacki Blog Roku 2011) oraz www.bellyandbell.blogspot.com. Marzy o wydaniu autorskiej książki dla dzieci i o podróży do Peru.

Aleksandra Kocianowska

Urodzona w 1992 roku. Obecnie studentka pierwszego roku zarządzania. Interesuje się literaturą fantastyczną, do jej ulubionych pisarzy należą J.R.R. Tolkien i Licia Troisi. Pasją do pisania zaraziła się w domu, gdzie od najmłodszych lat była otoczona książkami (wychowywali ją rodzice bibliofile). W wolnych chwilach zajmuje się tworzeniem biżuterii hand made. Od ponad dwóch lat regularnie pisze i publikuje, choć nie od razu założyła blog. Dziś już nie wyobraża sobie bez tego życia. Blog autorki: http://day-night-lien.blogspot.com/.

Magdalena Żerek

Autorka mieszka i pracuje w Warszawie. Jest dziennikarzem kulturalnym, recenzentką książek, autorką bajek dla dzieci i matką czteroletniej Wiktorii. Ukończyła filologię polską, pracowała w wydawnictwie i jest redaktorem naczelnym internetowego dziennika literackiego. Jej pasją jest literatura, zwłaszcza współczesna. Bloguje na: www.zerek.pl.

Maria Izabela Fuss

Urodzona w 1982 roku. Mieszka w Bury k. Manchesteru, gdzie pisze po polsku i po angielsku. Debiutowała w lutym 2011 roku książką dla dzieci *Cheeky Elf i tajemnicze zniknięcie świątecznego drzewka*, które doczekało się kontynuacji w

grudniu: *Cheeky Elf i poszukiwania zaginionego elfiego skarbu*. Wkrótce ukaże się jej pierwsza książka po angielsku: *The story of Fuzzy Buzzy*. Prowadzi blog: mariaizabelafuss.blogspot.com.

MIŁOŚNIK MIŁOŚCI

Fan piłki nożnej, dobrego wina i inteligentnych kobiet. Leczy ludzi poczuciem humoru. Uwielbia G.G. Marqueza, trochę poezji, a przede wszystkim książki historyczne. Czasami także psychologiczne (np. Ericha Fromma). Jako bloger dopiero raczkuje. Do pisania skłoniła go po prostu chęć podzielenia się własnymi przeżyciami i myślami.

DAGMARA

Matka, żona, marzycielka, pasjonatka książek. Pisać próbowała od zawsze, niestety zwykle brakowało zapału, by dane opowiadanie sensownie zakończyć. Dumą za to napawa ją wyróżnienie, jakie otrzymała w organizowanym przez Onet.pl konkursie na blogowe bajki. Jej bajka *O jeżyku w przedszkolu* została wydana w formie audiobooka. Pisze na blogu: http://codziennik-niecodzienny.blog.onet.pl/.

VICTOR ORWELLSKY

Autor, którego artykuły przeczytało w ostatnich miesiącach ponad 5,5 mln czytelników w Polsce i w 105 innych krajach. Publikuje na pierwszych stronach największych portali: Onet.pl i Interia.pl. Jego śmiałe teorie i wnikliwa obserwacja współczesnego świata stały się tematem wielu dyskusji na największych portalach społecznościowych. Został laureatem pierwszego miejsca Wielkiego Konkursu Interia 360 w kategorii Najlepszy Debiut 2010/2011. Jest autorem powieści *Kod władzy*.

Marzena Tokarska

Opowiadanie *Kobieta, którą nigdy nie będę* jest debiutem literackim autorki. Na co dzień dzieli się swoim życiem na blogu *Mały Rycerz*, gdzie w bardzo głęboki i autentyczny sposób opisuje perypetie swojego małego wzrostem, lecz wielkiego duchem synka, a także pozostałych domowników. W swoich wpisach ukazuje, jak piękne może być codzienne życie zwyczajnej żony i matki, czasem przeżywającej wspaniałe chwile, czasem trudniejsze momenty, ale wciąż wzmacniającej więzi rodzinne.

Danuta Awolusi

Autorka kocha pisać o książkach i śpiewać. Pochodzi ze Śląska, ale obecnie mieszka w Warszawie, gdzie pracuje i namiętnie czyta. Jej recenzje i teksty krytycznoliterackie można znaleźć na blogu *Książki Zbójeckie*, który istnieje od kwietnia 2011 roku i stale się rozwija. Obecnie Autorka pracuje nad redakcją książek i rozwija swój blog, który jest dla niej ważnym miejscem krzewienia czytelnictwa i wiedzy o literaturze w Polsce.

Dorota Szczepanik

Autorka jest absolwentką filologii polskiej z historią na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Miłośniczka fantasy. Blog poświęcony książkom prowadzi od kwietnia 2011 roku. Jej przygoda z blogowaniem rozpoczęła się od pracy magisterskiej poświęconej właśnie blogom. Swoją stronę założyła właściwie w celach badawczych. Dopiero po obronie zaczęły pojawiać się pierwsze wpisy. I tak powstał polonisty.blox.pl.

Katarzyna Maczyk

Urodzona w 1987. Absolwentka studiów prawniczych z aspiracjami ponad siły i możliwości, ale uparcie wierząca w cuda. Na co dzień żyje wyłącznie prawem, historią, literaturą, muzyką i filmem. Bez tych rzeczy nie wyobraża sobie egzystencji. Zaprzysiężona miłośniczka kotów i piłki nożnej. Za najlepsze książki uważa takie, przy których można solidnie popłakać.

Agnieszka Gil

Jej debiutem była *Przygoda na basenie* (w antologii *Wesołe historie*). W lokalnych gazetach publikuje bajki, teksty o Wrocławiu i serię artykułów *Nauka przez zabawę*. Najłatwiej spotkać ją na blogu *Piszę z Wrocławia* (agnieszkagil.blox.pl) i w bibliotece, gdzie prowadzi cykl *GILgotki, czyli Agnieszka Gil zaprasz*a – spotkania z autorami i ilustratorami. W 2008 roku ukazała się jej powieść *Dziki szczaw*, a już w kwietniu 2011 pojawi się *Herbata z jaśminem*, w której autorka podejmuje niełatwy temat dojrzewania.

Justyna Karolina Gałązka

Z zawodu projektantka. Absolwentka Projektowania Graficznego na ASP we Wrocławiu. Oprócz grafiki, fotografii i malarstwa zajmuje się również ilustracją oraz projektowaniem książek unikatowych. Na swoim blogu *Z lasu* regularnie zamieszcza zdjęcia i opisuje swoje życie. Gdy zaczęła prowadzić blog, odkryła w sobie zamiłowanie do pisania.

Agnieszka Nietresta-Zatoń

Doktor nauk humanistycznych, literaturoznawca, nauczyciel polonista. Zajmuje się literaturą i kulturą Romantyzmu, relacjami Romantyzm a nowoczesność oraz literaturą XX wieku ze szczególnym uwzględnieniem poezji. Autorka książek *Małgorzata Hillar. Szkic monograficzny* i *Powołani na bunt. Transgresje poetów XIX wieku*. Bloguje na: www.glusicadomowa.blogspot.com i www.copoeta.blogspot.com.

Aurora

Urodzona ćwierć wieku temu. Zamieszkała w Stolicy Polskiej Piosenki, choć pozbawiona talentu muzycznego. Nadrabia apetycznym gotowaniem. Z zawodu nauczycielka. Z zamiłowania pisarka. Pisze na: http://blogczekolady.blogspot.com/.

Małgorzata Rybarczyk-Bończak

Mama Maksiuty i Szymona zwanego Preclem. Od sześciu lat całą rodziną usiłują ogarnąć rzeczywistość, jaką jest życie z Preclem chorym na ciężką, nieuleczalną chorobę genetyczną. Swoje przeżycia opisuje na blogu *W Stronę Precla*, który zdobył tytuł Blog Roku 2007. W swojej pozazawodowej i pozarodzinnej działalności skupia się na umożliwianiu w miarę normalnego życia dzieciom żyjącym dzięki wsparciu respiratora. Założycielka forum dla rodziców dzieci po zabiegu tracheotomii oraz autorka kilku publikacji dotyczących wspierania rozwoju, komunikacji oraz życia z rdzeniowym zanikiem mięśni.

Olaf Tumski

Autor mieszka w Poznaniu i dobiega czterdziestki. Dotychczas opublikował cztery e-booki. W jego książkach zjawiska tajemnicze i mistyczne kryją się w przyziemnej, szarej rzeczywistości oraz w pozornie banalnych przedmiotach.

Wystarczy je zauważyć, ale tylko nieliczni posiadają takie zdolności. Wszystko na temat jego książek znajdziecie na blogu: http://olaftumski.blogspot.com/.

Justyna Gul

Specjalistka ds. PR i dziennikarka zajmująca się tematami społecznymi, ekonomicznymi i związanymi z szeroko pojętą kulturą, a ostatnimi czasy nauczycielka przedmiotów ekonomicznych. Autorka kryminału dla młodych czytelników *Przygody Renatki. W poszukiwaniu Wąsiatego Sama*. Namiętnie czyta książki i pisze recenzje. Pasjonatka podróży, zarówno tych dalekich, jak i bliskich, impresjonizmu i portugalskiej muzyki smutku i tęsknoty. Autorka bloga: *Książkowisko dla biznesu* oraz *Młot na czarownice*.

Roman Monkiewicz

Absolwent ZSZ im. KEN w Szczecinku oraz Wydziału Informatyki i Elektroniki na Politechnice Koszalińskiej. Swoją przygodę z pisaniem rozpoczął już jako nastolatek, pisząc do szuflady, jednak dopiero po studiach jego pierwsze publikacje pojawiły się w postaci bloga internetowego. Jego twórczości jest połączeniem horroru, science fiction i dark fantasy.

Agnes A. Rose

Z wykształcenia humanistka. W wieku dwunastu lat napisała bajkę dla dzieci pt. *Skrzaty z leśnej polany*. Mając piętnaście lat, popełniła pierwszą powieść adresowaną do młodzieży, której fragmenty ukazywały się w jednej z lokalnych gazet. Choć książka nigdy nie ukazała się drukiem w pełnej formie, to jednak autorka nie zrezygnowała z rozwijania swoich zamiłowań pisarskich. Jako osoba dorosła publikowała na internetowych portalach literackich pod różnymi pseudonimami,

zbierając przychylne recenzje czytelników. W Internecie prowadzi blog *Kraina Czytania*, na którym oprócz recenzji książek można zapoznać się również z jej umiejętnościami literackimi. Autorka marzy o wydaniu własnej powieści.

Agata Adelajda Kołodziejczyk

Trzydziestolatka, magister filozofii, studiuje podyplomowo bibliotekoznawstwo i informację naukową, żona Adama i mama małego Władka, domatorka, zapalona czytelniczka, rękodzielniczka, wegetarianka. Do jej ulubionych autorów należą Thomas Hardy i Virginia Woolf, a ostatnio odkryła prozę Murakamiego. Relaksuje się przy Jasonie Moranie, Sonnym Rollinsie oraz muzyce Dead Can Dance. Długie zimowe wieczory spędza w kinie lub przy zielonej herbacie i ulubionej lekturze.

Dorota Kamińska

Historyk sztuki. Pasjonuje ją wszystko, co wiąże się z pięknem. Od pół roku próbuje znaleźć życiową równowagę w Grecji, gdzie przypadkiem rzuciło ją życie. Dokładnie w dniu wyjazdu, po bardzo długiej przerwie, wróciła do pisania. Tym bardziej cieszy ją fakt, że w ciągu sześciu miesięcy zdobyła wyróżnienie w konkursie na blog literacki, opublikowała swój tekst w „Arteonie" i zaczęła współpracę z portalem Inspirantki.pl. Podczas przerw w pisaniu, koncentruje się na wszystkim, co w życiu pozytywne, fascynujące, śmieszne, kolorowe lub pachnące i o tym między innymi opowiada jej literacki świat.

Piter Murphy

Od zawsze fascynowała go literatura − opowiadania pisał już jako mały chłopiec. Na wiele lat odszedł od pisania, jednak wrócił, czego wynikiem jest debiutancka powieść *Trzy*, która ukazała się w formie e-booka nakładem

Wydawnictwa RW2010. Aktualnie pracuje nad drugą powieścią. Na co dzień prowadzi blog pisanyinaczej.blogspot.com, na którym pisze o książkach oraz spotyka się z pisarzami. Kocha przyrodę, uprawia sport i czasami pisze wiersze.

Agnieszka Steur

Żona i mama, od 12 lat mieszka w Holandii. Absolwentka Wydziału Języki Słowiańskie i Kultura na Uniwersytecie Amsterdamskim. Wyróżniona w Konkursie na Nagrodę Marszałka Senatu dla dziennikarzy polskich i polonijnych (2008). Zdobyła też I miejsce w Międzynarodowym Konkursie „Emigracja" portalu kobietawuk.info (2010). Od 2011 nauczycielka języka polskiego w Polskiej Szkółce w Utrechcie. Od 2010 pisze felietony w języku polskim dla Sceny Polskiej – Pools Podium w Holandii oraz artykuły popularnonaukowe w języku niderlandzkim dla Biuletynu Polsko-Niderlandzkiego Stowarzyszenia Kulturalnego PNKV.

Marta Kusz

Studentka Inżynierii Środowiska na Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, od urodzenia mieszkająca w Krościenku. Od roku pod pseudonimem Soulmate pisze na blogu: marta6792.blogspot.com, wcześniej pisarka amatorka i członek stowarzyszenia Piórem Feniksa. Autorka wielu opowiadań pisanych do szuflady i publikowanych na blogach. Jej marzeniem jest ukończenie studiów, praca w dziedzinie energii odnawialnej oraz pisanie książek.

PODZIĘKOWANIA

Nasz e-book nie powstałby bez pomocy niezwykle uzdolnionych i życzliwych osób, którym chcemy gorąco podziękować!

Podziękowania należą się w szczególności Monice, naszej redaktorce, która włożyła mnóstwo czasu i pracy w przygotowanie i korektę nadesłanych opowiadań. Monika profesjonalnie zajmuje się redakcją i korektą tekstów, jej olbrzymia wiedza i fachowość były dla nas nieocenione! Dziękujemy za to z całego serca, a wszystkich zapraszamy do odwiedzenia bloga książkowego naszej redaktorki: zaczytanieblog.blogspot.com.

Kolejne podziękowania kierujemy w stronę wspaniałej, utalentowanej graficzki i autorki tekstów – Kasi. To właśnie Kasia przygotowała logotyp naszego projektu oraz okładkę e-booka. Nieraz zaskakiwała nas swoją kreatywnością i świeżością spojrzenia. Kasia prowadzi blog: bebeluch.blogspot.com, który otrzymał tytuł Literackiego Bloga Roku 2011 przyznany przez internautów. Jest także autorką wszystkich rysunków i grafiki zamieszczonych na blogu.

Pragniemy również serdecznie podziękować Zuzannie Bućko, która przygotowała dla nas trailery promujące e-booka. Dzięki tej nowatorskiej formie możemy dotrzeć z informacją o projekcie do szerokiego grona odbiorców. Zuzia posiada wiele talentów. Pisze recenzje książek, tworzy znakomite animacje, a także fotografuje. Wszystkie pasje łączy na swoim blogu: advena-artlab.blogspot.com.

Dziękujemy raz jeszcze. Bez Waszej pomocy z pewnością nie doszłoby do wydania tego e-booka. Praca z Wami była wielką przyjemnością i zaszczytem.

Agnieszka i Danusia

Informacja o organizatorkach

Agnieszka (Agnes A. Rose) – prowadzi blog literacko-recenzencki *Kraina Czytania* (krainaczytania.blox.pl). Na co dzień pracuje z młodzieżą, ucząc języka angielskiego. Jest także dziennikarką amatorką. W swoich artykułach porusza sprawy kontrowersyjne, przez co pragnie zwrócić uwagę innych na problemy społeczne. Piętnuje głupotę i brak tolerancji. Jej teksty niejednokrotnie spotkały się z uznaniem profesjonalnych dziennikarzy. Jako pomysłodawczyni projektu Blogerzy Książki Piszą zamieściła w nim swoje opowiadanie, napisane specjalnie dla tej antologii.

Danuta Awolusi – prowadzi blog recenzencki *Książki Zbójeckie* (ksiazkizbojeckie.blox.pl), który otrzymał wyróżnienie jury w plebiscycie na Literacki Blog Roku 2011. Jest absolwentką filologii polskiej, początkującą redaktorką i miłośniczką literatury. Prozę pisze raczej okazyjnie, o wiele chętniej tworzy teksty krytycznoliterackie. Uwielbia muzykę Gospel i wykonuje ją na co dzień w warszawskim chórze Soul Connection, jest także dziennikarzem „Gazety na Chmielnej", miesięcznika promującego Śródmieście Warszawy.

Oficyna wydawnicza RW2010

Na każdą kieszeń
na każdy czytnik

Dobre ebooki
w dobrej cenie

szukaj na
www.rw2010.pl
lub w e-księgarniach

RW2010
REWOLUCJA WYDAWNICZA!

Blogerzy złapali za pióro. Wytężyli wyobraźnię, poczuli wenę twórczą i oto jest – antologia dwudziestu siedmiu opowiadań napisanych przez osoby, które prowadzą blogi. Jak wiadomo, to życie pisze najciekawsze scenariusze, dlatego tematem przewodnim stały się szkice z życia, te codzienne i te niezwykłe, ale wszystkie zaskakujące i ciekawe. Każde opowiadanie to indywidualne spojrzenie autora na otaczającą nas rzeczywistość, znajdziemy tu różne uczucia, wartości, marzenia, tajemnice...

Zapraszamy czytelników w świat widziany oczami blogerów, którzy zmierzyli się z wyzwaniem, jakim było wspólne stworzenie e-booka. Obiecujemy emocje, wzruszenia, słowem – samo życie!

Patroni medialni:

duzeka.pl

papierowe myśli.pl

KL LITERA www.klub-litera.pl

społeczność czytelników webook.pl

granice.pl portal literacki

Projekt wspiera portal:

lubimyczytać.pl Twoja internetowa biblioteczka

BLOGERZY KSIĄŻKI PISZĄ

Zakupiono w NEXTO: 2197679